

# STAR WARS

DARTH BANE

## DROGA ZAGŁADY

DREW KARPYSHYN

Przekład:  
Aleksandra Jagielowicz

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

### **Tytuł oryginału:**

Star Wars: Darth Bane: Path of Destruction

### **Data wydania:**

2006

## **Wydanie polskie**

### **Data wydania:**

2007

### **Ilustracja na okładce:**

John Jude Palencar

### **Przekład:**

Aleksandra Jagielowicz

### **Wydawca:**

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27  
tel. 22620 40 13, 22620 81 62  
[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

ISBN 978-83-241-2893-8

Wydanie I

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks  
[tridentebooks@gmail.com](mailto:tridentebooks@gmail.com)

*Jen, która sprawia, że wszystko jest możliwe*

## PROLOG

W ostatnich dniach Starej Republiki zostało tylko dwóch Sithów – zwolenników Ciemnej Strony Mocy i odwiecznych nieprzyjaciół zakonu Jedi: jeden mistrz i jeden uczeń. Jednak nie zawsze tak było. Tysiąc lat przed upadkiem Republiki i dojściem imperatora Palpatine’a do władzy Sithów był legion...

Lord Kaan mistrz Sithów i założyciel Bractwa Ciemności, szedł przez jatkę pola bitewnego jak ciemny cień w mroku nocy. Tysiące żołnierzy Republiki i prawie setka Jedi oddało swoje życie, usiłując bronić tego świata przed armią... i przegrało. Lord Kaan rozkoszował się ich cierpieniem i rozpaczą; nawet teraz wyczuwał, jak unoszą się ze zmiądzonych ciał rozrzuconych po dolinie.

Gdzieś w oddali zbierało się na burzę. Kiedy potężne błyskawice rozświetlały niebo, wydobywały na moment z mroku wielką Świątynię Sithów Korribana – surową sylwetkę wznoszącą się na nagim horyzoncie.

Pośród tej rzezi czekały dwie postaci – człowiek i Twi’lek. Mistrz rozpoznawał ich pomimo ciemności: Qordis i Kopecz, dwaj z potężnych lordów Sithów. Kiedyś byli rywalami, ale teraz służyli wspólnie Bractwu Kaana. Podeszedł do nich szybko, z uśmiechem.

Qordis, wysoki i tak chudy, że wyglądał prawie jak szkielet, odpowiedział uśmiechem.

– To wielkie zwycięstwo, lordzie Kaan. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd Sithowie mieli swoją akademię na Korribanie.

– Widzę, że spieszy ci się rozpocząć szkolenie nowych uczniów – odparł Kaan. – Oczekuję, że w najbliższym czasie dostarczysz mi wielu silniejszych i lojalniejszych niż dotąd uczniów... w przyszłości adeptów i mistrzów Sithów.

– Dostarczyć ci? – kąśliwie odparł Kopecz. – Chciałeś chyba powiedzieć: nam? Czyż wszyscy nie jesteśmy członkami Braterstwa Ciemności?

Odpowiedzią na jego pytanie był śmiech.

– Oczywiście, Kopecz. Zwykle przejęzyczenie.

– Kopecz nie chce brać udziału w świętowaniu naszego triumfu – zauważył Qordis. – Zachowywał się tak przez cały wieczór.

Kaan położył dłoń na potężnym ramieniu Twi’leka.

– To wielkie zwycięstwo – przypomniał. – Korriban jest nie tylko kolejnym światem: to symbol. Miejsce narodzin Sithów. Zwycięstwo to znak dla Republiki i dla Jedi. Teraz naprawdę poznają Bractwo i poczują lęk.

Kopecz wysunął ramię z uchwytu Kaana i odwrócił się, a długie lekku owinięte wokół jego szyi lekko zadrżały.

– Świątujcie, jeśli chcecie – rzucił przez ramię, oddalając się. – Ale prawdziwa wojna dopiero się zaczęła.

**CZĘŚĆ I**

**Trzy lata później**

# ROZDZIAŁ 1

Dessel był pogrążony w swej męczącej pracy, zaledwie świadom otaczającego go świata. Ramiona bolały go od nieskończonych drgań młota hydraulicznego. Małe kawałki skały odpryskiwały od ściany jaskini, w której wiercił, odbijając się od okularów ochronnych i kłując odsłoniętą twarz i dłonie. Chmury drobnego pyłu wypełniały powietrze, zasłaniając mu widok; zgrzytliwe wycie młota wypełniało jaskinię, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Mordercza głowica centymetr za centymetrem wgryzała się w grubą żyłę cortosis przecinającą skałę.

Cortosis, nieprzenikalna dla ciepła i energii, była cenionym materiałem do budowania pancerzy i osłon zarówno w przemyśle, jak i wojskowości, zwłaszcza w czasie wojny galaktycznej. Niezwykle odporne na strzały z blastera stopy cortosis podobno były w stanie wytrzymać nawet cios ostrza miecza świetlnego. Niestety, te same cechy, które czyniły ją tak cenną, sprawiały, że była ogromnie trudna do wydobycia. Palniki plazmowe były praktycznie bezużyteczne: potrzebowały dni, aby upalić choć kawałek przerastanej cortosis skały. Jedynym skutecznym sposobem pozyskiwania jej było użycie brutalnej siły młotów hydraulicznych, walących bezlitośnie w żyłę i uwalniających cortosis kawałek po kawałku.

Cortosis była jednym z najtwardszych materiałów w galaktyce. Siła udaru szybko więc zużywała głowicę młota, tępiąc ją, aż stawała się bezużyteczna. Pył zatykał tłoki hydrauliczne, które się szybko blokowały. Wydobywanie cortosis było mordercze dla sprzętu... a jeszcze bardziej dla ludzi.

Des wbijał się w ścianę już od sześciu standardowych godzin. Młot ważył ponad trzydzieści kilo, a napięcie, jakiego wymagało utrzymanie go w pozycji pionowej i dociskanie do płaszczyzny skały, zaczynało zbierać swój plon. Płuca domagały się powietrza, dławiły się delikatnym pyłem mineralnym wyrzucanym spod głowicy młota. Nawet zęby go bolały od wibracji, jakby ktoś je wytrząsał z dziąseł.

Górnicy na Apatros mieli jednak płacone od ilości cortosis, jaką uda im się wydobyć. Jeśli teraz zrezygnuje, wejdzie na jego miejsce ktoś inny i zacznie eksploatować tę żyłę, biorąc udział w zyskach. A Des nie lubił się dzielić.

Wycie silnika młota przybrało inny, nieco wyższy ton i przeszło w wizg, który Des znał aż za dobrze. Przy dwudziestu tysiącach obrotów na minutę silnik ssał pył, niczym spragniony banth żłopie wodę po długiej podróży przez pustynię. Jedynym sposobem na to zjawisko było

nieustanne czyszczenie i serwisowanie, ale Kompania Górnicza Zewnętrznych Rubieży wolała kupować tani sprzęt i często go wymieniać, zamiast topić kredyty w serwisie. Des doskonale wiedział, co za chwilę nastąpi – i rzeczywiście. W sekundę później silnik eksplodował.

Hydraulika zaklinowała się z potwornym zgrzytem, z korpusu młota buchnął czarny dym. Przeklinając KGZR i jej politykę korporacyjną, Des wypuścił młot ze zdętwiałych palców i rzucił zniszczone urządzenie na ziemię.

– Przesuń się, mały – usłyszał głos.

To Gerd, jeden z górników, podszedł i próbował ramieniem zepchnąć Desa z drogi, aby wejść z własnym młotem. Gerd pracował w kopalniach od ponad dwudziestu lat standardowych, co zmieniło jego ciało w masę twardych, gruzłowatych mięśni. Ale Des również zaczął pracować w kopalni dawno, dziesięć lat temu kiedy jeszcze był nastolatkiem. Miał równie potężne mięśnie jak tamten – i był odrobinę wyższy. Ani drgnął.

– Jeszcze tu nie skończyłem – rzekł. – Padł mi młot i to wszystko. Daj mi swój, to jeszcze trochę pociągnę.

– Znasz zasady, mały. Przystajesz pracować, to może wejść kto inny. Teoretycznie Gerd miał rację. Ale nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby ktokolwiek próbował kwestionować prawa drugiego górnika przy awarii sprzętu. Chyba że miał ochotę na mordobicie.

Des rozejrzał się szybko. Komora była pusta, jeśli nie liczyć ich dwóch. Stali o jakieś pół metra od siebie. Nic dziwnego – Des zwykle wybierał komory z dala od głównej sieci tuneli. Obecność Gerda nie mogła być zatem przypadkowa.

Des znał Gerda od zawsze. Ten mężczyzna w średnim wieku był przyjacielem Hursta, ojca Desa. Kiedy Des w wieku trzynastu lat zaczął pracować w kopalni, doświadczył na własnej skórze wielu nieprzyjemnych docinków ze strony starszych górników. Ojciec był najgorszy z nich, ale to Gerd zawsze był pierwszy do rozróby, obdarzając go ponad miarę obelgami, złośliwościami i od czasu do czasu fangą w ucho.

Ich złośliwości skończyły się jednak wkrótce potem, jak ojciec Desa zmarł na rozległy zawał serca. Nie dlatego zresztą, żeby górnicy współczuli osieroconemu chłopcu. Kiedy Hurst zmarł, chudy, wysoki nastolatek, któremu uwielbiali dokuczać, w krótkim czasie zmienił się w górę mięśni o ciężkich rękach i gorącym temperamencie. Górnictwo było mozolną pracą, niewiele różniącą się od ciężkich robót w kolonii więziennej Republiki. Każdy, kto pracował w kopalniach Apatrosu, stawał się atletą – a Des przypadkiem okazał się najpotężniejszym z nich wszystkich. Pół tuzina podbitych oczu, niezliczone rozkwaszone nosy i jedna złamana szczęka w ciągu miesiąca wystarczyły, aby starzy kumple Horsta uznali, że lepiej będzie dać spokój Desowi. Lepiej dla nich.

– Nie widzę tu twoich kumpli, staruszku – rzekł Des. – Zostaw w spokoju moją działkę, a nikomu nic się nie stanie.

Gerd splunął na ziemię u stóp Desa.



– Nie wiesz pewnie nawet, jaki dzisiaj dzień, co, chłopcze? Jesteś pieprzoną zakałą, ot co! Stali tak blisko siebie, że Des czuł kwaśny odór koreliańskiej whisky w oddechu Gerda. Facet był podпиты. Wystarczająco podпиты, żeby szukać zwady, ale wciąż dość trzeźwy, żeby się trzymać prosto.

– Dzisiaj minęło pięć lat – rzekł Gerd, smutno kręcąc głową. – Pięć lat temu, co do dnia, umarł twój ojciec, a ty nawet o tym nie pamiętasz?

Des rzadko myślał o swoim ojcu. Nie żałował, że odszedł. Najwcześniejsze wspomnienia wiązały się z ojcowskim laniem.

Nawet nie pamiętał, z jakiego powodu, zresztą Hurst rzadko go potrzebował.

– Nie mogę powiedzieć, abym tęsknił za Hurstem tak jak ty, Gerd.

– Hurst? – warknął Gerd. – Wychował cię sam po śmierci mamy, a ty nawet nie masz w sobie dość szacunku, by nazwać go ojcem? Ty niewdzięczny psi synu z Kath!

Des spojrzał groźnie na Gerda, ale niższy mężczyzna był zbyt pijany i rozeźlony, żeby dać się poskromić.

– Powinienem się tego spodziewać po takim wypierdku bantha jak ty – ciągnął Gerd. – Zawsze mówił, że z ciebie nic dobrego. Wiedział, że coś z tobą nie tak... Bane.

Des zmrużył oczy, ale nie dał się sprowokować. Hurst nazywał go tak, kiedy był pijany. Bane. Zguba. Winił syna za śmierć żony i za to, że ugrzązł na Apatrosie. Uważał, że własne dziecko doprowadziło go do zguby i często wypominał to Desowi w napadach pijackiej wściekłości.

Bane. Synonim całej podłości, małostkowości i złośliwości, które tkwiły w jego ojcu. Hurst uderzał w najgłębsze lęki każdego dziecka: obawę przed rozczarowaniem, przed opuszczeniem, przed przemocą. Mały Des cierpiał z powodu tego przezwiska bardziej niż od ciosów ciężkich ojcowskich pięści. Teraz jednak nie był już dzieckiem. Z czasem nauczył się ignorować to przezwisko, które wraz z całym potokiem żółci wylewało się z ust jego ojca.

– Nie mam na to czasu – wymamrotał. – Mam robotę.

Jedną ręką wyrwał Gerdowi młot hydrauliczny. Drugą dłoń położył na ramieniu górnika i odepchnął go. Zamroczony alkoholem mężczyzna zachwiał się, cofnął, potknął i upadł na ziemię.

Zerwał się, warknął i zwinął dłonie w pięści.

– Zdaje się, że twój stary odszedł za wcześnie, smarkaczu. Ktoś powinien ci wbić do głowy trochę rozumu!

Des zdał sobie sprawę, że Gerd jest pijany, ale nie głupi. Sam był młodszy, większy, silniejszy... ale spędził ostatnich sześć godzin z młotem hydraulicznym w ręku. Pokryty był kurzem, z twarzy pot ściekał mu strumieniami. Koszulę również miał mokrą. Ubranie Gerda wydawało się dziwnie czyste – żadnego kurzu, żadnych plam z potu. Musiał planować to od rana, odpoczywając i zbierając siły, aż Des się zmęczy.

Des jednak nie miał zwyczaju cofać się przed walką. Rzucił młot Gerda na ziemię, przykucnął na szeroko rozstawionych nogach i zasłonił pięściami twarz.

Gerd skoczył naprzód, prawą ręką wyprowadzając złośliwy cios. Des dłonią zamortyzował siłę uderzenia. Jego prawa pięść wystrzeliła i chwyciła od dołu nadgarstek Gerda. Pociągnął starszego mężczyznę w przód, pochylił się i obrócił, podstawiając ramię pod jego pierś. Wykorzystując własny rozpęd Gerda, wyprostował się, poderwał rękę przeciwnika i przerzucił go przez siebie, aż tamten ciężko łupnął o ziemię.

Walka powinna była wtedy się skończyć. Des miał ułamek sekundy, aby wbić kolano w brzuch Gerda, wyciskając mu powietrze z płuc, i przyszpilić go do ziemi, okładając pięściami. Ale tak się nie stało. Jego plecy, zmęczone godzinami trzymania trzydziesto-kilogramowego młota, się poddały.

Ból był przeszywający. Des wyprostował się instynktownie, chwytając się za ściągnięte skurczem mięśnie. To dało Gerdowi czas, żeby się odtoczyć i zerwać na nogi.

Des jakimś cudem zdołał znów przyjąć postawę bojową, chociaż jego plecy sprzeciwiły się temu ostro. Skrzywił się, gdy rozżarzone sztylety bólu przeszły jego ciało. Gerd zauważył to i się zaśmiał.

– Pokręciło cię, co? Powinieneś być mądrzejszy i nie rzucać się do bójki po sześciu godzinach zmiany w kopalni.

Gerd znów dał nura do przodu. Tym razem nie zaciskał pięści, lecz usiłował chwycić jakieś narzędzie, by zredukować różnicę wzrostu i zasięg ramion młodszego robotnika. Des usiłował zejść mu z drogi, lecz nogi miał zbyt obolałe i sztywne, aby mogły unieść go odpowiednio szybko. Jedna ręka przeciwnika złapała go za koszulę, druga za pas i Gerd szarpnął go w dół.

Zwarli się w zapaśniczym uścisku na twardym, nierównym kamiennym podłożu jaskini. Gerd ukrył twarz na piersi Dessela, by chronić ją przed ciosami; uniemożliwiło to Desowi wyprowadzenie skutecznego ciosu łokciem lub głową. Gerd wciąż trzymał go za pas, ale drugą ręką uwolnił i tłukł nią teraz, gdzie popadło, na oślep, tam gdzie – jak się domyślał – powinna znajdować się twarz chłopaka. Des musiał opleść go ramionami i unieruchomić; teraz żaden z nich nie mógł już się ruszyć.

Przy zablokowanych rękach i nogach strategia i technika przestały się liczyć. Walka stała się próbą siły i wytrzymałości, przeciwnicy usiłowali już tylko wzajemnie się zmęczyć. Dessel chciał przetoczyć Gerda na plecy, ale zmęczone ciało zdradziło go. Ręce miał ciężkie i sztywne, nie mógł założyć potrzebnej dźwigni. Za to Gerd wykręcił się i obrócił, uwalniając jedną z rąk. Ani na chwilę nie odsłonił twarzy.

Des nie miał tyle szczęścia – jego odkryta twarz była narażona na ciosy. Gerd uderzył go wolną ręką i zaraz wbił kciuk w policzek Desa, tylko o kilka centymetrów od właściwego celu. Znów uderzył kciukiem; zamierzał wyłuskać Desowi oko i pozostawić przeciwnika oślepionego i zwijającego się z bólu.

Des potrzebował całej sekundy, żeby się zorientować, co się dzieje. Znużony umysł stał się równie powolny i niezdarny jak ciało. Odwrócił twarz, kiedy spadł drugi cios, trafiając go w ucho.

Rozgorzała w nim mroczna wściekłość, eksplozja ognistej pasji, w której spłonęło zmęczenie i otepienie. Nagle jego umysł zaczął działać, a ciało wypełniło się siłą i odmłodziło. Wiedział, co zrobi za chwilę. A co najważniejsze, wiedział też, co zrobi za chwilę Gerd.

Nie miał pojęcia, jak to możliwe, ale czasem po prostu potrafił przewidzieć kolejny ruch przeciwnika. Ktoś mógłby powiedzieć, że to instynkt; Des wiedział, że coś więcej. To było zbyt dokładne i ukierunkowane jak na zwykły instynkt. Coś w rodzaju wizji, jak krótkie spojrzenie w przyszłość. Za każdym razem, kiedy to się zdarzało, Des wiedział, co robić. Jakby coś go prowadziło i kierowało jego czynami.

Kiedy nadszedł następny cios, Des był gotów. Widział go w głowie. Wiedział dokładnie, skąd nadchodzi i gdzie trafi. Tym razem odwrócił głowę w przeciwną stronę, odsłaniając twarz na nadchodzący cios – i otwierając usta. Ugryzł mocno i w odpowiednim momencie; jego zęby zatopiły się głęboko w brudnym kciuku Gerda.

Gerd wrzasnął, gdy przeciwnik zacisnął szczęki, przecinając ścięgna i docierając aż do kości. Des zastanawiał się, czy potrafi odgryźć palec do końca i – jakby samą myślą zdołał do tego doprowadzić – poczuł, że kciuk oddziela się od ciała.

Krzyki zmieniły się w wycie. Gerd rozluźnił uchwyt i odtoczył się na bok, przyciskając ręką okaleczoną dłoń. Szkarłatna struga krwi przeciekała między palcami, które próbowały ochronić kikut.

Des wstał powoli i wypluł kciuk na ziemię. W ustach miał gorący smak krwi. Czuł się silny, pełen energii, jakby jakaś niezwykła moc płynęła w jego żyłach. Jego przeciwnik stracił całą wolę walki – Des mógł zrobić z nim teraz wszystko, co chciał.

Starszy mężczyzna przetaczał się po podłodze z dłonią przyciśniętą do piersi. Jęczał i szlochał, błagając o litość i pomoc.

Des pokręcił głową z odrazą. Gerd sam był sobie winien. Wszystko zaczęło się jako zwykła walka na pięści. Przegrany mógł skończyć z kilkoma siniakami i podbitym okiem, i na tym koniec. To Gerd próbował przenieść walkę na inny poziom, usiłując go oślepić, a Des odplacił mu tylko pięknym za nadobne. Już dawno nauczył się, aby nie eskalować walki, jeśli nie chce zapłacić całej ceny za przegraną. Teraz Gerd też się tego nauczył.

Des był porywczy, ale nie miał w zwyczaju bić bezbronnego przeciwnika. Nie oglądając się na pokonanego, opuścił jaskinię i ruszył dalej tunelem, aby powiedzieć jednemu z majstrów, co się stało. Ktoś musi się zająć raną Gerda.

Nie obawiał się konsekwencji. Medycy przyszyją Gerdowi kciuk, więc najgorsze, co może go spotkać, to utrata zapłaty za dzień lub dwa. Korporacja nie dbała, co robią jej pracownicy, dopóki wracają aby dalej wydobywać cortosis. Walki pomiędzy górnikami były

dość częste i KGZR zwykle udawała, że o niczym nie wie – choć akurat ta walka była brutalniejsza od innych: krótka, zacięta i z krwawym zakończeniem.

Jak życie na Apatros.

## ROZDZIAŁ 2

Des siedział na końcu transportera przewożącego górników pomiędzy jedyną kolonią Apatrosu a kopalnią. Czuł się wykończony. Chciał już tylko wrócić do baraku i spać. Adrenalina go opuściła, pozostawiając podwyższoną świadomość sztywności i bólu w całym ciele. Opadł na siedzenie i tępo rozglądał się po wnętrzu transportera.

Normalnie jechałoby nim jeszcze ze dwudziestu górników, ale tym razem ścigacz był pusty z wyjątkiem jego i pilota. Po walce z Gerdem mistrz zawiesił Desa w obowiązkach ze skutkiem natychmiastowym – i bez zapłaty – i rozkazał, aby transporter zawiózł go z powrotem do kolonii.

– To się zaczyna robić mało zabawne, Des – rzekł, marszcząc brwi. – Musimy cię przykładowo ukarać. Nie będziesz mógł pracować w kopalni, dopóki Gerd nie wyzdrowieje i nie wróci do pracy.

A to oznaczało tyle, co „nie zarobisz ani jednego kredytu, dopóki Gerd nie wróci”. A przecież wciąż musi płacić za mieszkanie i wyżywienie. Codziennie będzie siedział w baraku, nic nie robiąc, a opłaty będą mu powiększały dług, który tak desperacko próbował spłacić.

Des liczył, że Gerd będzie potrzebował czterech do pięciu dni, aby znów wziąć do ręki młot hydrauliczny. Miejscowy medyk przyszył mu palec za pomocą wibroskalpela i syntciała. Kilka dni zastrzyków z kolto i jakieś tanie środki przeciwbólowe – i Gerd wróci do zajęć. Terapia bactą uzdrowiłaby go w jeden dzień, ale bacta była droga, a KGZR ani się śniło za nią płacić, chyba że Gerd miał ubezpieczenie górnicze... a Des szczerze w to wątpił.

Większość górników nie zawracała sobie głowy sponsorowanym przez Kompanię programem ubezpieczeniowym. Przede wszystkim był kosztowny. Jeśli policzyć zakwaterowanie, wyżywienie i opłaty pokrywające transport do i z kopalni, większość uważała, że oddaje KGZR dość ze swojej ciężko zapracowanej wypłaty, aby nie dokładać do tego składki ubezpieczeniowej.

Nie chodziło jednak tylko o koszty. Mężczyźni i kobiety wydobywające cortosis próbowali w ten sposób zaprzeczyć istnieniu potencjalnych zagrożeń, jakie napotykali codziennie. Ubezpieczając się, musieliby spojrzeć w oczy twardej, zimnej prawdzie.

Niewielu górników dożywało lepszych czasów. Tunele zbierały swoje żniwo, zagrzebując ludzi w zapadliskach podczas tąpnięć lub spopielając, kiedy w poszukiwaniu złoża natrafili na wypełnioną palnymi gazami niszę. Nawet ci, którym udało się opuścić kopalnię, niedługo już

żyli na emeryturze. Kopalnie zabijały powoli. Sześćdziesięciolatekowie wyglądali i czuli się tak, jakby minęli dziewięćdziesiątkę; ich ciała były jak wraki, zniszczone latami ciężkiej pracy i unoszącymi się w powietrzu zanieczyszczeniami, które przenikały przez substandardowe filtry KGZR.

Kiedy ojciec Desa zmarł – oczywiście, bez ubezpieczenia – jedynym przywilejem, jaki uzyskał Des, była możliwość przejęcia nagromadzonych długów ojca. Hurst więcej czasu spędzał na piciu i grze niż na pracy, więc by opłacić miesięczny czynsz i wyżywienie, często musiał pożyczać kredyty od KGZR. Oprocentowanie tych pożyczek byłoby złodziejstwem wszędzie, ale nie na Odległych Rubieżach. Dług narastał, miesiąc po miesiącu i rok po roku, ale Hursta to chyba nie obchodziło. Samotnie wychowujący syna, do którego miał żal, uwięziony przy ciężkiej pracy, której nienawidził, stracił nadzieję na opuszczenie Apatrosa na długo przedtem, zanim zabrał go zawał serca.

Ten hutylski wyrzutek prawdopodobnie cieszyłby się, wiedząc, że syn odziedziczył jego długi.

Transporter płynął nad nagimi skałami równin niewielkiej planety w kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć monotonnego pomruku silników. Ogromne ponure obszary śmigały obok, aż widok za oknem zmienił się w jednostajną kurtynę bezkształtnej szarości. Efekt był hipnotyczny. Des czuł, jak jego znużone ciało i umysł obsuwają się w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Tak właśnie podporządkowywali cię sobie. Kazać się zaharować na śmierć, stłumić zmysły, otępić do granic poddaństwa... aż zaakceptujesz swój los i zmarnujesz całe życie w pyle i brudzie kopalni cortosis. Wszystko to w nieubłaganej służbie Kompanii Górniczej Zewnętrznych Rubieży. Była to wyjątkowo skuteczna pułapka: doskonale działała na ludzi takich jak Gerd i Hurst. Ale nie nadawała się dla Desa.

Nawet z przytłaczającym długiem ojca Des miał świadomość, że pewnego dnia spłaci KGZR i pozostawi to życie za sobą. Był przeznaczony do czegoś większego niż ta nędzna, nic nieznacząca egzystencja. Wiedział to z absolutną pewnością i ta pewność pozwalała mu przetrwać bezlitosny, nieraz beznadziejny kierat. Dawała mu siłę, żeby przetrwać, walczyć, nawet jeśli w duchu chciałby się poddać.

Został zawieszony, nie mógł więc pracować w kopalni, ale były inne sposoby, aby zarobić kredyty. Z wielkim wysiłkiem zmusił się do wstania. Podłoga kołysała się lekko pod jego stopami, kiedy ścigacz dostosowywał do nierówności terenu swoją zaprogramowaną wysokość jazdy pół metra nad powierzchnią. Potrzebował kilku sekund, aby wejść w rytm falowania transportera, po czym, zataczając się, doznał pomiędzy siedzeniami do stanowiska pilota. Nie rozpoznał go, ale oni wszyscy wyglądali identycznie – ponure, nieprzyjemne twarze, tepe oczy i miny, jakby cierpieli na niestrawność.

– Hej – rzucił Des, siląc się na nonszalancki ton. – Przyleciały dzisiaj jakieś statki do portu?

Pilot nie miał żadnych powodów, żeby koncentrować się na drodze przed sobą. Czterdziestominutowa trasa pomiędzy kopalnią a kwaterami prowadziła prościutko przez puste równiny, niektórzy piloci czasem nawet ucinali sobie drzemkę po drodze. Ten jednak nie spojrzął na Desa, choć raczył odpowiedzieć.

– Kilka godzin temu wylądował jakiś statek towarowy – rzekł znudzonym tonem. – Wojskowy. Republikański.

Des się uśmiechnął.

– Zostaną chyba przez jakiś czas?

Pilot nie odpowiedział, tylko prychnął i pokręcił głową, słysząc tak głupie pytanie. Des zawrócił chwiejnym krokiem do swojego miejsca z tyłu transportera. On też znał odpowiedź.

Cortosis stosowana była we wszystkich pancierzach, od myśliwców po statki flagowe, wzmacniano nią również broje szturmowców. W miarę jak przedłużała się wojna z Sithami, zapotrzebowanie Republiki na cortosis wzrastało nieustannie. Co kilka tygodni na Apatrosie lądował republikański statek towarowy, nazajutrz zaś wylatywał z ładowniami wypełnionymi cennym minerałem. Do tego czasu jednak załoga – zarówno oficerowie, jak i żołnierze – mogli jedynie siedzieć i czekać. Z doświadczenia Des wiedział, że za każdym razem, kiedy żołnierze Republiki mieli wolną chwilę, grali w karty. A kiedy ludzie grają w karty, zawsze można trochę zarobić.

Ostrożnie usiadł z powrotem na swoim fotelu i doszedł do wniosku, że chyba jednak jeszcze nie jest gotów, aby się położyć.

Zanim transporter zatrzymał się na skraju kolonii, czuł w całym ciele dreszcz oczekiwania. Wyskoczył z pojazdu i spokojnym, rozluźnionym krokiem ruszył w kierunku kwater, walcząc ze zniecierpliwieniem i chęcią, by puścić się biegiem. Już sobie wyobrażał naładowanych kredytami żołnierzy Republiki, siedzących wokół stolików do gry w jedynej kantine kolonii.

Nie miał jednak najmniejszego powodu, aby się spieszyć. Było późne popołudnie, słońce zaczęło dopiero zniżać się za horyzont na północy. Większość górników z nocnej zmiany na pewno już nie śpi. Niektórzy powędrują do kantyny, żeby zabić czas do chwili, kiedy wyruszą do kopalni. Przez najbliższe dwie godziny Des będzie miał mnóstwo szczęścia, jeśli znajdzie w kantine miejsce siedzące, nie mówiąc o stolikach do pazaaka czy sabaka. Potem minie kilka kolejnych godzin, zanim pracownicy dziennej zmiany wsiądą do oczekujących transporterów, by wrócić do domów. Dotrze do kantyny na długo przed nimi.

W baraku zerwał z siebie okryte brudem ubranie robocze i wszedł do opustoszałego wspólnego prysznicza, aby zmyć z ciała pot i drobny pył skalny. Włożył czyste ubranie i wyszedł na ulicę, powoli kierując się do knajpy po drugiej stronie miasta.

Knajpa nie miała nazwy, nie potrzebowała jej. Nikt nigdy nie miał problemów, aby ją znaleźć. Apatros był małym światkiem, ot, po prostu księżyc z atmosferą i skąpą rodzimą roślinnością. Niewiele było miejsc, gdzie można by się udać – kopalnie, kolonia i nagie

równiny pomiędzy nimi. Kopalnie stanowiły potężny kompleks obejmujący jaskinie i tunele wykopane przez KGZR, jak również linie wzbogacania i przetwarzania urobku.

Był tam również port kosmiczny. Frachtowce codziennie opuszczały go z ładunkiem cortosis, kierując się ku innym, bogatszym światom, znajdującym się bliżej Coruscant i Jądra Galaktyki. Co drugi dzień lądowały zaś inne, przywożące do kopalni sprzęt i zapasy potrzebne do eksploatacji. Górnicy, którzy nie mieli dość sił, aby dalej wydobywać cortosis, pracowali w rafineriach lub porcie. Płaca była znacznie gorsza, ale za to żyli dłużej.

Nieważne jednak, gdzie pracowali, wszyscy na koniec zmiany wracali do swoich domów. Kolonia była niczym innym, jak tylko nędznym zbiorowiskiem tymczasowych baraków ustawionych tam przez KGZR dla tych kilkuset robotników, którzy utrzymywali kopalnię w ruchu. Tak jak i sam świat, kolonia znana była oficjalnie jako Apatros. Ci, którzy tam mieszkali, częściej jednak nazywali ją „glinianą wiochą”. Wszystkie domy miały ten sam kolor szarej, matowej durastali, a ściany zewnętrzne zniszczone i przeżarte przez warunki atmosferyczne. Wnętrza budynków były praktycznie takie same, jak zwykle w tymczasowych barakach robotników, które stały się ich miejscem zamieszkania. Każdy barak zawierał cztery oddzielne pokoje przewidziane dla dwóch osób, choć czasem mieszkało ich tam trzy lub cztery. Niekiedy w jednej izbie gnieździły się całe rodziny, jeśli nie stać ich było na bezczelnie wyśrubowane czynsze. W każdym pokoju znajdowały się wbudowane w ścianę prycze i drzwi wychodzące na wąski korytarz. W końcu korytarza ulokowano wspólną łazienkę i prysznic. Drzwi skrzypiały na źle dopasowanych zawiasach, których nikt nigdy nie oliwił, dachy były mozaiką łat, nakładanych jedna na drugą, kiedy pojawiały się przecieki, co zdarzało się zawsze, kiedy padało. Wybite okna zaklejano taśmą izolacyjną, aby nie przepuszczały wiatru i zimna, ale nigdy ich nie wymieniano. Na wszystkim zbierała się cienka warstewka kurzu, ale mało który z rezydentów zawracał sobie głowę zamiataniem.

Cała kolonia miała kształt kwadratu o boku liczącym mniej niż kilometr, dzięki czemu można było z i do każdego budynku dostać się w czasie krótszym niż dwadzieścia minut standardowych. Pomimo bezlitosnej monotonii architektury poruszanie się po kolonii było proste. Baraki ustawione były w równych szeregach, tworząc sieć wygodnych uliczek. Ulice trudno byłoby nazwać czystymi, choć nie były specjalnie zaśmiecone. KGZR usuwała śmieci i odpadki wystarczająco często, aby zachować podstawowe warunki sanitarne, ponieważ wszelkie epidemie mogłyby źle wpłynąć na produkcję kopalni. Kompanii jednak zdawały się kompletnie nie przeszkadzać stopy złomu, które nieuchronnie gromadziły się w miasteczku. Wąskie uliczki między barakami zavalone były zepsutymi generatorami, przerdzewiałymi maszynami, skorodowanymi kawałkami metalu i zużytymi, zbędnymi narzędziami.

Tylko dwie budowle odróżniały się wyraźnie od całej reszty. Jedną był market KGZR, jedyny sklep w całej kolonii. Kiedyś to także był barak, ale prycze zastąpiono półkami, a wspólny prysznic przerobiono na bezpieczny magazyn. Na zewnętrznej ścianie wisiał niewielki, czarno-biały szyld podający godziny pracy. Nie było wystaw, które mogłyby skusić



klientów, nie było też reklam. Market sprzedawał jedynie najniezbędniejsze towary, i to z kosmiczną marżą. Kredytów na poczet przyszłej wypłaty udzielano chętnie, na lichwiarski procent typowy dla KGZR, gwarantujący, że klienci spędzą kolejne godziny w kopalni, żeby odpracować zakupy.

Drugim wyróżniającym się budynkiem była kantyna, w porównaniu z przeraźliwie jednostajną resztą kolonii stanowiąca swoiste dzieło sztuki i triumf poczucia estetyki. Kantynę zbudowano kilkaset metrów za obrzeżami miasta, w odpowiedniej odległości od szarej siatki baraków. Miała tylko trzy piętra, ale ponieważ wszystkie inne domy kończyły się na parterze, dominowała nad całym krajobrazem. Nie musiała być zresztą aż taka wysoka. Wewnątrz wszystko znajdowało się na parterze, a górne piętra stanowiły jedynie fasadę, zbudowaną na pokaz przez Groshika, neimoidiańskiego właściciela i barmana. Nad sklepieniem parteru pierwsze i drugie piętro nie istniały – były to tylko ściany i kopuła wykonana z fioletowego szkła, oświetlona od środka. Podobne fioletowe światła rozjaśniały bladoniebieskie ściany zewnętrzne. Na każdym innym świecie efekt wydawałby się ostentacyjny i tandetny, ale pośród szarości Apatrosa wyglądało to jeszcze gorzej. Groshik często twierdził, że kiczowaty wystrój knajpy ma klucz w oczy wielkich bossów KGZR. Te słowa zapewniły mu sporą popularność wśród górników, ale Des wątpił, czy Kompania w ogóle zauważyła tę obelgę. Groshik mógł pomalować swoją knajpę w dowolne wzorki, jeśli tylko przelewał do korporacji regularnie co tydzień właściwy procent swoich zysków.

Doba Apatrosa trwała dwadzieścia godzin standardowych i podzielona była na dwie zmiany górników. Des i reszta porannej zmiany pracowali od ósmej do osiemnastej, ich partnerzy od osiemnastej do ósmej. Groshik, starając się zmaksymalizować zyski, otwierał codziennie o trzynastej i nie zamykał przez dziesięć godzin. Pozwalało mu to obsługiwać robotników z nocnej zmiany, zanim zaczęli pracę, i jeszcze załapać się na dzienną zmianę po jej zakończeniu. Zamykał o trzeciej na dwie godziny sprzątaniam, sześć godzin snu, po czym wstawał o jedenastej i wszystko zaczynało się od nowa. Wszyscy górnicy znali ten rozkład. Neimoidianin wstawał i zasypiał równie regularnie, jak bladopomarańczowe słońce Apatrosa.

Zanim Des przebył odległość od ogrodzenia kolonii do przyjaznych drzwi knajpy, usłyszał dochodzące z wnętrza głosy – muzykę, głośny śmiech, rozmowy, brzęk szkła. Była już prawie szesnasta. Dzienna zmiana miała jeszcze prawie dwie godziny do końca, ale kantyna wciąż jeszcze pełna była robotników z nocnej zmiany, którzy wpadli na drinka lub jakąś przekąskę, zanim wsiądą do wahadłowców, które zawiozą ich do kopalni.

Des nie rozpoznawał żadnych twarzy: dzienna i nocna zmiana rzadko się spotykały. Klienci byli głównie rasy ludzkiej, obrazu dopełniało kilku Twi'leków, Sullustan i Cerean. Des z zaskoczeniem zauważył też jednego Rodianina. Widocznie nocna zmiana była bardziej tolerancyjna wobec innych gatunków niż dzienna. Nie było kelnerek, obsługi ani tancerek. Jedynym pracownikiem kantyny był sam Groshik. Każdy, kto chciał drinka, musiał się osobiście pofatygować do wielkiego baru przy ścianie w głębi i sobie go zamówić.

Des przepchnął się przez tłum. Groshik zauważył go i natychmiast zniknął za barem, wracając z kuflem gizerskiego, zanim jeszcze Des dotarł do lady.

– Wcześniej jesteś dzisiaj – zauważył Groshik, energicznie stawiając przed nim napój. Jego niski, chropowaty głos z trudem przebijał się przez hałas w pomieszczeniu. Zawsze mówił gardłowo, jakby wydobywał dźwięki z najgłębszych otchłani krtani.

Neimoidianin lubił Desa, choć ten nie do końca wiedział, dlaczego. Może dlatego, że obserwował, jak z dzieciaka wyrasta na mężczyznę, może po prostu było mu żal, że chłopak trafił na takiego ojca. Niezależnie od przyczyny, łączyła ich niepisana umowa: Des nie musiał płacić za drinka, który został mu nalany bez zamówienia. Teraz z wdzięcznością przyjął poczęstunek i wychylił piwo jednym długim haustem, po czym z hałasem postawił na stole pusty kufel.

– Miałem kłopoty z Gerdem – rzekł, ocierając usta. – Odgryzłem mu kciuk, więc wysłali mnie wcześniej do domu.

Groshik przekrzywił głowę i wbił w Desa wypukłe czerwone oczy. Jego kwaśna mina nie uległa zmianie, ale ciało zadrgało lekko i Des, który znał go dość dobrze, zdał sobie sprawę, że Neimoidianin się śmieje.

– Chyba uczciwa wymiana – wyskrzecztał, napełniając ponownie kufel.

Des nie wypił drugiego piwa tak szybko jak pierwsze. Groshik rzadko dawał mu więcej niż jedno na koszt firmy, nie chciał zatem nadużywać gościnności barmana.

Zwrócił uwagę na tłum w sali. Goście z Republiki byli łatwi do odróżnienia. Czworo ludzi – dwóch mężczyzn, dwie kobiety – i Ithorianin w eleganckich mundurach pilotów. Wyróżniali się zresztą nie tylko strojem. Wszyscy byli wysocy i wyprostowani, podczas gdy większość górników pochylała się do przodu, jakby nosili na plecach wielki ciężar.

Po jednej stronie głównej sali stało kilka stolików oddzielonych sznurami od reszty. Była to jedyna część kantyny, z którą Groshik nie miał nic wspólnego. Kompania zezwalała na hazard na Apatrosie, ale pod warunkiem że sama będzie zarządzać stolikami. Oficjalnie chodziło o to, aby nikt nie próbował oszukiwać, ale wszyscy wiedzieli, że jedynym powodem, dla którego KGZR miała na oku graczy, była kontrola nad zakładami. Nie chciała, aby jej pracownicy wygrywali wielkie kwoty, co pozwoliłoby im spłacić swoje długi po jednej szczęśliwej nocy. Utrzymując maksymalny limit wygranej na niskim poziomie, Kompania powodowała, że wciąż korzystniej było pracować w kopalni niż grać.

W sekcji gier przebywało czterech kolejnych żołnierzy w mundurach floty Republiki oraz około tuzina górników. Twi'lekanka z insygniami niższego oficera w kłapie grała w pazaaka. Młody chorąży siedział przy stole do sabaka, zagadując głośno wszystkich wokół, choć chyba nikt go nie słuchał. Jeszcze dwoje oficerów – oboje rasy ludzkiej, kobieta i mężczyzna – siedziało przy stole do sabaka. Kobieta była porucznikiem, mężczyzna nosił insygnia komandora. Des przypuszczał, że ta para starszych oficerów dowodziła misją odbioru dostawy cortosis.

– Widzę, że zauważyłeś naszych łowców rekrutów – mruknął Groshik.

Wojna z Sithami – oficjalnie zwykła seria potyczek wojskowych, choć cała galaktyka doskonale wiedziała, że to prawdziwa wojna – wymagała na przednich liniach frontu nieprzerwanego strumienia młodych, pełnych zapału kadetów. I z jakiegoś powodu Republika zawsze się spodziewała, że obywatele Zewnętrznych Rubieży rzucą się na tę okazję jak na życiową szansę. Za każdym razem, kiedy załoga wojskowa przejeżdżała przez Apatrosa, oficerowie próbowali zwabić nowych rekrutów. Stawiali kolejkę drinków, potem wykorzystywali poczęstunek, aby nawiązać rozmowę, zwykle o chwalebnych i pełnych bohaterskich czynów życiu żołnierza. Czasem grali na uczuciach, opisując brutalność Sithów. Innym razem roztaczali wizję lepszego życia w armii Republiki – nieustannie udając przyjaźń i współczucie dla biednych tubylców i mając nadzieję, że ktoś wreszcie do nich dołączy.

Des podejrzewał, że dostawali jakąś premię za każdego nowego rekruta, którego udało im się namówić. Niestety, na Apatrosie nie znajdą wielu ochotników. Na Rubieżach Republika nie cieszyła się szczególną popularnością. Tutejsi ludzie, z Desem włącznie, wiedzieli, że Światy Jądra eksploatują małe, dalekie planety, takie jak Apatros, dla własnych korzyści. Tu, na obrzeżach cywilizowanej przestrzeni, Sithowie znajdowali wszędzie rzesze antyrepublikańskich ochotników – dlatego w miarę postępów wojny ich szeregi rosły.

Pomimo niechęci, jaką budziły w ludziach Światy Jądra, może i znaleźliby się tacy, którzy chętnie zaciągnęliby się do armii, gdyby Republika nie przestrzegała tak bardzo litery prawa. Każdego, kto miał nadzieję wyrwać się z Apatrosa i szponów korporacji górniczej, czekał brutalny szok: długi względem KGZR i tak należało spłacić, choćby się było rekrutem chroniącym galaktykę przed narastającym zagrożeniem ze strony Sithów. Jeśli ktoś był zadłużony wobec legalnie działającej korporacji, flota Republiki potraçała dług z żołdu aż do całkowitego spłacenia. Niewielu górników kusila perspektywa nadstawiania karku w wojnie, żeby doczekać się wyjścia na zero jako jedynego przywileju.

Niektórzy z górników żywili urazę do oficerów i ich nieustannych starań, by werbować młodych, naiwnych mężczyzn i kobiety do swojej sprawy. Des nie miał jednak nic przeciwko temu. Mógł słuchać ich nawijania przez całą noc, byle tylko grali w karty. Uważał, że to niewielka cena za dobranie się do ich kredytów.

Jego zapał musiał być widoczny, przynajmniej dla Groshika.

– Czyżbyś usłyszał, że przyleciał statek z Republiki, i dlatego pobiliś się z Gerdem, by wyjść wcześniej?

Des pokręcił głową.

– Eee, nie... to chyba tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Jakie podejście tym razem? Chwała dla Republiki?

– Usiłują nas ostrzec przed straszliwym Bractwem Ciemności – brzmiała starannie wyważona odpowiedź. – Nie idzie im najlepiej.

Właściciel kantyny zachowywał swoje prawdziwe opinie wyłącznie dla siebie, przynajmniej w kwestii polityki. Jego klienci mogli swobodnie rozmawiać na dowolny temat, ale niezależnie od tego, jak gorąca stawała się dyskusja, on nigdy nie brał niczyjej strony.

– To szkodzi interesom – wyjaśnił kiedyś. – Zgódź się z kimś, a zostanie twoim kumplem przez resztę nocy. Zdenerwuj kogoś i masz wroga na parę tygodni. – Neimoidianie znani byli z talentu do interesów, a Groshik nie był wyjątkiem.

Do baru przepchnął się jakiś górnik i zażądał drinka. Kiedy Groshik poszedł mu nalać, Des odwrócił się i zaczął przyglądać graczom. Przy stoliku do sabaka nie było ani jednego wolnego miejsca, więc na razie zmuszony był ograniczyć się do roli widza. Przez ponad godzinę obserwował rozgrywki i stawki nowych gości, zwłaszcza zaś starszych oficerów, którzy zwykle bywali lepszymi graczami niż zwykli żołnierze, być może dlatego, że mieli więcej kredytów do stracenia.

Gra na Apatrosie była z lekka zmodyfikowaną wersją Standardowych Zasad Bepinu. Podstawy były proste – karty w ręku musiały mieć wartość jak najbliższą dwudziestu trzem, nie przekraczając tej sumy. Przy każdej rundzie gracz mógł albo stawiać, żeby pozostać w grze, albo spasować. Każdy gracz, który postanawiał zostać, mógł ciągnąć nową kartę, odrzucić tę, którą miał, albo odłożyć na pole interferencji, żeby zablokować jej wartość. Na końcu każdej rundy gracz mógł odkryć swoje karty i zmusić innych graczy, by uczynili to samo. Najlepsze karty w grze wygrywały pulę. Wszystkie wyniki powyżej dwudziestu trzech lub poniżej ujemnych dwudziestu trzech stanowiły powód do zapłacenia kary. Jeśli jednak gracz miał w kartach dokładnie dwadzieścia trzy – czystego sabaka – wygrywał również pulę sabaka jako premię. Przy przypadkowych rozdaniach, które z rundy na rundę powodowały zmianę wartości kart, przy przedwczesnym wyrwaniu się któregoś z graczy uzyskanie czystego sabaka okazywało się znacznie trudniejsze, niż się z pozoru wydawało.

Sabak był czymś więcej niż grą czysto losową. Potrzebne były do niego strategia i styl, trzeba było wiedzieć, kiedy blefować, a kiedy się wycofać i jak się przystosować do wiecznie zmieniających się kart. Niektórzy gracze byli ostrożni – nigdy nie stawiali więcej niż minimalna wymagana kwota, nawet jeśli mieli dobre karty. Inni, zbyt agresywni, usiłowali terroryzować pozostałych graczy wygórowanymi stawkami, nawet jeśli nic nie mieli. Naturalne tendencje gracza szybko się ujawniały, jeśli ktoś wiedział, jak patrzeć.

Na przykład chorąży, niewątpliwie nowicjusz. Wchodził ze słabymi kartami, zamiast pasować. Za to był niezadowolony z kart nawet dość dobrych, żeby zebrać pulę rozdania. Zawsze chciał być doskonały, licząc na wygraną i zebranie puli sabaka, która ciągle rosła, dopóki jej ktoś nie zgarnął. Dzięki temu nieustannie łapano go na „bombach” i musiał płacić karę, co jednak nie przeszkadzało mu stawiać dalej. Był jednym z tych graczy, którzy mieli więcej kredytów niż rozumu, co Desowi znakomicie pasowało.

Aby zostać ekspertem w sabaku, musisz umieć kontrolować stół. Des nie potrzebował wielu rozdań, żeby się przekonać, że właśnie to robi komandor. Wiedział, jak obstawiać

wysoko i zmuszać innych graczy do pasowania nawet z dobrymi kartami. Zgadywał, kiedy należało stawiać nisko i skłaniać partnerów do wchodzenia z kartami, których nie powinni pokazywać. Nie martwił się własnymi kartami, bo wiedział, że sekretem sabaka jest wiedzieć, co mają inni gracze... a także pozwolić im sądzić, że oni wiedzą, jakie on ma karty. Dopiero przy odsłonięciu kart, kiedy komandor zbierał żetony, przeciwnicy zdawali sobie sprawę, jak bardzo się mylili.

Des musiał przyznać, że tamten był dobry. Lepszy niż większość graczy z Republiki, którzy tu bywali. Pomimo wyglądu poczciwca bezlitośnie zgarniał pulę za pulą. Ale Des miał dobre wyczucie... z góry wiedział, że nie może przegrać. Dzisiaj wygra... i to dużo. Jeden z górników przy stole jęknął boleśnie. – Jeszcze jedno rozdanie i miałbym w garści pulę sabaka! – rzekł, kręcąc głową. – Masz szczęście, że wyszedłeś teraz – zwrócił się do komandora.

Des wiedział, że to nie kwestia szczęścia. Górnik był tak podekscytowany, że wiercił się na krześle. Każdy, kto ma choć jedną szarą komórkę, zorientowałby się, jak dobre ma karty. Komandor zauważył to i wykonał ruch, kończąc rozdanie i rozwiewając nadzieje górnika.

– No to koniec – powiedział pechowiec, odsuwając krzesło i wstając od stołu. – Jestem splukany.

– Chyba teraz masz szansę – szepnął Groshik Desowi do ucha w przelocie, podając kolejnego drinka. – Powodzenia.

Dzisiaj niepotrzebne mi powodzenie, pomyślał Des. Ruszył przez kantinę i przekroczył sznur z nanojedwabiu, za którym znajdowało się miejsce do gier, kontrolowane przez KGZR.

## ROZDZIAŁ 3

Des podszedł do stolika sabaka i skinął głową automatowi Beta-4 CardShark, który rozdawał. KGZR wolała roboty niż organicznych krupierów – nie płaciło się im za pracę i nie było ryzyka, aby któryś z graczy przekupił go i skłonił do oszustwa.

– Wchodzę – oznajmił Des, zajmując puste miejsce.

Choraży siedział dokładnie naprzeciwko. Na widok Desa wydał z siebie długi, przeciągły gwizd.

– Niech mnie, ale duży chłopiec – zawołał drwiąco. – Ile masz wzrostu? Metr dziewięćdziesiąt? Dziewięćdziesiąt pięć?

– Równo dwa metry – odparł Des, nawet na niego nie patrząc. Przesunął kartę konta KGZR przez czytnik wbudowany w stół i wprowadził swój kod bezpieczeństwa. Opłata za wejście do gry została automatycznie dodana do długu, który miał już na koncie wobec Kompanii. CardShark posłusznie podsunął mu stos żetonów.

– Życzę szczęścia, panie – rzekł.

Choraży nadal gapił się na Desa, pociągając łyk po łyku ze swojego kufla. Nagle ryknął donośnym śmiechem.

– Nieźle tu wyrastacie, na tych Rubieżach. Masz pewność, że nie jesteś Wookie, którego ktoś ogolił dla żartu?

Kilku graczy roześmiało się, ale szybko zamilkli, widząc ruch szczęki Desa. Choraży cuchnął koreliańskim ale, tak samo jak Gerd, kiedy zaczepił Desa kilka godzin temu. Des zacisnął zęby i pochylił się do przodu na swoim krześle. Niższy żołnierz nerwowo złapał powietrze.

– Daj spokój, synu – rzekł komandor do Desa uspokajającym tonem, przejmując kontrolę z taką samą pewnością siebie, z jaką od początku gry kontrolował stół. Otaczała go aura spokojnego autorytetu, jak patriarchę, rozstrzygającego rodzinny spór przy kolacji. – To tylko żart. Nie odbierasz żartu?

Des odwrócił się ku jednemu graczowi przy stole, który był dość dobry, by stanowić dla niego realne wyzwanie, i rozluźnił spięte mięśnie.

– Jasne, potrafię odebrać żart. Ale wolę odebrać ci kredyty.

Po krótkiej chwili milczenia wszyscy jakby odetchnęli z ulgą. Oficer zachichotał i powiedział:

– Doskonale. Zagrajmy zatem.

Des zaczął grę powoli, zachowawczo, często pasując. Limity przy stole były niskie, wartość każdego rozdania mogła wynosić najwyżej sto kredytów. Biorąc pod uwagę pięciokredytowe wejście i dwa kredyty „opłaty administracyjnej”, jaką Kompania obciążała graczy za każdą rozpoczętą nową rundę, pułe z rozdania zaledwie pokrywały koszty siedzenia przy stoliku, nawet dobremu graczowi. Sztuką było wygrać dość rozdań, żeby móc wysiedzieć, dopóki nie pojawi się szansa na pulę sabaka, która rosła z każdym rozdaniem.

Kiedy zaczęli grę, jeden z żołnierzy usiłował nawiązać rozmowę.

– Widzę, że większość górników rasy ludzkiej goli głowy – zauważył, rozglądając się wśród tłumu. – Dlaczego?

– Nie golimy. Włosy nam po prostu wypadają – odparł Des. – To od przepracowania zbyt długiego czasu w kopalni.

– Od pracy w kopalni? Jak to? Nie rozumiem?

– Filtry nie usuwają z powietrza wszystkich zanieczyszczeń. Pracując na zmianie po dziesięć godzin dziennie, jesteśmy narażeni na nagromadzenie się tego wszystkiego w organizmie – wyjaśniał Des obojętnym tonem, pozbawionym goryczy. Dla niego i pozostałych górników był to po prostu fakt związany z ich życiem. – To ma efekty uboczne. Często chorujemy, tracimy włosy. Powinniśmy od czasu do czasu dostawać urlop, ale odkąd KGZR podpisała kontrakty wojskowe z Republiką, kopalnia pracuje na okrągło. Jesteśmy więc powoli truci, byle tylko wasze ładownie były pełne, kiedy będziecie wylatywać.

Te słowa wystarczyły, aby skutecznie zniechęcić wszystkich do rozmowy, kolejne rozdania toczyły się zatem we względny milczeniu. W pół godziny później Des wyszedł już na czysto, ale dopiero się rozgrzewał. Wpłacił kolejne wpisowe i dołączył do Kompanii, podobnie jak pozostali gracze, po czym krupier rozdał każdemu po dwie karty i rozpoczęła się nowa gra. Pierwsi dwaj gracze zobaczyli, co mają w ręku, i spasowali. Chorąży Republiki również spojrział i dorzucił do puli tylko tyle zetonów, żeby nie wypaść z gry. Des nie był zaskoczony – on rzadko pasował, nawet jeśli nie miał nic.

Chorąży szybko położył jedną z kart na polu interferencji. Przy każdej kolejce gracz mógł odłożyć tam jedną elektroniczną kartę czipową, żeby zablokować jej wartość i nie dopuścić do zmiany, jeśli pod koniec kolejki nastąpi przesunięcie.

Des pokręcił głową. Blokowanie kart było głupie. Zablokowanej karty nie można odrzucić. Sam wolał mieć otwarte możliwości, ale chorąży myślał krótkofalowo, nie planując naprzód. Prawdopodobnie to wyjaśniało, dlaczego przegrał już kilkaset kredytów.

Des spojrział na swoje karty i postanowił grać dalej. Wszyscy pozostali spasowali – zostało ich tylko dwóch.

CardShark rozdał kolejne karty. Des stwierdził, że wyciągnął wytrzymałość, figurę o wartości minus osiem. Miał w sumie sześć – niewiarygodnie słabe karty.

Rozsądniej byłoby się wycofać, bo jeśli nie będzie zmiany, już po nim. Ale Des czuł, że zmiana będzie. Wiedział to równie dokładnie jak to, gdzie kierował się kciuk Gerda, kiedy zacisnął na nim zęby. Te krótkie przeblyski jasnowidzenia zdarzały mu się rzadko, ale kiedy się pojawiały, wiedział, że należy ich słuchać. Postawił swoje kredyty. Chorąży wyrównał.

Robot przesunął żetony na środek stołu i marker przed nim zaczął szybko pulsować, zmieniając kolory. Niebieski oznaczał brak zmiany – wszystkie karty pozostaną takie same. Czerwony oznaczał zmianę; wtedy z markera zostanie wysłany impuls i po jednej z elektronicznych kart u każdego z graczy wyzeruje się w przypadkowy sposób i zmieni wartość. Marker migotał czerwienią i błękitem, coraz szybciej, aż zapulsował jednolicie fioletowym odcieniem. A potem miganie zwolniło i znów można było odróżnić kolory: niebieski, czerwony, niebieski, czerwony, niebieski... stanęło na czerwonym.

– Szlag! – zaklął chorąży. – Zawsze jest zmiana, kiedy mam dobre karty!

Des wiedział, że to nieprawda. Szanse zmiany były pół na pół. Całkowicie przypadkowe. Nie można było przewidzieć, kiedy przyjdzie... chyba że miało się ten dar, który czasem nawiedzał Desę.

Karty zabłysły i zmieniły wartości. Des podniósł je raz jeszcze. Wytrzymałość zniknęła, jej miejsce zajęła siódemka. Miał dwadzieścia jeden. Nie sabak, ale porządne karty. Zanim zaczęła się kolejna runda, Des odwrócił karty i rzucił na stół.

– Wychodzę w dwadzieścia jeden. Chorąży rzucił karty z odrazą.

– Cholerna bomba – warknął.

Des zebrał mały stosik żetonów, podczas gdy tamten niechętnie wpłacał karę do puli sabaka. Des domyślał się, że musi tam być około pięciuset kredytów. Jeden z górników przy stole wstał.

– Chodźcie, musimy już ruszać – rzekł. – Ostatni ścigacz wylatuje za dwadzieścia minut.

Górnicy zaczęli się zbierać; wkrótce, mamrocząc coś pod nosem, ruszyli w stronę wyjścia. Chorąży obserwował ich przez chwilę, po czym ze zdziwieniem spojrzął na Desę.

– A ty nie wybierasz się z nimi, olbrzymie? Zdaje się, że narzekałeś, jak to nigdy nie możecie wyjść wcześniej.

– Pracuję na dziennej zmianie – oschle odparł Des. – A ci są z nocnej.

– A gdzie reszta twojej załogi? – zapytała pani porucznik. Des zauważył, że jej zainteresowanie miało raczej na celu powstrzymanie chorążego przez dalszym zaczepianiem potężnego górnika.

– Bardzo się przerzedziło.

Gestem wskazała kantinę, teraz prawie pustą, jeśli nie liczyć żołnierzy Republiki. Widząc wolne siedzenia przy stoliku, kilku z nich dosiadło się do gry.

– Wkrótce tu będą – rzekł Des. – Po prostu nieco wcześniej skończyłem zmianę.

– Doprawdy? – zapytała tonem, który świadczył, że zna tylko jeden powód wcześniejszego zakończenia zmiany.



– Pani porucznik... – odezwał się grzecznie jeden z nowo przybyłych żołnierzy, kiedy dotarli do stolika. – Panie komandorze – dodał, zwracając się do drugiego oficera. – Czy możemy się przyłączyć?

Komandor spojrział na Desa.

– Nie chcę, żeby ten młody człowiek pomyślał, że Republika na niego napada. Jeśli zajmiemy wszystkie miejsca, gdzie siadą jego przyjaciele, kiedy się pojawią? Mówi, że wkrótce przyjdą.

– Cóż, na razie ich tu nie ma – zauważył Des. – I to nie są moi przyjaciele. Możecie siadać, jeśli o mnie chodzi.

Nie dodał, że większość górników z dziennej zmiany i tak nie będzie grać. Kiedy Des pojawiał się przy stole, zazwyczaj grzecznie się ulatniali. Wygrywał zbyt często jak na ich upodobania.

Puste miejsca szybko się wypełniły.

– Chorąży, jak wam idzie w kartach? – młoda kobieta zwróciła się do żołnierza, z którym Des wygrał w ostatnim rozdaniu. Usiadła obok i postawiła przed nim pełny kufel koreliańskiego ale.

– Nie za dobrze – przyznał. Rozjaśnił się jednak na widok pełnego kufła i szybko oddał pusty. – Nie wiem, czy ci dziś zapłacę za tego drinka. Nie bardzo mogę się odegrać. – Skinął głową w stronę Desa. – Uważajcie na tego tu. Jest równie dobry jak komandor... albo oszukuje.

Uśmiechnął się przelotnie na znak, że to tylko kolejny z jego niewybrednych żartów. Des zignorował go. Nie po raz pierwszy twierdzono, że oszukuje. Wiedział, że jego umiejętność daje mu przewagę nad innymi graczami. Może przewaga ta nie była uczciwa, ale nie uważał jej za oszustwo. Nie wiedział, co się stanie przy każdym rozdaniu. Nie mógł tego kontrolować. Był tylko dość sprytny, aby wykorzystać te chwile, kiedy się pojawiały.

CardShark zaczął podawać nowym żetony, życząc każdemu zdawkowo: „Powodzenia”.

– Zdaje się, że nie żyjesz w wielkiej przyjaźni z innymi górnikami – rzekła pani porucznik, nawiązując do poprzednich komentarzy Desa. – Myślałeś kiedyś o zmianie zawodu?

Des jęknął w duchu. Zanim się przysiadł do stołu, oficerowie skończyli już swoją werbunkową akcję i zajęli się grą w karty. Teraz wszystko wskazywało na to, że zaczną znowu.

– Nie jestem zainteresowany wojaczką – odrzekł, wpłacając wpisowe do kolejnej gry.

– Nie spiesz się tak... – Pani porucznik zniżyła głos do łagodnego, uspokajającego szeptu. – Zawód żołnierza Republiki ma swoje zalety. W każdym razie to chyba lepsze niż praca w kopalni.

– Miałbyś przed sobą całą wielką galaktykę, synu – dodał komandor. – Światy o wiele piękniejsze niż ten, jeśli pozwolisz, że się tak wyrażę.

Wcale nie jestem pewien, pomyślał Des, ale głośno odrzekł:

– Nie zamierzam tu spędzić całego życia. Kiedy się jednak wyniosę z tej skały, wolałbym nie skończyć, uciekając przed miotaczami Sithów na froncie.

– Już niedługo będziemy walczyć z Sithami, synu. Właśnie spychamy ich do defensywy.

– Komandor mówił spokojnie, z taką pewnością siebie, że Des gotów był mu uwierzyć.

– Ja słyszałem co innego – powiedział jednak. – Powiadają, że Bractwo Ciemności zwycięża częściej, niż się o tym mówi, a teraz ma pod swoją kontrolą ponad tuzin regionów.

– To było przed generałem Hothem – wtrącił jakiś żołnierz.

Des słyszał o Hocie na HoloNecie: był to *bonafide* bohater Republiki. Zwycięzca w co najmniej sześciu ważnych bitwach, błyskotliwy strateg, który wiedział, jak zmienić nieuchronną klęskę w zwycięstwo. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego pochodzenie.

– Hoth? – zapytał niewinnie, spoglądając na karty. Śmieci. Zwinął je. – Czy on nie jest Jedi?

– Owszem – odparł komandor i też popatrzył w karty. Postawił niewielką kwotę. – Dokładniej mówiąc, mistrzem Jedi. I doskonałym żołnierzem. Nie można sobie życzyć lepszego dowódcy sił zbrojnych Republiki.

– Sithowie to coś więcej niż żołnierze, wiesz? – dodał ochoczo podpity chorąży, mówiąc głośniejszym głosem niż do tej pory. – Niektórzy z nich umieją używać Mocy, dokładnie jak Jedi. Nie można ich pobić samymi miotaczami.

Des słyszał wiele dziwacznych opowieści o Jedi, którzy potrafili dokonywać niezwykłych czynów dzięki mistycznej potędze Mocy, ale uważał, że to tylko legendy. A przynajmniej część z nich. Wiedział, że istnieją moce, które wykraczają poza sferę świata fizycznego: jego własne przeczucia były tego przykładem. Jednak historie o tym, czego potrafili dokonać Jedi, były po prostu zbyt nieprawdopodobne, by w nie uwierzyć. Jeśli Moc jest rzeczywiście tak potężną bronią, dlaczego to wszystko trwa tak długo?

– Niespecjalnie podoba mi się myśl o służbie pod rozkazami mistrza Jedi – rzekł. – Słyszałem o nich różne dziwne rzeczy. Podobno nie tolerują żadnych namiętności, żadnych uczuć. Chyba chcą nas wszystkich pozamieniać w roboty.

Gracze otrzymali kolejne rozdanie kart.

– Jedi rządzą się mądrością – wyjaśnił komandor. – Nie pozwalają, aby takie uczucia jak pożądanie czy gniew zaćmiewały ich osąd.

– Gniew bywa przydatny – zauważył Des. – Wyciągnął mnie już z paru paskudnych sytuacji.

– Zdaje się, że cała sztuka polega na tym, aby się w te sytuacje nie pakować – odparowała pani porucznik tym swoim łagodnym głosem.

Partia skończyła się po kilku kolejkach. Młoda kobieta, która postawiła drinka porucznikowi, zdołała uzbierać dwudziestkę – niezbyt dobra karta, ale do wytrzymania. Spojrzała na dowódcę, który odsłonił karty i uśmiechnęła się, bo miał tylko dziewiętnaście.

Jej uśmiech zbladł, kiedy pijany chorąży pokazał dwadzieścia jeden i zarechotał. Zabrał pulę, a ona ucięła jego rechot przyjaznym kuksańcem w bok.

Wszyscy weszli znowu do gry i krupier rozdał każdemu graczowi po dwie karty.

– Jedi to obrońcy Republiki – wróciła do tematu pani porucznik. – Może ich metody działania wydają się dziwne zwykłym obywatelom, ale ważne, że są po naszej stronie. I chcą tylko pokoju.

– Doprawdy? – zapytał Des, oglądając swoje karty i przesuwając żetony. – A ja myślałem, że chcą po prostu zlikwidować Sithów.

– Sithowie to nielegalna organizacja – wyjaśniła pani porucznik. Złożyła karty po dłuższej chwili namysłu. – Senat wydał decyzję o wyjęciu ich spod prawa prawie trzy tysiące lat temu, wkrótce potem, jak Revan i Malak sprowadzili zniszczenie na całą galaktykę.

– A ja słyszałem zawsze, że Revan uratował Republikę – mruknął. Komandor wtrącił się znowu do rozmowy.

– Historia Revana jest skomplikowana – rzekł. – Fakt pozostaje faktem, że Sithowie i ich nauki zostali zdelegalizowani przez senat. Samo ich istnienie jest pogwałceniem prawa Republiki i to nie bez powodu. Jedi rozumieją zagrożenie, jakie sobą przedstawiają Sithowie. Dlatego dołączyli do floty. Dla dobra galaktyki Sithów trzeba wyplenić raz na zawsze.

Pijany chorąży znów wygrał, drugi raz z rzędu. Czasem lepiej mieć szczęście niż umiejętności.

– A więc Republika twierdzi, że Sithów należy wyplenić – rzekł Des i opłacił wejście do następnej partii. – Gdyby to Sithowie rządzili, załóżę się, że powiedzieliby to samo o Jedi.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, jacy naprawdę są Sithowie – odezwał się inny żołnierz. – Walczyłem z nimi, to żądni krwi mordercy!

Des się zaśmiał.

– Jasne, i mają czelność zabijać was w środku bitwy! Czy oni nie wiedzą, że jesteście zajęci, bo właśnie ich mordujecie? Co za chamstwo!

– Ty cholerna kattowska mordo! – warknął żołnierz, zrywając się z miejsca.

– Siadajcie, szeregowy! – syknął komandor. Żołnierz wykonał polecenie, ale Des czuł w powietrzu napięcie. Wszyscy przy stoliku – może z wyjątkiem dwójki oficerów – przyglądali mu się nieprzyjaźnie.

I bardzo dobrze. Teraz myśleli o wszystkim, tylko nie o kartach. Wściekły gracz to kiepski gracz.

Komandor zauważył, że sytuacja rozwija się w niewłaściwym kierunku. Próbował rozładować napięcie.

– Sithowie postępują według nauk Ciemnej Strony, synu – rzekł do Desa. – Gdybyś wiedział, co oni robili w czasie wojny... i nie tylko innym żołnierzom. Nie przejmowali się, że cierpią też niewinni cywile.

Des słuchał z roztargnieniem, bo właśnie analizował karty i obstawiał.

– Nie jestem głupcem, komandorze – rzekł. – Niezależnie od tego, czy Republika oficjalnie to przyzna, czy nie, toczycie wojnę z Bractwem Ciemności. A złe rzeczy zdarzają się na wojnie po obu stronach. Nie próbujcie mnie przekonać, że Sithowie są potworami. Są takimi samymi ludźmi jak wy czy ja.

Z wszystkich graczy przy stole tylko komandor złożył karty. Des wiedział, że co najmniej kilku z pozostałych żołnierzy będzie rozgrywać kiepskie karty tylko po to, żeby mieć szansę go załatwić.

Komandor westchnął.

– W pewnym sensie masz rację. Zwykli żołnierze służą w armii dlatego, że nie wiedzą, kim są naprawdę mistrzowie Sithów i Bractwo Ciemności. To tylko ludzie. Ale musisz pamiętać o ideałach jakie przyświecają tej wojnie. Musisz zrozumieć, co naprawdę reprezentuje sobą każda ze stron.

– Oświeć mnie, komandorze. – Des włożył w te słowa cień politowania i niedbale dorzucił kilka żetonów, wiedząc, że jeszcze bardziej rozwścieczy towarzystwo przy stole. Cieszył się, że nikt więcej nie spasował. Grał na nich jak bithański muzyk wygrywający melodię na sabriquie.

– Jedi starają się chronić pokój – powtórzył komandor. – Służą sprawiedliwej sprawie. Wszędzie, gdzie to jest możliwe, wykorzystują swoje moce, aby pomóc potrzebującym. Starają się służyć, nie panować. Wierzą, że wszystkie istoty, niezależnie od gatunku czy płci, zostały stworzone jako równe. Z pewnością potrafisz to pojąć.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, lecz Des postanowił odpowiedzieć.

– Ale przecież wszystkie istoty tak naprawdę nie są równe, prawda? Chodzi mi o to, że jedni są mądrzejsi, inni silniejsi... jeszcze inni lepiej grają w karty.

Ostatnim komentarzem zdołał przywołać na twarz komandora lekki uśmiech, choć wszyscy inni przy stole skrzywili się na jego słowa.

– Co racja, to racja, synu. Ale czy obowiązkiem silnych nie jest pomoc słabszym?

Des wzruszył ramionami. Nie wierzył w równość. Próby zrównania wszystkich nie pozostawiały pola do osiągnięcia niczego wielkiego.

– A co z Bractwem Ciemności? – zapytał. – W co oni wierzą?

– Oni słuchają nauk Ciemnej Strony. Pragną wyłącznie potęgi, wierzą, że słabsi w służbie silniejszych to sytuacja zgodna z naturalnym porządkiem w galaktyce.

– To nieźle brzmi, jeśli się jest tym silnym. – Des wyłożył karty i zebrał pulę, rozkoszując się przekleństwami, które przegrani mamrotali pod nosem.

Uśmiechnął się do towarzystwa złośliwie.

– Mam nadzieję, dla dobra Republiki, że jesteście lepszymi żołnierzami niż graczami w sabaka.

– Ty zgniły, śmierdzący tchórze! – ryknął chorąży. Zerwał się z miejsca, rozlewając drinka. – Gdyby nie my, Sithowie opanowaliby już całą tę kulę śmiecia!

Inny żołnierz może próbowałby się zamachnąć na Desa, ale chorąży – chociaż mocno podchmielony – miał dość wojskowej dyscypliny, aby trzymać pięści przy sobie. Surowe spojrzenie komandora sprawiło, że usiadł z powrotem i wymamrotał jakieś przeprosiny. Des był pod wrażeniem. I nieco rozczarowany.

– Wszyscy wiemy, dlaczego Republice zależy na Apatrosie – rzekł, układając żetony w stosik i przybierając nonszalancką minę. W istocie zaś obserwował towarzystwo, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek przygotowuje się do wejścia. – Stosujecie cortosis w pancerzach statków, w obudowie broni, nawet w zbrojach, które nosicie. Bez nas nie mielibyście na tej wojnie cienia szansy. Więc nie udawajcie, że robicie nam łaskę. Potrzebujecie nas tak samo, jak my was.

Nikt jeszcze nie wszedł do gry, wszyscy gapili się na scenę rozgrywającą się pomiędzy graczami. CardShark wahał się; jego ograniczone oprogramowanie nie pozwalało mu ocenić sytuacji. Des wiedział, że Groshik obserwuje ich z głębi sali, z ręką w pobliżu miotacza ogłuszającego, który trzymał pod ladą. Wątpił jednak, aby Neimoidianin go potrzebował.

– Właściwie masz rację – zgodził się komandor i wpłacił wpisowe. Pozostali, z Desem włącznie, poszli za jego przykładem. – Przynajmniej jednak płacimy za cortosis, której używamy. Sithowie po prostu by ją zabrali.

– Wcale nie – poprawił Des, studiując swoje karty. – Płacicie za cortosis Kompanii. Te kredyty jakoś nie docierają do ludzi takich jak ja. – Złożył karty, ale nie przestawał mówić. – Widzicie, to jest właśnie problem z Republiką. W Jądrze jest wspaniale, ludzie są zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Ale tu na Rubieżach nie wszystko jest takie różowe. – Pracuję w kopalni, prawie odkąd sięgam pamięcią, tak albo inaczej, a wciąż jestem winien KGZR dość kredytów, żeby napełnić nimi frachtowiec. Ale nie widzę jakoś żadnych Jedi, którzy biegliby mi na pomoc, choć to pewna niesprawiedliwość, prawda?

Tym razem nikt nie miał gotowej odpowiedzi, nawet komandor. Des uznał, że dość już rozmów o polityce; chciał się teraz skoncentrować na wygraniu tych dwóch tysięcy kredytów, które nagromadziły się w puli sabaka. Ruszył na łowy.

– Nie próbujcie mi sprzedać waszych Jedi i waszej Republiki, ponieważ ona jest właśnie wasza. Mówicie, że Sithowie szanują siłę? Doskonale, mniej więcej tak samo jest tutaj, na Rubieżach. Troszczysz się o siebie, bo nikt inny za ciebie tego nie zrobi. Dlatego właśnie Sithowie znajdują tam kolejnych ochotników, gotowych, aby się do nich przyłączyć. Ludzie, którzy nie mają niczego, tak jak oni, nie mają też nic do stracenia. A jeśli Republika nie połapie się w tej logice dość szybko, Bractwo Ciemności wygra tę wojnę niezależnie od tego, ilu Jedi macie w swojej armii.

– Może powinniśmy jednak skupić się na kartach – odezwała się pani porucznik po długim, nieprzyjemnym milczeniu.

– Jak dla mnie może być – odrzekł Des. – Bez urazy?

– Bez urazy – powiedział komandor, zmuszając się do uśmiechu.

Kilku żołnierzy przytaknęło pod nosem, ale Des wiedział, że uraza pozostała. Zrobił wszystko, aby wbiła się w ich pamięć dokładnie i głęboko.

## ROZDZIAŁ 4

Godziny mijały. Zaczęli się pojawiać kolejni górnicy, dzienna zmiana zastąpiła nocną, która ruszyła do pracy. CardShark rozdawał karty, gracze obstawiali. Stosik żetonów Desa rósł, podobnie jak pula sabaka: trzy tysiące kredytów, cztery tysiące, pięć... żaden z graczy już chyba nie cieszył się grą. Des domyślał się, że jego nieprzyjemne uwagi zepsuły im całą zabawę.

Nie przejmował się. Nie grał w sabaka dla rozrywki. Była to taka sama praca, jak harówka w kopalni. Puste siedzenia wkrótce zostały zajęte przez górników z dziennej zmiany. Pokusa potężnej puli sabaka wystarczyła, by ich zwabić, chociaż niechętnie siadali do gry przeciwko Desowi.

Minęła kolejna godzina i starsi oficerowie – pani porucznik i komandor – zakończyli grę. Ich miejsca również natychmiast zostały zajęte przez górników – wszystko przez wizję jednego dobrego rozdania, pozwalającego zgarnąć całą wygraną. Żołnierze Republiki, którzy wciąż siedzieli przy stole, podobnie jak podchmielony chorąży, który pierwszy zaczął Desą, musieli mieć głębokie, bardzo głębokie kieszenie.

Przy ciągłym przyptywie nowych graczy i nowych pieniędzy Des musiał zmienić strategię. Był do przodu o kilkaset kredytów, miał więc dość zapasu, aby pozwolić sobie na kilka przegranych partii, jeśli będzie musiał. Teraz miał tylko jeden cel: chronić pulę sabaka. Jeśli nie dostanie kart, dzięki którym zdoła ją wygrać, musi je skomponować jak najszybciej. Nie da nikomu szansy na zdobycie dwudziestu trzech. Przestał pasować, nawet ze słabymi kartami. Opuszczenie kolejki dawało zbyt dużą szansę innym graczom.

Kilka szczęśliwych rozdań i parę pechowych wpadek przeciwników upewniło go, że jego strategia była dobra, choć nie obeszło się bez strat. Wysiłki zmierzające do chronienia puli sabaka zaczęły zjadać jego zyski. Stosik wygranej kurczył się szybko, ale wszystko się zwróci, jeśli zdobędzie sabaka.

Rozdanie po rozdaniu gracze przychodzili i odchodzili. Żołnierze jeden po drugim wypadali z gry, zmuszeni przez brak żetonów, jeśli nie mogli pozwolić sobie na następne. Z pierwotnej grupy pozostali jedynie Des i chorąży. Stosik chorążego rósł.

Kilku żołnierzy pozostało, aby kibicować; zachęcali swojego kolegę, aby złożył skórę beczelnemu górnikowi.

Inni gapie nie zagrzewali długo miejsca. Niektórzy czekali tylko, aż jakiś gracz zrezygnuje, żeby mogli się wśliznąć zamiast niego. Innych zwabiły napięta atmosfera przy stole i wielkość stawek. Po kolejnej godzinie pula sabaka osiągnęła dziesięć tysięcy żetonów, maksymalną wartość. Teraz wszystkie kredyty wpłacone do puli były zmarnowane, szły wprost do kasy Kompanii. Ale nikt się nie skarżył. Nie teraz, kiedy do wygrania była mała fortuna.

Des spojrzął na chronometr na ścianie. Kątynę zamknął za niecałą godzinę. Kiedy po raz pierwszy zasiadł do gry, był pewien, że zgarnie wielką wygraną. Przez chwilę był do przodu, ale tych kilka godzin nadszarpięło mocno jego zasoby. Próby ochrony puli sabaka źle się kończyły – już dwa razy musiał dokupić żetonów. Wpadł w klasyczną pułapkę gracza – tak opętała go myśl o wielkiej wygranej, że stracił rachubę tego, co przegrał. Pozwolił, aby gra nabrała osobistych aspektów.

Było mu gorąco, koszula lepiała się od potu. Nogi zdrętwiały od długiego siedzenia, plecy bolały od ciągłego pochylania się do przodu i zagładania z nadzieją w karty.

Stracił dzisiaj prawie tysiąc kredytów, ale żaden z innych graczy nie zyskał na jego pechu. Przy pełnej puli sabaka wszystkie opłaty i kary szły prosto do kasy KGZR. Będzie musiał tyrać w kopalni przez co najmniej miesiąc, jeśli chce zobaczyć jeszcze te kredyty. Ale teraz było za późno, żeby zrezygnować. Jego jedyną pociechą było teraz to, że chorąży stracił prawie dwa razy tyle co on. Jednak za każdym razem, kiedy kończyły mu się żetony, po prostu sięgał do kieszeni i wyciągał kolejny stosik kredytów, jakby miał nieograniczone fundusze. Albo po prostu mu nie zależało.

CardShark wydał kolejne rozdanie. Zaglądając w karty, Des po raz pierwszy poczuł, że ogarnia go zwątpienie. A jeśli tym razem instynkt go zawiódł? Jeśli to nie dzisiejszej nocy ma wygrać? Nie pamiętał ani jednego momentu z przeszłości, żeby jego dar go okłamał, ale to nie oznaczało, że tak się nigdy nie zdarzy.

Niepewnie odepchnął od siebie żetony, wbrew wszystkim instynktom, które kazały mu pasować. Będzie musiał się wyłożyć w następnej kolejce, choćby miał słabe karty. Jeszcze chwila i kto inny sprzątnie mu całą pulę sprzed nosa, tę samą na którą tak ciężko pracował.

Markery zamigotały i karty zmieniły wartość. Des nawet nie spojrzął. Wyłożył tylko karty i mruknął:

– Wychodzę.

Kiedy spojrzął na nie, poczuł się, jakby dostał w twarz. Miał dokładnie ujemne dwadzieścia trzy, czyli bombę. Kara wyczerpała jego stosik żetonów.

– Hola, hola, wielkoludzie – wymamrotał drwiąco pijany chorąży. – Chyba cię pogięło, żeby z czymś takim wychodzić. O czym myśli ten twój mózdzek?

Może nie widzi różnicy pomiędzy plus dwadzieścia trzy i minus dwadzieścia trzy – zauważył jeden z żołnierzy w tłumie gapiów, szczerząc zęby jak kot manka. Des starał się go zignorować. Zapłacił karę. Czuł się pusty. Wykończony.



– Jakoś nie gadasz tyle, kiedy przegrywasz, co? – zadrwił chorąży.

Nienawiść. Des początkowo nie czuł nic innego. Czysta, rozżarzona do białości nienawiść zżerała każdą myśl, każdy gest, każdą uncję rozumu, jaka mu została. Nagle przestał się martwić o pulę i o to, ile już stracił kredytów. Chciał tylko zetrzeć z gęby chorążego ten zadowolony uśmiech. A znał tylko jeden sposób, żeby to zrobić.

Rzucił mu dzikie, gniewne spojrzenie, ale tamten był zbyt pijany, żeby się przestraszyć. Nie odwracając oczu od przeciwnika, Des przesunął kartę konta Kompanii nad czytnikiem i wprowadził kolejne wkupne, nie dając dojść do głosu logicznej części umysłu, która chciała go przed tym bronić.

CardShark, którego obwody i kable były kompletnie nieświadome tego, co się naprawdę dzieje, posłusznie podsunął mu stosik żetonów i wypowiedział swoje radosne: „Powodzenia!”

Des otworzył z asem i dwoma mieczami. Siedemnaście, bardzo niebezpieczny układ. Duże prawdopodobieństwo kolejnej wysokiej karty i bomby. Zawahał się, czując, że właściwym ruchem byłby pas.

– Zmieniłeś zdanie? – zadrwił chorąży.

Pchnięty impulsem, którego nawet nie umiał wyjaśnić, Des przesunął obie karty na pole interferencji, po czym pchnął żetony do puli. Pozwolił, aby kierowały nim uczucia; nie obchodziło go już nic więcej. A kiedy trzecia karta okazała się trójką, wiedział, co ma zrobić. Położył trójkę na polu interferencji obok pozostałych, które już tam leżały. Postawił maksymalną stawkę i czekał na zmianę.

Były właściwie dwa sposoby, aby wygrać pulę sabaka. Jednym było zdobycie kart, których suma wynosiła dokładnie dwadzieścia trzy, czyli czystego sabaka. Była jednak lepsza metoda – dostać rozkład Idioty. W zmodyfikowanych zasadach Bospinu, jeśli miałeś układ dwóch i trzech kart w tym samym kolorze i wyciągnąłeś figurę znaną jako Idiota, która sama w sobie nie miała żadnej wartości, dostawałeś rozkład Idioty... czyli dosłownie dwadzieścia trzy. Był to najrzadszy z możliwych rozkładów i wart nawet więcej niż czysty sabak.

Des pokonał już większość drogi. Teraz potrzebował tylko, aby zmiana zabrała mu dziesiątkę i dała Idiotę. Oczywiście to znaczyło, że musi być zmiana. I nawet wtedy będzie musiał jeszcze w niej dostać Idiotę... a w całej talii siedemdziesięciu sześciu kart były tylko dwie takie. Idiotyczne założenie.

Marker wyszedł czerwony. Karty zmieniły wartość. Des nie musiał nawet patrzeć. Wiedział.

Spojrzał prosto w oczy przeciwnika.

– Wychodzę.

Chorąży spojrzał w swoje karty, żeby sprawdzić, co mu przyszło po zmianie i zaczął śmiać się tak głośno, że z trudem przyszło mu pokazać, co dostał. Miał dwie flaszki, trzy flaszki i... Idiotę!

W tłumie rozległy się okrzyki zdumienia i szepty niedowierzania.

– Jak wam się to podoba, chłopaki? – zachichotał. – Rozkład Idioty po zmianie! Wstał i sięgnął po stos żetonów na małym postumencie, który stał pośrodku stołu.

Pula sabaka.

Des wyciągnął rękę i złapał chorążego za nadgarstek chwytem zimnym i twardym jak durastał, po czym pokazał własne karty. W kantynie zapadła grobowa cisza. Śmiech uwiązał chorążemu w gardle. W chwilę później uwolnił rękę i usiadł oszołomiony tym, co zobaczył. Z drugiego końca stołu rozległ się przeciągły gwizd. Tłum nagle zawrzał.

– ...nigdy w życiu!

– ...nie wierzę!

– ...statystycznie niemożliwe!

Dwa rozkłady Idioty w tym samym rozdaniu? CardShark podsumował wynik w najczystszy analizycznym stylu.

– Mamy dwóch graczy z kartami o równej wartości. Wynik rozdania zostanie rozstrzygnięty metodą nagłej śmierci.

Chorąży nie zareagował tak spokojnie.

– Ty głupi brudasie! – wychrypiał głosem zdławionym wściekłością. – Teraz nikt nie dostanie puli sabaka!

Oczy wyszły mu na wierzch, na czole niebezpiecznie pulsowała żyłka. Jeden z kolegów położył mu dłoń na ramieniu, jakby bał się, że chorąży przeskoczy stół i zechce udusić górnika, siedzącego naprzeciwko.

Chorąży miał rację. Żaden z nich nie dostanie w tym rozdaniu puli sabaka. W metodzie nagłej śmierci każdy gracz dostawał jeszcze jedną kartę i wartości były przeliczane na nowo. Jeśli dostałeś lepsze karty, wygrywałeś... ale nie pulę sabaka. Chyba że dostałeś dokładnie dwadzieścia trzy. To jednak wydawało się niemożliwe. Nie było więcej Idiotów, aby zachować rozkład Idioty, a żadna karta nie miała większej wartości niż piętnastka asa.

Desowi już nie zależało. Wystarczyło mu, że zniszczył przeciwnika, że zmiażdżył jego nadzieje. Czuł nienawiść tamtego i reagował na nią. Była niczym żywa istota... byt, z którego mógł czerpać siłę, podsycać nią piekło szalejące we własnej duszy. Des jednak nie okazywał swoich emocji ku uciesze gapiów. Nienawiść, jaka w nim płonęła, była jego prywatną sprawą, żarem tak gorącym, że gdyby pozwolił mu ujść, świat rozpadłby się na części.

Krupier wyjął dwie karty i położył tak, żeby wszyscy widzieli. Obie były dziewiątkami. Zanim ktokolwiek miał czas zareagować, robot przeliczył rozdanie, stwierdził, że gracze nadal remisują i rzucił każdemu z nich po jeszcze jednej karcie. Chorąży dostał ósemkę, ale Des kolejną dziewiątkę. Idioty, dwa, trzy, dziewięć, dziewięć... Dwadzieścia trzy!

Wyciągnął powoli rękę i postukał w karty, szepcząc do przeciwnika jedno, jedyne słowo:

– Sabak.

Żołnierz dostał szału. Skoczył na równe nogi, chwycił krawędź blatu obiema rękami i szarpnął mocno. Tylko ciężar stołu i wbudowane stabilizatory nie pozwoliły mu go wywrócić,

choć mebel zakolysał się i z ogłuszającym łomotem opadł z powrotem na podłogę. Drinki rozlały się po blacie, alkohol zalał elektroniczne karty, które zaczęły iskrzyć i trzeszczeć od zwarć.

– Proszę nie dotykać stołu – żałośnie zaskomlał CardShark.

– Zamknij się, ty kupo zardzewiałego złomu! – Chorąży chwycił jeden z przewróconych kufli ze stołu i rzucił nim w robota. Rozległ się brzęk i trzask, kiedy pocisk trafił w cel. Robot przewrócił się na grzbiet i znieruchomiał.

Chorąży dźgnął palcem w kierunku Desa.

– Oszukiwałeś! Nikt nie dostaje sabaka w nagłej śmierci! Chyba że oszukuje!

Des nie odpowiedział. Nawet nie wstał. Ale sprężył się na wypadek, gdyby żołnierz próbował się na niego rzucić.

Chorąży odwrócił się znowu do robota i niepewnie stanął na nogach.

– Maczałeś w tym palce! – warknął i rzucił w robota kolejnym kuflem. Znowu trafił i przewrócił maszynę po raz drugi. Dwóch żołnierzy próbowało go powstrzymać, ale wyrwał się im. Odwrócił się i zaczął wymachiwać rękami.

– Wszyscy w tym siedzicie! Wy brudne męty, stronnicy Sithów! Nienawidzicie Republiki! Nienawidzicie nas! Wiemy o tym! Wiemy!

Górnicy tłoczyli się wokół niego, pomrukując gniewnie. Obelgi chorążego nie były całkiem bezpodstawne – na Apatrosie przetrwało wiele uraz do Republiki. A jeśli żołnierz się szybko nie zamknie, wkrótce ktoś mu pokaże, jak silne są te urazy.

– Oddajemy życie, żeby was chronić, a was to nic nie obchodzi! Jak tylko możecie nas poniżyć, zaraz korzystacie z okazji!

Przyjaciele chwycili go znowu, usiłując wyprowadzić za drzwi. Teraz jednak nie mieli najmniejszych szans na przebicie się przez tłum. Po twarzach widać było, że są przerażeni. Nie bez powodu, pomyślał Des. Żaden nie był uzbrojony, miotacze zostawili na statku. Teraz tkwili tu uwięzieni w nieprzyjaznym kręgu solidnie umięśnionych górników, którzy przez całą noc pili. A ich kumpel nie chciał się zamknąć.

– Powinniście paść na kolana i dziękować nam za każdym razem, kiedy lądujemy na tej kupie bancich kłaków, którą wy nazywacie planetą! Ale jesteście za głupi, żeby się cieszyć, że jesteśmy po waszej stronie! Co za banda prymitywnych brudasów!

Butelka lumu, rzucona przez nieznaną dłoń, uderzyła go mocno w skroń, ucinając słowotok. Upadł na podłogę, pociągając za sobą kumpli. Des stał bez ruchu, kiedy tłumek wściekłych górników rzucił się w ich stronę.

Odgłos strzału z miotacza sprawił, że wszyscy zamarli, Groshik wspiął się na ladę, a jego broń już się ładowała do kolejnego strzału. Wszyscy wiedzieli, że tym razem strzał nie pójdzie w sufit.

– Zamykamy! – wyskrzecztał tak głośno, jak potrafił swoim chropowatym głosem. – Wszyscy wynocha z knajpy!

Górnicy zaczęli się wycofywać, żołnierze wstali ostrożnie. Chorąży zachwiał się; krew z rozcięcia na czole zalewała mu twarz.

– Wy trzej jako pierwsi – dodał Neimoidianin do chorążego i żołnierzy. Machnął groźnie lufą pistoletu. – Zróbcie im miejsce i niech ich nie widzę – nakazał pozostałym.

Wszyscy z wyjątkiem żołnierzy zamarli. Groshik nie po raz pierwszy wyciągał swoją maszynę. Rusznica ogłuszająca Blas-Tech CS-33 Firespray była jednym z najlepszych na rynku narzędzi do kontroli tłumów, zdolnym do ogłuszenia wielu ofiar jednym strzałem. Niejeden z górników poczuł już brutalną siłę jej szerokiego strumienia, kiedy pozbawił ich przytomności. Des z własnego doświadczenia mógł potwierdzić, że nie jest to ból, który łatwo byłoby zapomnieć.

Jak tylko załoga statku Republiki zniknęła w mroku, reszta tłumy ruszyła powoli w kierunku wyjścia. Des podążył za nimi, ale kiedy mijał bar, Groshik wycelował miotacz prosto w niego.

– Nie ty. Ty zostajesz.

Des nie drgnął nawet o milimetr, dopóki wszyscy pozostali nie wyszli. Nie bał się, wiedział, że Groshik raczej nie wystrzeli, ale nie widział potrzeby, aby dawać mu jakikolwiek powód.

Dopiero kiedy ostatni z klientów wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Groshik opuścił broń. Niezgrabnie zszedł z baru i położył miotacz na stole, po czym odwrócił się do Desa.

– Uznałem, że bezpieczniej będzie, jeśli zostaniesz tu na chwilę ze mną – wyjaśnił. – Żołnierze naprawdę byli wściekli. Mogą czekać na ciebie w drodze do domu.

Des się uśmiechnął.

– A już myślałem, że jesteś na mnie zły. Groshik prychnął.

– O tak, jestem zły. Dlatego pomożesz mi posprzątać. Des westchnął i pokręcił głową w udanej desperacji.

– Widziałeś, co się stało, Groshik. Byłem tylko niewinnym świadkiem. Groshik nie był w nastroju do słuchania takich słów.

– Zaczynaj ustawiać krzesła – polecił.

Z pomocą CardSharka – choć raz na coś się przydał poza rozdawaniem kart – skończyli sprzątać w godzinę. Po wszystkich robot podreptał na chwiejnych nogach do warsztatu naprawczego, ale zanim wyszedł, Des upewnił się, czy jego wygrana została przelana na właściwe konto.

Teraz zostali tylko we dwóch. Groshik gestem wskazał Desowi miejsce przy barze, chwycił dwie szklanki i zdjął z półki butelkę.

– Cortyg brandy – rzekł, nalewając każdemu po pół szklanki.

– Wprost z Kashyyyka. Nie, nie taka mocna jak to, co piją Wookie. Delikatniejsza, łagodniejsza. Bardziej... cywilizowana.

Des omal nie udusił się pierwszym łykiem, gdy ognista ciecz zalała mu gardło.

– To jest cywilizowane? Wolę nie wiedzieć, co piją Wookie. Groshik wzruszył ramionami.

– Czego chcesz? W końcu to Wookie.

Przy drugim łyku Des był już ostrożniejszy. Pozwolił mu sływać po języku, smakując bogaty aromat.

– Dobrze to, Groshik. I kosztowne. Co za okazja?

– Miałeś ciężki dzień. Uznałem, że ci się przyda.

Des wysączył szklankę. Groshik znów ją napełnił, po czym zakorkował butelkę i odstawił na półkę.

– Martwię się tobą – rzekł chrapliwie. – Martwię się tym, co się stało podczas walki z Gerdem.

– Nie dał mi wielkiego wyboru. Neimoidianin skinął głową.

– Wiem, wiem. Ale... odgryzłeś mu kciuk. A dzisiaj omal nie rozpętałeś awantury w moim barze.

– Hej, ja chciałem tylko zagrać w karty – zaprotestował Des. – To nie moja wina, że sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Może tak, może nie. Widziałem cię dzisiaj. Drażniłeś się z tym żołnierzem, rozgrywając go tak, jak zawsze rozgrywasz swoich przeciwników. Dokuczasz im, złościsz, zmuszasz, żeby tańczyli jak kukielki na sznurku. Ale tym razem nie przestałeś w porę. Nawet kiedy już byłeś na plusie, parłeś dalej. Chciałeś, żeby się tak wściekł.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko zaplanowałem? – zaśmiał się Des. – Daj spokój, Groshik. To karty doprowadziły go do takiego stanu. Jak mogłem kontrolować rozdania?

– To było coś więcej niż karty – odparł Groshik, zniżając szorstki głos tak bardzo, że Des musiał się pochylić, by go usłyszeć. – Byłeś wściekły, Des. Bardziej wściekły niż kiedykolwiek. Czuję to przez całą salę, jakby coś wisiało w powietrzu. Wszyscy to czuli. No i tłum stał się agresywny bardzo szybko, Des. Tak, jakby czerpali z twojego gniewu i nienawiści. Wysyłałeś fale emocji, jakby burzę furii i gniewu. Wszyscy inni dali się mu po prostu porwać. Górnicy, ten żołnierz... wszyscy. Nawet ja. Jedyne, co mogłem zrobić, to zmusić się, by strzelić w sufit. Każda komórka mojego ciała krzyczała, żeby strzelać do tłumu. Chciałem powalić ich wszystkich i patrzeć, jak się wiją z bólu.

Des nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Groshik, sam posłuchaj, co wygadujesz. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił. Nie umiałbym. Nikt nie umie.

Groshik wyciągnął długą, chudą dłoń i poklepał Desa po ramieniu.

– Wiem, że nie zrobiłbyś tego celowo, Des. I wiem, jak to idiotycznie brzmi. Ale było dzisiaj w tobie coś złego. Poddałeś się uczuciom i to rozpętało coś... dziwnego. Coś niebezpiecznego.

Odrzucił głowę w tył i wychylił resztę certyga. Zatrzęsło nim.

– Uważaj na siebie, Des. Proszę. Mam złe przeczucia.

– To ty uważaj, Groshik – zaśmiał się Des. – Neimoidianie nie są znani z tego, że słuchają głosu serca. To nie jest dobre dla interesów.

Groshik przyglądał mu się przez chwilę bardzo uważnie, po czym przytaknął znużonym skinieniem głowy.

– Prawda. Może jestem zwyczajnie zmęczony. Powinienem się przespać. Ty też. Uścisnęli sobie dłonie i Des wyszedł.

## ROZDZIAŁ 5

Ulice Apatrosa były mroczne. Kompania żądała tak wysokich opłat za energię, że wszyscy gasili światła, kiedy szli spać, a księżyc był dzisiaj jedynie cienkim różkiem na niebie. Nawet światła z kantyny nie mogły wskazać Desowi drogi – Groshik powyłączał latarnie przy chodnikach i pod kopułą aż do otwarcia. Des trzymał się środka drogi, starając się uniknąć pokaleczenia łydek o wystające, niewidoczne w ciemności kawałki złomu.

A jednak, pomimo niemal całkowitej ciemności, zobaczył, że nadchodzą.

Na ułamek sekundy, zanim się to stało, poczuł zbliżające się zagrożenie... i odgadł, skąd nadchodzi. Rzuciły się na niego trzy sylwetki, dwie z przodu, a jedna z tyłu. Pochylił się w samą porę, by usłyszeć nad głową świst mijającej go o milimetry metalowej rury, która zapewne roztrzaskałaby mu czaszkę i zabiła. Zerwał się i zadał pięścią cios na oślep, celując w pozbawioną rysów twarzy głowę najbliższej z postaci. Nagrodziło go ohydne chrupnięcie miażdżonych chrząstek i kości.

Uchylił się znowu, tym razem na bok, i rura, która miała go trafić prosto między oczy, spadła na jego lewe ramię. Zachwiał się od siły tego ciosu. W ciemności jednak przeciwnicy potrzebowali nieco czasu, żeby go odnaleźć, a on przez ten czas zdążył odzyskać równowagę.

W mroku widział jedynie niewyraźne kontury atakujących. Ten którego uderzył, wstawał powoli, pozostali dwaj czekali czujnie w gotowości. Nie musiał widzieć, żeby odgadnąć, kim są: chorąży i żołnierze, którzy go wyprowadzali. Des wciąż czuł odór koreliańskiego piwa, potwierdzający ich tożsamość. Musieli czekać na niego przed kantyną i poszli za nim aż do miejsca, gdzie uznali, że bezpiecznie będzie go zaatakować. Dobrze, bo to znaczyło, że nie zdążyli wrócić na statek po miotacze.

Rzucili się na niego znowu, tym razem wszyscy jednocześnie. Mieli przewagę liczebną i za sobą miesiące wojskowego szkolenia w walce wręcz, a Des siłę, wzrost i lata górniczej szkoły przetrwania. Ale w ciemności nie miało to wielkiego znaczenia.

Des przyjął na siebie ich atak i cała czwórka upadła na ziemię. Ciosy i kopniaki lądowały gdzie popadnie, bez celu i strategii, ślepcy walczyli ze ślepcem. Każdy cios, jaki sam zadawał, nagradzany był jękiem lub sieknięciem przeciwnika, ale przyjemność z tego faktu ograniczały cięgi, jakie sam zbierał.

Nieważne, czy oczy miał otwarte, czy zamknięte, i tak nic nie widział. Działał instynktownie: ból i urazy odpływały w ciemność, zmywane przez adrenalinę, która pulsowała mu w żyłach.

I nagle coś dostrzegł. Ktoś dobył wibronoża. Wciąż było ciemno jak w chodniku kopalni po zawale, ale Des widział ostrze tak wyraźnie, jakby świeciło w mroku wewnętrznym ogniem. Wysunął dłoń i chwycił nożownika za nadgarstek, wykręcając go i kierując w ciemną masę, z której się wyłonił. Rozległ się krzyk, który przeszedł w zdławione rżenie i nagle płonące ostrze w jego wizji zgasło, przestało być groźne.

Oplątująca go masa ciał rozpadła się nagle, dwaj pozostali napastnicy odtoczyli się skwapliwie. Trzeci leżał nieruchomo. W chwilę później usłyszał kliknięcie zapalanej lumy i na moment oślepił go promień światła. Zacisnął powieki, kiedy usłyszał jęk.

– On nie żyje! – krzyknął jeden z żołnierzy. – Zabiłeś go!

Des osłonił oczy przed światłem i spojrzął. Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: chorąży leżał na plecach, z wibroostrzem wbitym głęboko w pierś.

Luma zgasła i Des przygotował się na kolejny atak. Usłyszał jednak tylko odgłos kroków oddalających się szybko w mrok, w kierunku doków.

Spojrzął na ciało; miał zamiar wyjąć rozżarzone ostrze i oświetlić sobie nim drogę w ciemności. Ale ostrze już nie świeciło. Nagle zrozumiał, że nigdy naprawdę nie świeciło. Nie mogło – wibronoże nie były bronią energetyczną. Ich ostrza wykonywano ze zwykłego metalu.

Teraz miał na głowie ważniejsze sprawy niż zastanawianie się, dlaczego zobaczył w mroku wibroostrze. Kiedy żołnierze dotrą na statek, będą musieli złożyć raport dowódcy, a ten z kolei zamelduje o nim KGZR. Kompania przewróci planetę na lewą stronę, żeby go znaleźć. Desowi nie podobała się ta sytuacja. Co jest warte słowo górnika – ze sporą kartoteką bójk i agresji – przeciwko słowu dwóch żołnierzy Republiki? Nikt nie uwierzy, że to była samoobrona.

A czy rzeczywiście była? Widział zbliżające się ostrze. Czy mógł rozbroić przeciwnika, nie zabijając go? Pokręcił głową. Nie ma czasu na poczucie winy i żal. Nie teraz. Musi znaleźć jakieś bezpieczne schronienie.

Nie mógł wracać do baraków: właśnie od nich zaczną go szukać. Nie dotrze przed świtem do kopalni, a na równinach nie ma się gdzie ukryć, kiedy wszędzie słońce. Pozostała mu tylko jedna możliwość, jedna nadzieja. Tam też w końcu zaczną go szukać. Ale nie miał dokąd iść.

Groshik chyba jeszcze nie spał, bo otworzył drzwi w sekundę potem, jak Des zaczął w nie walić. Neimoidianin jednym rzutem oka objął zakrwawione ręce i koszulę młodzieńca i złapał go za rękaw.

– Właż – skrzeknął, szarpnięciem wciągając Desa do środka. – Ranny? Des pokręcił głową.



– Nie sędzę. To nie moja krew.

Neimoidianin cofnął się o krok i uważnie zlustrował go wzrokiem.

– Dużo jej. Za dużo. Czuć człowiekiem.

Kiedy Des nie odpowiedział, Groshik odważył się zgadywać

– Gerd?

Kolejny przeczący ruch głowy.

– Chorąży.

Groshik opuścił głowę i zaklął.

– Kto o tym wie? Szukają cię już?

– Jeszcze nie, ale wkrótce. – A potem, jakby próbując się usprawiedliwić, dodał: – Ich było trzech, Groshik. Tylko jeden nie żyje.

Stary przyjaciel ze współczuciem pokiwał głową.

– Jestem pewien, że on sam był sobie winien. Tak jak i Gerd. Ale to nie zmienia faktu, że żołnierz Republiki został zabity... i wszystko będzie na ciebie.

Właściciel kantyny zaprowadził Desa do baru i zdjął z półki butelkę brandy. Bez słowa nalał i tym razem nie ograniczył się do pół szklanki.

– Przepraszam, że przyszedłem tutaj – rzekł Des, chcąc przerwać niezręczne milczenie. – Nie chciałem cię do tego mieszać.

– Nie przejmuję się tym – odparł Groshik, uspokajająco klepiąc go po ramieniu. – Teraz tylko myślę, jak nas z tej opresji wyciągnąć.

Wychylili brandy. Des z ogromnym trudem powstrzymywał panikę. W każdej chwili spodziewał się tuzina ludzi w zbrojach KGZR włamujących się do kantyny. Po czasie, który jemu wydawał się godziną a w istocie nie minęła chyba nawet minuta, Neimoidianin się odezwał. Mówił cicho i Des nie był pewien, czy zwraca się do niego, czy też mamrocze pod nosem, żeby pomóc sobie w myśleniu.

– Nie wolno ci tu zostać. Kompania nie może sobie pozwolić na stratę kontraktów z Republiką. Przewrócą kolonię do góry nogami, żeby cię znaleźć. Musimy cię stąd wywieźć. – Urwał. – Ale do rana twoja twarz będzie na wszystkich wideoekranach w całej Republice. Zmiana wyglądu niewiele da. Nawet w peruce czy z maską będziesz się wyróżniał w tłumie. Więc musimy cię wywieźć poza przestrzeń Republiki... a to oznacza...

Des czekał z nadzieją w oczach.

– Wszystko to, co powiedziałeś dzisiaj – zaczął Groshik. – O Sithach i Republice. Czy mówiłeś to szczerze? Całkiem szczerze?

– Nie wiem. Chyba tak.

Nastąpiło kolejne dłuższe milczenie, jakby barman zbierał siły.

– Co byś pomyślał, gdybyś mógł dołączyć do Sithów? – wypalił nagle. Des był kompletnie zaskoczony.

– Co?

– Znam... ludzi. Mogą cię stąd wywieźć. Dzisiaj. Ale ci ludzie nie szukają pasażerów. Sithom potrzebni są żołnierze. Zawsze werbują, tak samo jak żołnierze Republiki.

Des pokręcił głową.

– Nie wierzę. Pracujesz dla Sithów? Ty, który zawsze mówiłeś, że nie zajmujesz w tym sporze stanowiska?

– Nie pracuję dla Sithów – warknął Groshik. – Znam ludzi, którzy dla nich pracują. Znam też takich, którzy pracują dla Republiki, ale oni nam nie pomogą w tej sytuacji. Więc muszę wiedzieć, Des. Czy tego właśnie chcesz?

– Nie mam wielu innych możliwości – mruknął Des.

– Może tak, a może nie. Jeśli zostaniesz tutaj, Kompania z pewnością cię znajdzie. To nie było morderstwo z zimną krwią. Prawdopodobnie sąd nie uzna tego za samoobronę, ale będą musieli przyznać, że były okoliczności łagodzące. Odsłużyysz swoje w kolonii karnej – pięć, może sześć lat – i znów będziesz wolny.

– Albo dołączę do Sithów.

Groshik skinął głową.

– Albo dołączysz do Sithów. Ale jeśli mam ci w tym pomóc, muszę być pewien, że wiesz, w co się pakujesz.

Des myślał jakiś czas, ale niezbyt długo.

– Przez całe życie starałem się wydostać z tej kupy skał – rzekł wolno. – Jeśli pojedę na planetę więzienną, to zamienię jeden nagi, cholerny świat na inny. Nie ma różnicy, czy tu, czy tam. Jeśli dołączę do Sithów, wydostanę się przynajmniej spod władzy Kompanii. A sam słyszałeś, co powiedział komandor. Sithowie mają szacunek dla siły. Chyba dam sobie radę.

– W to nie wątpię – zgodził się Groshik. – Ale nie lekceważę wszystkiego, co powiedział komandor. Miał rację co do Bractwa Ciemności. Oni potrafią być bezlitośni i okrutni. W niektórych ludziach budzą najgorsze instynkty. Nie chcę, abyś wpadł w tę pułapkę.

– Najpierw każesz mi do nich wstępować – rzekł Des – a teraz mnie przed tym przestrzegasz. Co się dzieje?

Neimoidianin wydał bulgotliwe westchnienie.

– Masz rację, Des. Decyzja już została podjęta. Ponury los i zła passa sprzysięgły się przeciwko tobie. To nie tak, jak w sabaku... nie możesz spasować, kiedy masz złe karty. W życiu musisz grać tym, co masz. – Odwrócił się powoli i ruszył w kierunku schodków na tyłach kantyny. – Chodź ze mną. Za kilka godzin, kiedy już przeszukają wszystkie domostwa w kolonii, zaczną szukać w porcie. Jeśli mamy cię bezpiecznie ukryć w jednym z ich frachtowców, musimy się teraz pospieszyć.

Des wyciągnął rękę i położył na ramieniu Groshika. Groshik odwrócił się w jego stronę i Des chwycił szczupły przegub Neimoidianina.

– Dzięki, stary przyjacielu. Nie zapomnę ci tego.

– Wiem o tym, Des. – Słowa były łagodne, ale w chropowatym głosie krył się wyraźny smutek.

Des opuścił rękę, czując zakłopotanie, wstyd, strach, wdzięczność i podniecenie – wszystko naraz. Wydawało mu się, że powinien coś jeszcze powiedzieć, więc dodał:

– Jakoś ci to wynagrodzę. Kiedy znów się spotkamy...

– Twoje życie tutaj dobiegło końca, Des – uciał Groshik. – Nie będzie żadnego znów. Nie dla nas.

Pokręcił smutno głową.

– Nie wiem, co cię czeka, ale mam wrażenie, że nie będzie to nic łatwego. Nie licz na pomoc innych. W końcu zawsze i tak zostajemy sami. Przeżyją tylko ci, którzy wiedzą, jak się sobą zaopiekować.

Z tymi słowami odwrócił się i rażno szurając nogami po podłodze, skierował się do tylnego wyjścia. Des zawahał się na chwilę. Słowa Groshika płonęły mu w mózgu. W końcu zdecydowanym krokiem ruszył za Neimoidianinem.

Skulony w ładowni Des usiłował ułożyć się wygodnie. Już od prawie godziny siedział wciśnięty w niewielki otwór na stateczku przemytniczym. Ledwo się w nim mieścił.

Dwadzieścia minut temu pojawił się patrol Kompanii, aby dokonać rewizji. Nie szukali dokładnie: skoro nie znaleźli uciekiniera, natychmiast opuścili pokład. Kilka sekund później kapitan, rodniański pilot, ostro zastukał w panel, za którym ukrywał się Des.

– Siedzisz tam, aż usłyszysz silniki! – zawołał w całkiem niezłym wspólnym galaktycznym. – Wylecimy, to wtedy wyjdiesz. Nie wcześniej.

Des nie rozpoznał go, kiedy wszedł na pokład. Wyglądał jak każdy inny Rodianin, których tu widywał. Jeszcze jeden niezależny kapitan frachtowca, zabierający ładunek cortosis w nadziei, że sprzeda ją na innych światach za taką cenę, która pozwoli mu latać przez kolejnych kilka miesięcy.

Gdyby Kompania zaoferowała nagrodę za schwytanie Desa, kapitan pewnie by się nie wahał i go sprzedał. Oznaczało to, że szefostwo KGZR nie nałożyło ceny na jego głowę. Bardziej żałowałiby kredytów na nagrodę niż tego, że przestępca umknął przed sprawiedliwością Republiki. Nieważne, czy go znajdą, czy nie; liczy się, że próbowali. Groshik na pewno zdawał sobie z tego sprawę, kiedy załatwiał przemycenie Desa na pokład.

Wysoki gwizd silników sprawił, że Des musiał mocno zaprzeć się o ściany swojego więzienia. W kilka sekund później gwizd przerodził się w ogłuszający ryk i statek podskoczył. Repulsory odpaliły, równoważąc pojazd, i Des poczuł przeciążenie, kiedy statek wystrzelił w niebo.

Kopnął w panel, odsunął go i ostrożnie wydobył się z kryjówki. Kapitana i załogi nie było widać. Wszyscy widocznie znajdowali się na swoich stanowiskach podczas startu.

Des nie wiedział, dokąd lecą. Wiedział jedynie, że u kresu drogi będzie na niego czekała kobieta, która wciągnie go do armii Sithów. Tak jak poprzednio, myśl ta napelniała go mieszanymi uczuciami, z których najsilniejsze były strach i podniecenie.

Statek zadygotał lekko, kiedy wyleciał z atmosfery i zaczął oddalać się od małego górniczego świata. W chwilę później Des poczuł nieznane, ale nieomyłne drżenie, kiedy statek wszedł w nadprzestrzeń.

Ogarnęło go nieprawdopodobne, nagłe uczucie swobody. Był wolny. Po raz pierwszy w życiu znajdował się poza chciwym zasięgiem Kompanii i jej kopalni cortosis. Groshik powiedział, że ponury los i zła passa sprzysięgły się przeciwko niemu, ale Des nie był już tego taki pewien. Nie wszystko poszło tak, jak planował – był uciekinierem z krwią żołnierza Republiki na sumieniu – ale wreszcie uciekł z Apatrosa.

Może karty, które otrzymał, nie są aż takie złe. W końcu dostał to, czego chciał najbardziej. A kiedy już to masz, czyż to nie jedyne, co powinno się liczyć?

## ROZDZIAŁ 6

Żółte słońce Phaseery, teraz w zenicie, zalewało światłem soczyście zieloną dolinę i obóz w dżungli, gdzie czekali Des i jego towarzysze z armii Sithów. Pod osłoną drzewa cydery, dla zabicia czasu, Des dokonał szybkiego sprawdzenia systemów rusznicy laserowej TC-22. Akumulator był w pełni naładowany, starczy na pięćdziesiąt strzałów. Zapasowy też się spisywał. Celownik lekko zbaczał, jak zwykle w modelach TC. Miały dobre zasięg i moc, ale z czasem ich teleskopy traciły precyzyjną kalibrację. Szybka korekta przywróciła właściwą celność.

Jego dłonie poruszały się szybko i pewnie po tysiącach powtórzeń. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy ćwiczył te czynności tyle razy, że wykonywał je niemal odruchowo. Sprawdzenie broni przed bitwą było standardową praktyką w milicji Sithów, ale również zwyczajem, który sobie wpoił, a który w wielu przypadkach uratował mu życie. Armia Sithów rosła tak szybko, że zaopatrzenie nie mogło nadążyć za popytem. Najlepszy sprzęt zarezerwowany był dla weteranów i oficerów, a nowi rekruci musieli sobie radzić z tym, co pod ręką.

Teraz, kiedy został sierżantem, mógł zażądać lepszego modelu, ale TC-22 był pierwszą bronią, z której nauczył się strzelać i nabrał sporej wprawy. Des uznał, że trochę rutyny serwisu jest lepszą opcją niż nauka subtelnych niuansów obsługi innej broni.

Jego miotacz był i tak najnowocześniejszym egzemplarzem serii. Nie wszystkim żołnierzom Sithów dawano pistolety; dla większości samopowtarzalna rusznica średniego zasięgu była całkowicie wystarczającym uzbrojeniem. Zginęliby dużo wcześniej, niż zbliżyliby się do nieprzyjaciela na odległość strzału z pistoletu. W ciągu ostatniego roku Des udowodnił wiele razy, że jest czymś więcej niż mięsem armatnim. Żołnierze dość dobrzy, aby przeżyć pierwsze ataki i znaleźć się wśród szeregów nieprzyjaciela, potrzebowali broni do walki na bliższe odległości.

Dla Desa taką bronią był GSI-21D, najlepszy pistolet dezintegrujący, jaki wyprodukował Galactic Solutions Industries. Optymalny zasięg wynosił zaledwie dwadzieścia metrów, ale z tej odległości niszczył bezlitośnie i z równą skutecznością zbroję, ciało i obudowy robotów. Model 21D był nielegalną bronią w większości sektorów kontrolowanych przez Republikę, co dobitnie świadczyło o jego niszczycielskich możliwościach. Akumulator wystarczał na

zaledwie dwanaście strzałów, ale oko w oko z przeciwnikiem rzadko potrzeba było więcej niż jeden.

Wsunął pistolet do kabury przy pasie, sprawdził wibroostrze w cholewie buta i obejrzał się na swój oddział. Siedzący wokół mężczyźni i kobiety poszli za jego przykładem, w oczekiwaniu na rozkazy dokonując inspekcji własnej broni. Uśmiechnął się pod nosem – dobrze ich przeszkolił.

Wstąpił do armii Sithów, aby uciec przed więzieniem i kopalniami Apatrosa, ale nie potrzebował dużo czasu, aby naprawdę polubić życie żołnierza. Kobiety i mężczyźni walczących u jego boku łączyło szczere koleżeństwo i wkrótce więź ta objęła również samego Desa. Nigdy nie czuł się w żaden sposób związany z górnikiem na Apatrosie, zawsze uważał się za samotnika. Za to w wojsku odnalazł swoje miejsce. Był tu u siebie, wraz z oddziałem. Swoim oddziałem.

Starszy szturmowiec Adanar zauważył jego spojrzenie i odpowiedział lekkim, dwukrotnym uderzeniem pięści w pierś, tuż nad sercem. Był to gest znany jedynie ludziom z oddziału: szczególny znak lojalności i wierności, symbol więzi, która ich łączyła.

Des powtórzył gest. On i Adanar byli w tym samym oddziale praktycznie od początku kariery wojskowej. Werbownik przypisał ich razem do Wędrowców Mroku, oddziału porucznika Ulabore'a.

Adanar wziął strzelbę i prześliznął się bliżej przyjaciela.

– Hej, sierzancie, jak sądzisz, przyda nam się ten twój pistolet w najbliższym czasie?

– Nie zaszkodzi się przygotować – odparł Des, wrywając broń z kabury i robiąc nią popisowego młynka, aby zaraz znów schować.

– Mogliby nas już wypuścić – burknął Adanar. – Siedzimy na tyłku od dwóch dni. Jak długo jeszcze każą nam czekać?

Des wzruszył ramionami.

– Nie możemy atakować, dopóki nie będą gotowi z głównymi siłami. Jeśli wyskoczymy wcześniej, cały plan szlag trafi.

Wędrowcy Mroku w ciągu ostatniego roku wyrobili sobie znakomitą reputację. Brali udział w dziesiątkach bitew na wielu światach i zwyciężali o wiele częściej niż inne oddziały. Przeszli drogę od jednego z wielu oddziałów liniowych do elitarnej formacji zarezerwowanej na krytyczne misje. Teraz stanowili kluczowy element przejścia przemysłowego świata Phaseery – tylko ktoś musiał im dać rozkaz do ataku. Do tego czasu byli uwięzieni w obozowisku w dżungli o godzinę drogi od celu. Tkwili tu zaledwie kilka dni, a już mieli dość.

Adanar zaczął krążyć wokół. Des siedział spokojnie w cieniu, wodząc za nim wzrokiem.

– Nie męcz się – rzekł wreszcie. – Nie ruszymy się nigdzie przed zmrokiem. Równie dobrze możesz sobie odpocząć.

Adanar zatrzymał się, ale nie usiadł.

– Porucznik twierdzi, że to będzie łatwe jak przemyt przyprawy – zagadnął, usiłując zachować niedbały ton. – Myślisz, że ma rację?

Porucznik Ulabore zebrał wiele pochwał za sukcesy swojego oddziału, ale wszyscy doskonale wiedzieli, kto naprawdę dowodzi, kiedy strzały zaczynają świstać koło uszu.

Fakt ten stał się boleśnie odczuwalny mniej więcej rok temu na Kashyyyk, kiedy Des i Adanar po raz pierwszy ruszyli do walki. Bractwo Ciemności próbowało zapewnić sobie posterunek w Środkowych Rubieżach, najeżdżając ten system i wysyłając kolejne oddziały, by przejąć bogaty w zasoby świat Wookiech. Planeta ta była jednak twierdzą Republiki i nie miała zamiaru się poddać, nawet wobec przewagi liczebnej wroga.

Kiedy Sithowie wylądowali po raz pierwszy, ich przeciwnik po prostu zniknął w lesie. Inwazja zmieniła się w wojnę pozycyjną – długą rozciągniętą w czasie kampanię, prowadzoną pośród gałęzi drzew wroshyr wysoko ponad powierzchnią planety. Żołnierze Sithów nie byli przyzwyczajeni do walki na drzewach, a gęste listowie i pnącza kshyy w koronach stanowiły doskonałą kryjówkę dla żołnierzy Republiki i ich przewodników Wookie. Zakładali pułapki i prowadzili ataki partyzanckie. Tysiące i tysiące najeźdźców zostało zmiecionych z powierzchni planety, większość ginęła, zanim jeszcze ujrzała nieprzyjaciela który do nich strzelił... ale mistrzowie Sithów wysyłali po prostu kolejne oddziały.

Wędrowcy Mroku znajdowali się w drugiej fali posiłków. W czasie pierwszej bitwy oddzielili się od głównej linii frontu, odcięci od głównej armii. Samotny, otoczony przez nieprzyjaciela porucznik Ulabore spanikował. W braku bezpośrednich rozkazów nie wiedział, jak utrzymać oddział przy życiu. Na szczęście był tam Des i to on uratował ich skóry.

Przede wszystkim wyczuwał nieprzyjaciela nawet tam, gdzie nie mógł go zobaczyć. Jakoś wiedział, gdzie jest. Nie umiał tego wyjaśnić, ale dawno już przestał się tłumaczyć ze swoich niezwykłych zdolności. Mając Desa za przewodnika, Wędrowcy Mroku zdołali uniknąć pułapek i zasadzek, powoli kierując się ku głównym siłom. Kosztowało ich to trzy dni marszu, niezliczone krótkie, lecz zabójcze potyczki i dłużyły się w nieskończoność marsz przez nieprzyjacielskie terytoria, ale im się udało. W czasie wszystkich walk stracili jedynie garstkę żołnierzy a ci, którzy wrócili cało, wiedzieli, że zawdzięczają życie Desowi.

Przygoda Wędrowców Mroku szybko stała się legendą w całej armii Sithów, podnosząc morale, które spadło niebezpiecznie nisko. Jeśli pojedynczy oddział mógł samotnie przetrwać trzy dni, tysiąc takich oddziałów może zwyciężyć. W ostatecznym rozrachunku potrzeba było aż dwóch tysięcy oddziałów, lecz Kashyyyk wreszcie padł.

Jako dowódca heroicznego Wędrowców Mroku porucznik Ulabore otrzymał specjalną pochwałę. Nie pofatygował się oczywiście, by wspomnieć o roli Desa w całej wyprawie. Był jednak dość sprytny, aby promować go na sierżanta. I nadal potrafił doskonale znaleźć się gdzie indziej, kiedy sprawy przybierały gorący obrót.

– I co? – upierał się Adanar. – Co powiesz, Des? Kiedy dadzą nam wreszcie rozkaz, czy ta misja naprawdę okaże się taka prosta?

– Porucznik mówi to, co uważa, że chcemy usłyszeć.

– Wiem o tym, Des. Dlatego rozmawiam z tobą. Chcę wiedzieć, w co się naprawdę pakujemy, Des przemyślał sobie te słowa. Zaszli się w dżungli na skraju wąskiej kotliny – jedynej drogi do stolicy Phaseery, gdzie armia Republiki rozbiła swój obóz. Na wzgórzu opodal, ponad doliną, znajdował się wysunięty posterunek Republiki. Gdyby Sithowie spróbowali teraz przesunąć wojska przez kotlinę, nawet w nocy, posterunek ich zauważy. Dadzą znać do głównego obozu i obrona będzie gotowa na przyjęcie gości na długo, zanim się pojawią.

Misja Wędrowców Mroku była prosta: wyeliminować posterunek tak, aby reszta armii mogła przypuścić atak z zaskoczenia na obozowisko Republiki. Mieli skrzynki zakłócające – urządzenia o słabym zasięgu, dzięki którym mogli powstrzymać posterunek przed przesłaniem sygnału do głównego obozowiska, ale musieli uderzyć błyskawicznie. Posterunek zgłaszał się co rano o świcie, więc jeśli Wędrowcy Mroku uderzą za wcześnie, Republika zorientuje się, że coś jest nie tak, kiedy kolejny raport się nie pojawi.

Czas był krytycznym czynnikiem. Musieli zdjąć ich tuż przedtem, zanim główne siły uderzą. To da im kilka godzin na przebycie doliny i zaatakowanie nieprzygotowanego nieprzyjaciela. Wędrowcy Mroku byli gotowi, ale główne siły jeszcze nie... więc czekali.

– Martwię się – rzekł wreszcie Des. – Ten posterunek nie będzie łatwy do wzięcia. Kiedy dostaniemy sygnał, nie będzie marginesu błędów. Jeśli mają dla nas jakieś niespodzianki, możemy oczekiwać kłopotów.

Adanar splunął.

– Wiedziałem! Czuję to! Masz złe przeczucia, prawda? Znowu czeka nas Hsskhor!

Hsskhor był katastrofą. Po klęsce Kashyyyka ocaleli żołnierze Republiki uciekli na sąsiedni świat Trandosha. W pogoń za nimi wyruszyło dwadzieścia oddziałów żołnierzy Sithów, w tym i Wędrowcy Mroku. Dopadli niedobitków Republiki na pustynnych równinach pod miastem Hsskhor.

Dzień zaciętych walk pozostawił ciężkie straty po obu stronach, ale bez ostatecznego rozstrzygnięcia. Des czuł się źle przez całą bitwę, choć wtedy nie wiedział jeszcze, dlaczego. Jego niepokój wzrósł, kiedy zapadła noc i obie strony wycofały się na przeciwne krańce pola bitwy, aby się przegrupować. Trandoshanie uderzyli w kilka godzin później.

Całkowita ciemność nie była dla gadopodobnych Trandoshan żadnym problemem. Ich zmysł wzroku reagował na podczerwień. Wydawali się pojawiać znikąd, materializując się w ciemności jak wcielony koszmar.

W przeciwieństwie do Wookiech, Trandoshanie nie byli sprzymierzeni z żadną ze stron domowej wojny galaktycznej. Łowcy nagród i najemnicy z Hsskhor siali zniszczenie w szeregach Republiki i Sithów bez rozróżnienia; nie obchodziło ich, z kim walczą jak długo mogli obrabować zwłoki.



Szczegółów masakry nigdy nie podano do publicznej wiadomości. Des znajdował się w samym środku rzezi, ale nawet on z trudem tylko składał strzępy wspomnień.

Atak złapał Wędrowców Mroku, tak samo jak inne oddziały, całkowicie zniemacka. Zanim weszło słońce, połowa wojsk Sithów została wycięta w pień. Des stracił w tej jatce wielu przyjaciół... przyjaciół, których mógł uratować, gdyby większą uwagę zwracał na mroczne przeczucia, jakie nim targnęły, kiedy postawił stopę na tym przeklętym pustynnym świecie. I poprzysiągł, że nigdy więcej nie dopuści, aby Wędrowcy Mroku znów znaleźli się w takiej pułapce.

Ostatecznie Hsskhor zapłacił wysoką cenę za tę akcję. Z Kashyyyka przysłano posiłki, które pokonały zarówno żołnierzy Republiki, jak i Trandoshan. Sithowie potrzebowali mniej niż tydzień, aby zwyciężyć, a niegdyś dumne miasto zostało splądrowane i zrównane z ziemią. Wielu z Trandoshan po prostu się poddało, by ocalić swoje domy, i zaoferowało Sithom usługi. Z zawodu byli najemnikami i łowcami nagród, z natury drapieżnikami. Nie obchodziło ich, dla kogo pracują, jak długo mieli szansę dalej zabijać. Nie trzeba mówić, że Sithowie przyjęli ich z otwartymi ramionami.

– To nie będzie powtórka z Hsskhor – zapewnił Des nerwowego towarzysza. Istotnie, znowu miał to samo nieprzyjemne uczucie, ale tym razem wyglądało ono nieco inaczej. Miało stać się coś wielkiego, ale Des nie potrafił powiedzieć, czy to będzie dobre, czy nie.

– Chodź, Des – przyciskał go Adanar. – Chodź pogadać z Ulabore'em. On cię czasem słucha.

– I co mam mu powiedzieć?

Adanar z rozpaczą podniósł rękę.

– Nie wiem! Powiedz, że masz złe przeczucia. Niech się skontaktuje z centralą i powie, żeby nas odwołali. Albo przekona ich, żeby nas wypuścili! Nie możemy tu siedzieć jak kupa martwych szczurów gnijących na słońcu!

Zanim Des zdążył odpowiedzieć, jeden z młodszych żołnierzy, kobieta imieniem Lucia, podbiegła do nich i zaszalutowała służbiście.

– Sierzancie! Porucznik Ulabore rozkazuje zebrać pańskich żołnierzy przed jego namiotem. Za trzydzieści minut do nich przemówi – powiedziała podekscytowanym, niecierpliwym tonem.

Des uśmiechnął się do przyjaciela.

– Myślę, że wreszcie mamy nasze rozkazy.

Żołnierze stali na baczność, kiedy porucznik i Des dokonywali przeglądu. Jak zwykle, przegląd polegał na tym, że Ulabore chodził tam i z powrotem przed szeregami, pomrukując z aprobatą i kiwając głową. Było to głównie na pokaz, żeby się wydawało, że Ulabore ma jakiś udział w sukcesie misji.

Po chwili porucznik wrócił na czoło kolumny i zrobił zwrot, stając twarzą do żołnierzy. Des ustawił się plecami do żołnierzy, przodem do oficera.

– Wszyscy wiedzą, jaki jest cel naszej misji – zaczął Ulabore piskliwym, donośnym głosem. Des domyślił się, że słowa miały rozbrzmiewać autorytetem, a nie zgrzytać.

– Szczegóły misji pozostawiam do omówienia sierżantowi – ciągnął porucznik. – Nasze zadanie nie jest łatwe, ale czasy, kiedy Wędrowcy Mroku mieli łatwe zadania, dawno minęły. Nie mam wiele więcej do powiedzenia. Wiem, że równie jak ja palicie się do zakończenia tego długiego oczekiwania. Z radością informuję was, że dostaliśmy rozkaz do wymarszu. Za godzinę ruszamy na posterunek Republiki.

Pośród szeregów rozległy się przerażone jęki i głośnie szepty niedowierzania. Ulabore cofnął się, jakby dostał w twarz. Chyba oczekiwał radości i wiwatów, a ten nagły niepokój i brak dyscypliny wstrząsnęły nim do głębi.

– Wędrowcy Mroku, cisza! – Warknął Des.

Podszedł do porucznika i zniżył głos.

– Czy jest pan pewien, że takie są rozkazy? Ruszać za godzinę? Nie chodziło o godzinę po zapadnięciu zmroku?

– Co, kwestionujesz moje słowa, sierżancie? – warknął Ulabore, nie próbując nawet zniżyć głosu.

– Nie, panie. Tyle tylko, że jeśli wyruszymy za godzinę, wciąż będzie jasno. Zobaczą nas.

– Zanim nas spostrzegą, będziemy dość blisko, by zablokować im łączność – odparł porucznik. – Nie zdążą dać znać do obozowiska.

– Nie o to chodzi. Chodzi o kanonierki. Mają trzy kanonierki repulsorowe wyposażone w ciężkie samopowtarzalne działka płomieniowe. Jeśli spróbujemy zaatakować posterunek w ciągu dnia, skoszą nas z powietrza.

– To misja samobójcza! – zawołał ktoś z szeregów.

Oczy Ulabore'a zmieniły się w wąskie szparki, twarz poczerwieniała.

– Główna armia ruszy o zmroku, sierżancie – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Chcą przebyć dolinę pod osłoną ciemności i zaatakować bazę Republiki o świcie.

– Więc tym bardziej nie ma powodu, abyśmy wyruszali tak wcześnie – odparł Des, walcząc z rosnącą irytacją. – Jeśli wyruszą o zmroku, będą potrzebować co najmniej trzech godzin, żeby dotrzeć do doliny. To daje nam mnóstwo czasu na zdobycie posterunku, zanim tu dotrą, nawet jeśli zaczekamy do wieczora.

– Widzę, że nie rozumiesz, co się dzieje, sierżancie – tłumaczył Ulabore, jakby przekonując uparte dziecko. – Siły główne nie ruszą, dopóki nie dostaną raportu, że my zakończyliśmy misję. Dlatego musimy wyruszyć teraz.

To miało sens. Generałowie nie będą ryzykować głównych sił, dopóki nie zyskają pewności, że dolina jest bezpieczna. Wysyłanie jednak Wędrowców w bój w świetle dnia gwarantowało co najmniej pięciokrotnie większą liczbę ofiar.

– Musi pan skontaktować się ze sztabem i wyjaśnić im sytuację – rzekł Des. – Nie poradzimy sobie z kanonierkami w powietrzu. Musimy czekać, aż wylądują na noc. Muszą zrozumieć, z czym walczymy.

Porucznik udał, że nie słyszy jego słów.

– Generałowie przekazali rozkazy mnie, a ja przekazuję je tobie – warknął. – A nie na odwrót. Armia wyrusza o zmierzchu, nie będziemy tego zmieniać, żeby się do ciebie dopasować!

– Wcale nie będą musieli zmieniać planów – upierał się Des.

– Jeśli wyruszymy natychmiast po zmroku, i tak zdążymy zająć posterunek, zanim oni dotrą do doliny. Wysłanie nas teraz to...

– Dość! – warknął porucznik. – Przestań biadolić jak banth odcięty od stada. Masz swoje rozkazy, teraz się do nich zastosuj! A może chcesz się dowiedzieć, co spotyka żołnierzy, którzy się stawiają starszym oficerom?

Nagle Des zrozumiał, o co chodzi. Ulabore doskonale wiedział, że rozkaz był pomyłką, ale za bardzo się bał, żeby coś z tym zrobić. Widocznie pochodził w prostej linii od jednego z mrocznych lordów. Ulabore będzie wolał poprowadzić swoich ludzi na śmierć niż stawić czoło mistrzowi Sithów. Ale Des nie pozwoli mu wysłać Wędrowców Mroku na zgnębienie. Nie będzie powtórki z Hsskhor. Zawahał się tylko sekundę, po czym rąbnął porucznika pięścią w podbródek, pozbawiając go przytomności.

Ulabore ciężko upadł na ziemię wśród zdumionego milczenia oddziału. Des szybko pozbawił broni nieprzytomnego, po czym odwrócił się i wskazał na parę najmłodszych rekrutów.

– Wy dwaj, miejcie go na oku. Ma mu być wygodnie, jeśli się ocknie, ale nie dopuszczajcie go do komunikatora.

Oficerowi łącznościowemu polecił:

– Tuż przed zmierzchem wyślesz do sztabu informację, że nasza misja została zakończona sukcesem i mogą przemieścić główne siły do doliny. To daje nam dwie godziny na załatwienie sprawy, zanim się tu zjawią.

Teraz zwrócił się do pozostałych żołnierzy.

– To, co tu się w tej chwili dzieje, to bunt – rzekł powoli. – Istnieje ryzyko, że każdego, kto od tej chwili pójdzie za mną, czeka sąd polowy, kiedy to wszystko się skończy. Jeśli ktokolwiek z was uważa, że nie jest w stanie wykonywać moich rozkazów po tym, co teraz zobaczył, powiedzcie o tym teraz, a ja przekażę dowództwo nad resztą misji starszemu szturmowcowi Adanarowi.

Spojrzał na żołnierzy. Przez chwilę nikt się nie odzywał, po czym wszyscy jak jeden mąż podnieśli pięści i dwukrotnie lekko uderzyli się w piersi, tuż ponad sercem.

Desa rozpiełała duma. Musiał przełknąć ślinę kilka razy, zanim wydał oddziałowi... swojemu oddziałowi, ostatni rozkaz.

– Wędrowcy Mroku, spocznij!

Szeregi rozpadły się na dwu – i trzyosobowe grupki, szepczące cicho między sobą. Adanar odłączył się od reszty i podszedł do Desa.

– Ulabore nie zapomni ci tego – rzekł cicho. – Co z nim zrobisz?

– Kiedy weźmiemy ten posterunek, będą chcieli odznaczyć dowódcę – rzekł Des. – Jestem pewien, że będzie wolał się zamknąć i przełknąć zniewagę, niż ktokolwiek miałby się dowiedzieć, co tu się naprawdę stało.

Adanar chrząknął.

– Zdaje się, że wszystko sobie przemyślałeś.

– Nie całkiem – wyznał Des. – Wciąż jeszcze nie wiem jak mamy wziąć ten posterunek.

## ROZDZIAŁ 7

Posterunek zlokalizowany był na polance na szczycie płaskowyżu ponad doliną. Pod osłoną nocy Wędrowcy Mroku otoczyli go bezszelestnie, przemykając między drzewami. Des podzielił oddział na cztery drużyny i każda podchodziła pod cel z innego kierunku. Każda drużyna miała też aparat interferencyjny.

Ustawili i włączyli aparaty, kiedy znaleźli się w promieniu mniejszym niż pół kilometra od celu, blokując wszystkie transmisje. Drużyny dotarły do skraju polanki i zatrzymały się, czekając, aż Des da im sygnał do ataku. Bez komunikacji pomiędzy drużynami – aparaty interferencyjne blokowały również ich własną łączność – najbardziej niezawodnym sygnałem był strzał z miotacza.

Patrząc na trzy kanonierki spoczywające na lądowisku na dachu budynku posterunku, Des poczuł w głębi żołądka znajome uczucie. Wszyscy żołnierze czuli to samo przed bitwą, czy się do tego przyznawali, czy nie: strach. Strach przed klęską, przed śmiercią, przed widokiem umierających przyjaciół; strach przed ranami, przed spędzeniem reszty życia jako kaleka lub oszpecony potwór. Strach był zawsze i pożerał ich, jeśli mu ustąpili.

Des wiedział, jak ten strach obrócić na swoją korzyść. Weź to, co czyni cię słabym, i spraw, aby uczyniło cię silnym. Zmień strach w gniew i nienawiść: nienawiść do wroga, do Jedi, do Republiki. Nienawiść daje siłę, a siła daje zwycięstwo.

Desowi taka transformacja przychodziła łatwo, gdy tylko zaczynał walczyć. Syn agresywnego ojca przemieniał strach w gniew i nienawiść od najmłodszych lat. Może dlatego był takim dobrym żołnierzem. Może dlatego inni chętnie widzieli w nim dowódcę.

Teraz także czekali na jego sygnał; czekali, aż on odda pierwszy strzał. Załoga posterunku miała przewagę liczebną nad Wędrowcami prawie jak dwa do jednego: potrzebowali zaskoczenia, aby wyrównać szanse. Kanonierki były jednak problemem, którego Des nie przewidział.

Polanka była otoczona mocnymi reflektorami, które oświetlały wszystko w promieniu stu metrów od posterunku. Mimo że pojazdy repulsorowe znajdowały się teraz na ziemi, na otwartej platformie z tyłu każdej kanonierki stał żołnierz obsługujący wieżyczki strzelnicze. Pancerne ściany platformy sięgały mu do pasa, co dawało artylerzyście pewne schronienie, a sama wieżyczka z działkiem też była grubo opancerzona przed ogniem nieprzyjacielskim.

Z lądowiska na dachu strzelcy mieli doskonały widok na otoczenie. Jeśli Des odda ten pierwszy strzał, pozostałe oddziały wyjdą na polankę i zaczną atakować pod gęstym, samopowtarzalnym ostrzałem nieprzyjaciela. Zostaną rozerwani na strzępy jak zucca wrzucona do jaskini rankora.

– O co chodzi, sierzancie? – zapytał jeden z żołnierzy z jego oddziału. Była to Lucia, młodziutka szeregowka, która wcześniej przyniosła mu rozkaz Ulabore’a. – Na co czekamy?

Było już za późno, żeby odwołać misję. Główna armia już wyruszyła; zanim Des dotrze do obozu, żeby ich ostrzec, będą w połowie doliny.

Spojrzał na młodą szeregowką i zauważył lunetkę na jej broni. Lucia miała miotacz dalekiego zasięgu TC-17. Jej palce aż zbieleły z lęku i zniecierpliwienia, gdy zaciskała je na broni. Do tej pory widziała tylko niewielkie potyczki, dopóki nie przydzielono jej do Wędrowców, ale Des wiedział, że była jednym z najlepszych strzelców w oddziale. TC-17 miał tylko dwanaście strzałów na jednej baterii, ale zasięg zdecydowanie większy niż sto metrów.

Każdy z czterech oddziałów miał przydzielonego snajpera. Po rozpoczęciu ataku ich zadaniem była obserwacja obrzeży pola walki i dopilnowanie, aby żaden z żołnierzy Republiki nie wymknął się i nie ostrzegł obozu.

– Widzisz tych żołnierzy na kanonierkach? Tych przy działkach rozbłyskowych? – zapytał.

Skinęła głową.

– Jeśli się od nich nie uwolnimy, zamienią nasze oddziały w mięso armatnie mniej więcej w dziesięć sekund od rozpoczęcia bitwy.

Znów przytaknęła z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Des starał się mówić spokojnie i rzeczowo, aby ją uspokoić.

– Żołnierzu, przemyśl to gruntownie. Jak szybko dasz radę ich stamtąd zdjąć? Zawahała się.

– Nie... nie wiem nawet, czy w ogóle dam radę, sierzancie. Nie wszystkich. Nie pod tym kątem. Na pewno zestrzelę pierwszego, ale kiedy on upadnie, pozostali prawdopodobnie zdążą się ukryć, zanim ich wezmę na cel. Na pewno schowają się na platformach. A jeśli nawet uda mi się zdjąć strzelców, na tym dachu jest jeszcze sześciu innych, którzy zajmą ich miejsce. Nie będę w stanie zestrzelić dziewięciu tak szybko... nie sama, sierzancie. Nikt tego nie potrafi.

Des zagryzł wargi i zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem. Były tylko trzy kanonierki. Gdyby zdołał przekazać wiadomość snajperowi w każdym oddziale i rozkazał im wystrzelić dokładnie jednocześnie, mogliby zdjąć niczego niepodejrzewających strzelców... choć i tak musieliby zmierzyć się z kolejnymi sześcioma żołnierzami, którzy zajmą miejsce zabitych.

Zaklął w duchu. Nigdy mu się to nie uda. Przez te skrzynki nie zdoła w porę przekazać rozkazu do innych grup.

Wziął karabin snajperski z rąk Lucii, podniósł do oka i spojrzął przez lunetkę. Szybko powiódł wzrokiem po dachu, odnotowując pozycję każdego z żołnierzy Republiki. Powiększenie było takie, że mógł bez problemu dostrzec poruszające się usta.

Sytuacja była właściwie beznadziejna. Posterunek był kluczem do przejścia Phaseery, a wieżyczki strzelnicze na dachu były kluczem do wzięcia posterunku. Desowi skończyły się pomysły i czas także się kończył.

Poczuł silniejszy niż przedtem strach i odetchnął głęboko, aby oczyścić umysł. Adrenalina zaczęła sączyć się do jego żył. Skierował strach tak, aby dawał mu siłę i moc. Wycelował w pierwszego ze strzelców i poczuł, że wzrok przesłania mu czerwona chmura. Strzelił.

Działał instynktownie, poruszając się zbyt szybko, aby kierowały nim świadome myśli. Nie widział, kiedy upadł pierwszy żołnierz. Lunetka przesuwiała się już ku kolejnemu. Drugi strzelec zdążył tylko wytrzeszczyć oczy, zanim Des strzelił i przeszedł do trzeciego, kobiety. Ona jednak widziała upadek pierwszego strzelca i zdążyła ukryć się za zbrojoną burtą kanonierki.

Des oparł się impulsowi strzelania na oślep i przesuwał lunetkę tam i z powrotem, daremnie próbując znaleźć okazję do strzału. Noc eksplodowała kanonadą strzałów z lasera, krzykami, tupotem stóp, kiedy Wędrowcy Mroku wypadli z ukrycia i ruszyli na posterunek. Wykonali rozkaz co do joty, atakując przy pierwszym strzale. Des wiedział, że ma tylko kilka sekund, zanim wieżyczki otworzą ogień i zmienią polankę w pole śmierci, ale nie znajdował okazji, by trafić trzeciego strzelca.

Desperacko wodził lunetką to w jedną, to w drugą stronę, szukając nowego celu na dachu. Nagle dostrzegł żołnierza, przycupniętego obok małego kanistra. Żołnierz nie ruszał się, zasłonił twarz dłońmi, jakby chroniąc oczy. Strzał Desa trafił go prosto w pierś... i w tym momencie urządzenie u jego stóp zdetonowało.

– Kanister rozbłykowy! – wrzasnęła Lucia, ale jej ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Obraz w lunecie zniknął za ostrym, białym rozbłyskiem, który na chwilę oślepił Desa.

Teraz jednak, kiedy przestał widzieć, nagle zobaczył wszystko bardzo wyraźnie. Znał pozycję każdego żołnierza, chociaż się pochowali: mógł dokładnie określić, gdzie są i dokąd zmierzają.

Kobieta na trzeciej wieżyczce kierowała swoje działko na nadbiegającą falę żołnierzy. W podnieceniu wystawiła głowę nad burtę platformy, stając się najmniejszym z możliwych celów. Des załatwił ją jednym strzałem, który wleciał jej jednym uchem, a wyleciał drugim.

Wydawało się, że czas zwolnił. Spokojnie, ze śmiertelną precyzją skierował karabin na kolejną kobietę, trafiając ją prosto w serce. W chwilę potem trafił siedzącego obok niej żołnierza pomiędzy zimne, niebieskie oczy. Potem strzelił w plecy kolejnego mężczyzny,

który kierował się do najbliższego działka. Następny zdażył tylko wspiąć się na jedną z drabinek platformy, kiedy promień lasera dosięgnął go w udo. Stracił równowagę i spadł, a Des przestrzelił mu pierś, zanim jeszcze dotarł do ziemi.

Zastrzelił ośmiu z dziewięciu żołnierzy w mniej niż trzy sekundy. Ostatni rzucił się ku krawędzi lądowiska, mając nadzieję, że ucieknie, zeskakując z dachu po drugiej stronie budynku. Des pozwolił mu przebiec kilka kroków. Czuł strach, który omywał falami jego przerażoną ofiarę, i rozkoszował się nim tak długo, jak mógł. Żołnierz skoczył z dachu i przez moment wydawało się, że zawisł w powietrzu. Des wpakował w niego ostatnie trzy strzały, wyczerpując baterię.

Oddał Lucii broń, mrugając szybko, kiedy łzy napływające do oczu zaczęły przemywać oślepienie siatkówki. Efekty kanistra rozbłyskowego były tylko tymczasowe, wzrok już zaczynał mu wracać. A cudowne drugie widzenie, którego doświadczył, umykało mu...

Przetarł oczy, wiedząc, że nie czas na zastanawianie się nad tym, co się właśnie stało. Wyeliminował strzelców, ale załoga posterunku wciąż miała przewagę liczebną. Był teraz potrzebny w strefie walki, nie tu, gdzie nic się nie działo.

– Pilnuj tego dachu – polecił Lucii. – Jeśli pojawi się na nim jakieś republikańskie ścierwo, strzelaj, zanim dotrze do kanonierek.

Nie odpowiedziała; wciąż jeszcze nie zdażyła domknąć szczęki, która opadła jej na widok tego, czego była świadkiem. Des złapał ją za ramię i potrząsnął mocno.

– Obudź się, żołnierzu! Masz zadanie do wykonania!

Pokręciła głową, żeby otrzeźwieć i przytaknęła, po czym wymieniła akumulator w karabinie. Des, usatysfakcjonowany, wyciągnął 2ID i ruszył przez polankę, spiesząc się, aby dołączyć do bitwy.

W trzy godziny później było po wszystkim. Misja okazała się całkowitym sukcesem. Posterunek należał do nich, a Republika nie miała pojęcia, że tysiące żołnierzy Sithów maszeruje przez dolinę, by zaatakować ich o świcie. Sama bitwa była krótka, ale krwawa: zabitych czterdziestu sześciu żołnierzy Republiki, dziewięciu z oddziału Desa. Za każdym razem, kiedy któryś z Wędrowców padał, Des czuł, że w jakimś sensie zawiódł. Biorąc jednak pod uwagę naturę tej misji, utrzymanie jednocyfrowej liczby ofiar było doprawdy jedynym sukcesem, na jaki mógł liczyć.

Po osiągnięciu celu pozostawił Adanara i kilku żołnierzy na straży posterunku, a sam wraz z resztą oddziału zawrócił do bazy.

Po drodze starał się ignorować ściszone szepty i ukradkowe spojrzenia pod swoim adresem. Lucia już opowiedziała wszystkim o jego pokazie strzelniczym i teraz oddział nie rozmawiał o niczym innym. Żaden z nich nie był dość odważny, aby powiedzieć mu to wprost, ale słyszał za plecami strzępki rozmów.



Nie mógł mieć im tego za złe. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, też nie wiedział, co się stało. Był dobrym strzelcem ale nie snajperem. A jednak zdołał oddać dwanaście absurdalnych strzałów z broni, której nigdy nie miał w ręku... w dodatku większość z nich po oślepieniu przez kanister rozbłyskowy. To było coś niewiarygodnego. Tak jakby w chwili, kiedy stracił wzrok jakaś tajemnicza moc przejęła jego rolę i pokierowała czynami. Coś nieprawdopodobnie upojnego, ale i przerażającego. Skąd ta moc? I dlaczego nie umiał jej kontrolować?

Był tak zatopiony w myślach, że początkowo nawet nie zauważył obcych w bazie. Dopiero, kiedy podeszli i zatrzasnęli mu na nadgarstkach kajdanki, zorientował się, co się dzieje.

– Witamy z powrotem, sierżancie. – Głos Ulabore’a aż ociekał złością.

Des się rozejrzył. Dwunastu antyterrorystów – wojskowej służby porządkowej w armii Sithów – stało wokół z wyciągniętą bronią. Ulabore stał za nimi. Na jego twarzy, w miejscu, gdzie Des go uderzył, widniał wielki siniak. W głębi Des spostrzegł dwóch młodych rekrutów, pod których opieką pozostawił Ulabore’a. Stali z wzrokiem wbitym w ziemię, zakłopotani i zawstydzeni.

– Naprawdę myślałeś, że ci nieopierzeni rekruci zdołają upilnować swojego dowódcę, związanego jak więzień? – zadrwił Ulabore zza muru uzbrojonych strażników. – Uważałeś, że podążą za tobą w twoje szaleństwo?

– To szaleństwo uratowało nam życie! – krzyknęła Lucia. Des podniósł ręce w kajdankach, aby ją uciszyć: takie sytuacje zbyt łatwo wymykały się spod kontroli.

Jednak nic się nie stało, tylko porucznik zdawał się nabierać odwagi. Wyszedł spoza muru żołnierzy i podszedł do Desa.

– Ostrzegalem przed nieposłuszeństwem – warknął. – Teraz sam zobaczysz, jak Bractwo Ciemności radzi sobie ze zbuntowanymi żołnierzami.

Kilku z Wędrowców zaczęło powoli sięgać ku broni, ale Des pokręcił głową. Zamarli natychmiast. Antyterrorysty, z bronią gotową do strzału, nie zawahają się jej użyć. Żołnierze nie zdołają oddać ani jednego strzału.

– Co się stało, sierżancie? – naciskał Ulabore, podchodząc bliżej do pokonanego nieprzyjaciela. – Nie masz nic do powiedzenia?

Des wiedział, że jednym szybkim ruchem mógłby zabić porucznika. Antyterrorysty oczywiście załatwiliby go, ale przynajmniej zabrałby ze sobą Ulabore’a. Każde włókienko jego ciała domagało się uwolnienia emocji i zakończenia tej sceny w orgii krwi i ognia laserów. Z trudem opanował impuls. Nie warto było marnować życia. Sąd polowy i tak zapewne oznacza karę śmierci, ale przynajmniej, jeśli stanie przed sądem, będzie miał jakieś szanse.

Ulabore podszedł i mocno uderzył go w twarz, po czym splunął mu na buty i odszedł.

– Zabierzcie go – rzekł do antyterrorystów i odwrócił się plecami. Wyprowadzany Des odruchowo spojrzął w oczy Lucii i żołnierzy, których życie uratował kilka godzin temu. Czuł, że kiedy znajdą się w następnej bitwie, Ulabore'a czeka nieprzyjemny i śmiertelny w skutkach wypadek. Świadomość ta wywołała na jego usta cień uśmiechu.

Antyterrorysty prowadzili go przez dżunglę przez wiele godzin, przez cały czas trzymając na muszkach gotowych do strzału karabinów. Opuścili je dopiero wówczas, kiedy dotarli do czujek na skraju głównego obozowiska Sithów.

– Więzień na sąd polowy – rzekł obojętnie jeden z antyterrorystów. – Powiedz lordowi Kopeczowi.

Jeden ze strażników zsalutował i wybiegł. Des został odprowadzony do karceru po drugiej stronie obozu. W oczach wielu spotkanych żołnierzy widział, że go rozpoznają. Wzrost i bezwłosa głowa sprawiały, że wyglądał imponująco, a wielu słyszało także o jego wyczynach. Widok niedawno jeszcze idealnego żołnierza prowadzonego na sąd polowy z pewnością musiał na nich wyrzeć wielkie wrażenie.

Dotarli do zaimprovizowanego więzienia polowego – niewielkie pole hamujące ponad dziurą trzy na trzy metry, gdzie trzymano schwytanych szpiegów i jeńców wojennych. Antyterrorysty odebrali mu broń w momencie aresztowania – teraz przeprowadzili dokładniejsze przeszukanie i zabrali mu wszystkie przedmioty osobiste. Wyłączyli pole i wepchnęli go do jamy, nie troszcząc się nawet o zdjęcie mu kajdanek. Wylądował niezgrabnie na twardej ziemi na dnie otworu. Chwiejnie stanął na nogi, kiedy usłyszał charakterystyczny szum zamykającego się nad nim pola.

Dziura była pusta, jeśli nie liczyć samego Desa. Sithowie nie trzymali długo swoich więźniów. Zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił poważnego błędu. Miał nadzieję, że jego poprzednie zasługi będą potraktowane jako okoliczności łagodzące, ale teraz dopiero rozumiał, że ta reputacja może mu tylko zaszkodzić. Mistrzowie Sithów nie byli znani z tolerancji i litości. Odmówił wykonania bezpośredniego rozkazu – istniało więc spore prawdopodobieństwo, że zechcą go przykładowo ukarać.

Nie wiedział, jak długo siedział na dnie jamy. Po chwili przysnął, zmęczony bitwą i długim marszem. Budził się i na nowo zapadał w sen. W pewnym momencie na zewnątrz zrobiło się jasno i wiedział, że nadszedł dzień. A kiedy się ocknął po raz kolejny, znowu było ciemno.

Jeszcze go nie nakarmili; żołądek burczał mu nieznośnie, protestując przeciwko takiemu traktowaniu. Gardło miał wyschnięte na wiór, język mu zesztyniał i tak nabrzmiał, jakby miał go zaraz udusić. Pomimo to czuł narastające parcie na pęcherz. Nie chciał jednak ulżyć sobie tutaj, dół śmierdział i bez tego.

Może pozwolą mu umrzeć powolną i samotną śmiercią. Słyszał plotki o torturach Sithów i miał nadzieję, że właśnie tak się stanie. Ale się nie poddawał. Jeszcze nie.

Kiedy usłyszał zbliżające się kroki, dźwignął się na nogi i stanął prosto, choć ręce nadal miał związane przed sobą. Przez ścianę pola widział zamglone sylwetki kilku strażników stojących na krawędzi otworu. Pośród nich znajdowała się jeszcze jedna postać, otulona ogromnym, czarnym płaszczem.

– Zabierzcie go na mój statek – odezwała się postać chropowatym, głębokim głosem. – Zajmę się nim na Korribanie.

## ROZDZIAŁ 8

Des nie zdążył się przyjrzeć człowiekowi, który nakazał jego przeniesienie. Zanim znalazł się na brzegu jamy, postać w płaszczu już zniknęła. Dali mu posiłek i wodę, pozwolili mu umyć się i odświeżyć. Wprawdzie uwolniono go z kajdanków, ale wciąż był pilnie strzeżony, kiedy wsiadał na pokład niewielkiego transportera na Korriban.

W czasie podróży nikt nie odzywał się do niego i Des nie wiedział, co się dzieje. Przynajmniej nie był już skrepowany, więc postanowił uznać to za dobry znak.

Dotarli na miejsce w południe. Spodziewał się, że wylądują w Deshdae, jedynym mieście na tym ponurym, mrocznym świecie, ale statek usiadł na lądowisku wybudowanym na szczycie odwiecznej świątyni wznoszącej się ponad posępną doliną. Kiedy schodził z pokładu, na lądowisku wiał silny, zimny wiatr, ale Desowi to nie przeszkadzało. Po stęchłym powietrzu celi każdy powiew był przyjemny. Poczul dreszcz na plecach, gdy jego stopa dotknęła ziemi Korribana. Słyszał, że niegdyś było to miejsce wielkiej potęgi, ale pozostało z niej już tylko najulotniejsze ze wspomnień. Czuł jednak ciemne prądy zła; wyczuł je, gdy tylko transporter wszedł w posępną atmosferę planety.

Z miejsca, w którym stał, widział inne świątynie, rozproszone po pustynnej powierzchni świata. Nawet z tej odległości mógł dostrzec zerodowane kamienie i wałace się łuki wspaniałych niegdyś bram. Daleko, za doliną, widać było miasto Dreshdae – drobny punkt na horyzoncie.

Na lądowisku czekała na niego postać w kapturze. Wiedział od razu, że to nie ta sama osoba, która przysłała po niego do więzienia. Ten osobnik nie miał ani wzrostu, ani imponującej postawy jego wyzwoliciela. Des wyczuwał władcze zachowanie tamtego nawet przez pole hamujące.

Postać wyglądała na kobietę. Skinęła na niego ręką, by poszedł za nią. W milczeniu poprowadziła go w dół po kamiennych schodach do wnętrza świątyni. Minęli podest i skierowali się na kolejne schody, a potem jeszcze raz i jeszcze, piętro po piętrze schodząc z kopuły świątyni ku jej skrytym pod ziemią czeluściom. Z każdego podestu prowadziły na boki drzwi i korytarze. Des słyszał przelotne dźwięki i strzępy rozmów, ale były to jedynie echa i nie mógł wychwycić żadnych słów.

Kobieta milczała, a Des nie miał zamiaru odzywać się pierwszy. Technicznie rzecz biorąc, wciąż był więźniem. Niewykluczone, że był prowadzony na sąd polowy, więc nie miał zamiaru pogarszać sprawy, zadając głupie pytania.

Gdy dotarli do najniższego piętra budynku, postać poprowadziła go pod kamienną arkadą na kolejne schody. Te jednak były inne – wąskie i ciemne, schodziły głęboko, znikając w bezdennej czeluści. Przewodniczka bez słowa podała mu pochodnię wyjętą z uchwytu na ścianie, po czym odstała na bok.

Nie wiedząc, co się dzieje, Des ostrożnie schodził po wąskich stopniach. Nie miał pojęcia, na jaką schodzi głębokość trudno było zachować jakąkolwiek perspektywę w granicach ścian klatki schodowej. Po kilku minutach dotarł na sam dół i stanął u wejścia do długiego korytarza. Na jego końcu widniał pojedynczy pokój.

Pomieszczenie było ponure i pełne cieni. Na kamiennej ścianie migotało kilka pochodni, a ich konające płomienie zaledwie przebijały mrok.

Des zatrzymał się w progu, pozwalając, aby wzrok przystosował mu się do ciemności. Z trudem odróżniał zarysy ciemnej postaci, która skinęła na niego dłonią.

– Podejź tu.

Poczuł dreszcz, choć pokój był ciepły. Samo powietrze wydawało się naelektryzowane, pulsujące mocą, którą wręcz wyczuwał. Zdziwił się, że nie czuje żadnego lęku. Jeśli drżał, to tylko z niecierpliwości.

Podszedł bliżej i dopiero teraz rozpoznał, że otulona w mroczną szatę postać to Twi'lek. Nawet pod luźną szatą widać było, że jest tęgi i mocno zbudowany. Miał prawie dwa metry wzrostu i był chyba najpotężniejszym Twi'lekiem, jakiego Des widział w życiu... choć i tak nie przerastał samego Desa.

Jego lekko spoczywały na szerokiej piersi i otaczały potężny kark i ramiona. Oczy lśniły pomarańczowym blaskiem, odbijając pełgające światło pochodni. Uśmiechnął się, odsłaniając ostre, spiczaste zęby, charakterystyczne dla jego rasy.

– Jestem lord Kopecz z Sithów – rzekł.

W tym momencie Des zrozumiał, że to jego widział przez pole nad jamą więzienną, i lekko skłonił głowę na powitanie.

– Mam być twoim inkwizytorem – wyjaśnił lord Kopecz tonem całkowicie pozbawionym wyrazu. – Ja sam zdecyduję o twoim losie i wierz mi, ta decyzja będzie ostateczna.

Des znów skłonił głowę.

Twi'lek wbił w niego płonące pomarańczowe oczy.

– Nie jesteś przyjacielem ani Jedi, ani Republiki.

Nie było to pytanie, ale Des mimo wszystko czuł potrzebę, aby odpowiedzieć.

– A co oni kiedykolwiek dla mnie zrobili?

– Właśnie – przytaknął Kopecz z okrutnym uśmiechem. – Rozumiem, że walczyłeś w wielu bitwach przeciwko siłom Republiki. Twoi towarzysze wyrażają się o tobie z wielkim szacunkiem. Sithowie potrzebują takich ludzi jak ty, jeśli mamy wygrać tę wojnę.

– Zawiesił głos. – Byłeś wzorowym żołnierzem... dopóki nie odmówiłeś wykonania bezpośredniego rozkazu.

– Bo rozkaz był nierozsądny – odparł Des. W gardle zaschło mu tak, że z trudem wydobywał słowa.

– Dlaczego odmówiłeś ataku na posterunek w ciągu dnia? Jesteś tchórzem?

– Tchórz nie wypełniłby misji – ostro odparł Des, zraniony tym oskarżeniem do żywego.

Kopecz przechylił głowę na bok i czekał.

– Atak w świetle dnia był błędem taktycznym – ciągnął Des, usiłując wyjaśnić swój punkt widzenia. – Ulabore powinien był przekazać tę opinię do dowództwa, ale za bardzo się bał. Ulabore był tchórzem, nie ja. Wolał zaryzykować śmierć z rąk żołnierzy Republiki niż stanąć przed Bractwem Ciemności. A ja nie chciałem umierać nadaremnie.

– Widzę to po twojej historii służby – powiedział Kopecz. – Kashyyyk, Trandosha, Phaseera... jeśli raporty mówią prawdę, od czasu, jak walczysz razem z Wędrowcami Mroku, dokonałeś sporo niezwykłych czynów. Czynów, które wiele osób uznałoby za niemożliwe.

Des aż się zjeżył na tę sugestię.

– Raporty są prawdziwe – warknął.

– Nie wątpię, że tak jest. – Kopecz nie zauważył albo nie przejął się tonem odpowiedzi Desa. – Wiesz, po co sprowadziłem cię na Korribana?

Des zaczął pojmować, że jednak to chyba nie jest sąd polowy. Raczej jakiś rodzaj testu, choć nie miał pojęcia, czemu miałby służyć.

– Czuję, że zostałem do czegoś wybrany.

Kopecz uśmiechnął się jeszcze bardziej złowieszczo.

– Twój umysł pracuje szybko. To dobrze. Co wiesz o Mocy?

– Niewiele – wyznał Des, wzruszając ramionami. – To coś, w co wierzą Jedi. Jakaś wielka siła, która podobno lata po kosmosie i bierze się z niczego.

– A co wiesz o Jedi?

– Wiem, że uważają się za strażników Republiki – odparł Des, nie starając się nawet ukryć wzgardy. – Wiem, że mają wielkie wpływy w senacie. Wiem, że według opinii wielu mają mistyczne moce.

– A Bractwo Ciemności?

Tym razem Des dużo staranniej ważył słowa.

– Jesteście dowódcami naszej armii i zaprzysiężonymi nieprzyjaciółmi Jedi. Wierzy się powszechnie, że wy również posiadacie nadnaturalne zdolności.

– Ale ty w to nie wierzysz?

Des zawahał się, usiłując odgadnąć, jaką odpowiedź Kopecz chciałby usłyszeć. W końcu, nie wiedząc, do czego właściwie zmierza inkwizytor, postanowił po prostu powiedzieć prawdę.

– Wierzę, że większość tych opowieści jest mocno przesadzona.

Kopecz skinał głową.

– To dość popularne mniemanie. Ci, którzy nie znają Mocy, traktują te opowieści jak mit lub legendę. Ale Moc jest realna, a ci, którzy nią władają posiadają potęgę, jakiej nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Widziałeś wiele bitew, ale nie doświadczyłeś prawdziwej wojny. Żołnierze walczą o kontrolę nad światami i księżycami, natomiast mistrzowie Jedi i Sithów chcą się wzajemnie zniszczyć. Znajdujemy się na drodze do nieuniknionej i ostatecznej konfrontacji. Odłam, który przetrwa, czy to Sithowie, czy Jedi, będzie określał losy galaktyki przez najbliższy tysiąc lat. Prawdziwe zwycięstwo w tej walce nie nastąpi dzięki armiom, lecz dzięki Braterstwu Ciemności. Naszą najpotężniejszą bronią jest Moc i ci, którzy są dość potężni, by jej rozkazywać. Tacy jak ty.

Urwał, aby jego słowa skutecznie dotarły do Desa.

– Jesteś kimś szczególnym, Des. Masz niezwykle zdolności. Zdolności te są manifestacją Mocy i dobrze ci służyły jako żołnierzowi. Ale dotknąłeś jedynie powierzchni swojego daru. Moc jest realna; istnieje wszędzie wokół nas. Możesz czuć ją nawet w tej sali. Wyczuwasz ją?

Des zawahał się tylko przez chwilę, zanim przytaknął.

– Czuję. Gorąco. Jak ogień, który czeka, by wybuchnąć.

– Potęga Ciemnej Strony. Żar namiętności i emocji. Czuję go także i w tobie. Płonie pod powierzchnią. Płonie jak twój gniew. Czyni cię silnym.

Kopecz przymknął oczy i odrzucił głowę w tył, jakby nurzając się w ciepłe Mocy. Czubki jego głowoogonów drgały leciutko. Jedynym dźwiękiem był słaby trzask płonących pochodni. Kropla potu spłynęła po nagiej czaszce Desa aż na szyję i plecy. Nie otarł jej, choć niepewnie przestąpił z nogi na nogę, kiedy poczuł ją między łopatkami. Jego lekki ruch jakby wyrwał Twi'leka z transu.

Milczał przez kilka kolejnych sekund, lustrując Desa uważnie przenikliwym wzrokiem.

– Dotknąłeś Mocy w przeszłości, ale twoje możliwości są nic nieznaczącym pyłkiem w obliczu potęgi prawdziwego mistrza Sithów – rzekł wreszcie. – Masz w sobie wielki potencjał. Jeśli zostaniesz tu, na Korribanie, nauczymy cię, jak go wyzwolić.

Des oniemiał.

– Nie będziesz już żołnierzem na pierwszej linii frontu – ciągnął Kopecz. – Jeśli przyjmiesz moją propozycję, ta część twojego życia dobiegnie końca. Zostaniesz przeszkolony w używaniu Ciemnej Strony. Staniesz się jednym z Bractwa Ciemności. I nie wrócisz do Wędrowców Mroku.

Des poczuł łomotanie serca i zawroty głowy. Odkąd sięgał pamięcią, wiedział, że jest kimś szczególnym ze względu na swoje wyjątkowe talenty. A teraz powiedziano mu, że te jego zdolności to nic w porównaniu z tym, co jeszcze może osiągnąć.

Mimo wszystko jakaś jego częśćka wzdragała się przed opuszczeniem oddziału, nawet bez pożegnania. Uważał Adanara, Lucię i pozostałych za kogoś więcej niż towarzyszy broni – za przyjaciół. Czy naprawdę powinien ich zostawiać, nawet za cenę możliwości dołączenia do mistrzów Sithów?

Przypomniał sobie jedną z ostatnich nauk, jakich udzielił mu Groshik: „Nie licz na pomoc innych. W końcu zawsze i tak zostajemy sami. Przeżyją tylko ci, którzy wiedzą, jak się sobą zaopiekować”.

Wszystko, co miał, ofiarował temu oddziałowi. Uratował ich życie sam nawet nie wie ile razy. A jednak, kiedy antyterroryści przyszli po niego, oni nie byli w stanie mu pomóc. Spróbowaliby, gdyby im pozwolił, ale na pewno by ponieśli klęskę. Des zrozumiał prawdę. Jego oddział – jego przyjaciele – nie mogli nic dla niego zrobić.

Może polegać wyłącznie na sobie, jak zwykle. Byłby głupcem, gdyby odrzucił tę szansę.

– Jestem zaszczycony, mistrzu Kopecz, i z wdzięcznością przyjmuję propozycję.

– Nauki Sithów nie są dla słabych – ostrzegł potężny Twi’lek. – Ci, którzy się wahają, zostają... w tyle. – W jego tonie było coś złowieszczonego.

– Nie zostanę w tyle twardo zapewnił Des.

– A to się jeszcze zobaczy – odparł Kopecz. Po chwili dodał: – To dla ciebie nowy początek, Des. Nowe życie. Wielu uczniów z tych, którzy tutaj przychodzą, przyjmuje nowe imię. Pozostawiają daleko za sobą dawne życie.

Des nie miał najmniejszej ochoty zachowywać nawet najmniejszej części swojego dawnego życia. Ojciec brutal, ciężka praca w kopalniach na Apatrosie... szukał nowych możliwości, odkąd sięgał pamięcią. Wędrowcy Mroku stanowili ucieczkę, ale tylko tymczasową. Teraz miał szansę na zawsze pochować przeszłość. Musi jedynie przyjąć nauki Bractwa Ciemności. A jednak, z powodów, których nie potrafił do końca wyjaśnić, czuł zaciskające się na sercu zimne palce strachu. Ten strach sprawił, że się zawahał.

– Czy chcesz sobie wybrać nowe imię, Des? – zapytał Kopecz, być może wyczuwając jego niechęć. – Czy chcesz się odrodzić?

Des skinął głową.

Kopecz znów się uśmiechnął.

– Więc jakim imieniem mam cię teraz nazywać?

Strach go nie powstrzyma. Chwyci go, przekształci i przyswoi. Weźmie to, co kiedyś czyniło go słabym, i wykorzysta, by stać się silnym.

– Nazywam się Bane. Bane z Sithów.



Lord Qordis, jego wysokość mistrz Akademii Sithów na Korribanie, łagodnie skrobał się po podbródku długimi, szponiastymi palcami.

– Ten uczeń, którego mi przyprowadziłeś... ten Bane... Czy on nigdy nie był szkolony w używaniu Mocy?

Kopecz pokręcił głową i z lekką irytacją poruszył lekku.

– Już ci mówiłem, Qordis. Wychował się na Apatrosie, świecie kontrolowanym przez KGZR.

– A jednak udało ci się go odszukać i sprowadzić tu, do akademii. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Potężny Twi'lek warknął gniewnie:

– To nie jest spisek przeciwko tobie, Qordisie. Już się w to nie bawimy. Jesteśmy teraz Bractwem, pamiętasz? Wydajesz się zbyt podejrzliwy.

Qordis się roześmiał.

– Nie podejrzliwy, ostrożny. Pomogło mi to utrzymać moją pozycję tutaj, pomiędzy tyłu młodymi i ambitnymi Sithami.

– On jest równie potężny jak każdy z nich – zapewnił Kopecz.

– Ale jest też starszy. Wolimy, kiedy nasi uczniowie są młodszy i... łatwiejsi do kontrolowania.

– Teraz mówisz jak Jedi – zaśmiał się Kopecz. – Oni też szukają coraz młodszych uczniów, w nadziei, że trafią na czystych i niewinnych. Z czasem przestaną przyjmować kogokolwiek poza niemowlętami. Musimy się spieszyć, żeby pozbierać tych, których zostawili. Poza tym – ciągnął – Bane jest zbyt silny, żeby go tak zostawić. Nawet dla Jedi. Mamy szczęście, że znaleźliśmy go, zanim oni to uczynili.

– Tak, mamy szczęście – powtórzył Qordis tonem ociekającym sarkazmem. – Jego przybycie tutaj wydaje się niewiarygodnym wynikiem wielu... zbyt wielu szczęśliwych zbiegów okoliczności. Rzeczywiście szczęście.

– Ktoś może istotnie tak to zinterpretować – zgodził się Kopecz – A inni mogą w tym dostrzec coś jeszcze. Może los.

Qordis w milczeniu rozważał słowa odwiecznego rywala. – Inni akolici szkoleni byli przez wiele lat. Zostanie daleko w tyle.

– Jeśli damy mu szansę, nadrobi – upierał się Kopecz.

– Zastanawiam się... czy tamci też daliby mu szansę? Nie jeśli są mądrzy. Obawiam się, że po prostu marnujemy jednego z najlepszych żołnierzy lorda Kaana.

– Doskonale wiemy, i ty, i ja, że Jedi nie pokona się, używając żołnierzy – warknął Kopecz. – Z przyjemnością zamienię nawet tysiąc najlepszych żołnierzy na jednego mistrza Sithów.

Qordis wydawał się zaskoczony tą pełną pasji reakcją.

– Czy ten Bane jest rzeczywiście aż taki silny? Kopecz skinął głową.

- Myślę, że może być nawet tym, którego szukaliśmy. Może być Sith'ari.
- Zanim jednak upomni się o ten tytuł – powiedział Qordis z przebiegłym uśmiechem – będzie musiał przeżyć szkolenie

## CZEŚĆ II

## ROZDZIAŁ 9

*Spokój to kłamstwo.*

*Jest tylko pasja.*

*Dzięki pasji osiągam siłę.*

*Dzięki sile osiągam potęgę.*

*Dzięki potędze osiągam zwycięstwo.*

*Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.*

Kopecz wyjechał, aby dołączyć do armii Kaana i wojny prowadzonej z Jedi i Republiką. Bane pozostał w Akademii na Korribanie, żeby poznać nauki Sithów. Pierwsza lekcja zaczęła się następnego poranka w obecności samego lorda Qordisa.

– Prawdy Sithów to coś więcej niż słowa, które trzeba zapamiętać – wyjaśniał mistrz Akademii swojemu najnowszemu uczniowi. – Naucz się ich, zrozum je. One doprowadzą cię do prawdziwej potęgi Mocy: potęgi Ciemnej Strony.

Qordis był wyższy niż Kopecz. Wyższy nawet niż Bane. Był bardzo chudy i ubrany w czarną, luźną szatę, z kapturem swobodnie odrzuconym na plecy. Mógł być rasy ludzkiej, ale coś w jego wyglądzie temu przeczyło. Jego skóra miała nienaturalny, kredowy odcień, podkreślany jeszcze przez migoczące kamienie licznych pierścieni zdobiących jego długie palce. Oczy miał ciemne, głęboko osadzone, zęby spiczaste i ostre, a paznokcie zakrzywione i długie jak szpony.

Bane klęczał przed nim, również ubrany w czarną szatę z odrzuconym w tył kapturem. Wcześniej tego ranka po raz pierwszy usłyszał Kodeks Sithów i słowa brzmiały w jego głowie wciąż świeże i tajemnicze. Wirowały w prądach jego myśli, od czasu do czasu pod wpływem ku świadomości, kiedy starał się odkryć ich głębsze znaczenie.

*Spokój to kłamstwo. Jest tylko pasja.* Wiedział, że ta pierwsza zasada jest na pewno prawdziwa. Całe jego życie było tego dowodem.

– Kopecz powiedział, że przybyłeś tu jako surowy materiał na ucznia – zauważył Qordis. – Podobno nigdy nie szkolono cię w używaniu Mocy.

– Szybko się uczę – zapewnił go Bane.

– Tak... i jesteś silny Ciemną Stroną Mocy. Ale to samo można powiedzieć o wszystkich, którzy są tutaj.

Nie całkiem pewien, co odpowiedzieć, Bane uznał, że najmądrzej i najbezpieczniej będzie zachować milczenie.

– Co wiesz na temat Akademii? – zapytał wreszcie Qordis.

– Studenci uczą się, jak używać Mocy. Sekretów Ciemnej Strony nauczasz ich ty i inni lordowie Sithów. – Po krótkim wahaniu dodał: – I wiem, że jest wiele takich akademii jak ta.

– Nie – poprawił go Qordis. – Nie takich samych. To prawda, że mamy wiele ośrodków szkoleniowych rozrzuconych po naszym stale rosnącym imperium, miejsc, gdzie obiecujące osobniki mogą być szkolone, jak kontrolować i używać swojej mocy, ale nasz ośrodek jest jedyny w swoim rodzaju. A to, gdzie wysyłamy uczniów, zależy od tego, jak wiele w nich widzimy potencjału. Ci, którzy posiadają zauważalne, ale ograniczone zdolności, wysyłani są do Honoghr, Gentes lub Gamorr, aby stali się Wojownikami Sithów lub Maruderami. Uczy się ich kanalizować swoje emocje w bezmyślną wściekłość i szal bitewny. Potęga Ciemnej Strony zmienia ich w wiecznie głodne krwi, śmiercionośne i niszczycielskie bestie, które wypuszczamy na naszych wrogów.

*Dzięki pasji osiągam siłę*, pomyślał Bane, ale głośno powiedział:

– Brutalna siła nie wystarczy, by obalić Republikę.

– To prawda – zgodził się Qordis. Z tonu jego głosu Bane wywnioskował, że mistrz usłyszał to, co chciał usłyszeć. – Ci o większych zdolnościach wędrują na światy, które sprzymierzyły się z nami w celu zniszczenia Republiki: Ryloth, Umbara, Nar Shaddaa. Uczniowie ci stają się istotami z cienia: uczą się, jak wykorzystywać Ciemną Stronę dla zachowania tajemnicy, oszustw i manipulacji. Ci, którzy przeżyją te szkolenia, stają się niepokonanymi zabójcami, potrafią czerpać z Ciemnej Strony, by zabić swoją ofiarę, nie poruszając nawet palcem.

– Nawet oni jednak nie są przeciwnikami dla Jedi – dodał Bane. Chyba zrozumiał, w jakim kierunku zmierza lekcja.

– Właśnie – przytaknął mistrz. – Akademie na Darthomirze i Iridonii są najbardziej podobne do tej. Tu uczniowie pracują pod kierunkiem mistrzów Sithów. Ci, którzy z powodzeniem zakończą szkolenie, stają się adeptami i akolitami, którzy zasilą szeregi naszych armii. Są oni odpowiednikami rycerzy Jedi, którzy stoją na naszej drodze do całkowitego podboju. Ale podobnie jak rycerze Jedi podlegają mistrzom Jedi, tak adepci i akolici odpowiadają przed lordami Sithów. A ci, którzy mają potencjał, by stać się lordami Sithów i tylko tacy, szkoleni są tu, na Korribanie. Bane poczuł dreszcz podniecenia.

*Dzięki sile osiągam potęgę*.

– Korriban od dawna był domem Sithów – wyjaśnił Qordis. – Ta planeta to miejsce o wielkiej sile. Ciemna Strona żyje i oddycha w samym jądrze tego świata.

Urwał i powoli uniósł kościstą rękę dłonią do góry. Wydawało się, jakby w palcach trzymał coś niewidzialnego... coś ważnego i drogiego.

– Ta Świątynia, w której się znajdujemy, została zbudowana wiele tysięcy lat temu, aby zbierać i koncentrować tę moc. Tu najsilniej czujesz Ciemną Stronę. – Zaciśnął pięść tak mocno, że długie paznokcie pograżyły się w ciele, raniąc je do krwi.

– Zostałeś wybrany z powodu wielkiego potencjału – szepnął. – Tu, na Korribanie, od uczniów oczekuje się wielkich rzeczy. Szkolenie jest trudne, ale nagroda dla tych, którzy wytrwają, jest niewyobrażalna.

*Dzięki potędze osiągam zwycięstwo.*

Qordis wyciągnął zranioną dłoń i położył na nagiej skórze czaszki Bane'a, namaszczając go krwią lorda Sithów. Bane widział jako żołnierz wiele krwi, ale z jakiejś przyczyny ten ceremonialny akt samookaleczenia wzbudził w nim większą odrazę niż rzeź na polu bitwy. Z wielkim trudem powstrzymał się, by się nie cofnąć.

– Masz potencjał, aby stać się jednym z nas, jednym z Bractwa Ciemności. Razem zdołamy zrzucić jarzmo Republiki.

*Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.*

– Ale nawet ci, którzy posiadają wielki potencjał, mogą zawieść – zakończył Qordis. – Ufam, że ty nas nie zawiedziesz. Bane nie miał zamiaru tego uczynić.

Następnych kilka tygodni minęło szybko. Bane pograżył się w nauce. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że jego brak doświadczenia we władaniu Mocą jest raczej wyjątkiem aniżeli regułą. Wielu studentów uczyło się przez całe miesiące i lata, zanim zostało przyjętych do Akademii na Korribanie.

Z początku uważał to za niepokojące. Zaledwie zaczął szkolenie, a już miał zaległości. W tak bezlitosnym, konkurencyjnym środowisku będzie łatwym celem dla każdego. W miarę jednak, jak się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że może nie jest aż tak narażony, jak mu się zdawało.

Z wszystkich uczniów Akademii tylko on potrafił manifestować Moc Ciemnej Strony bez żadnego szkolenia. Wykorzystywał ją tak często, że uważał za coś naturalnego. Dzięki niej miał przewagę nad innymi w kartach i bójkach. W czasie wojny ostrzegała go o zagrożeniu i przynosiła zwycięstwo w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

A wszystko to instynktownie, bez szkolenia, bez świadomości, co właściwie robi. Teraz, po raz pierwszy w życiu, uczono go, jak właściwie wykorzystywać swoje umiejętności. Nie musiał się martwić o innych uczniów... jeśli w ogóle, to oni powinni się martwić nim. Kiedy zakończy szkolenie, żaden z nich mu nie dorówna.

Większość nauk pobierał u Qordisa i innych mistrzów – Kas'ima, Orillthy, Shenayaga, Hezzorana i Borthisa. W Akademii były również grupowe sesje, ale rzadko i niewiele. Słabsi i powolniejsi nie mogli powstrzymać rozwoju silnych i ambitnych. Studenci uczyli się każdy w swoim tempie, napędzani własną żądzą wiedzy i władzy. Na każdego mistrza przypadało jednak nawet po sześciu studentów i uczniowie musieli pokazać swoją wartość,

zanim któryś z instruktorów zdecydował się poświęcić im swój cenny czas i nauczyć sekretów Sithów.

Nawet jako nowicjusz Bane potrafił bez trudu zaskarbić sobie uwagę lordów Sithów, zwłaszcza Qordisa. Wiedział, że zwiększone zainteresowanie zaowocuje nieodwołalnie wrogością innych uczniów, ale zmusił się, aby o tym nie myśleć. Z czasem dodatkowe nauki, jakie pobierał u mistrzów, pozwolą mu dogonić i prześcignąć innych, a wtedy nie będzie się już musiał martwić o żalonych zazdrośników. A do tej pory musi po prostu trzymać się z dala od nich i nie przyciągać niczyjej uwagi.

Kiedy nie uczył się od mistrzów, zaszywał się w bibliotece, studiując dawne zapisy. Podobnie jak Jedi prowadzili archiwa w swojej Świątyni na Coruscant, Sithowie zaczęli zbierać i przechowywać informacje w świątyni Korribana. W przeciwieństwie jednak do biblioteki Jedi – gdzie większość danych została zapisana w formacie elektronicznym, holograficznym lub holocronu – kolekcja Sithów przechowywana była wyłącznie w zwojach, tomach i podręcznikach. W ciągu trzech tysięcy standardowych lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy Darth Revan omal nie zniszczył Republiki, Jedi nieustrudzenie dążyli do zniszczenia wszelkich narzędzi nauczania o Ciemnej Stronie. Wszystkie znane holocrony Sithów zostały albo zniszczone, albo ukryte w Świątyni Jedi na Coruscant – dla bezpieczeństwa. Krążyły plotki o nieodkrytych holocronach Sithów, schowanych gdzieś na odległych planetach lub starannie ukrytych przez jednego z mrocznych mistrzów, pragnącego zachować tę tajemną wiedzę wyłącznie dla siebie. Wszystkie jednak wysiłki Bractwa, aby odnaleźć te zagubione skarby, okazały się daremne, zmuszając ich do polegania na prymitywnych technologiach pergaminu i flimsiplastu.

A ponieważ zbiór był nieustannie uzupełniany, indeksy i odwołania były rozpaczliwie przestarzałe. Przeszukiwanie archiwów było często zadaniem daremnym lub irytującym, więc większość studentów uważała, że lepiej wykorzystają czas, spędzając go na nauce lub próbie zaimponowania mistrzom.

Bane – być może dlatego, że był starszy od innych, a może z powodu lat spędzonych w kopalni, które nauczyły go cierpliwości – nieważne zresztą, dlaczego, spędzał codziennie wiele godzin na studiowaniu starych zapisów. Uważał je za fascynujące. Wiele ze zwojów stanowiło historyczne źródła opisujące dawne bitwy lub sławiące czyny wielkich lordów Sithów. Sama w sobie ta informacja miała niewielkie zastosowanie praktyczne, ale każdy taki zapis można było – i należało – traktować jako coś, czym był w istocie: drobną częścią o wiele większej układanki, wskazówką wiodącą do znacznie szerszej wiedzy.

Archiwa uzupełniały to, czego dowiadywał się od mistrzów. Przydawały kontekstu abstrakcyjnym lekcjom. Bane czuł, że z czasem ta dawna wiedza będzie kluczem do rozwinięcia w pełni własnego potencjału. I tak powoli kształtowało się jego rozumienie Mocy.

Mistyczna i niewyjaśniona Moc była czymś naturalnym i podstawowym: fundamentalną energią wiążącą wszechświat i łączącą w sobie wszystkie żywe istoty. Ta energia, ta siła, mogła być ujarzmiona. Można było nią manipulować i ją kontrolować. A poprzez nauki Ciemnej Strony Bane dowiadywał się, jak ją poskromić. Codziennie praktykował medytacje i ćwiczenia, często pod czujnym okiem Qordisa. Po kilku tygodniach nauczył się poruszać niewielkie przedmioty, tylko o tym myśląc – do niedawna uważał, że nic podobnego nie może istnieć.

Teraz dopiero zrozumiał, że to naprawdę tylko początek. Zaczynał pojmować ogromną prawdę na głębokim, podstawowym poziomie: że siła przetrwania musi pochodzić z wnętrza. Inni zawsze zawiodą. Przyjaciele, rodzina, towarzysze broni... w ostatecznym rozrachunku każdy zostaje sam. W potrzebie zawsze szukaj pomocy w sobie.

Ciemna Strona podsycała jego moce. Nauki mistrzów czyniły go silnym. Starając się ich zadowolić, zdoła rozwinąć w pełni swój potencjał i pewnego dnia zasiądzie między nimi.

Kiedy nadeszła pierwsza fala ataku, flota Republiki orbitująca na niebie Ruusan została całkowicie zaskoczona. Mała planeta, politycznie bez znaczenia, porośnięta gęstym lasem, wykorzystywana była jako baza do przygotowywania niszczycielskich błyskawicznych ataków na siły Sithów stacjonujące w pobliskim systemie Kashyyyka. Teraz nieprzyjaciel zastosował przeciwko nim tę samą strategię.

Sithowie uderzyli bez ostrzeżenia, materializując się masowo z hiperprzestrzeni – manewr prawie samobójczy dla tak wielkiej floty. Zanim zabrzmiał choć jeden alarm, statki Republiki znalazły się pod ostrzałem trzech dreadnaughtów, dwóch okrętów pirackich, dziesiątków myśliwców przechwytyjących i grupki myśliwców Buzzard. A na czele tej siły znajdował się statek flagowy Bractwa Ciemności, sithański niszczyciel „Zmierzch”.

Lord Kaan prowadził szturm ze swojej kuli medytacyjnej na pokładzie „Zmierzchu”. Z wnętrza komory mógł komunikować się z każdym innym statkiem, wiedząc, że rozkazy zostaną odebrane i natychmiast wykonane. Komora pulsowała światłem i dźwiękiem: jarzące się monitory i błyskające ekrany piszczały nieustannie, aby ostrzec go o zmieniających się aktualizacjach statusu bitwy.

Mroczny lord nie patrzył na ekrany. Jego postrzeganie rozciągało się daleko poza kulę medytacyjną, daleko poza zasięg danych wypluwanych przez elektroniczne odczyty. Znał lokalizację wszystkich statków zaangażowanych w konflikt: własnych i nieprzyjaciela. Wyczuwał każdą wystrzeloną salwę, każdy unik i beczkę, każdy ruch i kontrowanie, manewr każdego ze statków. Często zdarzało się, że wyczuwał je, zanim nastąpiły.

Brwi miał zmarszczone w intensywnym skupieniu, oddech szybki, urywany. Po drżącym ciele spływały strumienie potu. Napięcie było straszliwe, ale za pomocą kuli medytacyjnej utrzymywał koncentrację umysłu, czerpiąc z Ciemnej Strony Mocy, aby wpłynąć na wynik konfliktu pomimo fizycznego zmęczenia.



Sztuka medytacji bitewnej – broń przekazana przez starożytnych czarnoksiężników Sithów – powodowała chaos w szeregach nieprzyjaciela, zaszczepiając w nim beznadzieję i strach, miażdżąc serca i duchy czarną rozpaczą. Każdy fałszywy ruch przeciwnika był wyolbrzymiany, każde wahanie przemieniało się w kaskadę błędów i pomyłek, które pograżały nawet najbardziej zdyscyplinowanych żołnierzy. Bitwa zaledwie się rozpoczęła, a już dobiegała końca.

Flota Republiki była w stanie całkowitego rozpadu. Dwa z czterech krążowników klasy Hammerhead straciły główne tarcze już w pierwszym ostrzale buzzardów. Teraz do akcji wkraczały dreadnaughty Sithów, celując w nagle bezbronne hammerheady potężnymi dziobowymi działkami laserowymi. Zagrożone okaleczeniem i całkowitą bezbronnością, z trudem zdołały pozbierać myśliwce, żeby osłonić się przed szybko nadciągającymi krążownikami nieprzyjaciela.

Pozostałe dwa okręty były systematycznie niszczone przez „Wściekłość” i „Furię”, okręty bojowe Sithów. Powolne hammerheady Republiki polegały na okrętach wspomagających, które ustawiały linię defensywy, osłaniając je przed atakiem nieprzyjaciela, zanim one same zdołały ustawić ciężką artylerię. Bez tych linii defensywy były niemal całkowicie bezbronne wobec o wiele szybszych i zwinniejszych piratów. „Wściekłość” i „Furia” wbiły się wzdłuż wektora, który ograniczał do minimum liczbę zdolnych do namierzenia ich dział hammerheadów i śmignęły nad ich dziobami, ostrzeliwując z wszystkich baterii. Kiedy hammerheady próbowały zmienić kierunek, aby uruchomić więcej dział, piraci wykonywali zwrot i zawracali wzdłuż innego wektora, zadając jeszcze więcej ran. Ten ostry manewr znany był jako „cięcie po pokładzie” i bez wsparcia myśliwców lub własnych okrętów bojowych przeciwnik nie był w stanie długo się opierać.

Pomoc ze strony okrętów wojennych Republiki nie miała szans nadejść. Jedyne patrole w pobliżu były już tylko zwęgloną, pozbawioną życia skorupą, zamienioną w złom w pierwszych chwilach ataku bezpośrednim trafieniem „Zmierzchu”, zanim jeszcze zdążył podnieść tarcze. Pozostałe dwa znajdowały się teraz pod zmasowanym atakiem myśliwców przechwytyjących i ciężkim ostrzałem burtowej artylerii „Zmierzchu” i nie miały szans przetrwać dłużej niż pierwszy.

Kaan czuł to: panika opanowała żołnierzy i dowódców Republiki. Jego atak był właściwie absurdalny: strategia zwiększała straty, ale jednocześnie pozostawiała jego własne statki odsłonięte i narażone na dobrze zorganizowany kontratak. Nic podobnego jednak się nie działo. Kapitanowie Republiki nie byli w stanie skoordynować swoich wysiłków, ustawić linii obrony. Nie umieli nawet zorganizować właściwego odwrotu. Ucieczka była niemożliwa. Zwyciężył!

Nagle „Furia” znikła, zdmuchnięta eksplozją, która rozerwała pirata na części. Stało się to tak szybko, że Kaan – mimo iż wyposażony w prekognicyjną świadomość medytacji bitewnej – nie wyczuł nadejścia katastrofy. Dwa hammerheady ustawiły się na kątach stycznych i

zdołały jednocześnie wycelować w „Furię”. Jeden otworzył ogień przednimi działami, niszcząc tarcze „Furii”, podczas kiedy drugi odpowiedział barażem ognia laserowego dokładnie w tym samym miejscu, powodując potężną detonację, która zniszczyła okręt w mgnieniu oka. Był to błyskotliwy manewr – dwa różne statki, pod bezlitosnym ostrzałem, doskonale koordynujące swoje działania w celu unieszkodliwienia wspólnego wroga. Było to również praktycznie niemożliwe.

Kaan rozkazał „Wściekłości” zrobienie uniku. Pirat odbił od linii ataku w tej samej chwili, kiedy hammerheady otwały ogień, o włos unikając losu, który spotkał jego siostrzaną jednostkę. Dreadnaughty zbliżające się do okaleczonych hammerheadów również zmuszone były przerwać atak, kiedy cztery pełne eskadry myśliwców Republiki wystrzeliły z ładowni pozornie bezbronnej ofiary. Nawet w idealnych warunkach trudno byłoby zebrać myśliwce tak szybko: w tej sytuacji było to nie do pomyślenia. A jednak Kaan czuł je – prawie pięćdziesiąt myśliwców Aurek lecących w ciasnej formacji, naciskających na dreadnaughty, podczas kiedy wszystkie cztery hammerheady się wycofywały. Ustawiali linię defensywy!

Czerpiąc z potęgi Ciemnej Strony, lord Kaan sięgnął ku umysłom nieprzyjaciela. Byli posepni, lecz nie zdesperowani; niektórzy się bali, ale bez paniki. Wyczuwał jedynie dyscyplinę, cel i zdecydowanie. A potem poczuł coś jeszcze. Jeszcze jedną obecność w walce.

Była subtelna, lecz nie zauważył jej tam wcześniej, w pierwszych minutach ataku. Ktoś używał Mocy, aby podnieść morale wśród żołnierzy Republiki. Ktoś korzystał z jasnej strony, aby zniwelować skutki medytacji bojowej Kaana i odwrócić stosunek sił. Tylko mistrz Jedi miałby dość siły, aby stawić czoło lordowi Sithów.

Kopecz też to poczuł. Przypasany do fotela swojego myśliwca przechwytyjącego, wirował i uwijał się pośród barażu strzałów z działek przeciwlotniczych hammerheadów, kiedy obecność mistrza Jedi uderzyła w niego jak fala. Zaskoczyła go kompletnie, spowodowała, że na ułamek sekundy stracił koncentrację. Dla każdego innego pilota mogło to oznaczać koniec, ale Kopecz nie był zwykłym pilotem.

Reagując z szybkością zrodzoną z instynktu, wyćwiczoną w długich treningach i wzmocnioną Mocą Ciemnej Strony, szarpnął przepustnice do siebie i mocno pchnął dźwęż. Myśliwiec runął w dół i do przodu w ostrym nurku, o centymetry unikając trzech kolejnych strzałów z dział jonowych hammerheadów. Wychodząc z nurkowania, skrzył w szeroką beczkę i zawrócił w kierunku największego z krążowników Republiki. Jedi był tam. Czuł to: Moc emanowała ze statku jak światło latarni. Teraz Kopecz go zabije.

Na „Zmierzchu” Kaan również był zablokowany w śmiertelnym starciu z mistrzem Jedi, choć ich walka rozgrywała się za pośrednictwem statków i pilotów obu flot. Republika miała więcej statków i większej sile rażenia; Kaan polegał na zaskoczeniu i medytacji bojowej, co miało zapewnić przewagę Sithom. Teraz jednak oba te czynniki zostały zniwelowane. Pomimo swojej siły mroczny lord nie był ekspertem w rzadkiej sztuce medytacji bojowej. Był to jeden z jego wielu talentów, a on pracował, aby wszystkie rozwijać równomiernie. Jego

przeciwnik Jedi wydawał się jednak od urodzenia szkolony do takiej konfrontacji. Przewaga sił w bitwie powoli się odwracała i mrocznego lorda zaczynała ogarniać desperacja.

Zebrał całą siłę woli i uderzył nagłą falą potęgi Ciemnej Strony w szalonym gambicie, ostatecznej próbie ponownego przejęcia kontroli nad starciem. Opętani adrenaliną, żądzą krwi i nieodpartą kompulsją swego dowódcy piloci próbowali rzucić swoje statki na najbliższą nadlatującą eskadrę aureków w samobójczym ataku. Piloci Republiki jednak nie spanikowali ani nie złamali szyku, aby uniknąć tego szaleńczego ataku. Przeciwnie, stawili mu czoło, otworzyli ogień i zmienili przeciwników w pył, zanim ci zdolali cokolwiek zrobić.

Po drugiej stronie pola bitwy myśliwiec przechwytyjący Kopecza przeciął defensywny krąg wokół statku dowodzenia i jego cennego ładunku w osobie Jedi – zbyt szybki i zwinny, aby wieżyczki czy myśliwce Aurek mogły go wziąć na cel. Przebijając linie Republiki, Kopecz wprowadził statek do głównego hangaru: drzwi śluzy zamknęły się o ułamek sekundy za późno. Otworzył ogień w chwili, kiedy jego statek z poślizgiem wylądował na podłodze doku, i zmiotł wszystkich żołnierzy, którzy mieli nieszczęście znajdować się w jego zasięgu.

Kiedy statek się zatrzymał, Kopecz otworzył właz i saltem wyskoczył z siedzenia. Zwinnie wylądował na nogach, dobył miecza świetlnego i włączył go jednym płynnym ruchem. Pierwszy łagodny łuk przechwycił strzały dwóch żołnierzy, którzy przeżyli wstępny atak, i odbił je bez szkody. Kolejne salto pozwoliło mu przebyć sześć metrów dzielących Twi'leka od żołnierzy, a następny świetlisty łuk zakończył ich życie.

Kopecz przystanął, aby ocenić sytuację. Z załogi i sprzętu pozostała w doku jedynie krwawa masa trupów i złomu. Uśmiechnął się i podszedł do włazu wiodącego do wnętrza statku.

Szedł korytarzem szybko i pewnie, prowadzony przez Moc emanującą z mistrza Jedi, niczym tuk'ata wabiony wonią chrząszcza squella. W jednym z holów zatrzymała go grupa ochroniarzy. Czerwone naszywki na rękawach świadczyły, że to elitarny oddział specjalnie szkolonych żołnierzy: najlepsi ochroniarze, jakich miała do zaoferowania armia Republiki. Kopecz zrozumiał, że naprawdę muszą być dobrzy: jedna z kobiet zdołała dwukrotnie wystrzelić, zanim cała grupa padła pod ciosami jego miecza świetlnego.

Wszedł do obszernego pomieszczenia, w którego głębi znajdowały się jedyne drzwi. Za nimi przebywała jego ofiara, ale drogę do niej zagrażało mu dwóch Selkathów – ziemnowodnych stworzeń z planety Metaan – z zapalonymi mieczami świetlnymi. Byli to jednak tylko padawan, słudzy mistrza Jedi. Kopecz nawet się nie pofatygował, aby wciągnąć ich w walkę, to byłoby poniżej jego godności. Wyrzucił przed siebie mięsistą dłoń i użył Mocy, aby rzucić nimi o ścianę. Jeden z padawanów stracił przytomność od uderzenia. Zanim jednak niepewnie stanął na nogi, jego towarzyszka już była martwa. Życie wycisnęła z niej Moc Ciemnej Strony.

Ocalały padawan cofał się przed Kopeczem; lord Sithów przeszedł przez salę miarowym krokiem, zbierając siły, które zaraz uwolnił w strumieniu elektrycznych błyskawic,

błękitnofioletowych promieni, które wżarły się w ciało jego nieszczęsnej ofiary. Ciało Selkatha długo tańczyło w konwulsjach agonii, zanim dymiące zwłoki opadły wreszcie na ziemię i znieruchomiały.

Kopecz podszedł do drzwi w głębi pokoju i otworzył je. Za drzwiami znalazł niewielki pokój do medytacji. Na środku podłogi siedziała po turecku starsza kobieta cereańska, odziana w prostą brązową szatę mistrza Jedi. Jej pomarszczona, wychudła twarz złana była potem z wysiłku, kiedy siłą własnej medytacji bojowej próbowała zwalczyć Kaana i Sithów.

Zmęczona, wręcz wykończona, nie była żadnym przeciwnikiem dla pochylonego nad nią lorda Sithów. Nie uczyniła jednak żadnego ruchu, aby uciec czy choćby się bronić. Pewna śmierć była o sekundy, a ona spokojnie koncentrowała się na bitwie.

Kopecz nie mógł się otrząsnąć z podziwu dla jej odwagi, nawet wtedy, kiedy metodycznie szlachtował jej ciało. Jej spokojna akceptacja pozbawiła go całej przyjemności zwycięstwa. „Spokój to kłamstwo”, mruknął, kiedy sunął długimi krokami korytarzem wiodącym w kierunku doków i swojego statku. Musiał się spieszyć, by uciec, nim „Zmierch” lub inny statek rozniesie hammerheada.

Śmierć mistrza Jedi jeszcze raz odwróciła szanse. Opór prysł, bitwa zmieniła się w rajd Sithów, a potem w jatkę. Pozbawieni ochrony Jasnej Strony Mocy żołnierze Republiki byli już całkowicie zdemoralizowani przez rozpacz i terror, jakie Kaan zasiewał w ich umysłach. Ci, którzy do tej pory okazywali silną wolę, teraz porzucili wszelką nadzieję poza ucieczką z pola bitwy i ocaleniem własnej skóry. Ci o słabszych charakterach zostali tak obezwładnieni, że liczyli jedynie na szybką i bezbolesną śmierć. Pierwsi nie dostali tego, czego chcieli; drugim się udało.

Lord Kopecz przypiął się do fotela swojego myśliwca i wystrzelił z hangaru na kilka sekund wcześniej, zanim ogromny statek został zniszczony przez wspaniałą, niszczycielską eksplozję.

Straty Sithów w tej walce były cięższe, niż się spodziewano, ale zwycięstwo okazało się całkowite. Ani jeden pilot, żołnierz czy statek Republiki nie uszedł z życiem z pierwszej bitwy pod Ruusan.

## ROZDZIAŁ 10

Moc Bane'a rosła. W ciągu zaledwie kilku miesięcy szkolenia nauczył się wiele o Mocy i potędze Ciemnej Strony. Fizycznie czuł się jeszcze silniejszy niż przedtem. W czasie porannych biegów treningowych mógł przebiec z pełną szybkością prawie pięć kilometrów, zanim w ogóle zaczął ciężiej oddychać. Jego odruchy były szybsze, umysł i zmysły bardziej wyostrzone, niż sam mógłby się spodziewać.

Kiedy mu to było potrzebne, potrafił kanalizować Moc przez swoje ciało, dając mu energię, która pozwalała na dokonywanie czynów pozornie niemożliwych: pełne salto z pozycji stojącej, przetrwanie upadków z niewiarygodnych wysokości bez jednego obrażenia, pionowe skoki w górę na dziesięć i więcej metrów.

Przez cały czas był doskonale świadom otoczenia, wyczuwając obecność innych. Czasem mógł nawet wyczuwać ich zamiary, niejasno odczytywać cienie ich myśli. Był w stanie lewitować coraz większe przedmioty przez coraz dłuższy czas. Z każdą lekcją jego potęga rosła. Coraz łatwiej i łatwiej było mu władać Mocą i naginać ją do swojej woli. I z każdym tygodniem Bane zdawał sobie sprawę, że właśnie wyprzedził kolejnego ucznia, który kiedyś był od niego lepszy.

Coraz mniej czasu spędzał w archiwach, studiując dawne zwoje. Jego początkowa fascynacja nimi minęła, stłumiona intensywnym życiem Akademii. Pochłanianie wiedzy dawno nieżyjących mistrzów było przyjemnością zimną i jałową. Historyczne zapisy nie mogły się równać z uczuciem ekstazy i potęgi, którą czuł, kiedy rzeczywiście używał Mocy. Bane był częścią Akademii i Bractwa Ciemności. Częścią teraźniejszości, a nie zamierzchłej przeszłości.

Zaczął spędzać więcej czasu z innymi studentami. Wyczuwał już, że niektórzy byli zazdrośni, choć żaden nie odważył się otwarcie mu tego okazać. Zachęcano do współzawodnictwa między studentami, a mistrzowie pozwalali, aby rywalizacja przeradzała się we wrogość i nienawiść, które karmiły Ciemną Stronę. Były jednak surowe kary dla każdego, kto próbował przeszkadzać lub utrudniać szkolenie innemu uczniowi.

Oczywiście, wszyscy uczniowie wiedzieli, że karę wymierzano właściwie za brak ostrożności i wpadkę. Zdrada była akceptowana przez przemilczenie, jak długo okazywała się dość sprytna, aby instruktorzy niczego nie zauważyli. Fenomenalne postępy Bane'a chroniły

go przed machinacjami kolegów-studentów: nikt nie mógł go zaczepić, nie ściągając na siebie uwagi lorda Qordisa lub innych lordów Sithów.

Niestety ta zwiększona uwaga również Bane'owi utrudniała użycie zdrady, manipulacji czy innych technik, aby osiągnąć lepszy status w Akademii.

Był jeden, jedyny legalny sposób, w jaki student mógł zniszczyć rywala – walka na miecze świetlne. Miecz świetlny – wybrana broń zarówno Jedi, jak i Sithów – była czymś więcej niż tylko ostrzem energetycznym, zdolnym przeciąć praktycznie każdy materiał w znanej galaktyce. Miecz świetlny był przedłużeniem właściciela i jego umiejętności władania Mocą. Jedynie ktoś o surowej dyscyplinie umysłowej i całkowitym opanowaniu fizycznym mógł skutecznie używać tej broni... a przynajmniej tak uczono Bane'a i pozostałych.

Niewielu studentów miało własne miecze świetlne; musieli przedtem okazać się godnymi ich posiadania w oczach Qordisa i pozostałych. To jednak nie powstrzymało lorda Kas'ima, twi'lekańskiego mistrza szermierki, od uczenia ich stylów i technik, które będą stosować, kiedy wreszcie zasłużą na swoją broń. Co ranka wszyscy uczniowie zbierali się na rozległym, otwartym dachu świątyni i pod jego czujnym okiem trenowali uniki i ciosy, usiłując zapamiętać egzotyczne gesty, które miały im przynieść zwycięstwo na polu walki.

Pot ściekał strumieniami z głowy Bane'a i zalewał mu oczy, gdy ćwiczył postawy. Mrugnięciem strząsnął piekącą strużkę i przyspieszył, raz po raz tnąc powietrze przed sobą mieczem treningowym. Wszyscy inni uczniowie wokół niego robili to samo – każdy starał się pokonać swoje ograniczenia fizyczne i stać się czymś więcej aniżeli tylko uzbrojonym wojownikiem. Stać się przedłużeniem samej Ciemnej Strony Mocy.

Bane rozpoczął od podstawowych technik, wspólnych dla wszystkich siedmiu tradycyjnych form miecza świetlnego. Pierwsze tygodnie spędzał na niekończących się powtórkach pozycji defensywnych, cięć z góry, parad i kontrataków. Obserwując naturalne tendencje studentów poznających podstawy, lord Kas'im określał, która forma będzie im najbardziej odpowiadać. Dla Bane'a wybrał Djem So – formę piątą. Piąta forma podkreślała siłę i moc, pozwalając Bane'owi najlepiej wykorzystywać swój wzrost i mięśnie. Dopiero kiedy opanował wszystkie ruchy Djem So w stopniu zadowalającym Kas'ima, pozwolono mu rozpocząć prawdziwy trening.

Teraz, wspólnie z innymi studentami Akademii, spędzał co rano prawie godzinę pod czujnym okiem fechtmistrza na doskonaleniu technik z użyciem miecza treningowego. Miecze treningowe wykonane były z durastali, ze stępionymi ostrzami, ale tak wyważone i zbudowane, że ich klingi przypominały promienie energii emitowane przez miecze świetlne. Ponieważ jednak prawdziwy miecz świetlny zachowuje się nieco inaczej, każde ostrze treningowe pokryte było milionami wypełnionych toksyną kolców, zbyt małych, by je zobaczyć, a wykonanych z mikroskopijnych karbowanych skorupki śmiertelności żuka pelko. Ten rzadki owad żył jedynie głęboko pod pustynnymi piaskami Doliny Mrocznych

Lordów na Korribanie. Przy bezpośrednim uderzeniu mikroskopijne kolce mogły przebić każdą tkaninę, a jad pelko powodował oparzenia i pęcherze. Natychmiast po zainfekowaniu pojawiał się tymczasowy paraliż, co powodowało całkowitą bezużyteczność uderzonej kończyny. Był to doskonały sposób imitowania efektów utraty dłoni, ramienia lub nogi od ciosu miecza.

Poranną ciszę wypełniały stęknienia uczniów i świst ostrzy przecinających powietrze. W pewnym stopniu przypominało to Bane'owi jego szkolenie wojskowe: grupka żołnierzy połączona jednoczesnym powtarzaniem gestu, aż stawał się praktycznie instynktowny.

W Akademii nie było jednak koleżeńskiej atmosfery. Uczniowie byli rywalami, po prostu i zwyczajnie. Pod tym względem sytuacja nie różniła się wiele od Apatrosa. Teraz jednak ta izolacja była warta poświęcenia. Tu uczyli go tajników Ciemnej Strony.

– Żle! – warknął nagle Kas'im. Spacerował wzdłuż szeregów trenujących uczniów, aż stanął tuż obok Bane'a. – Uderzaj złośliwie i precyzyjnie. – Chwycił Bane'a za nadgarstek, obracając go brutalnie i zmieniając kąt ostrza. – Wchodzisz za wysoko! – skarcił go. – Tu nie ma miejsca na błąd.

Stał obok Bane'a przez kilka sekund, obserwując, czy zrozumiał lekcję. Po kilku ostrych pchnięciach przy zmienionym uchwycie fechtmistrz skinął głową z aprobatą i poszedł dalej.

Bane powtarzał ten jeden gest bez końca, starając się zachować wysokość i kąt dokładnie takie, jak pokazał mu Kas'im. Uczył mięśnie poprzez wielokrotne powtarzanie, aż były w stanie bezbłędnie odtworzyć gest za każdym razem. Dopiero potem włączy je w bardziej skomplikowane manewry.

Wkrótce ciężko oddychał ze zmęczenia. Fizycznie sesje szkoleniowe Kas'ima nie mogły równać się z waleniem w żyłę cortosis młotem hydraulicznym przez kilka godzin pod rząd, ale były znacznie bardziej męczące pod innymi względami. Wymagały intensywnej koncentracji umysłu, dbałości o szczegóły sięgającej znacznie dalej niż to, co widoczne gołym okiem. Prawdziwe mistrzostwo w posługiwaniu się mieczem wymagało połączenia w jedno ciała i umysłu.

Kiedy dwóch mistrzów stawało do pojedynku na miecze świetlne, wszystko działo się tak szybko, że oko nie nadążało z widzeniem, a umysł z reakcjami. Wszystko trzeba było robić instynktownie: ciało musiało być wyszkolone tak, aby poruszać się i reagować bez udziału świadomości. W tym celu Kas'im wymagał od studentów ćwiczenia sekwencji, starannie wyreżyserowanych serii rozmaitych uderzeń i parad z ich wybranego stylu. Sekwencje były zaprojektowane przez samego fechtmistrza tak, że każdy manewr płynnie wynikał z poprzedniego, zwiększając skuteczność ataku i redukując ryzyko.

Wykorzystanie sekwencji w walce pozwalało studentom uwolnić umysły od myśli, bo ich ciała automatycznie wykonywały kolejne ruchy. Wykorzystywanie sekwencji było skuteczniejsze i szybsze niż rozważanie i inicjowanie każdego ciosu lub blokady oddzielnie, co znacznie zwiększało przewagę nad przeciwnikiem, który nie znał takich technik.

Jednak wdrożenie nowej sekwencji, tak aby mogła być bezbłędnie wykonana, było procesem długim i pracowitym. Wielu zajmowało to dwa lub trzy tygodnie szkoleń – a nawet dłużej, jeśli sekwencja pochodziła ze stylu, którego student nie zdążył jeszcze w pełni opanować. A nawet najdrobniejsza pomyłka w najmniejszym geście mogła sprawić, że cała sekwencja stawała się bezwartościowa.

Kas'im spostrzegł potencjalny błąd w technice Bane'a. Teraz Bane był zdecydowany wyeliminować go, nawet gdyby oznaczało to godziny ćwiczeń w czasie wolnym. Bane bez litości dążył do perfekcji – nie tylko w szkoleniu bojowym, lecz także w nauce. Był człowiekiem z misją.

– Dość – rozległ się głos Kas'ima. Słyszając to słowo, wszyscy studenci przerywali ćwiczenia i zwracali uwagę na fechtmistrza. Stał teraz przed całym zgromadzeniem, zwrócony do nich twarzą.

– Możecie odpoczywać przez dziesięć minut – rzekł. – A potem zaczną się wyzwania.

Bane, podobnie jak większość pozostałych, przysiadł na skrzyżowanych i podwiniętych nogach w pozycji do medytacji. Odłożył miecz treningowy na ziemię obok siebie, przymknął oczy i wszedł w lekki trans, czerpiąc z Ciemnej Strony, aby odświeżyć obolałe mięśnie i znużony umysł.

Pozwolił, aby Moc przepływała przez niego, a myśli dryfowały swobodnie. Jak to często bywało, wracał myślą do chwili, kiedy po raz pierwszy dotknął Ciemnej Strony. Nie chodziło o te niepewne próby, których doświadczał na Apatrosie lub w czasie, gdy służył jako żołnierz, lecz o prawdziwe poznanie Mocy.

Było to trzeciego dnia w Akademii. Stosował techniki medytacyjne, których nauczył się poprzedniego dnia, kiedy nagle poczuł to. Tak jakby pękła tama, zalała go wzburzona rzeka, zmywając wszystkie niedoskonałości: słabość, lęk, zwątpienie. W tej jednej chwili pojął, po co tu jest. W tej chwili rozpoczęła się jego prawdziwa transformacja ze śmiertelnika w Sitha, z Desa w Bane'a.

*Dzięki potędze osiągam zwycięstwo.*

*Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.*

Bane wiedział wszystko na temat łańcuchów. Niektóre były oczywiste: brutalny, wyrodny ojciec, ciężkie zmiany w kopalni, długi wobec pozbawionej twarzy i bezlitosnej korporacji. Inne były subtelniejsze: Republika i jej idealistyczne obietnice lepszego życia, które nigdy nie miały się spełnić, Jedi i ich śluby, że uwolnią galaktykę od niesprawiedliwości. Nawet jego przyjaciele z Wędrowców Mroku stanowili coś w rodzaju więźów. Troszczył się o nich, był za nich odpowiedzialny. A jednak w końcu, kiedy ich najbardziej potrzebował, do czego się przydali?

Rozumiał teraz, że osobiste przywiązanie może go tylko hamować. Przyjaciele byli brzemieniem. Musiał polegać tylko na sobie. Musiał rozwinąć własny potencjał. Własną



potęgę. W sumie wszystko się do tego sprowadzało. Do potęgi. A Ciemna Strona przede wszystkim obiecywała właśnie potęgę.

Słyszał wokół siebie ruch – cichy szelest szat, kiedy inni uczniowie wstawali z medytacji i kierowali się w stronę ringu wyzwań. Chwycił jedną ręką miecz treningowy i zerwał się, by do nich dołączyć.

Na koniec sesji klasa zbierała się w szerokim, nieregularnym kręgu na szczycie świątyni. Każdy student mógł wejść w krąg i wyzwąć drugiego. Kas'im uważnie obserwował pojedynki, a kiedy dobiegły końca, analizował działania wszystkich uczniów. Ci, którzy zwyciężyli, byli chwaleni za umiejętności, a ich status w nieformalnym rankingu Akademii wzrastał. Ci, którzy przegrywali, otrzymywali naganę za błędy i jednocześnie cierpieli spadek prestiżu.

Kiedy Bane rozpoczął szkolenia, wielu studentów próbowało go wyzywać. Wiedzieli, że jest neofitą, i mieli nadzieję, że na oczach całej grupy położą na łopatki muskularnego olbrzyma. Początkowo odrzucał zaproszenia. Wiedział, że są najszybszą drogą do osiągnięcia pewnej renomy w Akademii, ale nie był tak głupi, aby dać się wciągnąć w walkę, którą z całą pewnością przegra.

W ciągu ostatnich miesięcy pracował jednak bardzo ciężko, aby nauczyć się stylu i techniki. Szybko przyswajał sobie nowe sekwencje, a kiedy sam Kas'im skomentował jego postępy, Bane poczuł się dość pewnie, by zacząć przyjmować wyzwania. Nie zawsze wygrywał, ale zwyciężał częściej, niż przegrywał, powoli pnąc się na szczyt drabiny. Dzisiaj poczuł się gotów do uczynienia kolejnego kroku.

Uczniowie stali w trzech rzędach, tworząc pierścień ciał wokół pustego kręgu pośrodku o średnicy około dziesięciu metrów. Kas'im wstąpił na środek. Nie odezwał się, a jedynie przechylił głowę – był to znak, że należy rozpocząć wyzwania. Bane wyszedł na środek, zanim kto inny zdołał wykonać jakikolwiek gest.

– Wyzywam Fohargha – rzekł głośno i dobitnie.

– Przyjmuję – rozległa się odpowiedź gdzieś z głębi tłumu po drugiej stronie kręgu. Uczniowie rozstąpili się, aby przepuścić wyzwanego. Kas'im skłonił się lekko każdemu z walczących i odszedł na skraj ringu, aby zrobić im miejsce.

Fohargh był Makurthem. Pod wielu względami przypominał Bane'owi Trandoshan, z którymi walczył w czasie pobytu w oddziale Wędrowców Mroku. Oba gatunki były dwunożnymi saurianami – jaszczurowatymi humanoidami pokrytymi skórzastą zieloną łuską – ale Makurthowie mieli dodatkowo cztery zakrzywione rogi wyrastające z czubka głowy.

Na początku szkolenia Bane walczył z Foharghem – i przegrał. Paskudnie.

Makurthowie z natury byli istotami nocnymi. Podobnie jak górnicy z nocnej zmiany w kopalni na Apatrosie, przyzwyczaili się do nienaturalnego dla nich rozkładu dnia w Akademii. W czasie pierwszego pojedynku Bane nie docenił Fohargha, spodziewając się, że za dnia będzie ślamazarny i powolny. Drugi raz już nie popełnił tego błędu.

Kas'im i uczniowie przypatrywali się w milczeniu, jak dwaj przeciwnicy okrążają się na ringu, trzymając przed sobą miecze treningowe w standardowej pozycji wyjściowej. Makurth oddychał, pomrukując i chrapiąc przez rozszerzone nozdrza, którymi próbował onieśmielić przeciwnika. Od czasu do czasu wydawał z siebie dziki ryk i potrząsał rogatą głową, błyskając wielkimi kłami. Za pierwszym razem, kiedy Bane stanął przed tym zielonym łuskowatym demonem, dał się onieśmielić jego sztuczkami. Teraz po prostu go zignorował.

Bane zaatakował zwykłym uderzeniem z góry, ale Fohargh odpowiedział szybką paradą, aby odbić cios w bok. Zamiast trzaskania i szumu kling słychać było głośny brzęk ścierającej się stali. Przeciwnicy natychmiast odskoczyli od siebie i stanęli w gotowości.

Bane skoczył naprzód, opuszczając ostrze ukośnie z prawej na lewo w długim, szybkim łuku. Fohargh zdołał odbić cios, ale stracił równowagę i się cofnął. Bane próbował wykorzystać przewagę, a jego miecz zakreślił łuk od lewej do prawej. Przeciwnik odskoczył półobrotom, szybko się cofając, aby zyskać nieco przestrzeni. Bane przerwał niedokończoną sekwencję i znów przyjął pozycję gotowości.

Na Apatrosie jego uśpione zdolności pozwalały mu przewidzieć i zareagować na ruchy nieprzyjaciela. Tu jednak każdy przeciwnik miał tę samą przewagę. W rezultacie zwycięstwo oznaczało połączenie w jedno Mocy i umiejętności fizycznych.

Bane pracował ciężko nad osiągnięciem tych umiejętności w ciągu kilku ostatnich miesięcy. W miarę jak się rozwijał, mógł poświęcać coraz mniej energii umysłu na działania fizyczne, takie jak pchnięcie, parada czy kontratak. Pozwalało mu to skoncentrować się na użyciu Mocy tak, aby przewidywać ruchy przeciwnika, jednocześnie zaciemniając i rozpraszając jego zdolności prekognicyjne.

Kiedy Bane ostatnio walczył z Foharghem, wciąż był nowicjuszem. Nauczył się tylko kilku sekwencji. Teraz znał ich ponad sto, był w stanie gładko przejść od końcówki jednej sekwencji do początku drugiej, oferując większy zakres kombinacji ataku i obrony. A im więcej było opcji, tym trudniej było przeciwnikowi wykorzystać Moc do przewidywania jego kolejnych działań.

Fohargh, pomimo przerażającego wyglądu, był niższy i drobniejszy niż jego ludzki przeciwnik. Wobec fizycznej przewagi formy piątej Bane'a musiał polegać na defensywnym stylu formy trzeciej, co pozwoliło mu obronić się przed atakami większego studenta.

Zataczając ostrzem szybki młynek, Bane skoczył w powietrze i wylądował z hukiem. Fohargh odparował atak, ale został przewrócony na ziemię. Upadł na plecy i z wielkim tylko trudem zdołał poderwać miecz dość szybko, aby zablokować kolejny atak Bane'a. Metal dźwięczał o metal, kiedy ciosy Bane'a spadały na jego ostrze jak deszcz. Makurth nie pozwolił mu zadać bezpośredniego ciosu mistrzowskim młynkiem, za to kopniakiem ściał przeciwnika z nóg. Teraz obaj leżeli na ziemi.

Zerwali się na nogi równocześnie, jak lustrzane odbicia, a ich miecze spotkały się z kolejnym dźwięcznym zgrzytem. Znów odskoczyli od siebie. Wśród zebranego tłumu

rozległy się szepty i stłumione pomruki, ale Bane całym wysiłkiem woli odciął się od nich. Myśleli, że walka dobiegła końca... Bane też. Czuł się rozczarowany, że nie zdołał wykończyć powalonego przeciwnika, ale wiedział, że zwycięstwo jest bliskie. Ocalenie skóry wiele kosztowało Fohargha; teraz oddychał szybko, urywanie, ramiona mu opadły.

Bane rzucił się na niego w kolejnym ataku. Tym razem jednak Makurth się nie cofnął. Wyszedł do przodu z szybkim pchnięciem, przechodząc od formy trzeciej do bardziej precyzyjnej, agresywnej formy drugiej. Bane, zaskoczony tym nieoczekiwanym manewrem, o mikrosekundę za późno rozpoznał zmianę. Próba parady zdołał odbić ostrze od piersi, ale jego czubek przejechał mu po prawym ramieniu.

Tłum jęknął, Fohargh zawył zwycięsko, a Bane wrzasnął z bólu, gdy miecz wypadł mu na ziemię z nagle pozbawionych czucia palców. Odruchowo użył drugiej ręki, aby odepchnąć tamtego. Fohargh cofnął się chwiejnie, a Bane odtoczył się na bezpieczną odległość.

Zebrał się na nogi i wyciągnął lewą dłoń do miecza treningowego, który leżał na ziemi o jakieś trzy metry od niego. Miecz pofrunął do jego ręki i Bane znów zajął pozycję w gotowości, z prawym ramieniem bezwładnie zwisającym u boku. Niektórzy Sithowie uczyli się walczyć obiema rękami, ale Bane jeszcze nie osiągnął tego zaawansowanego etapu. Trzymał broń niezgrabnie i niezręcznie. Lewą ręką nie miał szans z Foharghem. Walka była zakończona.

Jego przeciwnik też to wyczuł.

– Klęska jest gorzka, człowieku – warknął w basicu głębokim, groźnym głosem. – Byłem lepszy, przegrałeś.

Nie żądał od Bane'a kapitulacji, poddanie się nigdy nie było tu opcją. Po prostu drażnił się z nim, publicznie poniżał go przed innymi studentami.

– Uczyłeś się przez wiele tygodni, żeby mnie wyzwać – drwił dalej. – Przegrałeś. Zwycięstwo znów należy do mnie.

– No to chodź mnie wykończ – warknął Bane. Niewiele więcej mógł dodać. Wszystko, co jego wróg mówił w ciężko akcentowanym basicu, było prawdą, a jego słowa raniły głębiej niż stępione ostrze miecza treningowego.

– To się skończy wtedy, kiedy ja zechcę – odparł Makurth, nie dając się sprowokować.

Oczy innych uczniów wwiercały się w Bane'a. Czuł, jak te oczy spijają jego cierpienie, jak napawają się widokiem jego klęski. Nie cierpieli go, drażniło ich szczególne zainteresowanie, jakim darzyli go mistrzowie. Teraz rozkoszowali się jego porażką.

– Jesteś słaby – ciągnął Fohargh, niedbale kręcąc mieczem w skomplikowanym i wymyślnym młynku. – Jesteś przewidywalny.

Bane chciał wrzasnąć: Przestań! Dokończ to! Wykończ mnie! Pomimo jednak narastających w nim emocji, odmówił przeciwnikowi satysfakcji i milczał. Wypuścił z palców bezużyteczny miecz na ziemię. W tle widział fechtmistrza, który obserwował uważnie sytuację, zastanawiając się, jak konfrontacja dojrnie do swego nieuniknionego końca.

– Mistrzowie tańczą wokół ciebie. Ofiarują ci swój czas i uwagę. Więcej niż innym. Więcej niż mnie.

Bane prawie już nie słyszał tych słów. Serce łomotało mu tak głośno, że słyszał pulsowanie krwi w żyłach. Dygocząc z bezsilności, opuścił głowę i opadł na jedno kolano, odsłaniając obnażony kark.

– A mimo to jesteś wciąż gorszy ode mnie, Bane z Sithów...

Bane. Sposób, w jaki Fohargh wypowiedział to słowo, sprawił, że podniósł wzrok. W taki sam sposób wypowiadał jego imię ojciec.

– To moje imię – szepnął Bane niskim, groźnym tonem. – Nikt nie śmie użyć go przeciwko mnie.

Fohargh albo go nie słyszał, albo go to nie obchodziło. Powoli ruszył przed siebie.

– Bane. Bezwartościowy. Takie wielkie nic bez znaczenia. Mistrzowie zmarnowali na ciebie swój czas. Lepiej spędziliby go przy innych studentach. Naprawdę masz dobre imię, bo jesteś zgubą Akademii!

– Nie! – wrzasnął Bane, wyciągając zdrową rękę dłonią w górę w tej samej chwili, gdy Fohargh skoczył, aby go dobić. Energia Ciemnej Strony wytrysnęła z jego otwartej dłoni i chwyciła przeciwnika w pół skoku, rzucając nim w tył, ku skrajowi kręgu, gdzie wylądował u stóp Kas'ima.

Mistrz obserwował to z zainteresowaniem, ale czujnie. Bane powoli zacisnął pięść i wstał. Przed nim, na ziemi, leżał Fohargh, wijąc się z bólu, drąc palcami gardło i walcząc o każdy oddech.

W przeciwieństwie do Makurtha Bane nie miał nic do powiedzenia swojemu bezbronnemu przeciwnikowi. Zacisnął pięść jeszcze mocniej, czując, jak Moc przepływa przez niego niczym boski wiatr. Powoli, bezlitośnie wyciskał życie z nieprzyjaciela. Pięty Fohargha wybijały staccato na kamiennym podłożu, jego ciało skręcało się w konwulsjach. Zaczął rzezić, pomiędzy warg pociekła mu biała piana.

– Dość, Bane – rzekł Kas'im zimnym, spokojnym tonem. Choć znajdował się zaledwie o centymetry od umierającego studenta, jego wzrok wbity był w tego drugiego, który wciąż stał.

Z samego rdzenia jestestwa Bane'a dożyła się ostatnia fala Mocy i eksplodowała na zewnątrz. W odpowiedzi ciało Fohargha zeszytniało, oczy uciekły mu w tył głowy. Bane rozluźnił swój chwyt w Mocy i na pokonanym przeciwniku. Makurth zwiotczał, kiedy uciekały z niego ostatnie krople życia.

– Teraz już dość – odparł Bane, odwracając się od trupa i kierując w stronę schodów, wiodących do wnętrza świątyni. Krąg studentów szybko rozstał się przed nim. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, iż Kas'im patrzy za nim z wielkim zainteresowaniem.

Bane poczuł, że ktoś idzie za nim po schodach od strony Świątyni, zanim jeszcze usłyszał kroki. Nie przyspieszył, nie zwolnił, ale zatrzymał się na pierwszym podejściu, żeby spojrzeć mu w twarz. Prawie był pewien, że to lord Kas'im, jednak ze zdumieniem stwierdził, że zamiast fechtmistrza, ma przed sobą pomarańczowe oczy Siraka, innego ucznia Akademii. Właściwie najlepszego ucznia Akademii.

Sirak był Zabrakiem, jednym z trzech, którzy uczyli się tu, na Korribanie. Zabrakowie często byli ambitni, zawzięci i arogancy – może to dzięki tym cechom jednostki tej rasy, wrażliwe na Moc, tak szybko przejmowały wszystkie właściwości Ciemnej Strony – sam Sirak zaś był doskonałym wcieleniem tych cech. Z całej trójki Zabraków był zdecydowanie najsilniejszy; tam gdzie siedł, szli również za nim pozostali dwaj, wlokąc się u jego nóg niczym pokorni słudzy. Była to kolorowa trójka – czerwonoskórzy Llokay i Yevra, i bladozółty Sirak. Teraz jednak czerwoni rozsądnie się ulotnili.

Powiadano, że Sirak rozpoczął naukę o Ciemnej Stronie pod kierunkiem lorda Qordisa prawie dwadzieścia lat temu, na długo przedtem nim Akademia na Korribanie została przywrócona do użytku. Bane nie wiedział, czy te plotki mogą być prawdziwe, i nie uważał, żeby mądrze było o to pytać. Iridonianin Zabrak był potężny i niebezpieczny. Jak do tej pory Bane starał się rozsądnie unikać ściągania na siebie uwagi najlepszego studenta w Akademii. Widać jednak było, że ta strategia przestała być skuteczna.

Przyływ adrenaliny, który poczuł po zabiciu Fohargha, skończył się już wraz z uczuciami, które doprowadziły do tego dramatycznego końca – przyływem pewności siebie i poczuciem, że jest niezwycięzony. Bane nie bał się właściwie, kiedy Zabrak zbliżał się do niego, ale zachowywał ostrożność.

W przyćmionym świetle świątynnych pochodni skóra Zabranka miała niemiłą, woskowy odcień. Nieproszone napłynęły wspomnienia z pierwszego roku pracy Bane'a w kopalni na Apatrosie. Pięciosobowa grupa – trzech mężczyzn i dwie kobiety – została uwięziona w chodniku po zawale. Przeżyli zapadnięcie się stropu, uciekając do wzmocnionej komory wykutej w skale, ale ze zwałowiska uwolniły się trujące opary i przeniknęły do tego schronienia, zabijając ich, zanim ekipy ratunkowe zdołały do nich dotrzeć. Barwa ich wzdętych ciał była dokładnie taka sama, jak twarzy Siraka: kolor bolesnej, długiej śmierci.

Bane pokręcił głową, odpychając od siebie to wspomnienie. Tamto życie należało do Desa, a Des przestał istnieć.

– Czego chcesz? – zapytał, starając się zachować spokój.

– Wiesz, po co tu jestem – padła lodowata odpowiedź. – Fohargh.

– Był twoim przyjacielem? – Bane zdziwił się naprawdę. Jeśli nie liczyć pozostałych dwóch Zabraków, Sirak rzadko kontaktował się z innymi studentami. Właściwie większość oskarżeń, którymi Fohargh obrzucił Bane'a – zwłaszcza zaś wyjątkowe traktowanie przez mistrzów – można było równie dobrze odnieść do Siraka.

– Makurth nie był ani moim przyjacielem, ani wrogiem – brzmiała wyniosła odpowiedź.  
– Nie zauważałem go, tak samo jak ciebie. Do tej chwili.

Jedyną odpowiedzią Bane'a było spokojnie spojrzenie. Migotliwe światło odbijające się w źrenicach Zabracka sprawiało wrażenie, jakby wewnątrz jego czaszki szalały głodne płomienie.

– Jesteś intrygującym przeciwnikiem – szepnął Sirak, podchodząc o krok bliżej. – Imponującym... przynajmniej w porównaniu z tymi tak zwanymi uczniami. Teraz cię obserwuję i czekam.

Wyciągnął powoli dłoń i wcisnął palec w pierś Bane'a. Bane musiał się powstrzymać, aby nie odstać do tyłu.

– Nie rzucam wyzwań – ciągnął Zabrak. – Nie muszę się sprawdzać z gorszymi od siebie. Uśmiechnął się okrutnie, opuścił palec i cofnął się o krok.

– Jak tylko jednak wmówisz sobie, że jesteś gotowy, wiem, że mnie wyzwiesz. Będę na to czekał z niecierpliwością.

Po tych słowach minął Bane'a na wąskim podeście, lekko trącając ramieniem, jakby nie zauważył jego obecności, i ruszył po schodach na niższe poziomy.

Znaczenie tego gestu nie uszło uwagi Bane'a. Wiedział, że Sirak próbuje go zastraszyć... i zwabić na konfrontację, do której Bane jeszcze nie był gotów. Nie zamierzał wpaść w tę pułapkę. Stał bez ruchu na szczycie schodów, nie odwracając się, by spojrzeć w ślad za Sirakiem. Dopiero kiedy usłyszał, że reszta grupy schodzi z dachu, ocknął się, obrócił na pięcie i udał się na niższe piętra, do zacisza własnego pokoju.

## ROZDZIAŁ 11

Następnego ranka Bane nie wziął udziału w ćwiczeniach z innymi studentami na dachu świątyni. Lord Qordis chciał z nim rozmawiać. Prywatnie.

Szedł przez niemal puste sale Akademii na miejsce spotkania, pozornie całkiem spokojny i pewny siebie. Wewnątrz aż kipiał.

Przez całą noc leżał nieruchomo, otoczony ciszą i ciemnością pokoju, wciąż na nowo i na nowo rozgrywając w pamięci pojedynkę. Teraz, kiedy emocje walki go opuściły, wiedział, że przesadził. Wystarczyłoby, żeby udowodnił swoją przewagę nad Foharghem, przyduszając go Mocą do ziemi – osiągnął *dun moch*. Fohargh nigdy nie wyzwiałby go znowu. Jednak z jakiegoś powodu Bane nie był w stanie się zatrzymać. Nie chciał się zatrzymać.

W tamtej chwili nie miał poczucia winy. Żadnych wyrzutów sumienia. Teraz jednak, kiedy emocje ostygły, gdzieś w głębi duszy czuł, że zrobił coś złego. Czy Fohargh naprawdę zasługiwał na śmierć?

Druga jednak część jego duszy nie chciała zaakceptować poczucia winy. Nie lubił Makurtha. Nie żywił do niego żadnych uczuć. Fohargh był jedynie przeszkodą na drodze do postępu Bane'a. Teraz ją usunął.

W tamtej chwili całkowicie oddał się Ciemnej Stronie. To było coś więcej niż zwykła wściekłość czy żądza krwi. Przenikało głębiej, do samego wnętrza jego duszy. Stracił cały rozsądek i kontrolę nad sobą... ale czuł się z tym dobrze.

Bane spędził długą, bezsenność noc, usiłując pogodzić ze sobą dwa uczucia: triumf i wyrzuty sumienia. Kiedy jednak przyszli po niego rankiem, ten wewnętrzny konflikt został stłumiony przez konkretniejsze problemy.

Śmierć Fohargha będzie miała dalsze reperkusje. Walka miała za zadanie uczyć, wzmacniać studentów, uodparniać ich na zmagania i ból. Nie było mowy o zabijaniu. Każdy z uczniów Akademii, od Siraka do najgorszego i najpodlejszego, miał możliwość zostania mistrzem. Każdy posiadał ten niezwykle rzadki dar Ciemnej Strony – dar, którego mieli używać w walce z Jedi, nie między sobą.

Zabijając Fohargha, Bane uszczuplił szeregi potencjalnych mistrzów Sithów. Zadał poważny cios działaniom wojennym. Każdy uczeń tej Akademii ceniony był wyżej niż cała dywizja żołnierzy. Zniszczył bezcenne narzędzie. Za to zapewne ukarzą go surowo.

Podążając na spotkanie, które miało zadecydować o jego losie, próbował odepchnąć od siebie strach i poczucie winy. Nie może zrobić nic, co przywróciłoby Fohargha do życia. Makurth zginął, ale Bane wciąż żył. Był kimś, kto przetrwa wszystko. Musiał być silny. Musiał znaleźć sposób, żeby usprawiedliwić swoje działanie w oczach lorda Qordisa.

Zbierał już argumenty. Fohargh był słaby. Bane nie tylko go zabił: również obnażył tę jego słabość. Qordis i mistrzowie nie zwalczali rywalizacji i niezgody wśród podopiecznych. Rozumieli wartość wyzwania i współzawodnictwa. Ci, którzy wydawali się obiecujący – pojedyncze osobniki, które wyróżniały się wśród innych – byli nagradzani. Pobierali samodzielne lekcje u mistrzów, aby osiągnąć pełny potencjał. Ci, którzy nie mogli nadażyć, zostawali w tyle. Tak działała Ciemna Strona.

Śmierć Fohargha była tylko naturalnym przedłużeniem filozofii Ciemnej Strony. Jego śmierć była ostateczną klęską – ale dla niego. Dlaczego Bane miałby być oskarżany o czyjąś słabość?

Przyspieszył kroku, zaciskając zęby z gniewu i frustracji. Nic dziwnego, że jego emocje były tak sprzeczne. To nauki Akademii były sprzeczne. Ciemna strona nie dopuszczała litości ani przebaczenia. A jednak uczeń powinien był się cofnąć, jak tylko pokonał przeciwnika w kręgu pojedynekowym. To nienaturalne.

Dotarł do progu pokoju Qordisa. Zawahał się przez chwilę pomiędzy lękiem przed oczekującą go karą a gniewem spowodowanym okropną sytuacją, w jakiej codziennie był stawiany wraz z innymi uczniami.

Uznał wreszcie, że gniew posłuży mu lepiej.

Zastukał ostro do drzwi i otworzył je, jak tylko usłyszał wezwanie. Qordis klęczał pośrodku komnaty, pogrążony w medytacji. Bane bywał tu już wcześniej, ale ekstrawagancja tego wnętrza zawsze wprawiała go w podziw. Ściany przyozdobiono kosztownymi gobelinami i draperiami, wszędzie stały złote grzejniki i kadzielnice, w których paliły się ciężkie kadzidła, wypełniając powietrze delikatną mgiełką i ciemnym żarem. W jednym rogu stało wielkie, luksusowe łóżko. W drugim misternie rzeźbiony stół z obsydianu, a na nim niewielka skrzynka.

Pokrywa skrzynki była otwarta, ujawniając jej zawartość: naszyjniki i łańcuchy z drogocennych metali, pierścienie ze złota i platyny inkrustowane ostentacyjnie wielkimi klejnotami. Qordis bardzo się starał otaczać wszelkim bogactwem, a jeszcze bardziej – aby wszyscy dostrzegali ten przepych. Bane podejrzewał, że na pewnym poziomie lord Sithów czerpał rozkosz – i siłę – z pożądania i zazdrości, jakie jego bogactwa budziły w innych.

Bane nie interesował się świecidełkami. Bardziej ciekawiły go manuskrypty i grube tomiska, które stały na półkach wzdłuż ściany – dzieła sztuki oprawne w skórę ze złoceniami. Wiele z nich miało tysiące lat i wiedział, że zawierają sekrety dawnych Sithów.

Wreszcie Qordis wstał i wyprostował się, by spojrzeć na studenta zimnymi, szarymi oczami.



– Kas'im powiedział mi, co się stało wczoraj rano – rzekł. – Twierdzi, że jesteś odpowiedzialny za śmierć Fohargha.

Ton jego głosu nie zdradzał żadnych emocji.

– Nie jestem odpowiedzialny za jego śmierć – spokojnie odparł Bane. Był wściekły, ale nie głupi. Dalsze słowa dobierał bardzo starannie; chciał przekonać lorda Qordisa, a nie rozwścieczyć. – To Fohargh się odsłonił. Pozwolił sobie na słabość na ringu. Ja także okazałbym słabość, gdybym z tego nie skorzystał.

Jego stwierdzenie nie było całkowicie zgodne z prawdą, ale dość jej bliskie. Na jednej z pierwszych lekcji Kas'im uczył ich, jak zbudować wokół siebie tarczę ochronną, aby w walce nieprzyjaciel nie był w stanie użyć Mocy przeciwko nim. Silny Mocą przeciwnik mógł wyrwać miecz świetlny, przewrócić, a nawet wyłączyć ostrze, nie dotykając go rękami lub bronią. Tarcza Mocy była najbardziej podstawową – i najpotrzebniejszą ochroną.

Wszyscy uczniowie używali jej instynktownie, prawie jakby była to ich druga natura. Gdy tylko ostrze zostało dobyte, pojawiała się ochronna osłona. Osłanianie się przed siłą Mocy przeciwnika i ukrywanie własnych intencji wymagało co najmniej tyle samo koncentracji i energii, jak doskonalenie sprawności fizycznej lub przewidywanie działań nieprzyjaciela. Była to ta niewidzialna część pojedynku – niewidoczna wojna woli, nieoczywista interakcja ciał i broni – lecz to ona często decydowała o wyniku starcia.

– Kas'im twierdzi, że Fohargh nie opuścił osłony – odparował Qordis. – Mówi, że po prostu przedarłeś się przez nią. Jego osłona nie wytrzymała twojej mocy.

– Mistrzu, czy twierdzisz, że powinienem odstąpić, kiedy mój przeciwnik okazuje się słabszy?

Było to jawnie zaczepne pytanie, ale Qordis nie pofatygował się, by udzielić na nie odpowiedzi.

– Jedną sprawą jest pokonanie przeciwnika na ringu. Ale nawet kiedy już leżał, ty atakowałeś go dalej. Został pokonany na długo przedtem, nim go zabiłeś. To co zrobiłeś, niczym się nie różniło od zadania ciosu mieczem pokonanemu i nieprzytomnemu wrogowi... to nie jest dozwolone na ringu treningowym.

Słowa uderzyły zbyt blisko celu, wydobywając na światło dzienne poczucie winy, które Bane usiłował pogrzebać w drodze na spotkanie. Qordis milczał, czekając na jego reakcję. Bane musiał odpowiedzieć. Ale jedyną odpowiedzią, jaka mu przyszła do głowy, było pytanie, które dręczyło go od najwcześniejszych godzin świtu.

– Kas'im wiedział, co się dzieje. Widział, co robię. Dlaczego mnie nie powstrzymał?

– Istotnie, dlaczego nie? – uprzejmie odparł Qordis. – Lord Kas'im chciał zobaczyć, co się stanie. Chciał wiedzieć, jak zachowasz się w tej sytuacji. Chciał się przekonać, czy okażesz litość... czy siłę.

Nagle Bane zrozumiał, że nie został tu wezwany, aby ponieść karę.

– Ja... nie rozumiem. Myślałem, że zabicie drugiego ucznia jest zabronione.

Qordis skinął głową.

– Nie możemy pozwolić, aby studenci atakowali się na korytarzach. Nasza nienawiść musi być skierowana przeciwko Jedi, a nie sobie wzajemnie. – Słowa te były niczym echo walki, którą Bane toczył ze sobą jeszcze kilka minut temu. Ale to, co nastąpiło później, było całkiem nieoczekiwane.

– Mimo wszystko śmierć Fohargha może okazać się niewielką stratą, jeśli pozwoli ci osiągnąć pełny potencjał. Dla tych, którzy są silni Ciemną Stroną, należy robić wyjątki.

– Jak Sirak? – zapytał Bane, a słowa wymknęły się z jego ust, zanim jeszcze wiedział, co powie.

Na szczęście pytanie zdawało się raczej bawić lorda Qordisa niż go obrażać.

– Sirak rozumie potęgę Ciemnej Strony – rzekł z uśmiechem. – Pasja karmi Ciemną Stronę.

– *Spokój jest kłamstwem, jest tylko pasja* – mruknął z przyzwyczajenia Bane. – *Dzięki pasji osiągam siłę.*

– Właśnie. – Qordis wydawał się zadowolony, choć trudno powiedzieć, czy z siebie, czy z ucznia.

– *Dzięki sile osiągam potęgę, dzięki potędze osiągam zwycięstwo.*

– *Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy* – wyrecytował posłusznie Bane.

– Zrozum to... zrozum do końca, a twój potencjał będzie nieograniczony!

Qordis odprawił go ruchem dłoni, po czym siadł z powrotem na macie do medytacji. Bane odwrócił się, by wyjść. W drzwiach jednak młody człowiek zatrzymał się na chwilę i obejrzał.

– Co to jest Sith'ari? – Wypalił.

Qordis przechylił głowę na bok.

– Gdzie słyszałeś to słowo? – Głos miał bardzo poważny. – Ja... słyszałem, jak używali go niektórzy studenci, mówiąc o Siraku. Powiedzieli, że on może być Sith'ari.

– Niektóre dawne teksty mówią o Sith'ari – odpowiedział powoli Qordis, gestem ozdobionego złotem szponu wskazując na księgi porozkładane po całym pokoju. – Powiadają że Sithowie pewnego dnia zostaną poprowadzeni przez doskonałą istotę, która będzie uosabiała Ciemną Stronę i wszystko, czym jesteśmy.

– I Sirak jest tą doskonałą istotą?

Qordis wzruszył ramionami.

– Sirak jest najsilniejszym studentem w Akademii. Na razie. Z czasem może przewyższyć Kas'ima i mnie, i innych lordów Sithów. A może nie. – Urwał. – Wielu z mistrzów nie wierzy w legendę o Sith'ari – ciągnął po chwili. – Na przykład lord Kaan. Uważa, że jest ona sprzeczna z filozofią przyświecającą Braterstwu Ciemności.

– A ty, mistrzu? Czy wierzysz w tę legendę?

– To niebezpieczne pytanie – rzekł wreszcie mroczny lord. – Jeśli jednak Sith'ari jest czymś więcej niż legendą, nie zrodzi się z naszych nauk jako wzorowy student. On... lub ona... musi zostać wytopiony w tyglu prób i bitwy, aby osiągnąć taką doskonałość. Niektórzy uważają, że takie właśnie szkolenie jest celem Akademii. Ja jednak twierdzę inaczej. Uważam, że powinniśmy szkolić naszych studentów tak, aby wstąpili w szeregi lordów Sithów i stanęli u boku Kaana i reszty Bractwa.

Bane zrozumiał, że to najlepsza odpowiedź, na jaką może liczyć, skinął głową i wyszedł. Został rozgrzeszony ze zbrodni, przebaczone mu, ponieważ miał wielki potencjał. Powinien się cieszyć, triumfować. Ale – nie wiedząc czemu – kiedy zdążył na dach, aby dołączyć do reszty studentów, mógł myśleć jedynie o lepkiem gulgotaniu agonálnego oddechu Fohargha.

Tej nocy, w ciszy swojego pokoju, Bane usiłował zrozumieć, co się właściwie stało. Szukał w słowach mistrza głębszej mądrości. Qordis powiedział, że jego emocje... jego gniew pozwoliły mu zebrać siły i pokonać Fohargha. Powiedział, że Ciemna Strona karmi się pasją. Bane czuł to tyle razy, że wiedział, iż jest to prawda.

Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że to nie wszystko. Nie uważał się za osobę okrutną. Nie wierzył, że jest bezlitosnym sadystą. Jak jednak inaczej wyjaśnić to, co uczynił bezbronnemu Makurthowi? Czy było to morderstwo, czy egzekucja, Bane nie umiał tego zaakceptować.

Miał na rękach mnóstwo krwi. Zabił setki, może tysiące żołnierzy Republiki. Ale to było w czasie wojny. A chorąży, którego zabił na Apatrosie... tego dokonał w akcie samoobrony. Zawsze były to sytuacje „zabij albo ciebie zabiją” i nigdy nie żałował tego, co zrobił. Aż do wczoraj.

Nieważne, jak bardzo się starał, nie mógł znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla tego, co się stało na ringu. Fohargh drwił sobie z niego, podsycając wściekłość i śmiercionośną furję. Nawet tego jednak nie mógł uznać za wytłumaczenie, że dał się ponieść chwili. Nie, jeśli miał być ze sobą szczery. Czuł kipiące w nim uczucia, które ściągały go ku Ciemnej Stronie, ale sam czyn był zimny i przemyślany. Nawet wyrachowany.

Leżąc w łóżku, zaczął się zastanawiać, czy związek pomiędzy pasją a Ciemną Stroną nie jest przypadkiem bardziej skomplikowany, niż Qordis próbował mu to pokazać. Przymknął oczy, zastanawiając się nad tym, co się stało. Oddychał powoli, głęboko, starając się zachować spokój i obojętność, aby móc przeanalizować, co się właściwie stało.

Został ponizony, wpędzony w zakłopotanie i odpowiedział gniewem. Gniew pozwolił mu wezwać na pomoc Ciemną Stronę i skierować na nieprzyjaciela. Pamiętał uczucie wielkiej radości i triumfu, kiedy widział, jak Fohargh szybuje w powietrzu. Ale było też coś innego. Nawet po zwycięstwie jego nienawiść narastała, ogarniając go jak płomień ognia, które ugasić można jedynie krwią.

Ciemna Strona karmiła się pasją, ale czy nie było i odwrotnie? Czy pasja nie karmiła się Ciemną Stroną? Emocje dawały potęgę, ale i potęga powodowała natężenie emocji... co z kolei prowadziło do rozrostu potęgi. W odpowiednich okolicznościach mógł powstać cykl, który zakończy się dopiero, kiedy dana osoba osiągnie granice swoich możliwości władania Mocą... lub kiedy cel jej gniewu i nienawiści zostanie zniszczony.

Pomimo upału panującego w pokoju Bane poczuł zimny dreszcz. Jak można ujarzmić moc, która karmi się sama sobą? Im więcej on, uczeń, dowiadywał się o korzystaniu z Mocy, tym bardziej był kontrolowany przez emocje. Im silniejszy się stawał, tym mniej był racjonalny. To nie do uniknięcia.

Nie, pomyślał Bane. Czegoś tu brakuje. Musi brakować. Gdyby to była prawda, mistrzowie uczyliby studentów, jak tej sytuacji uniknąć. Uczyliby, jak się zdystansować od własnych emocji, jednocześnie używając ich do kontrolowania Ciemnej Strony. Ale w ich szkoleniu nie było niczego podobnego, więc analiza Bane'a musiała być błędna. Musiała!

Nieco uspokojony Bane pozwolił, aby myśli poprowadziły go w krainę snu.

– Rzygać mi się chce. – Ojciec splunął. – Patrz, ile ty żresz. Jesteś gorszy niż pieprzona świnią zucca!

Des próbował go ignorować. Zgarbiony siedział przy stole i starał się skupić na talerzu z jedzeniem, powoli ładując do ust kolejne porcje.

– Słyszałeś mnie, smarkaczu?! – krzyczał ojciec. – Myślisz, że to, co masz przed sobą, jest za darmo? Muszę płacić za to żarcie, wiesz? W tym tygodniu pracowałem dzień w dzień i wciąż jestem dłużny więcej niż na początku tego pieprzonego miesiąca!

Hurst był pijany, jak zwykle. Oczy miał szkliste, wciąż śmierdział kopalnią. Nie zawracał sobie głowy kąpielą, natychmiast rzucał się na butelkę, którą miał ukrytą pod kocem na pryczy.

– Mam pracować na dwie zmiany, żeby cię utrzymać? – warknął.

– Pracuję tyle samo zmian, co ty – mruknął Des, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Co? – zawołał Hurst i jego głos nagle opadł do groźnego szeptu. – Coś ty powiedział?

Zamiast ugryźć się w język, Des podniósł wzrok znad talerza i spojrzał prosto w czerwone półprzysłone oczy ojca.

– Powiedziałem, że robię tyle samo zmian co ty. A mam tylko osiemnaście lat. Hurst odepchnął krzesło od stołu i wstał.

– Osiemnaście lat i wciąż zbyt głupi, żeby trzymać mordę na kłódkę. – Pokręcił głową w przesadnym geście rozczarowania. – Cholerna zguba mojego życia, ot co!

Des odrzucił widelec i również zerwał się od stołu, prostując się na całą wysokość. Był teraz wyższy od ojca, a jego szkielet zaczął się wypełniać mięśniami wypracowanymi w tunelach.

– Uderzysz mnie teraz? – Warknął. – Dasz mi nauczkę?

Hurst otworzył usta.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze, do jasnej cholery?

– To mnie się chce rzygać – syknął Des. – Obwiniasz mnie o wszystkie swoje problemy, ale to ty przepijasz wszystkie nasze kredyty! Może gdybyś wytrzeźwiało, zdołalibyśmy się wynieść z tego śmierdzącego świata!

– Ty pyskаты, śmierdzący gówniarzu! – ryknął Hurst i szarpnął stołem, aż mebel uderzył o ścianę. Jednym skokiem przebył pustą teraz przestrzeń dzielącą go od chłopca i chwycił Desa za przeguby tak mocno, jakby jego ręce były parą durastalowych kajdanek. Młodzieniec próbował się wyrwać, ale jego ojciec był cięższy o jakieś dwadzieścia kilo, z czego połowa przypadła na mięśnie.

Wiedząc, że to beznadziejne, Des przestał się szarpać po kilku sekundach. Ale nie miał zamiaru się kulić i płakać. Nie tym razem.

– Jeśli mnie dzisiaj zbijesz – rzekł – pamiętaj, że to może być ostatni raz, stary. Lepiej się postaraj.

Hurst się postarał. Rzucił się na syna z całą dziką furią zgorzkniałego, pozbawionego nadziei człowieka. Złamał mu nos, podbił oboje oczu. Wybił dwa zęby, rozciął wargę i połamał żebra. Ale przez cały ten czas Des nie odezwał się ani słowem i nie uronił ani jednej łzy.

Tej nocy, gdy Des leżał w łóżku, zbyt spuchnięty i posiniaczony, by zasnąć, w głowie tłukła mu się jedna myśl, zagłuszając pijackie chrapanie Hursta, który przysnął w kącie.

Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz.

Nigdy nie nienawidził ojca tak bardzo, jak w tej chwili. Wyobrażał sobie olbrzyma, który ściska w garści okrutne serce jego ojca.

Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz.

Słowa przetaczały mu się w mózgu jak nieskończona mantra, jakby mógł sprawić, że staną się prawdą samą siłą woli.

Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz.

Łzy, które powstrzymywał przez całe brutalne lanie, napłynęły teraz; gorące krople spływały po sinuej spuchniętej twarzy.

Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że umrzesz...

Bane ocknął się gwałtownie z łomoczącym sercem i ciałem skąpanym w pocie, gdy rzucał się po łóżku, oplatany pościelą. Przez chwilę wydawało mu się, że jest na Apatrosie, w ciasnym pokoju razem z Hurstem i nieuniknionym smrodem alkoholu. A potem przypomniał sobie, gdzie jest, i koszmar zaczął się oddalać. W jego miejsce pojawiło się przerażające uczucie zrozumienia.

Hurst rzeczywiście umarł tamtej nocy. Władze uznały, że zmarł śmiercią naturalną. Atak serca, spowodowany połączeniem zbyt dużej ilości alkoholu, życia spędzonego w kopalni

oraz nadmiernym, choć daremnym wysiłkiem zatłuczenia na śmierć własnego syna. Nigdy nie podejrzewali prawdziwej przyczyny. Bane też nie. Do dzisiaj.

Drżąc lekko, odwrócił się, zmęczony, ale wiedział, że tej nocy nie będzie już spał.

Fohargh nie był pierwszą osobą, którą zabił poprzez Moc. I prawdopodobnie nie ostatnią. Bane był dość mądry, żeby to zrozumieć.

Pokręcił głową, żeby pozbyć się wspomnienia śmierci Hursta. Ten człowiek nie zasługiwał ani na litość, ani na łaskę. Słabi zawsze będą miażdżeni przez silnych. Jeśli Bane miał przetrwać, musiał stać się silny. Dlatego był teraz tu, w Akademii. To była jego misja. To była nauka Ciemnej Strony.

Objawienie to jednak nie uspokoiło mdłości, jakie odczuwał, a kiedy zamknął oczy, wciąż widział przed sobą twarz ojca.

## ROZDZIAŁ 12

– Nie! – warknął Kas'im, wgardliwie odpychając miecz treningowy Bane'a własną bronią. – Źle! Jesteś zbyt wolny przy pierwszym przejściu. Pozostawiasz odsłonięty bok do szybkiego kontrataku.

Fechtmistrz uczył go nowej sekwencji – już od ponad tygodnia. Z jakiejś jednak przyczyny Bane wydawał się niezdolny do przyswojenia skomplikowanych gestów. Miecz w jego rękach wydawał się niezgrabny i ślamazarny.

Odstąpił i stanął w pozycji gotowości. Kas'im oceniał go przez chwilę, po czym sam przyjął pozycję obronną. Bane odetchnął głęboko, aby się skoncentrować, zanim pozwolił raz jeszcze wejść ciału w sekwencję.

Jego mięśnie drgnęły instynktownie, eksplodując do działania. Rozległ się syk, kiedy ostrze przecięło powietrze w pierwszym ruchu, rozmazane jak plama... lecz i tak za wolno. Kas'im odpowiedział ślizgiem w bok i uniósł dwusieczny miecz w długim, szybkim łuku, który wylądował twardo na żebrach Bane'a.

Bane z sykiem wypuścił powietrze z płuc i poczuł rozdzierający ból koleców pelko, który rozlał się w zbyt dobrze znane odrętwienie, ogarniające całą lewą stronę jego torsu. Zachwiał się i cofnął bezradnie. Kas'im patrzył w milczeniu. Bane próbował utrzymać się na nogach, ale nie dał rady; niezgrabnie padł na ziemię. Fechtmistrz z rozczarowaniem pokręcił głową.

Bane pozbierał się na nogi, starając się nie okazać frustracji. Od dnia, kiedy pokonał Fohargha na ringu, minęły prawie trzy tygodnie i od tego czasu odbywał indywidualne sesje z Kas'imem, aby poprawić technikę walki mieczem świetlnym. Z jakiejś jednak przyczyny nie robił żadnych postępów.

– Przepraszam, mistrzu, będę dalej ćwiczył – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Ćwiczył? – powtórzył Twi'lek okrutnie drwiącym głosem. – Co ci to da?

– Muszę... muszę lepiej poznać sekwencję. Żeby poprawić szybkość. Kas'im splunął na ziemię.

– Jeśli w to wierzysz, to jesteś głupcem.

Bane nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał. Fechtmistrz podszedł i wymierzył mu krótki cios w ucho. Nie chciał sprawić mu bólu, a jedynie poniżyć.

– Fohargh był lepiej wytrenowany od ciebie – warknął. – Znał więcej sekwencji, więcej form. Ale to go nie ocaliło. Sekwencje to tylko narzędzia. Pomagają ci uwolnić umysł, abyś

mógł czerpać z Mocy. Tam właśnie leży klucz do twojego zwycięstwa. Nie w mięśniach ramion i szybkości ostrza. Aby zniszczyć wroga, musisz wezwać Ciemną Stronę!

Bane mógł tylko skinać głową zaciskając zęby, bo palący ból obejmował już całą lewą stronę jego ciała.

– Wstrzymujesz się – ciągnął mistrz. – Nie używasz Mocy. Bez niej twoje ruchy są powolne i przewidywalne.

– Ja... będę się starał, mistrzu.

– Starał się? – Kas'im odwrócił się z odrazą. – Straciłeś wolę do walki. Ta lekcja jest skończona.

Bane zrozumiał, że jest zwolniony, i powoli ruszył w kierunku drzwi wiodących na dół. Zanim do nich dotarł, Kas'im rzucił w ślad za nim ostatnią radę:

– Wróć, kiedy będziesz gotów przyjąć Ciemną Stronę, zamiast się od niej odwracać.

Bane nie obejrzał się, uniemożliwiły mu to ból i odrętwienie lewej strony ciała. Kiedy jednak kuśtykał w dół po schodach, słowa lorda Kas'ima wciąż dźwięczały mu w uszach. Czuł w nich prawdę.

To nie był pierwszy trening, na którym zawiódł. A jego klęski nie ograniczały się do Kas'ima i miecza świetlnego. Bane po pokonaniu Fohargha zyskał reputację i prestiż – kilku mistrzów nagle okazało wielkie zainteresowanie udzielaniem mu prywatnych lekcji, lecz pomimo tej dodatkowej uwagi postępy Bane'a były marne. Wręcz zaczął się cofać.

Powoli doszedł korytarzem do swojego pokoju, gdzie natychmiast położył się do łóżka. I tak nie mógł nic zrobić, dopóki był tymczasowo obezwładniony jadem pelko. Mógł jedynie odpoczywać i medytować.

Wiedział, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafił dokładnie powiedzieć, co. Nie czuł się już mądry. Nie czuł się żywy. Kiedy po raz pierwszy poczuł, jak Moc przepływa przez niego, jego zmysły wydawały się nadmiernie wyczulone, świat wydawał się bardziej wibrujący i realny. Teraz wszystko było stłumione i odległe. Snuł się po korytarzach Akademii jak w transie.

Nie spał dobrze; ciągle miał koszmary. Czasem śnił o ojcu i nocy, kiedy umarł. Kiedy indziej o walce z Foharghem. Czasem te sny zlewały się razem w jedną straszliwą wizję: Makurtha bijącego go w mieszkaniu na Apatrosie, ojca leżącego bez życia w kręgu ćwiczebnym na dachu świątyni na Korribanie. I za każdym razem budził się z krzykiem, dławiąc się strachem, dygocząc, choć ciało skapane miał w pocie.

Jednak to nie tylko brak snu powodował u niego to otepienie. Pasja, która nim kierowała, zniknęła nagle. Szalejący w nim ogień przygasł, zastąpiła go zimna pustka. A bez tej pasji nie był w stanie wezwać potęgi Ciemnej Strony. Coraz trudniej było mu władać Mocą.

Zmiany były subtelne, początkowo ledwie zauważalne. Z czasem jednak drobiazgi się nawarstwiały. Teraz przesuwanie nawet małych przedmiotów męczyło go bardzo. Nie mógł już przewidzieć, co uczyni przeciwnik – mógł jedynie reagować po fakcie.



Nie dało się już zaprzeczać – cofał się. Uczniowie, których dawno prześcignął, teraz doganiali go znowu. Widział swój upadek, choćby tylko obserwując innych podczas nauki... a to oznaczało, że oni prawdopodobnie też to widzą.

Pomyślał znowu o tym, co powiedział mu twi'lekański mistrz. „Straciłeś wolę walki”.

Kas'im miał rację. Bane czuł, jak jego wola walki się ulatnia, już od pierwszego snu o ojcu. Niestety nie miał pojęcia, jak odzyskać ten gniew i ogień rywalizacji, który napędzał jego błyskawiczne postępy w hierarchii uczniów Sithów.

„Wróć, kiedy będziesz gotów przyjąć Ciemną Stronę, zamiast się od niej odwracać”.

Coś go powstrzymywało. Jakaś część jego osoby cofała się przed tym, kim się stał. Mógł teraz medytować godzinami, koncentrując umysł na poszukiwaniu wirującej, pulsującej furii Ciemnej Strony, którą gdzieś w sobie zamknął. Zimny woal opadł na jądro jego istoty, a on żadną miarą nie mógł go rozerwać, by dotrzeć do Mocy, która pod nim się kryła.

A czasu było coraz mniej. Do tej pory nikt jeszcze nie odważył się wyzwać go w kręgu – było tak od śmierci Fohargha. Ponury koniec Markutha wciąż budził w studentach dość strachu, żeby się do niego nie zbliżać. Bane wiedział jednak, że niedługo przestaną się go bać. Jego pewność siebie i umiejętności zanikały, porażki stawały się coraz bardziej oczywiste. Wkrótce staną się oczywiste dla wszystkich studentów, tak jak dla niego.

W ciągu tych pierwszych dni po śmierci Fohargha jedynym jego prawdziwym rywalem był Sirak. Teraz każdy uczeń w Świątyni stanowił dla niego potencjalne zagrożenie. Beznadziejność tej sytuacji rozdzierała mu serce. Chciał wrzeszczeć, drzeć kamienne ściany w bezsilnej rozpacz. Pomimo jednak całej frustracji nie był w stanie przywołać pasji, którą karmiła się Ciemna Strona.

Wkrótce ktoś wyzwie go na ring i pokona bez trudu. I nic nie mógł uczynić, aby powstrzymać nadejście tej chwili.

Lord Kaan spacerował niespokojnie po mostku „Zmierzchu”, który unosił się na orbicie przemysłowego świata Brentaal IV. Flota Sithów zajmowała sektor Bornea, region przestrzeni, gdzie przecinały się Perlemański Szlak Handlowy i Droga Hydiańska. Bractwo Ciemności kontrolowało teraz dwa najważniejsze szlaki nadprzestrzenne obsługujące Świat Jądra. Opór Republiki, stawiany bezlitośnie posuwającej się naprzód flocie Sithów, był coraz słabszy.

A jednak, pomimo ostatniego zwycięstwa, Kaan czuł, że coś jest nie w porządku. Podbój sektora Bornea wydawał się wręcz zbyt łatwy. Świąty Corugal, Chandrilla i Brentaal padły jedne po drugich, ich obrońcy zaś stawiali jedynie pozorny opór, zanim rzucili się do ucieczki przed hordą najeźdźców.

Lord wyczuwał jedynie garstkę Jedi wśród stawiających im czoło sił Republiki. Nie po raz pierwszy Jedi byli właściwie nieobecni w kluczowych starciach. W czasie walk na Bespinie, Sulluście i Tanaabie Kaan spodziewał się oporu w postaci całej floty prowadzonej

przez mistrza Jedi Hotha, jedyne dowódcę Republiki, który wydawał się zdolny do zwycięzania w walce z Sithami. A jednak generał Hoth – pomimo reputacji, jaką wyrobił sobie w początkowych etapach wojny – nie pojawił się tam.

Początkowo Kaan sądził, że to pułapka, jakiś skomplikowany spisek, zaaranżowany przez okrutnego Hotha, aby pochwycić i zniszczyć odwiecznego wroga. Jeśli jednak była to pułapka, nigdy się nie zamknęła. Sithowie naciskali ze wszystkich stron, siedzieli prawie u progu samego Coruscant, a Jedi po prostu zniknęli, jakby opuścili Republikę w największej potrzebie.

Powinien być zachwycony. Bez Jedi wojna była właściwie wygrana, Republika upadnie za kilka miesięcy i Sithowie zapanują. Ale gdzie się podzieli Jedi? Kaanowi wcale się to nie podobało. Dziwna wiadomość, jaką Kopecz przesłał mu kilka godzin wcześniej, tylko zwiększyła jego niepokój. Twi'lek wybierał się na spotkanie „Zmierzchu” z ważnymi informacjami dotyczącymi Ruusan, wieściami, których nie chciał przekazywać normalnymi kanałami. Wieściami tak ważnymi, że musiał je dostarczyć osobiście.

– W doku „Zmierzchu” właśnie wylądował myśliwiec przechwytyjący, lordzie Kaan – zameldował żołnierz z załogi mostku.

Pomimo zniecierpliwienia, z jakim oczekiwał wiadomości Kopecza, lord Kaan oparł się pokusie, by wyjść mu na spotkanie do doku. Czuł, że stało się coś bardzo, bardzo złego, a ważne było, aby zachować pełną powagę i spokój wobec żołnierzy. Cierpliwość nie była jednak cnotą popularną wśród lordów Sithów i Kaan nie mógł się powstrzymać od krążenia po mostku w oczekiwaniu, aż Twi'lek tam dotrze i złoży złowieszczą brzmiący raport.

Po kilku minutach, które jemu wszakże wydawały się godzinami, Kopecz wreszcie dotarł na miejsce. Wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego i niepokój Kaana wzrósł jeszcze, kiedy tamten szybko przeciął mostek i złożył niedbały ukłon.

– Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy, lordzie Kaan.

– Możesz mówić tutaj – zapewnił go Kaan. – To, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza ten statek.

Załoga mostku „Zmierzchu” została osobiście dobrana przez lorda Kaana. Wszyscy złożyli przysięgę całkowitej lojalności: znali poważne konsekwencje, jakie ich czekały, gdyby złamali przysięgę.

Kopecz podejrzliwie rozejrzał się po mostku, ale załoga wydawała się zajęta wyłącznie własnymi sprawami. Wydawało się, że nawet go nie zauważają.

– Straciliśmy Ruusan – rzekł szeptem pomimo zapewnień Kaana. – Baza na powierzchni planety, flota na orbicie... wszystko zniszczone!

Przez moment Kaan się nie odzywał. A kiedy już to zrobił, również zniżył głos do szeptu.

– Jak to się stało? Przecież mamy szpiegów w całym wojsku Republiki! Wszystkie floty zostały w Jądrze. Wszystkie! Przecież nie mogli zebrać dość sił, żeby odbić Ruusan! Nie bez naszej wiedzy!

– To nie Republika – odparł Kopecz. – To Jedi. Setki. Tysiące. Mistrzowie, rycerze, padawanowie Jedi, cała armia Jedi.

Kopecz zaklął głośno. Nikt na mostku nawet nie podniósł głowy w ich kierunku, co dobitnie świadczyło o ich karności i strachu przed dowódcą.

– Lord Hoth zdał sobie sprawę, że siła zakonu Jedi została zbyt mocno rozproszona w próbach obrony Republiki – ciągnął Kopecz. – Zebrał ich wszystkich w jedną armię i w jednym celu: zniszczyć wszystkich tych, którzy władają Ciemną Stroną Mocy. Już ich nie obchodzi flota ani żołnierze. Chcą zniszczyć nas: uczniów, akolitów, mistrzów Sithów... a zwłaszcza mrocznych lordów. Lord Hoth prowadzi ich osobiście – dodał Twi'lek, choć Kaan sam się już tego domyślił. – Nazywają się Armią Światła.

Kopecz urwał, pozwalając, aby wieści dotarły do Kaana, który odetchnął głęboko kilka razy i wyrecytował w duchu Kodeks Sithów, aby na powrót skoncentrować rozszalałe myśli.

A potem parsknął śmiechem.

– Armia Światła przeciwko Bractwu Ciemności!

Kopecz przyglądał mu się ze zdumieniem.

– Hoth wie, że Jedi nie są w stanie pokonać naszej ogromnej armii – wyjaśnił Kaan. – Już nie. Republika jest zgubiona. Teraz koncentruje się zatem na nas: na dowódcach tych armii. Odetnij głowę, a ciało umrze.

– Powinniśmy wysłać na Ruusan naszą flotę – podsunął Kopecz. – Całą. Zdusić Jedi jednym ruchem i na zawsze uwolnić od nich galaktykę.

Kaan pokręcił głową.

– Właśnie o to chodzi Hothowi. Odciągnąć nasze armie od Republiki, wywabić z okolic Coruscant. Mielibyśmy oddać wszystko, co zdobyliśmy, w jednym bezsensownym i szalonym ataku na Jedi.

– Bezsensownym?

– Sam powiedziałeś, że tych Jedi są tysiące. Jaką szansę z takim wrogiem ma armia zwykłych żołnierzy? Statki i broń nic nie poradzą przeciwko Mocy. Hoth o tym wie.

Wreszcie Kopecz skinął głową na znak, że rozumie.

– Zawsze mówiłeś, że tej wojny nie rozstrzygną siły zbrojne. – Właśnie. W sumie Republika to tylko dodatek. Prawdziwe zwycięstwo możemy osiągnąć jedynie poprzez całkowitą anihilację zakonu Jedi, a Hoth był na tyle uprzejmy, żeby zebrać ich wszystkich w jednym miejscu.

– Ale Bractwo nie wystarczy, by pokonać zmasowane siły całego zakonu Jedi – zaprotestował Kopecz. – Ich jest zbyt wielu, a nas zbyt mało.

– Jest nas więcej, niż sądzisz – odparł Kaan. – Mamy akademie w całej galaktyce. Możemy wesprzeć naszą liczebność Maruderami z Honoghr i Gentes. Możemy zebrać wszystkich zabójców szkolonych na Umbarze. Wezwiemy uczniów z Darthomiry, Iridonii

oraz z wszystkich innych akademii, aby przyłączyli się do Bractwa Ciemności. Zbierzemy własną armię Sithów, zdolną zniszczyć Hotha i jego Armię Światła.

– A co z Akademią na Korribanie? – zapytał Kopecz.

– Oni też dołączą do Bractwa, ale dopiero kiedy zakończą szkolenie u Qordisa.

– Moglibyśmy ich użyć przeciwko Jedi – naciskał Kopecz. – Korriban jest domem najsilniejszych z naszych uczniów.

– I właśnie dlatego zbyt niebezpiecznie jest ich wprowadzać do walki – wyjaśnił Kaan. – Siła, ambicja i rywalizacja. W zapale bitewnym emocje opanują ich umysły, aż zwrócą się przeciwko sobie. Podziela nasze szeregi wewnętrznymi walkami, a Jedi pozostaną zjednoczeni. – Zamyślił się. – Zbyt wiele razy przydarzyło się to Sithom w przeszłości. Nie pozwolę, aby znowu się tak stało. Zostaną z Qordisem do zakończenia szkolenia. On ich nauczy dyscypliny i lojalności wobec Bractwa i dopiero wówczas dołączą do nas na polu bitwy.

– Czy to ty tak uważasz? – zapytał Kopecz. – Czy może Qordis ci to wmówił?

– Nie pozwól, aby twój brak zaufania do Qordisa zaślepił cię zupełnie – zgnił go Kaan. – Nasi uczniowie to przyszłość Bractwa. Przyszłość Sithów. Nie narazimy ich w tej wojnie, dopóki nie będą gotowi. – Ton lorda zdecydowanie ucinął wszelkie argumenty. – Uczniowie z Korribanu dołączą do Bractwa w odpowiednim czasie. Ale ten czas nie nastąpi teraz.

– Lepiej, żeby to było jak najszybciej – odparł Kopecz, tylko częściowo ułagodzony. – Bez nich raczej nie zdołamy pokonać Hotha.

Kaan wyciągnął rękę i położył ją na potężnym ramieniu Twi'leka, ściskając mocno.

– Nie bój się, przyjacielu – rzekł z uśmiechem. – Jedi nie będą dla nas przeszkodą. Zniszczymy ich na Ruusan, zmieciemy z powierzchni galaktyki. Uczniowie mogą być przyszłością Bractwa, ale teraźniejszość należy do nas!

Ku wielkiej uldze Kaana Kopecz uśmiechnął się także. Przywódca Bractwa byłby zapewne mniej zadowolony, wiedząc, że większość satysfakcji Twi'leka dotyczy faktu, iż Qordis będzie pozbawiony udziału w chwale zwycięstwa.

Lord Kas'im wszedł do bogato przystrojonej komnaty i skinął głową w kierunku drugiego mistrza.

– Chciałeś mnie widzieć?

– Nowiny z frontu – rzekł Qordis, powoli podnosząc się z maty do medytacji. – Jedi zebrali się pod jedną flagą na Ruusan. Prowadzi ich generał Hoth. Lord Kaan zebrał własną armię i właśnie być może w tej chwili atakują Jedi.

– Dołączymy do nich? – zapytał Kas'im z zapalem, a jego lekku zadrgały na myśl o spróbowaniu się z najpotężniejszymi wojownikami zakonu Jedi.

Qordis pokręcił głową.

– Nie, my nie. Żaden z mistrzów. I żaden z uczniów, chyba że czujesz, iż któryś jest gotów.

– Nie – odparł Kas'im po chwili namysłu. – Może Sirak. On jest dość silny, ale zbyt dumny i wciąż jeszcze musi się wiele nauczyć.

– A Bane? Pozbywając się Fohargha, wykazał się sporą gotowością. Kas'im wzruszył ramionami.

– To było miesiąc temu. Od tego czasu prawie nie poczynił postępów. Coś go powstrzymuje. Myślę, że strach.

– Strach? Przed innymi studentami? Przed Sirakiem?

– Nie, nic podobnego. Wreszcie zobaczył, do czego naprawdę jest zdolny, ujrzał całą potęgę Ciemnej Strony. Chyba boi się jej stawić czoło.

– Więc już nam się nie przyda – spokojnie zdecydował Qordis. – Skup się na innych studentach. Nie trać na niego czasu.

Fechtmistrz spojrział na niego z zaskoczeniem, zdumiony, że Qordis gotów jest tak szybko zrezygnować ze studenta o niezaprzeczalnie ogromnym potencjale.

– Myślę, że on po prostu potrzebuje więcej czasu – zasugerował. – Większość naszych studentów uczy się od wielu lat, czasem nawet od dziecka. Bane rozpoczął szkolenie z nami jako całkiem dorosły mężczyzna.

– Doskonale znam okoliczności towarzyszące jego przybyciu do Akademii! – warknął Qordis i Kas'im nagle zrozumiał, co się w istocie dzieje. Bane został sprowadzony na Korriban przez lorda Kopecza, a wszyscy wiedzieli, jak kruchy jest pokój pomiędzy przełożonym Akademii a Kopeczem. Klęska Bane'a stanie się ostatecznie odpryskiem nienawiści Qordisa do rywala.

– Następnym razem, kiedy Bane się do ciebie zbliży, odpraw go – rzekł mroczny lord, a jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że to rozkaz, a nie prośba. – I niech wszyscy mistrzowie rozumieją, że on nie jest już wart naszych nauk.

Kas'im skinął głową na znak, że rozumie. Wykona rozkaz. To nie było uczciwe w stosunku do Bane'a, oczywiście. Ale kto powiedział, że Sithowie są uczciwi?

## ROZDZIAŁ 13

Bane wiedział, że musi coś zrobić. Jego sytuacja stawała się nie do zniesienia. Wciąż się wahał, wciąż nie potrafił wezwać Mocy, której użył do zniszczenia Fohargha. Teraz jednak jego słabość stała się publicznie znana.

Wczoraj, podczas wieczornej sesji szkoleniowej, zbliżył się do Kas'ima, żeby ustalić z nim czas kolejnego indywidualnego treningu w nadziei, że zdoła przełamać letarg, który go ogarnął. Fechtmistrz jednak odmówił mu, kręcąc głową i zwracając swoją uwagę ku innemu studentowi. Komunikat był wyraźny – Bane jest słaby.

Kiedy studenci zebrali się w kręgu na szczycie świątyni po porannych ćwiczeniach, Bane wiedział, co musi zrobić. Jego reputacja chroniła go do tej pory przed wyzwaniem ze strony innych studentów. Teraz jednak przepadła. A przecież nie mógł siedzieć bezczynnie, czekając, aby któryś ze studentów wyzwał go i pokonał. Musi przejąć inicjatywę i zaatakować. Dzisiaj to on pierwszy wkroczy na ring.

Oczywiście, jeśli wyzwie kogoś z gorszych studentów, wszyscy ujrzą w tym potwierdzenie jego słabości, którą usiłował ukryć. Był tylko jeden sposób, aby zrehabilitować się w oczach szkoły i mistrzów, i tylko jeden przeciwnik, którego mógł wyzwać.

Kilku uczniów wciąż krążyło, aby znaleźć sobie miejsce, skąd będą mogli dobrze obserwować poranne ćwiczenia. Zwyczaj nakazywał, aby czekać z wyzwaniem, aż wszyscy się usadowią, ale Bane wiedział, że im dłużej będzie zwlekał, tym trudniejsze stanie się jego zadanie. Dumnie wkroczył w środek kręgu, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia innych studentów. Kas'im rzucił na niego okiem z dezaprobatą, ale Bane udawał, że tego nie widzi.

– Mam wyzwanie – rzekł. – Wyzywam Siraka.

Wśród studentów rozległ się pełen ekscytacji szmer, ale Bane ledwie go słyszał poprzez łomot własnego serca. Sirak rzadko walczył. Bane nigdy nie widział go w akcji. Słyszał jednak opowieści innych studentów o zręczności Siraka na ringu, niesamowite historie o jego niezwykłych umiejętnościach. Od czasu, kiedy Zabrak podszedł do niego na schodach, Bane obserwował go w czasie sesji treningowych, przygotowując się do tej konfrontacji. Z tego co widział, pozornie przesadzone opowieści okazały się całkowicie prawdziwe.

W przeciwieństwie do większości studentów używających zwykłych mieczy, Sirak wolał miecz treningowy o podwójnym ostrzu. Poza Kas'imem Zabrak był jedynym wojownikiem,

jakiego widział Bane, używającym tej dziwnej broni z wielką wprawą. Niedoświadczonemu oku Bane'a jego technika wydawała się niemal doskonała. Nawet w prostych ćwiczeniach jego wyższość była oczywista. Podczas gdy zwykły student potrzebował dwóch do trzech tygodni, aby opanować sekwencję, Sirak przyswajał ją w ciągu kilku dni. A teraz Bane miał stawić mu czoło na ringu.

W odpowiedzi na wyzwanie Zabrak wyszedł z tłumu, poruszając się powoli, lecz z wdziękiem. Zbliżył się do środka ringu, roztaczając wokół siebie aurę zagrożenia. Niedbale wywijał bronią, a podwójne ostrze zakreślało w powietrzu długie leniwe łuki.

Bane obserwował go, czując, że tętno i oddech zaczynają mu przyspieszać. To adrenalina wypełniała jego ciało, które instynktownie szykowało się do bitwy. Bane stwierdził jednak, że jego stan emocjonalny nie uległ zmianie. Spodziewał się na widok Siraka poczuć falę gniewu lub strachu, które pozwoliłyby mu otrząsnąć się z tej obojętności i uwolnić Ciemną Stronę. Letargiczne otępienie jednak wciąż spowijało go jak gruby, szary całun.

– Żałuję, że nie wyzwalałeś mnie wcześniej – szepnął Sirak tak cicho, że tylko Bane mógł go słyszeć. – W pierwszym tygodniu po śmierci Fohargha większość uważała nas za równych. Pokonując cię, zyskałbym wielki prestiż. Teraz już nie.

Sirak zatrzymał się i stał teraz o kilka metrów od niego. Jego miecz treningowy o podwójnym ostrzu wciąż powoli tańczył w powietrzu. Poruszał się jak żywe stworzenie, oczekujące na polowanie, zbyt podekscytowane, aby pozostawać w bezruchu.

– Teraz niewiele będę miał chwały z pokonania ciebie – powtórzył. – Ale za to ogromną przyjemność z widoku twojego cierpienia.

Za plecami Siraka Bane ujrzał Llokaya i Yevrę, dwoje pozostałych Zabraków, którzy właśnie przeciskali się przez tłum, aby lepiej obserwować wyczyny swojego czempiona. Brat uśmiechał się okrutnie, siostra miała głód krwi w oczach. Bane zrobił, co mógł, aby nie dostrzegać zainteresowania na ich czerwonych obliczach; pozwolił, aby wtopili się w nieistotne tło pozostałych widzów.

Cała jego uwaga skupiała się teraz na płynnych ruchach nieznannej broni w dłoniach Siraka. Starał się zapamiętać sekwencje, które Sirak ćwiczył w czasie treningów, i teraz szukał znaków, aby zorientować się, od jakiej sekwencji zamierza rozpocząć walkę. Jeśli uda mu się zgadnąć, spróbuje kontratakować i zakończyć walkę w pierwszym starciu. Była to jego jedyna okazja do zwycięstwa, ale nie mogąc czerpać z Mocy, miał doprawdy niewielkie szanse na odgadnięcie, od której sekwencji przeciwnik rozpocznie pojedynek.

Sirak uniósł podwójny miecz nad głowę i zakręcił nim tak szybko, że ostrze zmieniło się w wirującą plamę, po czym zaatakował. Jeden koniec spadł z góry i ten Bane odparował bez trudu. Lecz była to jedynie finta, bo prawdziwy atak przyszedł od dołu, tnąc na wysokości pasa. Bane rozpoznał ten manewr w ostatniej sekundzie, więc zostało mu już tylko rzucić się w tył i przetoczyć, by uniknąć okaleczenia.

Wróg dopadł go, zanim jeszcze zdolał zerwać się na nogi, tnąc bliźniaczymi ostrzami na przemian lewo-prawo-lewo-prawo. Bane blokował, odtaczał się, wykręcał i znów blokował, broniąc się przed tym szalonym młynem. Próbował podciąć nogę przeciwnikowi, ale Sirak przewidział ten ruch i zręcznie odskoczył, dając Bane'owi akurat tyle czasu, by zdążyć się zerwać na nogi.

Następna runda ataków utrzymywała Bane'a w defensywie, ale jakoś mógł obronić się przed Sirakiem, ustępując i stosując podstawowe sekwencje obronne. Wciąż usiłował zyskać najmniejszą bodaj przewagę, obserwując ruchy tamtego. W jednym momencie zauważył, że Sirak stosuje pchnięcia i sztychy Vapaad, najbardziej agresywnej i bezpośredniej z siedmiu tradycyjnych form. W połowie sekwencji przerzucił się jednak na potężne ataki Djem So i uczynił to z taką siłą, że nawet zablokowane uderzenieomal nie wytrąciło Bane'a z równowagi. Szybki obrót lub zwrot broni – i jedno z bliźniaczych ostrzy nagle znów uderzyło pod niewygodnym kątem, powodując, że tym razem Bane rzeczywiście się zachwiał, próbując je odbić.

Pojedynek zwolnił nieco na chwilę, bo obaj przeciwnicy musieli teraz przemyśleć swoje strategie. Oddychali ciężko. Sirak kręcił mieczem w skomplikowanej, szybkiej sekwencji, w której miecz przechodził mu pod prawym ramieniem, za plecami, nad lewym ramieniem i do przodu. Potem uśmiechnął się i powtórzył to samo w odwrotnym kierunku.

Bane obserwował ten szalony młynek z obawą. Sirak bawił się nim w ciągu tych kilku pierwszych starć, rozciągając walkę tak, aby jego zwycięstwo wydawało się jeszcze bardziej imponujące. Teraz dopiero objawił swoje prawdziwe możliwości – wykorzystywał sekwencje łączące w sobie kilka form, przechodząc szybko od jednego stylu do drugiego w skomplikowanych układach, jakich Bane nigdy jeszcze nie widział.

Była to jedna z wielu oznak wyższości Zabracka. Gdyby Bane spróbował połączyć różne style w jedną sekwencję, zapewne wydłubałby sobie oko albo walnął się w głowę. Widać było wyraźnie, że nie ma żadnych szans, jedyną nadzieją był moment nieuwagi albo nieostrożności przeciwnika.

Sirak znów ruszył na niego, a miecz treningowy tańczył teraz tak szybko, że Bane słyszał tylko świst przecinanego powietrza. Skoczył do przodu, aby odpowiedzieć na wyzwanie, i spróbował wezwać na pomoc Ciemną Stronę, by przewidzieć zbyt szybki dla oka ruch podwójnych ostrzy i zablokować. Poczuł, jak Moc przepływa przez niego, ale było to odległe i puste uczucie – całun wciąż tam był. Bane potrafił utrzymać w ryzach paralizujące ostrza miecza Siraka, ale wymagało to skupienia całej uwagi na własnym mieczu... pozostawiając go odkrytym na rzeczywisty cel ataku przeciwnika.

Czaszka Bane'a eksplodowała, kiedy Sirak uderzył go czołem w twarz. Ból zamienił pole jego widzenia w gromadę srebrnych gwiazd. Chrzątka nosa ustąpiła z przerażającym chrupnięciem. Trysnął gejzer krwi. Oszołomiony, oślepiiony, był w stanie odparować kolejny cios wyłącznie dzięki instynktowi wiedzionemu najcichszym podszeptem Mocy. Sirak jednak



obrócił się w ślad za odbitym mieczem i wyprowadził potężny kopniak z półobrotu, który strzaskał rzepkę kolanową Bane'a.

Bane upadł z krzykiem, wolną dłonią opierając się ziemię, by zamortyzować upadek. Sirak zmiażdżył mu palce pod butem, wgniatając je w twarde kamień dachu świątyni. Kolano wystrzeliło w górę, rozbijając mu policzek i łamiąc szczękę z potężnym trzaskiem.

Ostatnim, desperackim wysiłkiem Bane próbował odrzucić przeciwnika w tył Ciemną Stronę. Sirak odparował ten cios bez wysiłku własną tarczą Mocy, w którą otulił się od początku pojedynku. Teraz podszedł bliżej, żeby dokończyć dzieła ostrzami. Pierwsze uderzenie miało siłę ścigacza uderzającego w przybijak – i złamało prawy nadgarstek Bane'a. Miecz szkoleniowy wysunął mu się z bezwładnych palców. Następny cios trafił go wyżej w ramię, wybijając łokieć.

Prosty kopniak w twarz sprawił, że z ust wytrysnęły mu odłamki zębów, a pękniętą szczękę przeszył straszliwy ból. Opadł w przód prawie bez przytomności, Sirak zaś cofnął się, opuszczając miecz, by wyciągniętą wolną ręką chwycić go za gardło miażdżącym uściskiem poprzez Moc. Uniósł ramię, podnosząc muskularnego Bane'a, jakby był małym dzieckiem, i rzucił nim na drugą stronę ringu.

Padając na ziemię, Bane poczuł, jak pęka kolejna kość, ale jego ciało znajdowało się już w stanie takiego wstrząsu, że nie czuł bólu. Leżał nieruchomo jak skrecona, zmięta kupa łachmanów. Krew z nosa i ust zatykała mu gardło. Jego ciałem wstrząsnął kaszel i dopiero teraz usłyszał raczej, niż poczuł zgrzytanie o siebie połamanych żeber.

Wszystko zaczęło pogrążyć się w mroku. Przed oczami przesunęła mu się jeszcze para poplamionych krwią butów, zmierzających ku niemu, a potem Bane poddał się litościwej ciemności.

Kopecz pokręcił głową, analizując plan bitwy, który Kaan rozłożył na prowizorycznym stole pośrodku namiotu. Holomapa terenu Ruusana pokazywała pozycje sił Sithów jako świecące czerwone trójkąty unoszące się nad mapą. Pozycje Jedi zaznaczone były zielonymi kwadratami. Pomimo zaawansowania technicznego reszta mapy była zwykłym, dwuwymiarowym zobrazowaniem topografii otoczenia. Nie widać na niej było ponurej dewastacji, która zmieniła Ruusan w całkowicie spalone wojną pustkowie.

Trzy wielkie bitwy przestrzenne, które w zeszłym roku rozegrały się wysoko nad tym słabo zaludnionym światem, za każdym razem zasypywały go szczątkami pokonanych. Spalone, powykręcane skorupy, które niegdyś były statkami, spadały na soczyście zielone lasy, rozniecając pożary, które zmieniły większość roślinnych terenów planety w nagie, pokryte popiołem pustynie.

Ruusan, choć niewielki, stał się światem o pierwszorzędym znaczeniu zarówno dla Sithów, jak i dla Republiki. Strategicznie zlokalizowany na skraju Wewnętrznych Rubieży, znajdował się również na linii, którą większość uważała za granicę pomiędzy niebezpiecznym

otoczeniem Republiki a bezpiecznym i zamkniętym Jądrem. Ruusan był symbolem. Podbicie go oznaczało nieuchronny postęp Sithów i podbój Republiki. Uwolnienie go zaś symbolizowałoby zdolność Jedi do odparcia najeźdźców i obrony obywateli Republiki. Rezultatem tej sytuacji była niekończąca się seria walk, przy czym żadna ze stron nie chciała przyznać się do porażki.

Pierwsza bitwa o Ruusan została stoczona, kiedy Sithowie zaatakowali siły Republiki i rozbili je w puch, wykorzystując element zaskoczenia i siłę medytacji bojowej Kaana. W drugiej wojska Republiki próbowały przejąć kontrolę nad Ruusanem i poniosły klęskę, odparte przez przeważające siły nieprzyjaciela i jego działa.

Trzecia bitwa pod niebem Ruusana zaznaczyła się w historii pojawieniem się Armii Światła. Zamiast republikańskich krążowników i myśliwców Sithowie stanęli przed flotą składającą się głównie z jedno – i dwuosobowych myśliwców pilotowanych wyłącznie przez Jedi. Pospolici żołnierze, którzy zostali włączeni do armii Kaana, nie byli w stanie oprzeć się potędze Mocy i Ruusan został uratowany... na jakiś czas.

W odpowiedzi na Armię Światła Sithowie zgromadzili wszystkich członków Bractwa Ciemności w jedną armię i wypuścili ją na Ruusan. Wojna, która do tej pory niszczyła świat z wysoka, teraz zeszła na powierzchnię, w dodatku ze znacznie bardziej niszczycielską siłą. W porównaniu z walkami przestrzennymi, walki naziemne były brutalne, krwawe i prymitywne.

Kopecz walnął pięścią w stół.

– Kaan, to beznadziejne.

Pozostali mroczni lordowie zebrani w namiocie potwierdzili jego słowa.

– Pozycje Jedi są zbyt dobrze strzeżone, mają wszystkie punkty przewagi – gniewnie ciągnął Kopecz. – Wysoki teren, okopane fortyfikacje, większa liczebność. Nie zwyciężymy!

– Spójrz jeszcze raz – polecił Kaan. – Jedi rozstawili się zbyt szeroko.

Wielki Twi'lek uważnie przestudiował mapę i stwierdził, że Kaan ma rację. Linia skrajna Jedi znajdowała się o wiele za daleko od bazy. Wystarczył moment, aby się zorientować, dlaczego.

Starcie pomiędzy armiami Jedi i Sithów, pod wodzą mistrzów Jedi i mrocznych lordów, wstrząsnęło fundamentami tego świata. Nieposkromiona potęga Mocy szalała po polach bitewnych jak fala uderzeniowa eksplodującej gwiazdy. Miasta, wioski, pojedyncze domy zostały zmiecione z powierzchni planety, pozostawiając jedynie śmierć i zniszczenie. Cywile zmuszeni byli uciekać z terenów ogarniętych wojną, stając się uchodźcami epickiej bitwy obrońców światła i mroku.

Widząc ich cierpienia, Jedi starali się chronić, pocieszać i ratować niewinnych obywateli Ruusanu. Planowali swoją strategię tak, aby omijać cywilne osady i domostwa, nawet za cenę zasobów i przewagi taktycznej. Sithowie oczywiście nie szli na takie ustępstwa.

– Współczucie Jedi to ich słabość – ciągnął Kaan. – Możemy to wykorzystać. Jeśli skoncentrujemy całą naszą siłę w jednym punkcie, zdołamy przerwać ich linie i wtedy zdobędziemy przewagę.

Zebrani generałowie i stratedzy Bractwa Ciemności przytaknęli. Kilku głośno wyraziło swoje uznanie zwycięskimi rykami i gratulacjami. Jedynie Kopecz nie dołączył do ogólnej radości.

– Armia Światła i tak ma nad nami przewagę liczebną dwa do jednego – przypomniał im potężny Twi'lek. – Ich linie miejscami mogą być rozciągnięte, ale nie wiemy gdzie. Jedi rozumieją, że nasi zwiadowcy czuwają, więc kryją swoją liczebność tak samo, jak my swoją. Jeśli zaatakujemy miejsce, gdzie jest ich dużo, wytną nas w pień!

Generałowie przycichli, już nie dzieląc tak łatwo entuzjazmu przywódcy teraz, kiedy obnażono poważny błąd w ich planach. Znowu pojawiły się pomruki protestu i niezadowolenia. Kopecz ignorował reakcję innych mrocznych lordów. Przy całej ich potędze, całej ambicji, byli niczym banthy, ślepo podążające za resztą stada. Teoretycznie wszyscy w Bractwie Ciemności byli równi, w praktyce jednak wszystkimi dowodził Kaan.

Kopecz rozumiał to i chciał podążać za nim. Sithowie potrzebowali silnego, charyzmatycznego przywódcy, kogoś z wizją, kto wygaszałby wewnętrzne spory, od zawsze stanowiące plagę ich szeregów. Kaan był właśnie takim przywódcą – i najczęściej błyskotliwym taktykiem wojskowym. Ten plan jednak był szaleństwem. Samobójstwem. W przeciwieństwie do reszty gromady, Kopecz nie był gotów podążać za przywódcą na pewną śmierć.

– Nie doceniasz mnie, Kopecz – zapewnił go Kaan spokojnym, pewnym siebie tonem, jakby od samego początku przewidywał to pytanie i miał przygotowaną odpowiedź. Może tak było w istocie. – Nie uderzymy, dopóki nie będziemy wiedzieli, gdzie są najbardziej zagrożeni – wyjaśnił mroczny lord. – Zanim zaatakujemy, poznamy dokładną liczbę i skład każdej jednostki i patrolu wzdłuż całej linii.

– W jaki sposób? – zapytał Kopecz. – Nawet nasi umbarańscy szpiedzy-cienie nie mogą dostarczyć nam takich szczegółów. A przynajmniej nie dość szybko, aby wykorzystać je w planowanym ataku. Nie mamy możliwości zdobycia potrzebnej informacji.

Kaan się zaśmiał.

– Oczywiście, że mamy. Dostaniemy ją od jednego z Jedi.

Klapy zasłaniające wejście do namiotu służącego jako kwatery sztabu Sithów rozchyliły się i do środka weszła młoda kobieta w szatach Zakonu Jedi. Była średniego wzrostu, ale tylko wzrost można było w niej określić w ten sposób. Miała gęste, krucze włosy opadające na ramiona. Twarz i figura były doskonale według wszelkich ludzkich standardów: skóra barwy miedzi podkreślała zieleń oczu płonących żarem, który stanowił jednocześnie ostrzeżenie i zaproszenie. Poruszała się zwinnie jak twi'lekańska tancerka. Przedefilowała

przed szeregiem zebranych mrocznych lordów z przebiegłym uśmiechem na ustach, udając, że nie słyszy szeptów zaskoczenia.

Kopecz widział swego czasu wiele pięknych samic. Wśród mrocznych lordów było też kilka kobiet i niektóre z nich były rzeczywiście wspaniałe, słynące zarówno z niezwyklej urody, jak i niszczycielskiej siły. Lecz im bliżej była młoda Jedi, tym trudniej było mu od niej oderwać wzrok. Było w niej coś magnetycznego, coś, co wykraczało poza fizyczną atrakcyjność.

Szła z wysoko uniesioną głową, dumne rysy jaśniały milczącym wyzwaniem. Kopecz ujrzał w nich coś jeszcze: nagą, surową i głodną ambicję.

– Interesująca, co? – szepnął mu Kaan.

Dotarła do miejsca, gdzie stali, i z wdziękiem opadła na jedno kolano, leciutko skłaniając głowę przed lordem Kaanem na znak szacunku.

– Witaj, Gitany – rzekł lord, gestem nakazując, by wstała. – Czekaliśmy na ciebie.

– Miło mi, lordzie Kaan – zamruczała.

Kopecz poczuł, że kolana mu miękną od tego zmysłowego głosu i natychmiast wyprostował się sztywno. Był zbyt stary i zbyt mądry, żeby dać się oslepić kobiecym urokiem. Obchodziło go tylko, co ta kobieta ma do zaoferowania przeciwko Jedi.

– Masz dla nas informacje? – zapytał raptownie.

Przechyliła głowę na bok i obrzuciła go ciekawym spojrzeniem, próbując zrozumieć powód tak chłodnego przyjęcia. Po chwili odpowiedziała:

– Mogę wam powiedzieć dokładnie, gdzie uderzyć w ich szeregi i kiedy. Lord Hoth powierzył koordynację obrony Jedi nazwiskiem Kiel Charny. Mam te informacje bezpośrednio od niego.

– A dlaczego ten Charny podzielił się z tobą takimi informacjami? – podejrzliwie zapytał Kopecz. Wyszczrzyła zęby w przebiegłym uśmiechu.

– Kiel i ja byliśmy... blisko. Dzieliliśmy wiele różnych rzeczy. Nie miał pojęcia, że przyjdę do was z tą informacją.

Kopecz zmrużył oczy.

– Myślałem, że Jedi potępiają takie postępowanie. Uśmiech zmienił się w ironiczny grymas.

– Jedi potępiają wiele różnych rzeczy. Dlatego przyszedłem do was.

Kaan wystąpił naprzód, zanim Kopecz zdołał zadać kolejne pytanie, położył poufale dłoń na jej biodrze i odwrócił ją w swoją stronę.

– Nie mamy na to czasu, Gitany – rzekł. – Musisz złożyć nam raport i wracać do obozowiska Jedi, zanim zauważą, że cię nie ma.

Uśmiechnęła się do niego olśniewająco i skinęła głową.

– Oczywiście, trzeba się spieszyć.

Łagodnie podprowadził ją do holomapy i krąg strategów zamknął się za nią, ukrywając kobietę przed wzrokiem Kopecza, gdy przekazywała szczegóły dotyczące rozmieszczenia straży Jedi. W kilka sekund później Kaan wyłonił się z tłumu i podszedł do Twi'leka.

– Ambicja, zdrada... Ciemna Strona jest w niej bardzo silna – szepnął Kopecz. – Dziwne, że Jedi w ogóle ją chcieli.

– Pewnie sądzili, że zdołają nawrócić ją na jasną stronę – odparł Kaan równie ściszym głosem. – Ale Githany urodziła się po Ciemnej Stronie. Jak ja. Jak ty. To było nieuniknione, że pewnego dnia odnajdzie drogę do Sithów.

– W dobrym momencie – zauważył Kopecz. – Może nawet zbyt dobrym. To może być pułapka. Jesteś pewien, że można jej zaufać? Wydaje mi się, że jest niebezpieczna.

Kaan zbył ostrzeżenie cichym śmiechem.

– Ty też, lordzie Kopecz. To sprawia, że jesteś tak użyteczny dla Bractwa.

Bane unosił się w nieważkości, otoczony ciemnością i ciszą. Wydawało mu się, że dryfuje w czarną próżnię śmierci.

A potem przytomność zaczęła wracać. Jego ciało, wyrwane z błogiej nieświadomości, miało się w zielonej cieczy zbiornika bacty, wywołując fontanny bąbelków, które bezszelestnie wznosiły się ku powierzchni. Serce zaczęło mu bić, usłyszał krew krążącą w żyłach.

Otworzył oczy w samą porę, by ujrzeć robota medycznego, który właśnie podszedł, aby zmienić ustawienie zbiornika bacty. W ciągu kilku chwil bicie jego serca zwolniło nieco tempo i mimowolne drgania połamanych i posiniaczonych kończyn zanikły. Choć środki uspokajające nadal działały na ciało, umysł Bane'a był teraz całkowicie trzeźwy i czysty.

Przez myśli przebiegały mu wspomnienia ruchu i bólu. Widok, dźwięki, zapachy walki. Pamiętał zbliżające się buty splamione krwią... jego krwią. Kas'im musiał wkroczyć już po jego omdleniu; pewnie nie pozwolił Sirakowi dokończyć dzieła. Przywieźli go tutaj, żeby wyzdrowiał.

Z początku był zdumiony, że zawracają sobie głowę jego leczeniem. A potem zrozumiał, że jak wszyscy inni studenci Akademii, był zbyt cenny dla Bractwa, by go zmarnować. Więc przeżyje... choć jego życie w zasadzie już się skończyło.

Od przybycia do Akademii pracował w jednym, określonym celu. Wszystkie jego studia, całe szkolenie poświęcone było zrozumieniu i przejęciu kontroli nad Mocą. Ciemna Strona miała przynieść mu potęgę. Chwałę. Siłę. Wolność.

Teraz będzie pariasem w Akademii. Pozwólą mu przysłuchiwać się grupowym lekcjom, będzie mógł ćwiczyć na zajęciach Kas'ima, ale to wszystko. Wszelkie nadzieje na indywidualne treningi z którymkolwiek z mistrzów zostały zniweczone przez tę poniżającą porażkę. A bez ich specjalistycznej pomocy jego potencjał zwiędnie i umrze.

W teorii wszyscy w Bractwie byli równi, ale Bane był dość inteligentny, aby dostrzec prawdę. W praktyce Sithowie potrzebowali przywódców, mistrzów takich jak Kaan albo jak lord Qordis tu, w Akademii. Silni zawsze występowali naprzód. Słabi nie mieli innego wyboru, jak tylko pójść za nimi.

Teraz Bane skazany był na pozostawanie z tyłu. Życie w posłuszeństwie i służalczości.

*Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.* Ale Bane nie znalazł zwycięstwa, a łańcuchy poddaństwa, które od tej chwili będą go pętały na zawsze, rozumiał aż nadto dobrze. Był zniszczony.

W duchu żałował nawet, że Sirak po prostu nie dokończył dzieła.

## ROZDZIAŁ 14

W salach Akademii Sithów wyczuwało się niezwykle uroczystą atmosferę. Bractwo Ciemności odniosło spektakularne zwycięstwo nad Jedi na Ruusanie i radość panująca na uczcie, jaką Qordis wydał na cześć tego zwycięstwa, wciąż jeszcze wypełniała powietrze. W czasie treningów, ćwiczeń i lekcji studenci podnieconymi szeptami wymieniali między sobą informacje o szczegółach bitwy, których się dowiadawali. Jedni mówili, że Jedi na Ruusanie zostali wybici co do nogi. Inni twierdzili, że zginął sam lord Hoth. Krążyły plotki, że Świątynia Jedi na Coruscant była bezbronna i przejęcie jej przez mrocznych lordów Sithów stało się kwestią dni.

Mistrzowie wiedzieli, że większość z tego, co opowiadano, była grubo przesadzona lub nieprecyzyjna. Jedi na Ruusanie zostali zniszczeni, ale wielu uciekło. Lord Hoth nie zginął, prawdopodobnie zbierał teraz Jedi do nieuniknionego kontrataku. A Świątynia Jedi na Coruscant wciąż pozostawała poza zasięgiem lorda Kaana i Bractwa Ciemności. Na rozkaz Qordisa jednak instruktorzy nie poskramiali entuzjazmu uczniów dla podniesienia ogólnego morale.

Radosny nastrój w Akademii miał jednak niewielki wpływ na Bane'a. Potrzebował trzech tygodni regularnych sesji w zbiorniku bacty, aby w pełni dojść do siebie po straszliwym pobiciu przez Siraka. Zazwyczaj przegrana na ringu oznaczała jeden lub dwa dni w zbiorniku i student mógł na nowo rozpoczynać szkolenie – tyle że zazwyczaj studenci nie przegrywali tak sromotnie jak Bane.

Hurst nie oszczędzał pięści i Bane przeżył w okresie dorastania niejedno solidne lanie. Kary w młodości nauczyły go, jak sobie radzić z bólem fizycznym, lecz trauma, jaką wywołał u niego Sirak, była o wiele gorsza niż wszystko, co przeżył z rąk ojca.

Bane maszerował przez korytarze Akademii, choć ten miarowy krok był raczej kwestią wyboru aniżeli konieczności. Niewielkie dolegliwości, jakie jeszcze odczuwał, były bez znaczenia. Dzięki zbiornikowi bacty jego połamane kości zrosły się, a sińce całkiem zniknęły. Szkody emocjonalne były jednak o wiele trudniejsze do wyleczenia.

Minęła go para roześmianych studentów, raczących się podobno prawdziwą relacją ze zwycięstwa Sithów na Ruusanie. Kiedy zbliżyli się do samotnej postaci, ich rozmowa nagle ucichła. Bane odwrócił głowę, żeby uniknąć spojrzenia im w twarz, gdy go mijali. Kobieta mruknęła coś niezrozumiałego, ale pogarda w jej tonie była aż nadto wyraźna.

Bane nie zareagował. Radził sobie z bólem emocjonalnym w jedyny sposób, jaki znał – ten sam, w jaki radził sobie z nim jako dziecko. Wycofywał się w głąb siebie, starał się stać niewidzialny, by uniknąć pogardy i drwin innych.

Jego klęska – tak publiczna i tak całkowita – zniszczyła podejrzaną od początku reputację Bane’a zarówno u studentów, jak i u mistrzów. Jeszcze przed pojedynkiem wielu podejrzewało, że Moc go opuściła. Teraz ich podejrzenia się potwierdziły. Bane stał się wyrzutkiem Akademii. Studenci go unikali, mistrzowie nie zauważali.

Nawet Sirak go ignorował. Biciem sprowadził swojego rywala do poddaństwa. Bane już nie był wart tego, by go zauważać. Uwaga Zabranka, podobnie jak wszystkich prawie studentów, skupiała się teraz na młodej kobiecie, która przybyła do Akademii wkrótce po bitwie na Ruusanie.

Miała na imię Githany. Bane słyszał, że kiedyś była padawaną Jedi, ale odrzuciła światło na korzyść Ciemnej Strony... historia dość zwyczajna w Akademii. Githany jednak zwyczajna nie była. Odegrała istotną rolę w zwycięstwie Sithów na Ruusanie i przybyła na Korriban w glorii bohatera-zdobywcy.

Bane nie był dość silny, by uczestniczyć w przyjęciu zwycięzców, na którym Qordis przedstawił nowo przybyłą reszcie studentów, ale od tego czasu wielokrotnie widywał ją w Akademii. Była zachwycająco piękna; oczywiście wielu studentów jej pożądało. Co równie oczywiste, wiele studentek jej zazdrościło, choć dla własnego dobra ukrywały to uczucie.

Githany była równie arogancka i okrutna, co atrakcyjna fizycznie i miała w sobie wyjątkowo silną Moc. W ciągu kilku tygodni wyrobiła sobie opinię osoby, która niszczy wszystko, co stanie jej na drodze. Nic dziwnego, że szybko stała się ulubienicą Qordisa i innych mrocznych lordów.

Dla Bane’a nie miało to szczególnego znaczenia. Dreptał sobie po korytarzach ze spuszczoną głową, kierując się ku bibliotece zlokalizowanej w podziemiach Akademii. Studiowanie archiwów wydawało mu się z początku najlepszą metodą uzupełniania nauk mistrzów. Teraz chłodne, ciche pomieszczenia głęboko pod głównymi piętami Świątyni stanowiły dla niego jedyne miejsce ucieczki.

Nie poczuł żadnego zaskoczenia, że ogromna sala była pusta, jeśli nie liczyć rzędów półek zarzuconych dość beładnie ułożonymi i zapomnianymi tomami. Niewielu studentów się tutaj zapuszczało. Po co tracić czas na rozważania nad mądrością starożytnych, skoro możesz pobierać nauki u stóp samego mrocznego lorda? Nawet Bane przychodził tu tylko w ostateczności – mistrzom szkoda było dla niego czasu.

W miarę jednak jak badał starożytne teksty, czuł, że ta część jego osoby, którą uważał już za umarłą, zaczynała się budzić do życia. Wewnętrzny płomień – wściekłość, która zawsze stanowiła jego najtajniejszą rezerwę – gdzieś przepadł. Jednak Ciemna Strona wzywała go nadal, choć słabiej, i Bane zrozumiał, że nie jest gotów się poddać. Poświęcił się zatem studiom.



Studentom nie wolno było wynosić zapisów z archiwum, więc Bane musiał wszystko czytać na miejscu. Wczoraj skończył wreszcie dość długi i szczegółowy traktat dawnego lorda Sithów o imieniu Naga Sadow na temat stosowania alchemii i trucizn. Nawet w tym dziele odnalazł małe ziarenka głębszej mądrości, które zagarnął dla siebie. Kawałek za kawałkiem jego wiedza wzbogacała się nieustannie.

Powoli wędrował wzdłuż półek, spoglądając na tytuły i autorów w nadziei, że znajdzie coś użytecznego. Był tak pochłonięty szukaniem, że nie zauważył ciemnej sylwetki okrytej płaszczem z kapturem, która stanęła w drzwiach i przyglądała mu się w milczeniu.

Githany nie odzywała się, obserwując, jak wysoki, potężny mężczyzna wędruje pomiędzy archiwami. Fizycznie był imponujący – nawet pod luźną szatą odznaczały się wspaniałe mięśnie. Koncentrując się tak, jak nauczyli ją mistrzowie Jedi, zanim ich zdradziła, wyczuwała w nim potęgę Ciemnej Strony. Był zastanawiająco silny Mocą. A jednak nie zachowywał się jak człowiek silny lub potężny. Nawet tu, z dala od wszystkich oczu, chodził przygarbiony, ze skulonymi ramionami.

Zrozumiała, że to właśnie Sirak potrafi zrobić z rywalem. Zrobi to także i z nią, jeśli zmierzy się z nim i przegra. Githany miała szczerzy zamiar wyzwania uznanego za najlepszego studenta Akademii... ale dopiero wówczas, kiedy będzie pewna, że zdoła go pokonać.

Odnalazła Bane'a, mając nadzieję, że nauczy się na jego błędach. Patrząc teraz na niego, takiego słabego i złamanego, zdała sobie sprawę, że może tu uzyskać coś więcej niż tylko informacje. Zwykle unikała sprzymierzania się z innym studentem, zwłaszcza tak silnym jak Bane. Githany wolała pracować sama. Wiedziała doskonale, jak niszczycielskie mogą być konsekwencje nieoczekiwanej zdrady.

Ten mężczyzna jednak był słaby, odsłonięty. Samotny, zdesperowany nie byłby w stanie zdradzić nikogo. Odczekała, aż usadowił się przy stole i rozpoczął lekturę. Odetchnęła głęboko, odrzuciła kaptur i pozwoliła, by długie włosy spłynęły jej kaskadą na plecy. Przybrała najbardziej uwodzicielski ze swoich uśmiechów i weszła.

Bane ostrożnie rozłożył stronicę starożytnego tomu, który zdjął z półek archiwum. Był on zatytułowany *Rakata i Nieznany Świat* i jeśli wierzyć dacie, pochodził sprzed prawie trzech tysięcy lat standardowych. Ale nie tytuł czy też temat dzieła go zainteresowały, lecz autor: Darth Revan. Historia Revana znana była doskonale zarówno Sithom, jak i Jedi. Bane'a jednak zainteresowało głównie użycie tytułu „Darth”.

Żaden z nowoczesnych Sithów nie używał tytułu Darth, woląc określenie „mroczny lord”. Bane zawsze uważał, że to dziwne, ale nigdy nie spytał o to mistrzów. Może w tym tomie, napisanym przez jednego z ostatnich wielkich Sithów, którzy używali tego tytułu, znajdzie wskazówkę, dlaczego został on zarzucony i zapomniany.

Zaledwie zaczął czytać pierwszą stronę, kiedy usłyszał, że ktoś się zbliża. Podniósł wzrok i ujrzał zbliżającą się ku niemu ostatnią studentkę Akademii, Githany. Uśmiechała się, dzięki czemu jej i tak piękna twarz wydawała się jeszcze piękniejsza.

Dawniej Bane widywał ją czasami, lecz tylko z daleka. Z bliska jej uroda po prostu zapierała dech. Kiedy przysiadła się do niego, delikatny zapach perfum sprawił, że jego już i tak mocno bijące serce przyspieszyło rytm.

– Bane – szepnęła. Mówiła cicho, choć w archiwum nie było nikogo, komu mogłaby przeszkadzać ich rozmowa. – Szukałam cię.

Jej słowa zaskoczyły go zupełnie.

– Szukałaś mnie? Dlaczego?

Położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Potrzebuję cię. Potrzebuję twojej pomocy przeciwko Sirakowi.

Jej bliskość, lekki kontakt z ramieniem i kuszący zapach przyprawiały go o zawrót głowy. Potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, co miała na myśli, ale gdy tylko to do niego dotarło, zrozumiał jej zainteresowanie. Do jej uszu musiały już dotrzeć wieści o poniżeniu, jakiego doznał Bane z rąk Zabراكa. Przyszła poznać go osobiście w nadziei, że dowie się czegoś, co pozwoli jej w przyszłości uniknąć podobnego losu.

– Nie pomogę ci z Sirakiem – rzekł, odwracając się i chowając twarz w książce. Dłoń na jego przedramieniu zacisnęła się lekko. Podniósł wzrok. Githany pochylała się nad nim i stwierdził, że patrzy wprost w jej szmaragdowe oczy.

– Proszę, Bane. Posłuchaj chociaż, co mam do powiedzenia.

Skinął głową, nie wierząc, że będzie w stanie wykrztusić słowo, dopóki ona pozostanie tak blisko niego. Zamknął książkę i odwrócił się nieco na krześle, by lepiej ją widzieć. Githany odetchnęła z wdzięcznością i odchyliła się lekko w tył. Poczul leciutkie rozczarowanie, kiedy jej dłoń zsunęła się z jego ramienia.

– Wiem, co się stało na ringu – zaczęła. – Wszyscy sądzą, że Sirak cię zniszczył i że ta klęska w jakiś sposób pozbawiła cię Mocy.

Widzę, że ty także w to wierzysz.

Jej twarz przybrała wyraz smutku. Na szczęście nie litości, bo tego Bane nie zniósłby od nikogo – zwłaszcza od niej. Ale mówiła ze szczerym żalem. Kiedy nie odpowiedział, odetchnęła głęboko.

– Oni się mylą, Bane. Nie możesz tak po prostu stracić możliwości władania Mocą. Nikt z nas nie może. Moc jest częścią nas częścią naszej istoty. Słyszałam o tym, co zrobiłeś Makurthowi. To pokazało, do czego jesteś zdolny. Odśloniło twój prawdziwy potencjał. Udowodniło, że zostałeś pobłogosławiony potężnym darem. – Zawiesiła głos. Jej wzrok płonął. – Możesz sądzić, że zmarnowałeś ten dar albo go straciłeś. Ale ja wiem lepiej, że tak nie jest. Czuję w tobie Moc. Mogę ją wyczuć. Ona wciąż tam jest.

Bane pokręcił głową.

– Moc może tam być, ale straciłem zdolność jej kontrolowania. Nie jestem tym, czym byłem.

– To niemożliwe – odparła łagodnie. – Jak możesz sam w to wierzyć?

Choć znał odpowiedź, wahał się przed jej udzieleniem. To samo pytanie sam sobie zadawał wiele razy, pływając w nieważkiej cieczy w zbiorniku bacty. Po porażce miał mnóstwo czasu, żeby zmagać się ze swoją porażką, zorientować się, co zrobił źle... ale nie wiedział, jak to naprawić.

Nie był pewien, czy chce dzielić to osobiste objawienie z niemal obcą osobą. Komu innemu jednak mógłby to powiedzieć? Innym studentom na pewno nie; z pewnością też nie mistrzom. A choć ledwie znał Githany, to ona wyciągnęła do niego rękę. I tylko ona.

Odsłanianie osobistych słabości tu, w Akademii, było pomysłem szalonym i ryzykownym. Przykra prawda była jednak taka, że Bane nie miał tu nic do stracenia.

– Przez całe życie napędzał mnie gniew – wyjaśnił. Mówił powoli, ze wzrokiem wbitym w blat stołu, niezdolny spojrzeć kobiecie w twarz. – Gniew czynił mnie silnym. Był moją więzią z Mocą i z Ciemną Stroną. Kiedy zginął Fohargh... kiedy go zabiłem... zrozumiałem, że jestem również odpowiedzialny za śmierć mojego ojca. Zabiłem go z pomocą Ciemnej Strony.

– I czujesz się winny? – zapytała, znów kładąc mu na ramieniu mięką dłoń.

– Nie. Może. Nie wiem. – Dłoń Githany była ciepła, czuł to ciepło emanujące poprzez materiał rękawa na skórę pod nim. – Wiem tylko, że to mnie zmieniło. Gniew, który mną kierował, zniknął. A po nim zostało... no cóż... nic.

– Daj mi rękę. – Jej głos brzmiał surowo i Bane wahał się bardzo krótko, zanim wyciągnął dłoń. Chwyliła ją obu rękami. – Zamknij oczy – rozkazała, czyniąc to samo.

W ciemności poczuł bardzo wyraźnie siłę, z jaką ścisnęła jego palce: tak mocno, że czuł przez jej dłonie bicie serca. Szybkie, niecierpliwe... a jego i tak już łomoczący puls jeszcze przyspieszył w odpowiedzi.

Poczuł łaskotanie w końcach palców; to było coś więcej niż czysto fizyczny kontakt. Sięgała ku niemu poprzez Moc.

– Chodź ze mną, Bane – szepnęła.

Nagle wydało mu się, że spada. Nie, nie spada, nurkuje. Spływa w dół ku wielkiej przepaści, czarnej pustce we własnym wnętrzu. Lodowata ciemność zmroziła jego ciało, stracił czucie w kończynach. Nie czuł już dłoni Githany oplatających jego dłoni. Nie wiedział nawet, czy ona wciąż obok niego siedzi. Był sam w mroźnej pustce.

– Ciemna Strona to emocje, Bane. – Jej słowa dochodziły z bardzo daleka, słabe, ale wyraźne. – Gniew, nienawiść, miłość, żądza. To one czynią nas silnymi. Spokój to kłamstwo. Jest tylko pasja. – Mówiła teraz głośniej, dość głośno, by zagłuszyć bicie jego serca. – Twoja pasja wciąż tam jest, Bane. Znajdź ją. Wydobądź.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa poczuł, że zaczynają w nim zbierać emocje. Czuł gniew. Wściekłość. Czystą, pulsującą nienawiść; nienawiść do innych studentów za ich pogardę, nienawiść do mistrzów za to, że go opuścili. Ale najbardziej nienawidził Siraka. A wraz z nienawiścią przyszedł głód zemsty.

A potem poczuł coś jeszcze. Iskrę. Mgnienie światła i ciepła w zimnej ciemności. Jego umysł skoczył i chwycił ten płomień, i przez jedną cudowną chwilę znów poczuł pulsującą w sobie potęgę Mocy. A potem Githany wypuściła jego dłoń i wszystko zniknęło – zdmuchnięte, jakby tylko to sobie wyobraził. Ale nie wyobraził sobie. To było coś realnego. Naprawdę to poczuł.

Ostrożnie otworzył oczy, jak człowiek budzący się ze snu, który boi się zapomnieć. Sądząc z wyrazu twarzy Githany, ona także musiała coś poczuć.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał, bezskutecznie usiłując ukryć desperację w głosie.

– Mistrz Handa nauczył mnie tego, kiedy jeszcze byłam w zakonie Jedi – przyznała. – Pewnego dnia po prostu straciłam kontakt z Mocą, dokładnie tak samo jak ty. Byłam bardzo młoda, kiedy to się stało. Mój umysł nie mógł sobie poradzić z czymś tak nieogarnionym i stworzył mur, by się chronić.

Bane skinął głową, ale zachował milczenie, by mogła mówić dalej.

– Twój gniew wciąż tam jest. I Moc. Teraz tylko musisz przebić się przez mur, który wzniosłeś wokół niej. Musisz wrócić do początków i nauczyć się jeszcze raz, jak łączyć się z Mocą.

– Jak mam to zrobić?

– Przez szkolenie – odparła Githany, jakby to było oczywiste.

– Jak inaczej można się nauczyć władać Mocą?

Słaba nadzieja na objawienie, którą w sobie rozbudził, zgasła.

– Mistrzowie nie chcą mnie już uczyć – wymamrotał. – Qordis im zabronił.

– Ja cię będę szkolić – z wdziękiem zaproponowała Githany.

– Mogę się podzielić z tobą wszystkim, co wiem od Jedi na temat Mocy. Mogę ci również przekazywać wszystko, czego się dowiem od mistrzów na temat Ciemnej Strony.

Bane się wahał. Githany nie była mistrzem, ale przez wiele lat odbywała szkolenie Jedi. Zapewne wiedziała o Mocy znacznie więcej niż on. W najgorszym razie nauczy się więcej z jej pomocą niż bez niej. A jednak coś w jej ofercie go niepokoiło.

– Dlaczego to robisz?

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Wciąż mi nie ufasz? To dobrze. Nie powinienes. Wchodzę w to tylko dla siebie. Sama nie jestem w stanie pokonać Siraka. Jest za silny.

– Powiadają, że jest Sith'ari – wymamrotał.

– Nie wierzę w proroctwa – odparowała. – Ale na pewno ma potężnych sojuszników. Poza tym pozostali Zabrakowie też są wobec niego całkowicie lojalni. Jeśli mam

kiedykolwiek go wyzwać, potrzebuję kogoś po mojej stronie. Kogoś silnego Mocą. Kogoś takiego jak ty.

Jej rozumowanie było sensowne, ale wciąż coś go niepokoiło.

– Lord Qordis i mistrzowie nie zgodzą się na to – ostrzegł. – Podejmujesz ogromne ryzyko.

– Ryzyko jest jedynym sposobem, aby odebrać nagrodę – odparła. – Poza tym nie obchodzi mnie, co myślą mistrzowie. W ostatecznym rozrachunku przeżywają ci, którzy liczą tylko na siebie.

Bane potrzebował kilku sekund, aby zrozumieć, dlaczego jej słowa brzmią tak znajomo. A potem przypomniał sobie, co powiedział mu Groshik przed wyjazdem z Apatros: „Nie licz na pomoc innych. W końcu zawsze i tak zostajemy sami. Przeżyją tylko ci, którzy wiedzą, jak się sobą zaopiekować”.

– Pomożesz mi odzyskać Moc, a ja pomogę ci załatwić Siraka – powiedział w końcu, wyciągając rękę. Uścisnęła ją, po czym wstała, aby wyjść. Bane jednak nie zwolnił uchwytu, zmuszając ją, by znów usiadła. W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, ale nie dbał o to.

– Dlaczego odeszłaś od Jedi? – zapytał.

Wyraz jej twarzy złagodniał, pokręciła głową. Wyciągnęła wolną rękę i łagodnie położyła mu na policzku.

– Chyba jeszcze nie jestem całkiem gotowa, aby ci o tym opowiedzieć.

Skinął głową. Nie musiał jej teraz naciskać, bo wiedział, że jeszcze sobie na nic nie zasłużył.

Dłoń lekko zsunęła się z jego policzka. Puścił ramię Githany. Jeszcze raz obrzuciła go taksującym wzrokiem, po czym wstała i odeszła szybkim stanowczym krokiem. Nie oglądała się, ale Bane z przyjemnością odprowadzał wzrokiem jej rozkołysane biodra, zanim zniknęła mu z pola widzenia.

Githany wiedziała, że obserwował ją, gdy wychodziła. Mężczyźni zawsze się na nią gapili, była do tego przyzwyczajona.

W sumie uznała, że spotkanie było udane. Przez ułamek sekundy pod koniec – kiedy nie chciał puścić jej ręki – zastanawiała się, czy nie pomyliła się w jego ocenie. Jego bunt nieco zbił ją z tropu – spodziewała się, że pozostanie słaby i służalczy. Kiedy jednak spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że Bane przylgnął do niej z desperacji i lęku. Jedno spotkanie, a on już nie mógł znieść myśli o tym, by ją wypuścić.

Choć była z Sithami od niedawna, posłuszeństwo Ciemnej Stronie przychodziło jej bardzo łatwo. Nie czuła dla Bane’a litości ani smutku, jego wrażliwość pozwalała jedynie łatwiej go kontrolować. W przeciwieństwie do Jedi Bractwo Ciemności nagradzało ambicję.

Każdy rywal, którego pokonała, był świadectwem jej wartości i podwyższał jej status wśród Sithów.

Bane stanowił doskonałe narzędzie do pokonania jej rywali. Przynajmniej tak jej się wydawało. Był niewiarygodnie silny Mocą. Silniejszy nawet niż jej się z początku wydawało. Była zdumiona potęgą, jaką w nim wyczuwała. A teraz owinęła go sobie wokół palca. Musi tylko dopilnować, aby tak już zostało.

Będzie prowadziła Bane'a powoli, zawsze o krok w tyle za jej własnymi możliwościami. Była to niebezpieczna gra, ale wiedziała, że potrafi ją dobrze rozegrać. Wiedza oznaczała potęgę, a tylko ona kontrolowała wiedzę, jaką mu przekaże. Nauczy go. Przywiąże, nagnie do swojej woli, a potem wykorzysta, aby zmiażdżyć Siraka. A w końcu, jeśli uzna, że Bane staje się zbyt silny, zniszczy i jego.

Nad Korribanem zapadła noc. Trzaskające pochodnie rzucały upiorne cienie na ściany korytarzy Akademii. Bane szedł tymi korytarzami, otulony w czarny płaszcz, niewiele różniąc się od własnego cienia.

Uczniom nie wolno było opuszczać sypialni po capstrzyku – był to jeden z kroków, jakie Qordis podjął w celu zredukowania „niewyjaśnionych” wypadków śmiertelnych, bardzo częstych w akademiach zamieszkałych przez adeptów Ciemnej Strony. Bane wiedział, że gdyby został przyłapany, kara byłaby ciężka. Ale noc to jedyny czas, kiedy mógł działać, nie będąc widziany przez innych studentów.

Ostrożnie podążał przez piętro, na którym zlokalizowane były dormitoria studentów, aż dotarł do schodów wiodących na górne poziomy i do kwater mistrzów.

Rozejrzał się szybko na boki, obserwując migoczące cienie na kamiennych ścianach. Znieruchomiał, nasłuchując dźwięków świadczących o tym, że ktoś mógłby go przyłapać. Zapamiętał trasy nocnych czujek, które patrolowały korytarze o zmierzchu; wiedział, że minie prawie godzina, zanim wrócą na to piętro. Było jednak wiele innych osób – obsługa kuchni, sprzątacze, ogrodnicy – które pracowały na potrzeby Akademii i mogły się tu kręcić.

Słyszając jednak wyłącznie ciszę, ruszył po schodach. Szybko prześliznął się pod osobistymi apartamentami Qordisa, z pewną ulgą stwierdzając, że nawet mistrz Sithów czuje potrzebę zamykania drzwi na noc. Minął kolejne pół tuzina drzwi, zatrzymując się dopiero przed pokojem fechtmistrza.

Zastukał raz, cicho, żeby nie obudzić innych. Zanim powtórzył stukanie, drzwi otworzyły się i stanął w nich Twi'lek. Przez ułamek sekundy Bane pomyślał, że tamten czekał na niego pod drzwiami, ale to było oczywiście niemożliwe. Raczej doskonale wyszkolony refleks fechtmistrza zareagował na pierwsze pukanie tak szybko, że był przy drzwiach, zanim Bane zdecydował się zastukać drugi raz.

Twi'lek miał na sobie spodnie, ale jego tors był nagi; ukazywał tatuaże i blizny. Zaskoczony wyraz twarzy potwierdzał przypuszczenie Bane'a, że tamten nie wiedział o jego

przybyciu, a szybkość, z jaką złapał gościa za ramię i wciągnął do środka, dowodziła naprawdę niezwykłego refleksu.

Zanim więc Bane zorientował się, co się dzieje, drzwi za nim były już zamknięte i zaryglowane, a on znajdował się obok mistrza w małym, ciemnym pomieszczeniu. Gospodarz zapalił niewielki pręt żarowy na stojaku przy łóżku i spojrzał groźnie na nieproszonego gościa.

– Co tu robisz? – syknął, zniżając głos.

Bane zawahał się, niepewny, ile mu powiedzieć. Myślał o ofercie Githany, o tym, co mu powiedziała. Stwierdził, że ma rację: musi zadbać o siebie, jeśli ma przeżyć. A to oznacza, że to on ma pokonać Siraka, nie ona.

– Chcę, żebyś mnie znów szkolił – szepnął. – Żebyś nauczył mnie wszystkiego, co sam wiesz na temat walki na miecze świetlne.

Kas'im w odpowiedzi pokręcił głową, ale Bane'owi zdawało się, że zauważył lekkie wahanie.

– Qordis nigdy się na to nie zgodzi. Postawił sprawę jasno: żaden z mistrzów nie może dłużej marnować na ciebie czasu.

– Nie wiedziałem, że podlegasz Qordisowi – odparował Bane. – Czy w Bractwie Ciemności wszyscy mistrzowie nie są sobie równi?

Zagrał bezczelnie na dumie fechtmistrza, ale Twi'lek bez trudu poznał się na tym. Uśmiechnął się rozbawiony śmiałością Bane'a.

– Istotnie – przyznał. – Ale tu, na Korribanie, inni lordowie podporządkowują się Qordisowi. Pozwala to uniknąć... komplikacji.

– Qordis nie musi wiedzieć – zauważył Bane, czerpiąc otuchę z faktu, że Kas'im nie odmówił mu natychmiast. – Ucz mnie w tajemnicy. Możemy spotykać się nocą na dachu Świątyni.

– A dlaczego miałbym to robić? – zapytał Twi'lek, krzyżując muskularne ramiona. – Żądasz nauk od lorda Sithów, a co oferujesz w zamian?

– Znasz mój potencjał – naciskał Bane. – Qordis mnie odrzucił. Jeżeli teraz odniosę sukces, nie będzie mógł się wtrącić. Jeśli stanę się wielkim wojownikiem Bractwa, lord Kaan dowie się, że to ty mnie wyszkoliłeś. A jeśli nie, nikt nawet nie będzie podejrzewał twojego udziału. Nie masz nic do stracenia.

– Nic poza moim czasem – odparł tamten, drapiąc się w podbródek. – Straciłeś wolę walki. Pokazałeś to w pojedynku z Sirakiem. – Jego głowoogony drżały lekko i Bane uznał to za znak, że mimo wszystko rozważa propozycję.

Zawahał się jeszcze raz. Jak wiele może mu wyjawić? Wciąż zamierzał się zgodzić, aby Githany uczyła go posługiwania się Mocą i jej Ciemną Stroną, ale zdał sobie sprawę, że jeśli tylko ona będzie go uczyć, pozostanie zawsze gorszy od niej. Jeśli chce zlikwidować Siraka, Kas'im będzie musiał mu pomóc... a ona nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

– Moja wola walki wróciła – rzekł wreszcie, nie chcąc ujawniać roli Githany w jego nagłym zmartwychwstaniu. – Jestem gotów przyjąć potęgę Ciemnej Strony.

Kas'im skinął głową.

– Dlaczego to robisz?

Bane wiedział, że to ostateczna próba. Kas'im był mrocznym lordem Sithów. Jego talent i umiejętności zarezerwowano dla tych, którzy pewnego dnia powstaną i wstąpią w szeregi Bractwa Ciemności. Chciał czegoś więcej, nie tylko dowodu, że Bane jest naprawdę gotów. Potrzebował dowodu, że jest godzien.

– Chcę zemsty – odparł Bane po dłuższym namyśle. – Chcę zniszczyć Siraka. Chcę go zmiażdżyć pod obcasem jak robaka.

Fechtmistrz uśmiechnął się z ponurą satysfakcją.

– Zaczynamy jutro.



## ROZDZIAŁ 15

Bane szedł korytarzem powolnym, ostrożnym krokiem. Choć z pozoru wydawał się posepny i wyglądał pokornie, w duchu triumfował. W ciągu tych kilku tygodni, jakie upłynęły od spotkania z Githany, jego życie zmieniło się radykalnie.

Uczyła go, tak jak obiecała. Pierwszych kilka sesji wlokło się niemiłosiernie, bo pomagała mu pokonać lęk umysłu przed własnym potencjałem. Kawałek po kawałku czarny całun został zdarty. Kawałek po kawałku pomogła mu odzyskać to, co stracił – aż znów poczuł, jak potęga Ciemnej Strony płynie mu w żyłach.

Od tej chwili szkolenie poszło znacznie szybciej. Karmiony żądzą zemsty, parł naprzód. Sycił nią swoje zdolności używania Mocy. To ona pozwalała mu rozumieć lekcje, które mistrzowie przekazywali Githany, a ona jemu. I chociaż instruktorzy nadal go ignorowali, znów uczył się wszystkiego tego, co inni uczniowie – i to bardzo szybko.

Mijając kolejnego studenta, Bane pochylił głowę, nadal udając pokorę. Ważne było, aby nikt nie podejrzewał, że coś się zmieniło. Swoje nauki z Githany ukrywał przed wszystkimi... tak samo jak przed nią ukrywał treningi z Kas'imem.

Kas'im wiedział, że szermierka szła Bane'owi coraz lepiej, ale nie miał pojęcia, jakie są jego postępy w innych dziedzinach. Githany знаła zaś jego postępy w uwalnianiu prawdziwego potencjału Mocy, ale nie wiedziała, że opanowuje również arkana walki na miecze świetlne. Ostatecznie oboje mieli prawo nie doceniać pełnego wachlarza jego zdolności, a Bane'owi podobała się subtelna przewaga, którą mu to dawało.

Jego dni znów wypełniały nauka i treningi. W najciemniejszych godzinach nocy przed pierwszym brzaskiem spotykał się z Kas'imem, by trenować szermierkę. W południe spotykał się z Githany w archiwum, gdzie mogła dzielić się z nim wiedzą bez obawy, że ktoś im przeszkodzi lub ich odkryje. A kiedy nie trenował z Kas'imem i nie studiował z Githany, czytał starożytne teksty.

Pojawił się kolejny student i Bane usunął się na bok, stwarzając pozory słabości i lęku, aby ukryć swoją metamorfozę. Odczekał, aż kroki tamtego ucichną całkiem, zanim skierował się w dół, ku najniższym poziomom Świątyni.

Qordis lub inny mistrz może by potrafił przeniknąć fałszywy obraz, w jaki się spowił, i wyczuć jego prawdziwą Moc – cóż, kiedy sami byli zaślepieni własną arogancją. Uznali go za

porażkę, więc teraz był poza kręgiem ich uwagi. Na szczęście ta anonimowość bardzo odpowiadała Bane'owi.

Prawie wcale nie sypiał. Wydawało mu się, że jego ciało nagle przestało potrzebować snu, że karmi się coraz lepszym opanowaniem przez niego Ciemnej Strony. Godzina lub dwie medytacji każdego dnia wystarczyły, aby jego ciało było pełne energii, a umysł jasny. Pożerał wiedzę z apetytem zagłodzonego rankora, pochłaniając wszystko, czego dowiadywał się od swoich tajemnych nauczycieli i ciągle żądając więcej. Fechtmistrz był zaskoczony jego postępami, a nawet Githany – pomimo wielu lat nauki z Jedi – miała problemy, żeby utrzymywać się przed nim. Wszystko, czego Bane dowiadywał się od nich, uzupełniał wiedzą starożytnych. Od przybycia tutaj wyczuwał, jak wielką wartość mają te archiwa, a jednak odwrócił się od nich, kiedy wciągnęły go codzienna rutyna i intensywna nauka w Akademii. Teraz rozumiał, że jego pierwotne przeczucia były prawdziwe. Wiedza zawarta w pożółkłych pergaminach i oprawnych w skórę manuskryptach miała ponadczasowy walor. Moc była wieczna, a choć mistrzowie Akademii podążali teraz inną drogą, aniżeli ich przodkowie, wszyscy szukali odpowiedzi w Ciemnej Stronie.

Ta ironia losu wywołała uśmiech na twarzy Bane'a. Był wyrzutkiem, studentem, którego Qordis chciał pozostawić w tyle. A jednak z pomocą Githany, Kas'ima, a także dzięki własnej pracy w archiwum odbierał lepszą edukację niż jakikolwiek inny student na Korribanie.

Wkrótce prawda wyjdzie na jaw. Kiedy przyjdzie właściwy czas, Sirak dowie się, że nie docenił Bane'a. Wszyscy się dowiedzą.

– Doskonale! – orzekł Kas'im, kiedy Bane zablokował młynka mrocznego lorda i sparował własnym. Nie udało mu się uzyskać bezpośredniego trafienia, ale zmusił fechtmistrza do cofnięcia się o pełny krok pod energią jego ataku.

Nagle Twi'lek wyskoczył wysoko w powietrze, obracając się i wykręcając tak, by sięgnąć Bane'a, kiedy nad nim przelatywał.

Bane jednak był gotów – przeszedł od ataku do obrony tak gładko, że wydawało się, jakby to była jedna sekwencja. Odparował oba ostrza broni Kas'ima, jednocześnie odskakując w bok i odtaczając się w bezpieczne miejsce.

Odwrócił się w stronę przeciwnika, ale stwierdził, że Kas'im opuścił już broń, co oznaczało koniec lekcji.

– Bardzo dobrze, Bane – rzekł Twi'lek z lekkim ukłonem. – Myślałem, że tym ruchem cię zaskoczę, ale potrafiłeś przewidzieć go i obronić prawie doskonałą formą.

Bane rozkoszował się pochwałami mistrza. Żałował, że to koniec sesji. Oddychał ciężko, jego mięśnie lśniły potem i drgały od adrenaliny, ale wydawało mu się, że mogłby tak walczyć godzinami. Sparring i ćwiczenia stały się dla niego czymś więcej niż tylko wysiłkiem fizycznym. Każdy ruch, każde uderzenie i pchnięcie zmieniały się w przedłużenie Mocy, działającej poprzez cielesną skorupę z krwi i kości.

Tęsknił za innym przeciwnikiem w pojedynku. Pragnął wyzwania, w którym mógłby się zmierzyć z innymi uczniami. Ale jeszcze nie czas na to. Jeszcze nie. Wciąż nie był dość dobry, by pokonać Siraka, a dopóki nie będzie w stanie go zmiażdżyć, musi starannie ukrywać swoje szybko rozwijające się talenty.

Kas'im rzucił mu ręcznik. Bane z zadowoleniem stwierdził, że Twi'lek też się spocił – choć ani w połowie tak obficie jak on.

– Czy masz coś, nad czym powinienem popracować na jutro? – zapytał ochoczo. – Nowa sekwencja? Nowa forma? Cokolwiek?

– Sekwencje i formy już są dawno poza tobą – powiedział mistrz. – W ostatnim przejściu przerwałeś atak w środku sekwencji i ruszyłeś na mnie pod kompletnie innym i nieoczekiwanym kątem.

– Tak? – Bane był zaskoczony. – Ja... właściwie nie chciałem.

– Dlatego ten ruch był tak potencjalnie niszczycielski – wyjaśnił Kas'im. – Pozwalasz teraz, aby to Moc kierowała twoim ostrzem. Działasz, nie myśląc i nie rozumiejąc. Napędza cię pasja: wściekłość, gniew... nawet nienawiść. Twój miecz stał się przedłużeniem Ciemnej Strony.

Bane nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale po chwili zmarszczył czoło.

– I tak nie zdołałem przebić się przez twoją obronę – rzekł, usiłując odtworzyć walkę w pamięci. – Ale im bardziej próbowałem, tym bardziej wydawało mi się, że jedna strona broni Twi'leka służyła zawsze do parowania ataku. W umyśle wykiełkowało mu ziarenko wątplenia, kiedy przypomniał sobie, że Sirak używał tej samej broni. – Czy miecz świetlny o dwóch ostrzach daje przewagę?

– Daje, ale nie w takim sensie, jak sądzisz – odparł Kas'im.

Bane milczał, czekając cierpliwie na dalsze wyjaśnienia. Po kilku sekundach mistrz dodał:

– Jak już wiesz, w każdej konfrontacji prawdziwym kluczem do zwycięstwa jest Moc. Jednak to nie jest proste równanie. Ktoś dobrze przeszkolony w walce na miecze świetlne może pokonać przeciwnika, który jest silniejszy Mocą. Moc pozwala ci przewidzieć ruchy przeciwnika i kontrować je własnymi. Im więcej jednak twój wróg ma możliwości, tym trudniej jest przewidzieć, którą wybierze.

Bane'owi wydawało się, że rozumie..

– Więc miecz o dwóch ostrzach daje ci więcej opcji?

– Nie – odparł Kas'im. – Ale myślisz, że daje, więc wynik jest ten sam.

Bane przez chwilę zastanawiał się nad dziwnymi słowami fechtmistrza, usiłując je rozszyfrować. W końcu musiał się poddać.

– Nie rozumiem, mistrzu.

– Dobrze znasz jednostronny miecz świetlny; sam go używasz i widzisz, jak używają go inni uczniowie. Moja dwustronna broń wydaje ci się obca. Nieznajoma. Nie do końca wiesz,

co potrafi, i nie możesz tego zrozumieć. – W głosie Twi'leka nie było irytacji i zniecierpliwienia. Bane doszedł więc do wniosku, że samodzielnie nie byłby w stanie tego rozgryźć.

– W czasie walki twój umysł stara się śledzić oddzielnie każde ostrze, w sumie dublując możliwości. W istocie jednak ostrza są połączone, a znając lokalizację jednego, automatycznie zdajesz sobie sprawę, gdzie jest drugie. W praktyce dwustronny miecz świetlny ma więcej ograniczeń niż jednostronny. Może wyrządzić więcej szkody, ale jest mniej precyzyjny. Wymaga dłuższych, szerszych ruchów, które nie przekładają się wygodnie na szybkie pchnięcie lub sztych. Ponieważ jednak jest to broń, którą trudno opanować, niewielu Jedi, a nawet Sithów, ją rozumie. Nie wiedzą jak się przed nią skutecznie bronić. To daje nam, którzy jej używamy, przewagę nad większością przeciwników.

– Jak pejcz Githany! – Zawołał Bane.

Githany odrzuciła tradycyjną broń na korzyść bardzo rzadko spotykanego pejcza energetycznego: jeszcze jedna cecha, która odróżniała ją od innych uczniów. Działał na tej samej zasadzie co miecz świetlny, jednak zamiast stałego promienia energia kryształów tworzyła tu giętką wstęgę, która kręciła się, wiła i strzelała, prowadzona zarówno fizyczną siłą Githany, jak i użytą przez nią Mocą.

– Właśnie. Pejcz energetyczny jest znacznie mniej skuteczny niż normalne ostrze miecza świetlnego. Jednak nikt nigdy nie ćwiczy z przeciwnikiem uzbrojonym w pejcz. Githany wie, że dezorientacja przeciwników skonfrontowanych nagle z pejczem daje jej przewagę.

– Wyjawiając mi ten sekret, pozbawiasz się swojej przewagi – zauważył Bane, wskazując z uśmiechem podwójny miecz Kas'ima.

– Tylko w bardzo niewielkim stopniu – odparł Twi'lek. – Teraz już rozumiesz, czemu egzotyczna broń lub nieznaną styl jest trudniejszy do obrony, ale dopóki sam się nie staniesz ekspertem w danym stylu, w ferworze walki twój umysł wciąż będzie starał się odgadnąć jego ograniczenia.

Bane naciskał dalej, starając się zmienić tę nową wiedzę w coś pożytecznego, co mógłby wykorzystać.

– Ucząc się różnych stylów, mogę zatem zmniejszyć tę przewagę?

– Teoretycznie tak. Spędzając jednak czas na nauce innych stylów, nie poświęcasz go na opanowanie własnej formy. Najlepsze postępy poczynisz, jeśli skoncentrujesz się bardziej na sobie, a mniej na swoim przeciwniku.

– Po co więc w ogóle mi to powiedziałeś? – wypalił Bane z irytacją.

– Wiedza to potęga, Bane. Moim celem jest dać ci tę wiedzę. A ty musisz się zastanowić, jak ją wykorzystać.

Z tymi słowy fechtmistrz opuścił go, ruszając w kierunku schodów do Świątyni, aby zdrzemnąć się kilka godzin, nim wstanie poranne słońce. Bane pozostał na dachu, zmagając się z nową lekcją, dopóki nie przyszedł czas na spotkanie z Githany w archiwum.

W archiwum unosił się smród palącego się ozonu i wypełniał nozdrza Githany, obserwującej Bane'a przy ćwiczeniach.

Pomieszczenie trzeszczało i syczało, kiedy kierował energią Mocy i uderzał wielkimi snopami błękitnofioletowych błyskawic.

Githany stała z Bane'em w samym środku tego malstromu. Wokół nich wirował huragan, szarpiąc jej włosy i szatę. Trząśł półkami, zrzucając na podłogę manuskrypty i przewracając ich kartki. Samo powietrze naładowane było elektrycznością, aż kłuło w skórę.

A pośrodku tego wszystkiego stał roześmiany Bane. Uniósł obie ręce i posłał kolejną błyskawicę, która odbiła się od ściany. Za każdym razem, kiedy padał snop iskier, intensywność rozbłysku raniła siatkówki Githany, zmuszając ją do zasłaniania oczu. Zauważyła, że Bane nie odwracał wzroku; źrenice miał rozszerzone i szalone od przyływu Mocy.

Huk był niemal ogłuszający, a burza wciąż się zbierała. Jeśli Bane nie będzie uważał, echa dotrą do pomieszczeń leżących nad archiwum, dekonspirując tajne centrum szkoleniowe przed resztą Akademii.

Githany podeszła bardzo ostrożnie i dotknęła jego ramienia. Odwrócił raptownie głowę, by na nią spojrzeć, a obłęd w jego oczach prawie ją przeraził. Uśmiechnęła się jednak.

– Doskonale, Bane! – zawołała, z wielkim trudem przekrzykując hałas. – Na dzisiaj wystarczy!

Wstrzymała oddech, dopóki nie skinął głową. Opuścił ramię i natychmiast poczuła, jak burza ucicha. W ciągu kilku sekund było po wszystkim, pozostał jedynie bałagan.

– Nigdy... nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego – jęknął, ale w twarzy wciąż jeszcze miał to samo upojenie.

Githany skinęła głową.

– To niezwykle uczucie – zgodziła się. – Ale musisz uważać, żeby się w nim nie zatracić.

Powtarzała słowa mistrza Qordisa, który dopiero kilka dni temu nauczył ją wzywać błyskawice Mocy. Jednak sama nie zdołała wykrzesać nic równie imponującego i majestatycznego jak to, co rozpętał Bane.

– Musisz zachować kontrolę albo burza porwie cię razem z twoimi wrogami – powiedziała, próbując naśladować spokojny, nieco pobłażliwy ton, jaki mistrzowie przyjmowali w rozmowach ze swoimi uczniami. Nie mogła mu się przyznać, że już dawno prześcignął ją w tym nowym talencie. Nie mogła też zdradzić, że w czasie jego wyczynów czuła na gardle zimne palce strachu.

Bane rozejrzał się po powalonych półkach, stertach książek i zwojów porzucanych po sali.

– Lepiej to posprzątajmy, zanim ktoś zajrzy i zacznie się zastanawiać, co tu się stało.

Skinęła głową i oboje zabrali się do przywracania archiwum do poprzedniego stanu. W trakcie pracy Githany zastanawiała się, czy aby na pewno dobrze zrobiła, sprzymierzając się z Bane'em.

Na lekcji, na której Qordis uczył ich używania Ciemnej Strony do przemiany Mocy w śmiertcionośną burzę, obecni byli jedynie najlepsi z uczniów. Żadne z nich – nawet Sirak – nie było w stanie tego pierwszego dnia wytworzyć więcej niż kilka promieni energii. A jednak, zaledwie w godzinę po nauczaniu się tej techniki od Githany, Bane wyprodukował dość energii, aby rozerwać całe pomieszczenie.

Już nie po raz pierwszy Bane przejmował od niej wiedzę i w pierwszej próbie przewyższał jej osiągnięcia. Był o wiele silniejszy Mocą, niż przypuszczała i wydawał się wzmacniać z każdym dniem. Bała się, że może stracić nad nim kontrolę.

Oczywiście, zachowywała ostrożność. Nie była tak głupia, by przekazywać mu wszystko, czego nauczyła się od mistrzów Sithów. Jednak nawet to nie dawało jej już przewagi nad uczniem. Czasem zastanawiała się, czy to nie te wszystkie starożytne teksty dają mu przewagę nad nią. Nauka u stóp prawdziwego mistrza powinna być korzystniejsza niż czytanie prac teoretycznych napisanych tysiące lat temu... chyba że dzisiejsi Sithowie nie byli doskonali.

Niestety, nie wiedziała, jak sprawdzić tę teorię. Jeśli teraz zacznie spędzać kilka godzin dziennie w archiwach, Bane mógłby się zainteresować, co kombinuje. Może uzna wtedy, że jej nauki nie są tak wartościowe jak to, czego on sam się uczy. Może stwierdzi, że nie jest mu już potrzebna. A gdyby doszło do konfrontacji – nie była już tak pewna, że zdołałaby go pokonać.

Githany jednak szczyciła się swoją zdolnością adaptacji. Jej pierwotny plan, aby uczynić z Bane'a oddanego ucznia, spalił na panewce. Wciąż chciała mieć go po swojej stronie; mógłby się okazać potężnym sprzymierzeńcem... Do chwili, gdy zabije Siraka.

Przez kolejną godzinę pracowali w milczeniu, zbierając książki i ustawiając półki. Zanim pomieszczenie zostało doprowadzone do porządku, Githany rozboleły plecy od ciągłego schylania się, podnoszenia i sięgania. Opadła na jedno z krzesel, obdarowując Bane'a zmęczonym uśmiechem.

– Jestem wykończona – rzekła z przesadnym westchnieniem.

Podszedł i stanął za nią, kładąc wielkie dłonie na jej ramionach, tuż u nasady długiej szyi. Zaczął rozmasowywać jej mięśnie dotknięciem zaskakująco delikatnym, jak na męczyznę jego postury.

– Mmm... cudownie – przyznała. – Gdzie się tego nauczyłeś?

– Praca w kopalniach cortosis uczy wiele na temat bólów i zakwasów – odparł, wbijając głębiej kciuki między jej łopatki. Jęknęła i wygięła się w tył, po czym zwiotczała, kiedy jej mięśnie zaczęły roztapiać się pod jego dotknięciem.

Rzadko opowiadał jej o przeszłości, choć przez ten czas, jaki spędzali ze sobą, zdołała połączyć większość kawałków w jedną całość. Ona z kolei zawsze starała się zachować rezerwę w tym, co o sobie mówiła.

– Kiedyś zapytałeś mnie, czemu odeszłam od Jedi – mruknęła, czując, jak odpływa pod rytmicznym uciskiem jego palców. – Nigdy ci tego nie mówiłam, prawda?

– Są takie miejsca w naszej przeszłości, których wolimy nie odwiedzać ponownie – odparł, nie przestając masować. – Wiedziałem, że powiesz mi, kiedy będziesz gotowa.

Przymknęła oczy i odchyliła głowę w tył, pozwalając, by dalej uciskał jej ramiona.

– Mój mistrz był Catharem – rzekła cicho. – Mistrz Handa. Uczył mnie, prawie odkąd sięgam pamięcią. Moi rodzice oddali mnie do zakonu, kiedy byłam małym dzieckiem.

– Słyszałem, że Jedi nie dbają o więzi łączące rodziny.

– Obchodzi ich tylko Moc – przyznała po chwili zastanowienia. – Przyjemne więzi... przyjaciele, rodzina, kochankowie... tylko rozpraszają umysł uczuciami i namiętnościami.

Bane zachichotał – ten niski, głęboki dźwięk poprzez koniuszki jego palców przenosił się na skórę Githany.

– Namiętności prowadzą na Ciemną Stronę. Tak przynajmniej słyszałem.

– Dla Jedi to nie był żart. Zwłaszcza dla mistrza Handy. Catharowie znani są z gorącej krwi. Często ostrzegał mnie i Kiel, mówiąc o niebezpieczeństwach, jakie niesie ze sobą oddawanie się emocjom.

– Kiel?

– Kiel Charny, jeden z padawanów Handy. Często ćwiczyliśmy razem, był tylko o rok starszy ode mnie.

– Też Cathar?

– Nie, Kiel był człowiekiem. Z czasem staliśmy się sobie bliscy. Bardzo bliscy. Lekkie zwiększenie nacisku palców świadczyło o tym, że Bane dokładnie pojął znaczenie tych słów. Udała, że nie widzi.

– Kiel i ja byliśmy kochankami – ciągnęła. – Wśród Jedi zabronione jest tworzenie takich więzi. Mistrzowie obawiali się, że umysł przyćmią nam niebezpieczne emocje.

– Naprawdę ci się podobał, czy była to tylko przekora wobec mistrzów?

Zastanawiała się przez chwilę, nim odpowiedziała.

– Jedno i drugie, jak mi się zdaje – odparła wreszcie. – Był raczej przystojny. Silny Mocą. Zdecydowanie czuliśmy wzajemny pociąg.

Bane tylko coś mruknął w odpowiedzi. Przestał masować, ale nie zabrał dłoni z jej karku.

– Kiedy zostaliśmy kochankami, mistrz Handa szybko to odkrył. Pomimo wszystkich kazań na temat kontrolowania emocji widziałam, że był wściekły. Rozkazał nam odsunąć uczucia na bok i zabronił kontynuować związek.

Bane prychnął wzgardliwie.

– Naprawdę uważał, że to takie proste?

– Jedi uważają emocje za zwierzęcą część naszej natury. Uważają, że musimy wznieść się ponad prymitywne instynkty. Ale ja wiem, że to właśnie pasja daje nam siłę. Jedi boją się jej tylko dlatego, że czyni padawaną nieprzewidywalnym i trudnym do kontrolowania. Reakcja mistrza Handy sprawiła, że ujrzałam prawdę. Wszystko, w co wierzyli Jedi, było skrzywieniem rzeczywistości, kłamstwem. Zrozumiałam wreszcie, że u mistrza Handy nigdy nie osiągnę pełnego potencjału. Wtedy odwróciłam się od zakonu i postanowiłam przejść na stronę Sithów.

– A Kiel Chamy? – Bane znów rozcierał jej ramiona, ale teraz jego dłonie wydawały się odrobinę mniej delikatne.

– Poprosiłam, żeby poszedł ze mną – powiedziała. – Dałam mu wybór: Jedi albo my. Wybrał Jedi.

Napięcie w dłoniach Bane’a zelżało nieco.

– Czy on nie żyje?

Zaśmiała się.

– Chciałeś zapytać, czy go zabiłam? Nie. Ostatnio, kiedy o nim słyszałam, wciąż żył i miał się dobrze. Może zginął na Ruusanie, ale jakoś nie czułam potrzeby, by zabijać go osobiście.

– Więc chyba twoje uczucia do niego nie były tak silne, jak sądziłaś.

Githany zeszywniała. To mógł być żart, ale wiedziała, że w słowach Bane’a tkwi ziarno prawdy. Kiel był wygodny. To prawda, czuła do niego pociąg fizyczny, ale stał się czymś więcej niż przyjacielem głównie z powodu rozwoju sytuacji: uczyli się razem dzień i noc u mistrza Handy, pod presją realizacji nierealnych ideałów Jedi. No i doszedł jeszcze stres spowodowany niekończącą się walką na Ruusanie.

Bane objął dłońmi jej szyję, stanowczo, ale nie mocno. Pochylił się i szepnął jej do ucha, aż zadrżała od ciepła i bliskości jego oddechu:

– Kiedy zdradzisz mnie wreszcie, mam nadzieję, że będzie ci na mnie zależało na tyle, aby spróbować mnie zabić.

Zerwała się z krzesła, gwałtownie odpychając jego dłonie, i odwróciła się, aby spojrzeć mu w oczy. Przez ułamek sekundy widziała na jego twarzy zadowolenie z siebie, które jednak szybko ustąpiło miejsca trosce i poczuciu winy.

– Przepraszam, Githany, to był tylko żart. Nie chciałem cię zirytować.

– Wyjawiałam ci bolesną część mojej przeszłości, Bane – rzekła ostrożnie. – Nie chciałabym, żeby ktoś z tego żartował.

– Masz rację – odparł. – Pójdę już...

Przyglądała mu się, jak wychodzi z archiwum. Wyglądał, jakby naprawdę czuł się winny za to, co powiedział, jakby sprawiło mu przykrość, że ją zranił. Doskonała sytuacja, aby wykorzystać przewagę emocjonalną, której szukała... gdyby nie zauważyła tego błysku w jego oczach.



Kiedy zniknął, pokręciła głową, usiłując doszukać się sensu w tej sytuacji. Bane wydawał się ogromnym, zwalistym brutalem, ale pod tą łysą czaszką i wypukłym czołem kryły się mądrość i przebiegłość.

Wróciła pamięcią do ostatnich dwudziestu minut, starając się określić, kiedy straciła kontrolę nad sytuacją. Zaiskrzyło między nimi tak jak sobie tego życzyła. Bane nie ukrywał swojego pożądanego, czuła ten żar, kiedy pieścił jej kark. Coś się jednak nie udało w tym starannie zaplanowanym uwiedzeniu.

Czy to możliwe, że istotnie coś do niego czuła?

Githany podświadomie przygryzła dolną wargę. Bane był silny, inteligentny, śmiały. Potrzebowała go, jeśli miała wyeliminować Siraka. Ale miał dar zaskakiwania jej. Wciąż stawiał nowe wyzwania i drwił z jej oczekiwań.

Musiała przyznać, że mimo wszystko intrygował ją. A może właśnie dlatego, że był taki, jaki był. Bane miał to wszystko, czego nie miał Kiel: był ambitny, impulsywny, nieprzewidywalny. Pomimo najlepszych intencji jakaś drobna jej częśćka lgnęła do niego. A to, bardziej niż cokolwiek innego, czyniło z niego niebezpiecznego przeciwnika.

## ROZDZIAŁ 16

Wysoko na szczycie Świątyni Korriban, w blasku krwawoczerwonego księżyca, stały dwie sylwetki jak wycięte z czarnego papieru – jedna ludzka, jedna twi’lekańska. Lodowaty wiatr świstał po dachu, ale choć obaj wojownicy zerwali z siebie szaty i świecili nagimi torsami, żaden nie drżał z zimna. Można ich było wziąć za posągi nieruchome i twarde jak glaz, gdyby nie ukryty żar w ich oczach.

Bez jednego ostrzeżenia rzucili się na siebie, poruszając się tak szybko, że postronny obserwator nie umiałby określić, który z nich atakował, a który parował atak. Starli się z głośnym szczękiem ostrzy.

Walcząc desperacko, aby nie dać się zepchnąć do defensywy, Bane uważnie obserwował Kas’ima. Doskonale wyczuwał każdą fintę i uderzenie, analizował i zapamiętywał każdą blokadę, paradę i kontratak. Fechtmistrz twierdził, że lepiej spędzać czas, koncentrując się na poprawianiu własnej techniki, ale Bane zdecydowany był zniwelować przewagę Siraka, pochłaniając wszystkie możliwe informacje na temat stylu walki dwustronnym mieczem świetlnym.

Wymiana ciosów trwała już ponad minutę, bez przerw i bez chwili odpoczynku, dopóki Bane nie odwrócił się, by przemyśleć taktykę. Czuł, że jego ataki zaczynają przechodzić w strefę podświadomości, a przewidywalność w starciu z przeciwnikiem tak zręcznym jak Kas’im oznaczała zgubę. Wpadł już raz w tę pułapkę w zeszłym tygodniu. Nie miał zamiaru dwa razy powtarzać błędu.

Przeciwnicy znów stanęli naprzeciw siebie, nieruchomi, tylko ich oczy czujnie śledziły każdy ruch, dzięki któremu mogliby uzyskać minimalną bodaj przewagę.

W ciągu ostatniego miesiąca ich sesje szkoleniowe stały się rzadsze, lecz bardziej intensywne. Bane zaczynał wierzyć, że Kas’im istotnie ceni sobie ich sparring; fechtmistrz musiał być znudzony nieustannym krzyżowaniem ostrzy z uczniami i studentami tak mocno poniżej jego własnego poziomu.

Oczywiście, Bane jeszcze ani razu nie zdołał wyprowadzić znaczącego ciosu przeciwko swemu mistrzowi. Za każdym jednak pojedynkiem odnosił wrażenie, że zbliża się do zwycięstwa. Formy i technika Kas’ima były bezbłędne, ale Bane wiedział, że potrzeba mu tylko najdrobniejszej pomyłki przeciwnika.

Obaj wojownicy oddychali ciężko; sesja trwała o wiele dłużej niż którakolwiek z poprzednich. Ich walki kończyły się zwykle, kiedy Twi'lek zadawał punktowane uderzenie, paraliżując jedną z kończyn ucznia palącym jadem pelko. Dzisiaj jednak jeszcze nie miał okazji zadać takiego ciosu.

Kas'im ruszył naprzód; zgrzyt i brzęk mieczy rozbrzmiewały na dachu ostrym staccato. Stali prawie nos w nos, uderzając w siebie wzajemnie, ale żaden nie zamierzał ustąpić pola. Wreszcie Bane został zmuszony do przerwania starcia, zanim lepsze umiejętności fechtmistrza złamią jego linię obrony.

Tym razem to Bane zainicjował atak. Znów błysnęły miecze treningowe, spadł grad ciosów. I znów odskoczyli od siebie – obaj cali i zdrowi. Tym razem jednak wynik walki nie pozostawiał wątpliwości.

Bane opuścił głowę i miecz na znak poddania się. W ostatnim starciu udało mu się utrzymać Kas'ima na odległość, ale z każdym ruchem miecza stawał się o mikrosekundę wolniejszy. Zaczynało go ogarniać zmęczenie. Nawet Moc nie mogła przez wieczność utrzymywać w sprawności znużonych mięśni, a niekończący się pojedynek zaczął wreszcie zbierać swoje żniwo. Fechtmistrz z kolei nie stracił nic ze swej prędkości i zaczepności.

Bane wątpił, czy zdoła przetrwać następne starcie, a nawet jeśli tak, to wiedział, że kolejne będzie oznaczało pewną klęskę. Było to nieuniknione, więc nie miało sensu naciskać, aby ostatecznie cierpieć ból porażki.

Kas'im przez chwilę wydawał się zaskoczony jego kapitulacją, ale skinął głową na znak, że akceptuje zwycięstwo.

– Byłeś dość mądry, by zrozumieć, że walka się skończyła, ale oczekiwałem, że będziesz walczył do końca. Poddanie się to niewielki honor.

– Honor to nagroda głupców – odparł Bane, cytując fragment jednego z tomów, który niedawno znalazł w archiwum. – Chwała nie przyda się martwym.

Fechtistrz przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami, po czym stwierdził:

– Dobrze powiedziane, mój młody uczniu.

Bane nie był zaskoczony, że Kas'im nie rozpoznał cytatu. Słowa te zostały napisane przez Dartha Revena kilka tysięcy lat temu. Kiedy przychodziło do studiowania starych pism, mistrzowie byli równie leniwi jak studenci. Wydawało się, że Akademia odwróciła się plecami do dawnych obrońców Ciemnej Strony.

To prawda, że Revan ostatecznie przeszedł na stronę Jedi i światła, kiedy został zdradzony przez Dartha Malaka. Jednak i Revan, i Malak byli o włos od zniszczenia Republiki. Szaleństwem było odrzucanie tych tekstów, a jeszcze większym – ignorowanie nauk, jakie można z nich wyciągnąć. A jednak Qordis i pozostali mistrzowie uparcie odmawiali poświęcania czasu na studiowanie historii zakonu Sithów. Na szczęście dla Bane'a, ta niechęć udzielała się również ich uczniom.

Dawało mu to niezaprzeczną przewagę nad innymi uczniami, ukazując prawdziwy potencjał Ciemnej Strony. Archiwa wypełnione były opowieściami o niewiarygodnych wyczynach: zburzenie całych miast, zniszczenie światów, pochłonięcie całych systemów, kiedy mroczny lord nakazał słońcu, by się stało nową. Niektóre opowieści raziły przesadą – ot, legendy, które narosły przekazywane z ust do ust, zanim zostały spisane na pergaminie. Jednak wywodziły się z prawdy, a ta prawda inspirowała Bane’a do naciskania dalej i dalej tam, gdzie w innym przypadku nie miałby śmiałości.

Myśląc o Revanie i dawnych lordach Sithów, przypomniał sobie pytanie, które od jakiegoś czasu go dręczyło.

– Mistrzu, dlaczego Sithowie już nie używają tytułu Darth?

– To decyzja lorda Kaana – rzekł Twi’lek, wycierając się rękawem. – Tradycja Darthów to relikwium przeszłości. Coś, czym Sithowie byli kiedyś, a czym nie są teraz.

Bane pokręcił głową, niezadowolony z odpowiedzi.

– Musi w tym być coś jeszcze – orzekł, schylając się po szatę, którą zrzucił na początku pojedynku. – Lord Kaan nie odrzuciłby starożytnej tradycji bez usprawiedliwienia.

– Widzę, że łatwe odpowiedzi ci nie wystarczają – rzekł Kas’im z westchnieniem, ubierając się także. – Doskonale. Aby zrozumieć, dlaczego ten tytuł już nie jest używany, musisz wiedzieć, co on naprawdę sobą reprezentuje. Tytuł Dartha to coś więcej niż symbol władzy. To element nacisku. Używany był przez mrocznych lordów, którzy chcieli wymusić swoją władzę na innych mistrzach. Był wyzwaniem, ostrzeżeniem: masz się ugiąć albo zostaniesz zniszczony.

Bane wiedział już o tym ze swoich studiów, ale nie uznał za stosowne przerywać. Skrzyżował jedynie nogi i usadowił się na podłodze, podnosząc wzrok na mistrza i zamieniając się w słuch.

– Oczywiście, niewielu mrocznych lordów zechciałoby się poddać woli innych na zawsze – ciągnął Kas’im. – Za każdym razem, kiedy jeden z naszego zakonu przyjmował tytuł Dartha, pojawiały się oszustwa i zdrady, byle tylko go przejąć. Nie ma spokoju dla mistrza, który używa tytułu Darth.

– Spokój to kłamstwo – zacytował Bane. – Jest tylko pasja.

Kas’im z rozpaczą uniósł brew.

– Spokój to może niewłaściwe słowo. Miałem na myśli stabilność. Mistrzowie, którzy wybierali tytuł Dartha, spędzali tyle samo czasu na obronie przed tak zwanymi sojusznikami, co na walce z Jedi. Kaan chciał położyć kres temu marnotrawstwu.

Z miejsca, gdzie siedział, Bane odnosił wrażenie, że fechtmistrz próbuje przekonać siebie w równym stopniu, co student.

– Kaan chce, abyśmy skoncentrowali wszystkie nasze zalety na prawdziwym nieprzyjacielu, zamiast na sobie nawzajem. Dlatego w Bractwie Ciemności wszyscy jesteśmy sobie równi.

– Równość to mit dla słabych – zaproponował Bane. – Niektórzy z nas są silni Mocą, inni nie. Tylko szaleniec uważa inaczej.

– Są jeszcze inne powody, dla których porzucono tytuł Dartha – ciągnął uparcie Kas'im z lekką frustracją w głosie. – Przede wszystkim przyciągał uwagę Jedi. Ujawniał wrogowi naszych przywódców, dając im łatwe cele do wyeliminowania.

Bane wciąż nie był przekonany. Jedi i tak wiedzieli, kim byli prawdziwi przywódcy Sithów, bez różnicy, czy nazywali siebie Darthami, lordami czy mistrzami.

Rozumiał jednak, że Twi'lekowi nie odpowiada ta dyskusja, i był dość mądry, aby nie kontynuować tematu.

– Wybacz, lordzie Kas'imie – rzekł, skłaniając głowę. – Nie chciałem cię urazić. Próbowałem jedynie skorzystać z twojej mądrości i wyjaśnić coś, czego nie umiałem zrozumieć sam.

Kas'im spojrzał na niego z tą samą miną, którą miał przed chwilą, kiedy Bane raptownie skończył pojedynek. Wreszcie zapytał:

– Czy widzisz teraz mądrość w decyzji lorda Kaana, aby zakończyć tę tradycję?

– Oczywiście – skłamał Bane. – Robi to dla dobra nas wszystkich.

Wstając, pomyślał jednak, że Kaan działa jak Jedi. Zastanawia się nad tym, co będzie lepsze. Stara się wprowadzić do zakonu współpracę i harmonię. W tych warunkach Ciemna Strona może jedynie zwiędnąć i obumrzeć!

Kas'im spojrzał na Bane'a, jakby chciał jeszcze coś dodać. Ostatecznie jednak zmienił zamiar.

– Na dzisiaj wystarczy – rzekł. Niebo w oddali zaczęło jaśnieć pierwszym brzaskiem, do wschodu słońca zostało zaledwie kilka godzin. – Wkrótce studenci przybędą na trening.

Bane skłonił się raz jeszcze i odszedł. Idąc w dół po schodach, zdał sobie sprawę, że Kas'im, choć tak sprawny w walce, nie był w stanie nauczyć go tego, co chciał wiedzieć. Twi'lek też odwrócił się plecami do przeszłości, porzucił indywidualistyczne korzenie Sithów na rzecz Bractwa Kaana.

Tajemnice prawdziwego potencjału Ciemnej Strony znajdowały się poza jego zasięgiem – prawdopodobnie również poza zasięgiem wszystkich mistrzów w Akademii.

Githany widziała, że Bane'a coś martwi. Zaledwie zwracał uwagę na jej słowa, kiedy przekazywała mu wszystko, czego dowiedziała się od mistrzów Sithów w czasie ostatnich lekcji.

Nie wiedziała, co go trapi. Prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło, jeśli tylko nie mogło przeszkodzić jej planom.

– Coś ci chodzi po głowie, Bane – szepnęła.

Zatopiony w zadumie potrzebował dłuższej chwili, żeby zareagować.

– Przepraszam, Githany.

– Co się dzieje? – Naciskała, starając się okazać szczerą troskę. – O czym myślisz?

Z początku nie odpowiadał; widać było, że starannie waży słowa.

– Czy wierzysz w potęgę Ciemnej Strony? – zapytał.

– Oczywiście.

– Czy wszystko wygląda tak, jak sobie wyobrażałaś? Czy Akademia spełnia twoje oczekiwania?

– Niewiele rzeczy je spełnia – odparła z cieniem uśmiechu. – Ale odkąd tu jestem, od Qordisa i innych mistrzów dowiedziałam się wiele rzeczy, których Jedi nigdy by mi nie powiedzieli.

Bane prychnął wzgardliwie.

– Większość tego, czego się nauczyłem, pochodzi z tych książek. – Skinął dłonią w kierunku półek.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc milczała.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że mistrzowie nie wiedzą wszystkiego – ciągnął Bane. – Wtedy sądziłem, że mówisz o mistrzach Jedi, ale teraz wydaje mi się, że dotyczy to również Sithów.

– Nie mieli racji, odwracając się od ciebie – rzekła, wężąc okazję, na którą długo czekała. – Ale musisz obwiniać tych, którym się to należy. Wiemy doskonale, kto jest odpowiedzialny za to, co ci zrobiono.

– Sirak – rzekł, wypluwając to imię jak truciznę.

– Musi zapłacić za to, co ci zrobił, Bane. Dość długo czekaliśmy. Już czas.

– Czas na co?

Githany pozwoliła, aby jej głos leciutko zadrżał.

– Jutro rano zamierzam wyzwąć go na ring.

– Co? – Bane pokręcił głową. – Nie bądź głupia, Githany! On cię zniszczy.

Doskonale, pomyślała.

– Nie mam wyboru, Bane – rzekła poważnie. – Już ci powiedziałam, że nie wierzę w legendę Sith'ari. Sirak może jest najlepszym studentem w szkole, ale nie jest niezwyciężony.

– Może i nie jest Sith'ari, ale i tak za silny dla ciebie. Nie możesz się z nim zmierzyć na ringu, Githany. Przyglądałem mu się. Wiem, jaki jest dobry. Nie pokonasz go.

Pozwoliła, aby te słowa zawisły w powietrzu przez dłuższą chwilę, zanim z pokorą opuściła głowę.

– A czy mamy jakiś inny wybór? Musimy go zniszczyć, jedyny sposób zaś to zmierzyć się z nim na ringu.

Bane nie odpowiedział od razu. Wiedziała, że rozważa inne rozwiązanie. Oboje zdawali sobie sprawę, że może być tylko jeden kierunek działania, jedna odpowiedź, która w końcu padnie. Muszą zabić Siraka poza ringiem. Zamordować go. Byłoby to oczywiście jawnym pogwałceniem zasad Akademii, a konsekwencje będą bardzo surowe, jeśli ich złapią.

Dlatego to Bane musiał wpaść na ten pomysł. A kiedy już padną właściwe słowa, Githany była pewna, że potrafi wmanewrować go w popełnienie tego czynu osobiście. Plan był doskonały – pozbędzie się Siraka i niech Bane poniesie całe ryzyko.

Później będzie mogła „przypadkowo” wspomnieć coś mistrzom na temat roli Bane’a... jeśli naturalnie będzie musiała. Nie była do końca pewna, czy chce go zdradzić. Ale nie miała wyrzutów sumienia, manipulując nim.

Odetchnął głęboko; widać było, że zbiera się, aby coś powiedzieć. Przygotowała się, żeby wydać odpowiednio przekonujący – i całkowicie sztuczny – okrzyk zaskoczenia.

– Ty nie możesz pokonać Siraka na ringu, ale ja tak – rzekł w końcu.

– Co? – zaskoczenie Githany było zupełnie szczere. – Przecież ostatnio pobił cię prawie na śmierć! Teraz cię po prostu zabije.

– Tym razem zamierzam zwyciężyć.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Githany zrozumiała, iż nie wie wszystkiego.

– Co się dzieje, Bane?

Przez moment zawahał się, zanim odpowiedział:

– Potajemnie ćwiczę z lordem Kas’imem.

Stwierdziła, że to ma sens. Właściwie sama powinna była na to wpaść. Może byś i zauważyła, gdybyś nie pozwoliła, aby Bane do ciebie dotarł, zganiła się w myśli. Wiedziałaś, że zaczynasz coś do niego czuć, pozwoliłaś, aby to zmąciło twój osąd.

Głośno powiedziała tylko:

– Nie lubię, jak się ze mnie robi idiotkę, Bane.

– Ja też nie – rzekł. – Nie jestem głupi, Githany. Wiem, czego ode mnie chciałaś. Wiem, czego się spodziewałaś. Zemszczę się na Siraku, ale sam wybiorę własną ścieżkę.

Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że przygryza dolną wargę, zapytała:

– Kiedy?

– Jutro rano. Tak jak sobie tego życzyłaś.

– Ale przecież wiesz, że żartowałam.

– A ty wiesz, że ja nie żartuję.

Palec Githany podświadomie powędrował ku jej włosom i zaczął skręcać pojedynczy kosmyk. Szybko opuściła dłoń, kiedy się zorientowała, co robi. Bane wyciągnął rękę i łagodnie położył jej na ramieniu.

– Nie musisz się martwić – zapewnił ją. – Nikt nie wie o twoim zaangażowaniu.

– Nie o to się martwię – szepnęła.

Przechylił głowę na bok, obserwując ją uważnie, jakby próbował stwierdzić, czy jest z nim uczciwa. Ku własnemu zaskoczeniu sama przyznała, że jest.

Bane musiał to wyczuć, bo pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Odsunął się powoli, zsuwając dłoń z jej ramienia. Bez słowa wstał i skierował się ku wyjściu z archiwum.

Obserwowała go w milczeniu i w ostatniej sekundzie zawołała:

– Powodzenia, Bane! Uważaj na siebie.

Zatrzymał się i zeszywniał, jakby dostał strzał z miotacza prosto w gardło.

– Będę uważał – odparł, nie oglądając się. I odszedł.

Githany poczuła, że jej policzki płoną. Fałdą płaszcza mimowolnie otarła łzę, która spłynęła jej na podbródek. Wstała i wyprostowała się, dumnie odrzucając głowę w tył.

No i co z tego, że nie wszystko poszło zgodnie z planem? Jeśli Bane zabije Siraka na ringu, jej rywal i tak zginie. A jeśli zginie Bane, zawsze będzie mogła znaleźć kogoś innego, aby zabić Zabراكa. Wszystko sprowadza się do tego samego wyniku.

Wychodząc z Sali, czuła jednak, że to nieprawda. Nieważne, jak to zostanie rozegrane, wszystko potoczy się całkiem inaczej, niż sobie wyobrażała.

Poranne niebo pociemniało od burzowych chmur. Gdzieś daleko słychać było grzmot przetaczający się po pustych równinach, które oddzielały świątynię od Doliny Mrocznych Lordów.

Bane tej nocy nie spał. Po konfrontacji z Githany wrócił do pokoju, aby oddać się medytacjom. Nawet to okazało się dla niego zbyt trudne. Jego umysł zaprzętało zbyt wiele myśli, by mógł się skupić.

Wspomnienia ponurej klęski, jaką poniósł, wypychały się na pierwszy plan, pociągając za sobą zwątpienie i strach. Do tej pory zdołał oprzeć się podszeptom, które mogły zachwiać jego postanowieniem, i trzymał się pierwotnego planu.

Uczniowie zbierali się już, niektórzy z niechęcią spoglądali na ciężkie chmury. Dach Świątyni był całkowicie odsłonięty, ale niezależnie od tego, jak zimno, mokro i nieprzyjemnie było studentom, wiedzieli, że zajęcia nie zostaną odwołane. Kas'im lubił mówić, że odrobina deszczu jeszcze żadnemu Sithowi nie zaszkodziła.

Bane znalazł swoje miejsce w grupie przygotowującej się do wspólnych ćwiczeń. Uczniowie wokół starannie ignorowali jego obecność. Tak było przez cały czas, od dnia, kiedy poniósł klęskę z rąk Siraka. Był wyklęty. Stał się wyrzutkiem dla innych studentów. Uczył się wraz z nimi na grupowych sesjach, ale oni zachowywali się tak, jakby nie istniał. Był milczącym cieniem czającym się gdzieś w kącie, niewidocznym w sensie duchowym, jeśli nie fizycznym.

Rozejrzał się, szukając w tłumie Githany, ale kiedy pochwycił jej spojrzenie, szybko odwróciła wzrok. Mimo to jej obecność pokrzepiła go nieco. Wierzył, że pragnie jego zwycięstwa, jeśli nie całym sercem, to przynajmniej częściowo. Miał nadzieję, że to, co czuli do siebie, stanowiło coś więcej niż tylko grę, w którą grali oboje.

W czasie ćwiczeń starał się nie patrzeć na Siraka. W ciągu ostatnich miesięcy studiował jego ruchy obsesyjnie, wszystko, co zobaczyłby teraz, mogłoby spowodować, że się rozmyśli. Skupił się na własnej technice.

Jeszcze niedawno celowo popełniał błędy i wplatał pomyłki w serie ćwiczeń, żeby ukryć swoje rosnące umiejętności przed studentami, którzy mogliby przypadkiem zerknąć w jego



kierunku. Teraz jednak czas tajemnic się skończył. Po dzisiejszych wyzwaniach wszyscy będą wiedzieli, do czego jest zdolny – albo zostanie zabity i zapomniany na zawsze.

Zaczął padać deszcz. Najpierw powoli – grube, ciężkie krople, tak rzadkie, że Bane słyszał każde kapnięcie oddzielnie. Ale po chwili chmury rozwarły się i deszcz lunął równym, dudniącym rytmem. Bane ledwie to zauważył. Uciekł w siebie, zaszył się głęboko, aby stawić czoło swojemu lękowi. W miarę jak jego ciało wraz z całą resztą grupy wykonywało gesty i przybierało podstawowe postawy ataku i obrony, on sam powoli przekształcał swój strach w gniew.

Bane nie potrafiłby powiedzieć, jak długo trwał dzisiejszy poranny trening. Wydawał się nie mieć końca, ale chyba Kas'im skrócił go trochę ze względu na coraz silniejszą ulewę, w której mokli jego podopieczni. Zanim się skończył i uczniowie zebrali się w znajomy krąg wokół ringu, młody człowiek zdołał już przekształcić kipiący gniew w rozżarzoną do białości nienawiść.

Podobnie jak ostatnim razem, kiedy wyzwiał Siraka, teraz także wszedł na ring, zanim ktokolwiek inny miał szansę zareagować. Ze swojego miejsca na szarym końcu przepchnął się przez tłum. Kiedy obecni zorientowali się, kto rzuca wyzwanie, rozległ się szmer zaskoczenia.

Czuł, jak Ciemna Strona w nim kipi burzą o wiele silniejszą niż ta, która chłostała go z nieba. Nadszedł czas, aby nienawiść uczyniła go wolnym.

– Sirak! – Wykrzyknął, a jego głos uniósł rozszalały wiatr. – Wyzynam cię!

## ROZDZIAŁ 17

Wyzwanie Bane'a wisiało w powietrzu, jakby bezlitosna kaskada deszczu uwięziła jego słowa. Poprzez półmrok burzy widział, jak tłum rozstępuje się z wolna i Sirak powoli wychodzi na ring.

Zabrak poruszał się ze spokojną pewnością siebie. Bane miał nadzieję, że nieoczekiwane wyzwanie nieco go poruszy. Gdyby zdołał wstrząsnąć Sirakiem, zaskoczyć go lub dezorientować, miałby przewagę już przed walką. Jeśli jednak jego przeciwnik cokolwiek czuł, starannie ukrywał to pod zimną, spokojną maską.

Sirak podał swój podwójny miecz treningowy Yevrze, jednej z rodzeństwa Zabraków, które zawsze zdawało się kręcić gdzieś w pobliżu, i zdjął ciężki, nasiąknięty wodą płaszcz. Pod szatą miał na sobie tylko spodnie i kaftan bez rękawów. Bez słowa wyciągnął przed siebie rękę ze zwiniętym w kłęb płaszczem i Llokay – drugi z Zabraków – natychmiast przepchnął się przez tłum, żeby go zabrać. Potem podbiegła Yevra i włożyła broń w jego otwartą i wyczekującą dłoń.

Bane zsunął z siebie płaszcz i rzucił na ziemię, starając się nie zauważać ukłuc lodowatego deszczu w nagi tors. Właściwie nie oczekiwał, iż Sirak przestraszy się wyzwania; miał raczej nadzieję, że przynajmniej okaże się zbyt pewny siebie. W przygotowaniach Siraka był jednak bezlitosny spokój – oszczędność i precyzja ruchów, które powiedziały Bane'owi, że Zabrak traktuje ten pojedynek bardzo poważnie.

Sirak był arogantem, ale nie głupcem. Był też na tyle inteligentny, aby zrozumieć, że Bane nie wyzwie go znowu, dopóki nie będzie miał jakiegoś planu, aby zwyciężyć. Zanim nie zorientuje się, co to za plan, nie zamierza twierdzić, że zna przeciwnika.

Bane wiedział, że teraz może pokonać Siraka. Podobnie jak Githany, nie wierzył w legendę o wybrańcu, który powstanie z szeregów Sithów: był święcie przekonany, że Sirak wcale nie jest Sith'ari. Nie chciał jednak tylko spuścić mu lania. Chciał go zniszczyć, dokładnie tak, jak Sirak zniszczył jego w czasie ostatniego pojedynku.

Ale Sirak był zbyt dobry, nigdy się nie odsłonił tak, jak to zrobił Bane. Nie od razu. Chyba że Bane zdoła go do tego zmusić.

Po drugiej stronie ringu Sirak zajął pozycję. Jego śliska od deszczu skóra lśniła w półmroku: wyglądał jak żółty demon, wylaniający się z mroków koszmaru w ostre światło rzeczywistości.

Bane skoczył do przodu, otwierając starcie serią skomplikowanych agresywnych ataków. Ruszał się szybko... ale nie za szybko. Wśród widzów rozległy się okrzyki zdumienia, wywołane jego nieoczekiwanymi i nieukrywanymi już umiejętnościami, choć Sirak bez trudu odbił jego szturm.

W odpowiedzi na nieunikniony kontratak Bane pozwolił sobie na cofnięcie się i lekkie potknięcie. Przez chwilę widział, jak jego przeciwnik wyciąga się ku niemu – zbyt daleko – pozostawiając odsłonięte prawe ramię. Jeden cios zakończyłby pojedynek natychmiast i Bane musiał zapanować nad swoimi starannie wypracowanymi odruchami, by tego ciosu nie zadać. Zbyt długo i ciężko pracował, żeby teraz zwyciężyć jednym, prostym ciosem w ramię.

Walka toczyła się w dobrze znanym rytmie płynnie następujących po sobie ataków i parad. Bane starał się, by jego ataki wyglądały na skuteczne, ale surowe, przekonując przeciwnika, że jest niebezpiecznym, lecz w gruncie rzeczy słabszym przeciwnikiem. Za każdym razem, kiedy odpierał ataki Siraka, upiększał swoje manewry obronne, zmieniając szybkie parady w długie, niezdarne zamachy, które wydawały się odbijać ciosy podwójnego miecza tyleż dzięki szczęściu, co celowo.

W kulminacyjnych momentach każdego starcia Bane delikatnie naciskał Mocą, testując i szukając słabości, którą mógłby wykorzystać. Wystarczyło kilka minut, żeby się zorientować, że właśnie na nią trafił. Pomimo szkolenia Zabrak nie miał prawdziwego doświadczenia w długich, przeciągających się walkach. Żaden z jego przeciwników nie stawiał mu oporu dość długo, by go zmęczyć. Początkowo niedostrzegalnie ciosy nieprzyjaciela stały się mniej ostre, parady mniej precyzyjne, a przejścia mniej eleganckie w miarę, jak Sirak tracił siły. Tuman zmęczenia z wolna przytępszał mu zmysły; Bane wiedział, że kluczowy – i fatalny – błąd jest tylko kwestią czasu.

Nawet jeśli jednak fizycznie walczył z Zabrakem, w duchu podobną walkę staczał z samym sobą. Kilka razy musiał się powstrzymać, aby nie wdrzeć się przez wyrwy w coraz bardziej desperackiej obronie tamtego. Wiedział, że miażdżące zwycięstwo możliwe jest jedynie dzięki cierpliwości – cnocie, której zwolennicy Ciemnej Strony zwykle w sobie nie pielęgnowali.

Wreszcie otrzymał upragnioną nagrodę. Sirak stawał się coraz bardziej zirytowany, daremnie usiłując pokonać niezgrabnego, wiecznie potykającego się przeciwnika. Przedłużający się wysiłek fizyczny zaczął zbierać swoje żniwo; jego ciosy stały się bezładne i dzikie, aż wreszcie całkowicie zaprzestał obrony, byle tylko zakończyć pojedynek, który wymykał mu się z rąk.

Wreszcie desperacja Zabranka zmieniła się w rozpacz. Każdy nerw Bane'a domagał się teraz gwałtownie przejęcia inicjatywy w walce i zakończenia jej. On jednak pozwolił, aby kusząca bliskość klęski Siraka nasyciła jego pragnienie zemsty. Głód narastał z każdą mijającą sekundą, aż stał się fizycznym bólem, który rozdzierał mu wnętrzności, rozrywając skórę i wytryskając fontanną czarnej krwi.

Odczekał do momentu ostatniego z możliwych, zanim rozpętał dotychczas dławioną energię we wstrząsającym pokazie potęgi. Skierował ją przez mięśnie i kończyny, poruszając się tak szybko, jakby czas dla reszty świata się zatrzymał. W ułamku sekundy wybił miecz z dłoni Siraka, uderzył w dół, aby strzaskać mu przedramię, po czym okręcił się i z ogromną siłą uderzył mieczem w goleń przeciwnika. Goleń pękła od uderzenia i Sirak wrzasnął, kiedy lśniąca biała kość przebiła się przez mięśnie, ścięgna i wreszcie skórę.

Przez chwilę żaden z widzów nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Ich umysły potrzebowały czasu, aby odnotować tę osłepiająco szybką akcję, która trwała zbyt krótko, by dostrzegło ją oko.

Sirak leżał na ziemi, zwijając się z bólu i ściskając jedyną zdrową dłoń kawałek kości wystający mu z łydki. Bane zawahał się na ułamek sekundy przed zadaniem ostatecznego ciosu, rozkoszując się tą chwilą... i dając Kas'imowi czas na interwencję.

– Dość! – wykrzyknął fechtmistrz i uczeń posłuchał, powstrzymując miecz w pół gestu, zanim zdążył opuścić go na bezbronnego przeciwnika. – To koniec, Bane.

Bane powoli opuścił miecz i odstąpił. Furia i koncentracja, która uczyniła z niego kanał dla niepowstrzymanej potęgi Ciemnej Strony, zniknęły, pozostawiając po sobie podświadomą wrażliwość na otoczenie. Stał na szczycie Świątyni pośrodku rozszalałej burzy, przemoczony zimnym deszczem, na pół zamarznęty.

Dygocząc, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu płaszcza, który zdjął przed pojedynkiem. Znalazł go, podniósł, ale stwierdził, że tkanina jest przemoczona, i zrezygnował z okrycia się.

Kas'im wyszedł z tłumu i zręcznie stanął pomiędzy nim a rannym Zabakiem.

– Widzieliście dzisiaj zdumiewające zwycięstwo! – odezwał się do zebranych studentów, przekrzykując grzechot deszczu. – Triumf Bane'a był wynikiem zarówno jego doskonałej strategii, jak i wielkich umiejętności.

Bane zaledwie słuchał jego słów. Stał pośrodku ringu, milcząc, jeśli nie liczyć szczękania zębami.

– Był cierpliwy i ostrożny. Nie chciał jedynie pokonać przeciwnika... chciał go zniszczyć! Osiągnął *dun moch*... nie dlatego, że był lepszy od Siraka, lecz dlatego, że był mądrzejszy.

Fechtistrz wyciągnął dłoń i położył na nagim ramieniu Bane'a.

– Niech to będzie nauczka dla nas wszystkich – zakończył. – Tajemnica może być twoją najlepszą bronią. Ukrywaj swoje prawdziwe możliwości, dopóki nie będziesz gotów zadać śmiertelnego ciosu.

Puścił ramię Bane'a i szepnął:

– Powinieneś wejść do środka, zanim się przeziębisz. Odwrócił się i spojrzął na oniemiałe rodzeństwo Zabaków, stojące bez ruchu na skraju kręgu studentów.

– Zabierzcie Siraka do centrum medycznego.

Kiedy podeszli, żeby zabrać swojego jęczącego i półprzytomnego czempiona, Bane odwrócił się w kierunku schodów. Kas'im miał rację, trzeba się wysuszyć.

Ogarnęło go dziwne poczucie surrealizmu. Sztywno ruszył w stronę wejścia, prowadzącego do ciepłych i suchych pomieszczeń. Tłum rozstał się szybko, żeby go przepuścić. Większość studentów spoglądała na niego z lękiem i podziwem, lecz on tego nawet nie zauważał. Zszedł po schodach na główne piętro Świątyni. Czuł się jak w transie, z którego wyrwał go dopiero głos Githany wzywającej go po imieniu.

– Bane! – krzyknęła. Obejrzał się i zobaczył, jak zbiega po schodach. Mokre włosy w nieładzie oblepiały twarz i czoło. Przemoczone ubranie przylegało do ciała, podkreślając wszystkie krągłości jej zgrabnej postaci. Oddychała ciężko, choć trudno było powiedzieć, czy z podniecenia, czy ze zmęczenia pogonią za nim.

Czekał u stóp schodów. Zbiegła po schodach i przez moment sądził, że rzuci mu się w ramiona. Jednak w ostatniej chwili zatrzymała się kilka centymetrów od niego.

Potrzebowała chwili, aby odzyskać oddech, zanim przemówiła. Lecz kiedy już to uczyniła, jej słowa były nieprzyjemne, pełne gniewu.

– Co się tam stało? Dlaczego go nie zabiłeś?

Częściowo spodziewał się takiej reakcji, choć z drugiej strony miał nadzieję, że przyjdzie pogratulować mu zwycięstwa. Mimo wszystko czuł się trochę rozczerowany.

– Wysłał mnie do zbiornika bacty po pierwszym pojedynku. Teraz zrobiłem mu to samo – odparł. – Na tym polega zemsta.

– To szaleństwo! – odparowała. – Myślisz, że Sirak tak po prostu o tym zapomni? Dopadnie cię znowu, Bane. Tak samo, jak teraz ty dopadłeś jego. Tak to działa. Straciłeś szansę na ostateczne zakończenie tego sporu i chcę wiedzieć, dlaczego.

– Podniosłem już miecz, by go zabić – przypomniał jej Bane. – Lord Kas’im się wtrącił, zanim go wykończyłem. Mistrzowie nie chcieliby, aby jeden z ich najlepszych studentów zginął.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Podniosłeś miecz, ale to nie Kas’im cię zatrzymał. Zawahałeś się. Coś cię powstrzymało.

Bane wiedział, że ona ma rację. Zawahał się, nie był tylko pewien, dlaczego. Próbował to wyjaśnić... i Githany, i sobie.

– Już zabiłem kogoś na ringu. Qordis zganił mnie za śmierć Fohargha. Ostrzegwał, że to się już nie może powtórzyć. Chyba... chyba się bałem, co mi zrobią mistrzowie, jeśli zabiję kolejnego ucznia.

Oczy Githany zmrużyły się gniewnie.

– Myślałam, że przestaliśmy się wzajemnie okłamywać, Bane.

To nie było kłamstwo. A przynajmniej nie do końca. Ale też nie cała prawda. Poruszył się niepewnie pod jej wściekłym spojrzeniem, nagle ogarnięty poczuciem winy.

– Nie mogłeś tego zrobić – syknęła, wbijając mu palec w pierś.

– Czuleś, że Ciemna Strona cię pochłania, i uciekłeś.

Teraz to Bane się zirytował.

– Mylisz się – warknął, brutalnie odpychając jej dłoń. – Cofnąłem się przed Ciemną Stroną po śmierci Fohargha, więc wiem, jak to jest. Tym razem to co innego.

Jego słowa nosiły znamię prawdy. Ostatnim razem czuł się pusty, jakby coś mu odebrano. Tym razem wciąż jeszcze miał wrażenie, że Moc przepływa przez niego w całej swojej nieokielzanej chwale, wypełniając go zarem i potęgą. Tym razem Ciemna Strona nadal poddawała się jego rozkazom.

Githany nie była przekonana.

– Wciąż nie chcesz oddać się w pełni Ciemnej Stronie – rzekła. – Sirak okazał słabość, a ty jemu okazałeś litość. Tak nie postępują Sithowie.

– Co ty wiesz na temat postępowania Sithów! – wybuchnął Bane. – To ja czytałem starożytne teksty, nie ty! Ty ugrzęzłaś w naukach mistrzów, którzy zapomnieli o przeszłości!

– Gdzie w starożytnych tekstach napisano, że pokonanemu wrogowi należy się współczucie? – zapytała głosem ociekającym wzdargą.

Ukluty jej złośliwością, Bane odepchnął ją od siebie i odwrócił się tyłem. Musiała szybko się cofnąć, żeby zachować równowagę, ale nie upadła.

– Jesteś wściekła, bo twój plan wziął w łeb – wymamrotał, nagle nie chcąc patrzeć jej w twarz. Miał zamiar powiedzieć coś więcej, ale wiedział, że reszta studentów wkrótce zacznie schodzić na dół. Nie chciał, aby ktokolwiek widział ich razem, więc po prostu odszedł, zostawiając Githany samą.

Podążyła za nim zimnym, wyrachowanym spojrzeniem. Była pod wrażeniem, kiedy widziała, jak bawi się z Sirakiem na ringu; wydawał się niezwyciężony. Kiedy jednak nie zabił bezbronnego Zabracka, szybko rozpoznała i zidentyfikowała przyczynę. Była to wada charakteru Bane'a, słabość, do której nie chciał się przyznać. Ale istniała.

Gdy tylko opadły emocje chwili, a Ciemna Strona przestała go prowadzić, jego żądza krwi opadła. Niesprowokowany, nie był w stanie zabić nawet znenawidzonego wroga. A to oznaczało, że przypuszczalnie, gdyby zaistniała taka sytuacja, nie byłby również w stanie zabić Githany.

Prawda ta po raz kolejny zmieniła naturę ich relacji. Niedawno zaczynała się już bać Bane'a, czując, że jeśli zwróci się przeciwko niej, nie będzie miała dość siły, żeby się obronić. Teraz wiedziała, że tak się nigdy nie stanie. Po prostu nie potrafiłby zabić przeciwnika bez powodu.

Na szczęście ona nie miała takich ograniczeń.

Późną nocą Bane wciąż myślał o tym, co powiedziała mu Githany. Leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Dlaczego nie umiał zabić Siraka? Czy mogła mieć rację? Czy rzeczywiście cofnął się wiedziony jakimś bezsensownym współczuciem? Chciał wierzyć, że przyjął Ciemną Stronę, ale gdyby tak było, zabiłby Siraka bez chwili namysłu – niezależnie od konsekwencji.

Jednak nie tylko to go dręczyło. Był zdenerwowany sytuacją, jaka wytworzyła się między nim a Githany. Z pewnością czuł do niej pociąg – była hipnotyczna i kusząca. Za każdym razem, kiedy go dotykała, czuł ciarki na plecach. Nawet kiedy się nie widywali, często o niej myślał, wspomnienia zalegały głęboko w jego pamięci niczym upojny zapach jej perfum. Nocami długie czarne włosy i niebezpieczne oczy Githany nawiedzały go w snach.

No i wierzył, że ona także coś do niego czuła... choć wątpił, aby sama zechciała to przyznać. Mimo że w czasie wspólnych lekcji stali się sobie bliscy, nigdy nie spełnili swojej tęsknoty. Wydawało się to wręcz niestosowne, kiedy Sirak wciąż był najlepszym studentem w Akademii. Pokonanie go było najważniejszym celem obojga, żadne nie chciało zaprzętać sobie myśli czymś innym. Był wspólnym wrogiem, który ich łączył, lecz w pewnym sensie również ścianą, która ich rozdzielała.

Pokonanie Siraka miało rozwalić tę ścianę w gruzy. Po bitwie Bane ujrzał jednak w oczach Githany rozczarowanie. Obiecał zabić ich wspólnego wroga, a ona mu uwierzyła. Na koniec jego czyny dowiodły jednak, że zawiódł jej oczekiwania, a mur między nimi stał się nagle znacznie, znacznie wyższy.

Ktoś zastukał cicho do drzwi. Było dawno po capstrzyku, nikt z uczniów nie miał powodu, aby kręcić się po korytarzach. Przyszła mu do głowy tylko jedna osoba, która mogła się teraz znajdować poza dormitoriami.

Wyskoczył z łóżka i jednym susem podbiegł do drzwi, otwierając je gwałtownie. Z trudem ukrył rozczarowanie, kiedy ujrzał na progu lorda Kas'ima.

Fechtmistrz wszedł do pokoju, nie czekając na zaproszenie. Skinął Bane'owi głową, dając znak, aby zamknął za nim drzwi. Bane wypełnił polecenie, zastanawiając się nad celem tej nieoczekiwanej nocnej wizyty.

– Mam coś dla ciebie – rzekł Twi'lek, odgarniając fałdy płaszcza i sięgając do miecza przy pasie. Bane zdał sobie jednak sprawę, że nie jest to własny miecz mistrza. Rękojeść broni Kas'ima była dłuższa niż inne, co pozwalało na montaż dwóch kryształów, na każde ostrze po jednym. Ten miecz miał krótszą rękojeść, lekko i dziwacznie zakrzywioną w kształt haka.

Fechtmistrz włączył miecz – jego pojedyncze ostrze załśniło ciemną czerwienią.

– To broń mojego mistrza – wyjaśnił Bane'owi. – Jako dziecko mogłem patrzeć godzinami, jak ćwiczył. Moje najwcześniejsze wspomnienia to rubinowe światła tańczące w rytm sekwencji walki.

– Nie pamiętasz swoich rodziców? – zdziwił się Bane. Kas'im pokręcił głową.

– Moi rodzice zostali sprzedani na rynku niewolników Nal Hutta. Tam znalazł mnie mistrz Na'daz. Widział moją rodzinę na blokach aukcyjnych, może to przyciągnęło jego uwagę, że byliśmy Twi'lekami jak on. Byłem tak mały, że ledwie stałem o własnych siłach. Mistrz Na'daz wyczuwał we mnie Moc. Kupił mnie i zabrał z powrotem na Ryloth, gdzie uczył mnie wśród naszego ludu.

– A co się stało z twoimi rodzicami?

– Nie wiem – odparł Kas'im, obojętnie wzruszając ramionami.

– Nie mieli szczególnego daru Mocy, więc mistrz nie widział powodu, by ich kupować. Byli słabi, a zatem zostali w tyle.

Mówił niedbałym tonem, jakby świadomość tego, że jego rodzice żyli i prawdopodobnie umarli jako niewolnicy w służbie Huttów, nie miała dla niego żadnego znaczenia. W pewnym sensie jego obojętność była zrozumiała. Nigdy nie znał rodziców, nie miał dobrych ani złych więzi emocjonalnych. Bane zastanawiał się przez chwilę, jak inaczej mogłoby się potoczyć jego życie, gdyby został wychowany przez kogoś innego. Gdyby Hurst został zabity w kopalni cortosis, kiedy Bane był małym dzieckiem... czy wówczas też los zawiódłby go do Akademii na Korribanie?

– Mój mistrz był wielkim lordem Sithów – ciągnął Kas'im. – Szczególnie wyróżniał się w walce na miecze świetlne i umiejętność tę przekazał mnie. Nauczył mnie, jak się posługiwać mieczem świetlnym o dwóch ostrzach, choć, jak widzisz, sam wolał tradycyjną konstrukcję. Oczywiście, z wyjątkiem rękojeści.

Ostrze zniknęło, kiedy Kas'im wyłączył broń i rzucił ją Bane'owi, który bez trudu chwycił miecz, otaczając dłonią zakrzywioną rękojeść.

– Dziwne uczucie – mruknął.

– Wymaga lekkiej zmiany chwytu – wyjaśnił Kas'im. – Trzymaj go bardziej środkiem dłoni, dalej od końców palców.

Bane zastosował się do jego wskazówek, pozwalając, by jego ciało przywykło do dziwnego kształtu i wyważenia. Jego umysł natychmiast zaczął analizować implikacje nowego chwytu. Dawał on szermierzowi więcej siły w uderzeniach znad głowy i zmieniał kąt ataku o ułamki stopnia. Wystarczy, żeby zdezorientować i mieszać niczego niepodważającego przeciwnika.

– Niektóre ruchy z tą bronią są dość trudne – ostrzegł Kas'im. – Inne z kolei są skuteczniejsze. Według mnie ostatecznie dojdiesz do wniosku, że miecz świetlny doskonale odpowiada twojemu stylowi.

– Dajesz mi go? – z niedowierzaniem zapytał Bane.

– Dzisiaj udowodniłeś, że jesteś go wart. – W głosie fechtmistrza słychać było odcień dumy.

Bane zapalił ostrze, słuchając słodkiego szumu akumulatora i syczących trzasków ostrza energetycznego. Wykonał kilka prostych młynków i nagle wyłączył broń.

– Czy Qordis się zgadza?

– Decyzja należy do mnie, nie do niego – odparł Kas'im. Wydawał się wręcz obrażony. – Nie przechowywałem tego ostrza przez dziesięć lat po to, żeby Qordis miał decydować, komu je dam.



Bane odpowiedział pełnym szacunku pokłonem, doskonale świadom wielkiego honoru, jaki spotkał go ze strony Kas'ima. Aby wypełnić niezręczne milczenie, które nastąpiło po tych słowach, zapytał:

- Czy mistrz dał ci go, umierając?
- Zabrałem mu miecz, kiedy go zabiłem.

Bane był tak zaskoczony, że nie zdołał tego ukryć. Fechtmistrz zauważył to i uśmiechnął się lekko.

– Nauczyłem się od mistrza Na'daza wszystkiego, co umiał. A choć był bardzo silny Ciemną Stroną, ja byłem silniejszy. Był doskonały w walce z mieczem świetlnym, ale ja okazałem się lepszy.

- Ale czy musiałeś go zabijać? – zapytał Bane.

– To był test. Chciałam sprawdzić, czy jest równie silny, jak mi się zdawało. To było jeszcze przed dojściem do władzy lorda Kaana. Wciąż byliśmy więźniami starej szkoły. Sithowie przeciw Sithom. Mistrzowie przeciw uczniom. Głupcy, którzy zabijali się wzajemnie, by okazać swoją dominację. Na szczęście Bractwo Ciemności położyło temu kres.

Nie całkiem, pomyślał Bane. Przyszli mu do głowy Fohargh i Sirak.

- Słabi wciąż stają się ofiarami silnych. To nieuniknione – powiedział.

Kas'im przechylił głowę na bok, usiłując zgłębić znaczenie tych słów.

– Nie pozwól się osłepić przez ten zaszczyt – ostrzegł. – Nie jesteś jeszcze gotów, aby się ze mną zmierzyć, młody uczniu. Nauczyłem cię wszystkiego, co umiesz, ale nie wszystkiego, co ja umiem.

Bane nie mógł powstrzymać uśmiechu. Myśl o starciu się z Kas'imem w prawdziwej walce byłaby świadectwem pychy. Wiedział, że nie dorówna fechtmistrzowi. Jeszcze nie.

- Będę o tym pamiętał, mistrzu.

Zadowolony Kas'im odwrócił się do wyjścia, zanim jednak Bane zamknął za nim drzwi, dodał:

– Lord Qordis chce się z tobą widzieć z samego rana. Idź do niego jeszcze przed porannymi ćwiczeniami.

Nawet trzeźwiąca perspektywa spotkania z ponurym zwierzchnikiem Akademii nie mogła stłumić radości Bane'a. Gdy tylko został sam w pokoju, włączył miecz świetlny i zaczął trenować sekwencje. Minęło wiele godzin, zanim odłożył broń i śmiertelnie zmęczony upadł na łóżko. Wszystkie myśli o Githany dawno wywietrzały mu z głowy.

Pierwszy promień brzasku powitał Bane'a u drzwi wiodących do prywatnych apartamentów lorda Qordisa. Minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy tu był ostatnio. Wtedy zganiono go za zabicie Fohargha. Teraz poważnie okaleczył jednego z najlepszych studentów Akademii – osobistego faworyta Qordisa. Zastanawiał się, co czeka go tym razem.

Zebrał się na odwagę i zastukał. Raz.

– Wejść – rozległ się głos ze środka.

Starając się ignorować wewnętrzne drżenie, Bane spełnił polecenie. Lord Qordis siedział na macie do medytacji pośrodku pokoju. Wyglądało, jakby nigdy się stamtąd nie ruszał, bo znajdował się dokładnie w takiej samej pozycji jak w czasie poprzedniego spotkania.

– Mistrzu... – Bane skłonił się nisko.

Qordis nie wstał.

– Widzę, że masz miecz świetlny u pasa.

– Lord Kas'im dał mi go. Uważa, że zasłużyłem sobie na niego moim ostatnim zwycięstwem na ringu. – Bane nagle poczuł potrzebę obrony, jakby go zaatakowano.

– Nie mam zamiaru krytykować tego, co czyni fechtmistrz – odparł Qordis, choć jego ton sugerował coś wręcz przeciwnego. – Jednak teraz, kiedy nosisz ten miecz, nie możesz zapominać, że nadal jesteś uczniem. Wciąż winien jesteś posłuszeństwo i lojalność mistrzom w Akademii.

– Oczywiście, lordzie Qordis.

– Sposób, w jaki pokonałeś Siraka, wywarł na studentach spore wrażenie – ciągnął Qordis. – Będą cię próbowali naśladować. Musisz być dla nich przykładem.

– Zrobię, co w mojej mocy, mistrzu.

– A to oznacza, że skończą się twoje prywatne sesje z Githany.

Bane zdrętwiał.

– Wiedziałaś?

– Jestem lordem Sithów i mistrzem tej Akademii. Nie jestem głupi ani ślepy na to, co dzieje się w murach Świątyni. Tolerowałem takie zachowanie, kiedy byłeś wyrzutkiem, ponieważ nie czyniło krzywdy innym uczniom. Nie chcę jednak, aby poszli za twoim przykładem i zaczęli się wzajemnie szkolić w mylnym przekonaniu, że ci dorównają.

– Co się stanie z Githany? Czy zostanie ukarana?

– Porozmawiam z nią tak samo, jak rozmawiam teraz z tobą. Dla wszystkich musi być jasne, że już nie trenujecie po kryjomu. A to oznacza, że nie możesz się więcej z nią widywać. Musisz unikać wszelkich kontaktów poza lekcjami grupowymi. Jeśli oboje mnie posłuchacie, nie będzie dalszych konsekwencji.

Bane rozumiał obawy lorda Qordisa, ale czuł, że to zbyt radykalne rozwiązanie. Nie było powodu, aby tak zupełnie odcinać go od Githany. Zastanawiał się, czy mistrzowie domyślają się, że coś do niej czuje. Czy obawiają się, że to może go rozpraszać?

Doszedł do wniosku, że chodzi jednak o coś innego – wyłącznie o kontrolę. Bane zbuntował się przeciwko lordowi Qordisowi i odniósł sukces pomimo wyobcowania. Teraz Qordis chciał przywłaszczyć sobie osiągnięcia Bane'a.

– To nie wszystko – ciągnął Qordis, przerywając tok myśli ucznia. – Musisz również skończyć z czytaniem archiwów.

– Dlaczego? – zaproponował zaskoczony i wściekły Bane. – Manuskrypty zawierają mądrość dawnych Sithów. Dowiedziałem się z nich wielu cennych rzeczy dotyczących Ciemnej Strony.

– Te archiwa to relikty przeszłości – ostro odparował Qordis. – Są z czasów, które już dawno odeszły. Zakon się zmienił. Wyewoluowaliśmy ponad wszystko, co mogłeś wyczytać w tych zmurszałych zwojach i księgach. Zrozumiałbyś to, gdybyś uczył się od mistrzów, zamiast podążać własną ścieżką.

Przecież to ty mnie zmusiłeś, bym podążał własną ścieżką, pomyślał Bane.

– Sithowie pewnie się zmienili, ale wciąż możemy budować na wiedzy tych, którzy byli tu przed nami – tłumaczył. – Z pewnością to rozumiesz, mistrzu. Po co inaczej odbudowałbyś Akademię na Korribanie?

W oczach mrocznego lorda pojawił się błysk gniewu. Nie podobało mu się, że jeden ze studentów próbuje mu się sprzeciwić. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał zimno i groźnie.

– Na tym świecie Ciemna Strona jest bardzo mocna. I tylko dlatego tu przybyliśmy.

Bane wiedział, że na tym powinien poprzestać, ale nie był jeszcze gotów na wycofanie się. To było zbyt ważne.

– A co z Doliną Mrocznych Lordów? Co z grobami tych wszystkich mrocznych mistrzów, którzy zostali pochowani na Korribanie, z sekretami ukrytymi w ich mogiłach?

– Tego szukasz? – zadrwił Qordis. – Sekretów umarłych? Jedi zbeczcęścili groby, kiedy zdobyli Korriban trzy tysiące lat temu. Nie zostało nic cennego.

– Jedi to śludzy światła – zaprotestował Bane. – Ciemna strona ma tajemnice, których oni nigdy nie zrozumieją. Może coś jednak zostawili.

Qordis zaśmiał się, a właściwie warknął ostro, wzgardliwie.

– Jesteś naprawdę taki naiwny?

– Duchy potężnych mistrzów Sithów podobno nadal się snują wokół swoich grobów – upierał się Bane zdecydowany, że nie pozwoli się zastraszyć. – Pojawiają się tylko tym, którzy są tego godni. Na pewno nie ukazałyby się Jedi.

– Czy naprawdę sądzisz, że duchy i zjawy wciąż się tam kręcą, czekając tylko, aby przekazać wielkie tajemnice Ciemnej Strony tym, którzy ich odnajdą?

Myśli Bane'a powędrowały do przeczytanych wcześniej ksiąg. Zbyt wiele relacji udokumentowano w archiwach, żeby miały się okazać jedynie legendą. Musiało w nich być trochę prawdy.

– Tak sądzę – odpowiedział, choć zdawał sobie sprawę, że to jeszcze bardziej rozwścieczy Qordisa. – Wierzę, że więcej się nauczę od duchów w Dolinie Mrocznych Lordów niż od żywych mistrzów tutaj, w Akademii.

Qordis zerwał się na nogi i uderzył go w twarz. Długie jak szpony paznokcie pozostawiły krwawe ślady na skórze. Bane nawet nie mrugnął.

– Jesteś bezczelnym głupcem! – wrzasnął mistrz. – Czczysz tych, którzy odeszli i umarli. Myślisz, że oni mają jakąś wielką moc, ale to tylko pył i kości!

– Mylisz się – odparł Bane. Poczł, że z zadrapań zaczyna płynąć krew, ale nie podniósł ręki, żeby ją wytrzeć. Po prostu stał nieruchomy jak kamień przed kipiącym wściekłością mistrzem.

Choć Bane się nie poruszył, Qordis cofnął się o krok. Po chwili odezwał się nieco bardziej opanowanym, choć wciąż pełnym gniewu głosem:

– Wynoś się. – Wyciągnął długi, kościsty palec w stronę drzwi. – Jeśli tak bardzo cenisz sobie mądrość umarłych, idź. Opuść Świątynię. Udaj się do Doliny Mrocznych Lordów. Znajdź odpowiedzi w ich grobach.

Bane się zawahał. Wiedział, że to próba. Jeśli teraz przeprosi... a właściwie ukorzy się i będzie błagał mistrza o przebaczenie... Qordis prawdopodobnie pozwoli mu pozostać. Wiedział jednak, że mistrz się myli. Dawni Sithowie zginęli, lecz ich spuścizna pozostała. I otwierała się szansa, aby ją przejąć na własność.

Odwrócił się tyłem do lorda Qordisa i wyszedł z pomieszczenia bez słowa. Nie było sensu kontynuować tej kłótni. Był tylko jeden sposób, aby zwyciężyć – znaleźć dowód. A nie znajdzie go, stojąc tutaj.

## ROZDZIAŁ 18

Bane nie pojawił się na porannych ćwiczeniach. Kas'imowi nietrudno było się domyślić, kto jest odpowiedzialny za jego nieobecność.

Nie zawracał sobie głowy stukaniem: użył Mocy, by wyważyć zamek i kopniakiem otworzył drzwi. Niestety, element zaskoczenia, na który liczył, przepadł.

Qordis stał tyłem do drzwi, przyglądając się jednemu ze wspaniałych gobelinów, jakie wisiały obok jego ogromnego łóża. Nie odwrócił się, kiedy wpadł fechtmistrz; w ogóle nie zareagował na hałas. A to oznaczało, że spodziewał się tego wtargnięcia.

Kas'im gwałtownie machnął ręką i drzwi zatrzasnęły się z hukiem. To, co miał zamiar powiedzieć, nie nadawało się dla uszu studentów.

– Co, do wszystkich piorunów, zrobiłeś, Qordis?

– Przypuszczam, że masz na myśli ucznia Bane'a.

– Oczywiście, że mam na myśli tego cholernego Bane'a! Koniec gierek, Qordis. Co mu zrobiłeś?

– Jemu? Nic. Nie w taki sposób, jak sądzisz. Próbowałem mu tylko przemówić do rozsądku. Próbowałem wyjaśnić mu konieczność dostosowania się do ram tej instytucji.

– Zmanipulowałeś go. – Kas'im westchnął z rezygnacją. Wiedział, że Qordis nie przepada za Bane'em. Głównie dlatego, że sprowadził go tutaj lord Kopecz, jego długoletni rywal. Fechtistrz zrozumiał, że powinien być ostrzec ucznia.

– W jakiś sposób wpłynąłeś na jego tok myślenia – ciągnął, usiłując wywołać jakąkolwiek reakcję. – Zmusiłeś go do wejścia na ścieżkę, na której chciałeś go zobaczyć. Ścieżkę zagłady.

Qordis nie odpowiedział od razu. Kas'im, znudzony oglądaniem pleców lorda, podszedł, chwycił go za ramię i odwrócił przodem do siebie.

– Dlaczego, Qordis?

W pierwszej króciutkiej chwili, zanim jeszcze obrócił go całkiem, wydawało mu się, że na szczupłej, ściągniętej twarzy mistrza Akademii dostrzegł przeblysł niepewności i zmieszania. Ale już za chwilę ta sama twarz wykrzywiła się wściekłością, a ciemne oczy w głębokich oczodołach zabłysły gniewnie. Qordis uderzeniem zrzucił z ramienia dłoń Kas'ima.

– Bane sam to na siebie sprowadził. Był nieposłuszny! Opętała go obsesja przeszłości! Nie przyda nam się na nic, dopóki nie przyjmie nauk Akademii!

Kas'im był wstrząśnięty. Nie tym wybuchem, lecz wyrazem niepewności, który go poprzedził. Nagle zaczął się zastanawiać, czy to spotkanie przebiegało dokładnie tak, jak to planował mistrz. Może Qordis próbował zmanipulować Bane'a i przegrał. To nie byłby pierwszy raz, kiedy nie docenili swojego niezwykłego ucznia.

Teraz Kas'im był już bardziej zaciekawiony niż wściekły.

– Powiedz mi, co się stało, Qordis. Gdzie Bane jest teraz?

Qordis westchnął niemal z żalem.

– Poszedł na pustkowia. Ruszył w kierunku Doliny Mrocznych Lordów.

– Co? Dlaczego?

– Mówiłem ci, jest opętany przeszłością. Wierzy, że są tam tajemnice, które jemu tylko zostaną wyjawione. Sekrety Ciemnej Strony.

– Ostrzegłeś go o zagrożeniach? O rojach pelko? O tuk'ata?

– Nie dał mi szansy. I tak by nie posłuchał.

W to akurat Kas'im chętnie wierzył. Nie wiedział tylko jeszcze, czy powinien wierzyć również w resztę historii Qordisa. Mistrz Akademii był subtelny, przebiegły. Wymanewrowanie kogoś tak, aby z własnej woli zapędził się do morderczej Doliny Mrocznych Lordów, byłoby do niego bardzo podobne. Gdyby chciał wyeliminować Bane'a, zachowując pozory niewinności, byłby to jeden z lepszych sposobów. Było tylko jedno małe „ale”.

– On przeżyje – stwierdził Kas'im. – Jest silniejszy, niż ci się wydaje.

– Jeśli przeżyje – odparł Qordis, odwracając się znowu do gobelinu – pozna prawdę. W dolinie nie ma żadnych tajemnic. Już nie. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało zabrane... najpierw przez Sithów usiłujących ochronić nasz zakon, a potem przez Jedi usiłujących go zniszczyć. W grobach nie zostało nic, tylko puste komory i kupy kurzu. Kiedy sam to zobaczy, zrezygnuje z tej szaleńczej idealizacji dawnych Sithów. Dopiero wtedy będzie gotów wstąpić do Bractwa Ciemności.

Rozmowa dobiegła końca – przynajmniej to było jasne. Słowa Qordisa miały sens, przynajmniej jako część większej lekcji, której ostatecznym celem byłoby zmuszenie Bane'a do porzucenia starych nauk i zaakceptowania nowego zakonu Sithów oraz Bractwa Kaana.

Wychodząc z pokoju, Kas'im nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że Qordis dopisywał usprawiedliwienie do zdarzeń już po fakcie. Qordis chciał, aby wszyscy wierzyli w to, że przez cały czas zachowuje kontrolę, ale to zaszczute spojrzenie, jakie przez chwilę pochwycił fechtmistrz, było ostatecznym dowodem prawdy – lord przeraził się czymś, co Bane zrobił lub powiedział.

Myśl ta wywołała uśmiech na wargach Twi'leka. Miał absolutną pewność, że Bane przeżyje podróż do Doliny Mrocznych Lordów. I bardzo był ciekaw, co się stanie, kiedy młody człowiek powróci.

Sirak ruszał się niemrawo. Ostatnich trzydzieści sześć godzin spędził w zbiorniku bacty i choć jego obrażenia zagoiły się całkowicie, ciało wciąż instynktownie reagowało na wspomnienie ran zadanych przez miecz Bane'a. Powoli zebrał wszystkie rzeczy osobiste, marząc tylko o powrocie do znajomego otoczenia własnego pokoju i opuszczeniu samotności centrum medycznego.

Do pokoju wpłynął jeden z robotów medycznych, niosąc dla niego parę spodni, koszulę i szatę ucznia. Ubranie śmierdziało środkiem dezynfekcyjnym; sterylizacja wszystkiego, co jest wnoszone do centrum medycznego, była normalną praktyką. Rzeczy pasowały, ale zaledwie je włożył, wiedział, że nigdy wcześniej nie były noszone.

Od chwili, kiedy zniesiono go nieprzytomnego z ringu, nie widział ani jednej żywej istoty, nikogo poza robotami medycznymi. Nikt nie przyszedł go odwiedzić, kiedy unosił się w uzdrawiającej cieczy – ani Kas'im, ani Qordis, ani nawet Llokay i Yevra. Nie miał im tego za złe.

Sithowie pogardzali słabością i porażką. Kiedy uczeń przegrywał w pojedynku, zostawał sam ze swoim wstydem i porażką, czekając, aż zbierze na nowo siły, by podjąć naukę. Każdemu się to zdarzało, wcześniej czy później... ale Sirakowi nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

Był niezwykły, nietykalny... najlepszy student w każdej dziedzinie. Słyszał plotki i szepty. Mówili o nim: Sith'ari, istota doskonała. Teraz już go tak nie nazwą. Nie po tym, co zrobił mu Bane.

Odwrócił się do drzwi i ujrzał w nich Githany.

– Czego chcesz? – spytał ostrożnie.

Wiedział, kim jest, choć nigdy wcześniej z nią nie rozmawiał. W dniu jej przybycia uznał, że może stanowić potencjalne zagrożenie. Obserwował ją i wiedział, że ona obserwuje jego. Każde z nich mierzyło i oceniało drugie, starając się określić, kto jest lepszy. Sirak był ostrożny wobec potencjalnych przeciwników, którzy mogliby go wyzwać albo tylko tak mu się zdawało – dopóki student, którego nie obawiał się wcale, nie położył go na łopatki.

– Chcę z tobą porozmawiać – rzekła. – O Banie.

Mimowolnie skrzywił się na dźwięk tego imienia, po czym przeklął się w duchu za tę reakcję. Jeśli jednak nawet Githany ją zauważyła, nie dała tego poznać po sobie.

– Co z nim? – zapytał ostro.

– Ciekawa jestem, jakie masz teraz plany. Jak zamierzasz rozwiązać tę sytuację? Przez chwilę musiał walczyć, przywołując dawną arogancję, ale jakoś zdołał wydobyć z siebie ironiczny uśmiech.

– Moje plany to moja sprawa.

– Będziesz chciał się zemścić? – naciskała.

– Może za jakiś czas – przyznał wreszcie.

– Mogę ci pomóc.

Zrobiła krok w jego kierunku. Ten krok wystarczył, żeby Sirak zauważył, z jakim zmysłowym wdziękiem się porusza – niczym zeltrońska tancerka z woalem. Podejrzliwie zmrużył oczy.

– Dlaczego?

– Pomogłam Bane’owi cię pokonać – rzekła. – Wyczułam jego potencjał od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam. Gdy Qordis i inni mistrzowie odwracali się do niego plecami, w tajemnicy przekazywałam mu ich nauki o Mocy. Wiedziałam, że Ciemna Strona jest w nim silna. Silniejsza niż we mnie. Silniejsza niż w tobie, a może nawet niż w samych mistrzach.

Sirak nadal nie rozumiał, po co mu o tym opowiada.

– Wciąż nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dostałaś od Bane’a to, czego pragnęłaś. Czemu chcesz mi teraz pomagać?

Pokręciła smutno głową.

– Myliłam się co do Bane’a. Sądziłam, że jeśli mu pomogę, stanie się silniejszy, że przyjmie Ciemną Stronę. A potem sama mogłabym się uczyć od niego i również zdobyć Moc. On jednak nie jest zdolny zanurzyć się w Ciemnej Stronie. Wszyscy uważają, że pokonanie cię to wielkie zwycięstwo. Ja jedna wiem, że to klęska.

Bawiła się nim. Drwiła z niego. A jemu się to nie podobało.

– Przed Bane’em nigdy jeszcze nikt nie pokonał mnie na ringu! – warknął. – Jak możesz to nazwać klęską?

– Jeszcze żyjesz – odparła po prostu. – Kiedy przyszedł moment, aby cię zabić i zakończyć twoje życie, zawahał się. Nie mógł się do tego zmusić. Jest słaby.

Zaintrygowany Sirak nie odpowiedział. Czekał, aż Githany rozwinie swoją wypowiedź.

– Przez całe miesiące planował i planował, jak się na tobie zemścić – ciągnęła. – Nienawiść dała mu siłę, by cię pokonać... ale w ostatniej chwili okazał litość i pozwolił ci żyć.

– Ja też pozostawiłem go przy życiu po pierwszym pojedynku – przypomniał jej Sirak.

– To nie był akt litości... raczej pogardy. Myślałaś, że go całkiem zniszczyłaś. Gdybyś wiedział, że pewnego dnia podźwignie się i znowu cię wyzwie, pewnie byś tego nie zrobił, niezależnie od zasad panujących w Akademii. Nie doceniłaś go. To był błąd, którego już nigdy nie popełnisz. Ale Bane wie, ile jesteś wart. Wie, że jesteś dość potężny, aby reprezentować prawdziwe zagrożenie. A jednak pozostawił cię przy życiu, wiedząc, że pewnego dnia zechcesz się zemścić. Jest albo słaby, albo głupi – zakończyła. – A ja nie chcę mieć nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim.

W jej słowach było trochę prawdy, ale Sirak wciąż nie był przekonany.

– Szybko zmieniasz sojusze, Githany. Nawet jak na Sitha.

Milczała przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak powinna odpowiedzieć. Nagle wbiła wzrok w podłogę, a kiedy znowu go podniosła, jej oczy pełne były wstydu i upokorzenia.



– To Bane zakończył nasz sojusz, nie ja – przyznała, prawie dławiąc się słowami. – Porzucił mnie – ciągnęła, nawet nie próbując ukryć goryczy. – Opuścił Akademię. Nie powiedział mi, dlaczego. Nie pożegnał się nawet.

Nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. Sirak zrozumiał jej gwałtowną potrzebę przyłączenia się do niego przeciwko dawnemu sojusznikowi. Githany przywykła mieć kontrolę. Przywykła do rządzenia. Lubiła być tą osobą, która wszystko kończy. Nie spodobało jej się, kiedy nagle znalazła się po drugiej stronie.

Jak w starym koreliańskim przysłowiu: strzeż się gniewu wzgardzonej kobiety.

– Dokąd poszedł? – zapytał.

– Studenci mówią, że Qordis wysłał go do Doliny Mrocznych Lordów.

Sirak omal nie wykrzyknął: To tak, jakby już nie żył!, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie jej ostrzeżenie, że nie wolno nie doceniać Bane’a. Powiedział zatem tylko:

– Spodziewasz się, że wróci.

– Jestem tego pewna.

– Wtedy będziemy gotowi – obiecał Sirak. – Kiedy wróci, zniszczę go.

Bane, idąc przez spalone piaski pustkowi Korribana, stwierdził, że słońce wkrótce zajdzie za horyzont. Wędrował pod jego promieniami już od wielu godzin: pozostawił za sobą miasteczko Dreshdae i świątynię, która nad nim górowała. Teraz i ona, i miasteczko ledwie majaczyły na horyzoncie. Gdyby się obejrzał, miałby trudności z ich dostrzeżeniem.

Ale on się nie oglądał. Uparcie dążył przed siebie. Lejący się z nieba żar nie powstrzymał go. Nie powstrzymają go też temperatury bliskie punktu zamarzania, które przyjdą po zachodzie słońca. Dyskomfort fizyczny – zimno, upał, pragnienie, głód, zmęczenie – wszystko to nie miało na niego większego wpływu, gdyż podtrzymywała go potęga Mocy.

Był niespokojny. Pamiętał pierwszą chwilę, kiedy postawił stopę na Korribanie. Wyczuwał potęgę tego świata: Korriban żył Ciemną Stroną. Uczucie to jednak było słabe i odległe. W czasie pobytu w Akademii tak się przyzwyczaił do tego prawie podprogowego szumu, że już go nie dostrzegał.

Kiedy jednak opuścił Świątynię i pozostawił za sobą port, oczekiwał, że to uczucie się spotęguje. Z każdym krokiem był coraz bliżej Doliny Mrocznych Lordów i wydawało mu się, że powinien poczuć wzrost intensywności Ciemnej Strony.

Nie poczuł jednak nic, żadnej zauważalnej zmiany. Znajdował się tylko kilka kilometrów od wejścia do doliny: widział już ciemne kontury najbliższych grobowców, wykutych w kamiennych ścianach. Ale Ciemna Strona wciąż nie była niczym więcej, jak tylko cichym echem, niewyraźnym wspomnieniem odległych słów wypowiedzianych w zamierzchłej przeszłości.

Odsunął od siebie wątpliwości i zastrzeżenia i przyspieszył kroku. Chciał dotrzeć do doliny przed zapadnięciem całkowitej ciemności. Wybiegając z Akademii, złapał kilka

prętów żarowych; w razie potrzeby będzie mógł ich użyć. Niestety ich światło będzie w nocy niczym boja alarmowa – wszystkim zdradzi miejsce jego pobytu. Mając przy boku nowy miecz świetlny, wiedział, że wyjdzie cało niemal z każdego starcia, ale wśród grobów kryły się istoty, których uwagi wolałby raczej nie zwracać.

Ostatnie promienie światła jeszcze przenikały powietrze, kiedy wreszcie dotarł do celu. Dolina Mrocznych Lordów leżała u jego stóp, ukryta pod całunem zmierzchu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rozbić tu obozowiska do świtu, ale odrzucił tę myśl. Dzień czy noc, to nie ma znaczenia; kiedy już się znajdzie w grobowcu, będzie musiał używać prętów żarowych niezależnie od oświetlenia na zewnątrz. A teraz, kiedy wreszcie dotarł na miejsce, czuł, że nie zdoła się już dłużej powstrzymać i musi sprawdzić, czy uda mu się coś znaleźć.

Wybrał najbliższą ze świątyń, która jeszcze majaczyła w mroku. Podobnie jak inne grobowce, ona również wykuta była w wysokim kamiennym klifie otaczającym dolinę. Wielka sklepiona brama została wyrzeźbiona na powierzchni zbocza, ale komory, w których spoczywały szczątki mrocznego lorda, wbijały się głęboko we wnętrze skały.

Podchodząc bliżej, Bane był już w stanie rozróżnić skomplikowane dekoracje, wyrzeźbione na łuku. Coś było napisane na jego szczycie, ale nie mógł rozpoznać liter. Domyślał się, że kiedyś było to dzieło sztuki, lecz eony wiatrów pustynnych zatarły szczegóły.

Zatrzymał się na progu, chłonąc atmosferę zakazanej tajemnicy, jaka otaczała wejście do grobowca. Wciąż jednak nie czuł żadnej zmiany w Mocy. Przechodząc przez próg, zdziwił się, bo ujrzał, że wielki kamień zamykający wejście jest rozbity. Przesunął palcami po miejscu pęknięcia. Gładkie. Starte. Ktokolwiek rozbił te drzwi, uczynił to dawno temu.

Wyprostował się i odważnie wkroczył przez strzaskany portal. Powoli poruszając się w mroku, ruszył długim tunelem wejściowym. Po jakichś sześciu metrach zapadła kompletna ciemność, więc wyjął pręt żarowy i go zapalił.

Upiorne niebieskie światło wypełniło tunel. Niewielki rój śmiercionośnych chrząszczy pelko pospiesznie uciekł poza krąg światła. Próbowaly go podejść, zbliżając się jednocześnie ze wszystkich stron. Wciąż je czuł, jak czały się w ciemności wokół niego, ale się nie bał. W końcu to nie światło utrzymywało je w bezpiecznej odległości.

Chrząszcze pelko, podobnie jak większość stworzeń żyjących na Korribanie, były wrażliwe na Moc. Wyczuły zapewne przybycie Bane'a na długo przedtem, zanim wszedł do grobowca. Jego moc z pewnością przyciągnęłaby je i tak. A jednak to także Moc utrzymywała je teraz w ryzach, razem z ich paraliżującymi kolcami na grzbiecie. Pelko instynktownie wyczuwały, jak wielka jest siła Bane'a, bały się go. Nie podejda bliżej, by go zaatakować, więc mogły być najwyżej nieprzyjemne, nie zaś niebezpieczne. Prawdziwe zagrożenie stanowiły większe stworzenia, takie jak tuk'ata. Ale nimi zajmie się dopiero wtedy, kiedy nadejdzie czas.

W tej chwili bardziej martwiły go potencjalne zagrożenia ze strony budowniczych grobowca. Mauzolea Sithów znane były ze złośliwie zainstalowanych śmiertelnych pułapek.

Bane sięgnął w Moc, starannie sondując ściany, ziemię i sklepienie w poszukiwaniu czegoś niezwykłego. Poczul ulgę, a zarazem lekkie rozczarowanie, kiedy nie odkrył zupełnie nic. W duchu miał chyba nadzieję natknąć się na jakąś nieodkrytą komnatę, coś, co umknęło uwagi Jedi.

Szedł dalej tunelem, mijając kolejne komory, w których złożono skarby i inne dary, pochowane wraz z Mrocznym Lordem – plus kilku żywych służących. Pomieszczenia te go nie interesowały, nie był rabusiem grobów. Wędrował zatem coraz głębiej i głębiej, aż dotarł do samej krypty.

Chrząszcze pelko nie odstępowały go ani na chwilę, kręcąc się nieustannie tuż poza kręgiem błękitnego światła rzucanego przez pręt żarowy. Słyszał wysokie skrzeczenie – skriiiiiik, skriiiiiik, skriiiiiik – zdenerwowanego roju. Nie mogły dopaść ofiary, a jednak nieustannie przyciągała je jego obecność.

Krypta była łatwa do zidentyfikowania dzięki ogromnemu kamiennemu sarkofagowi, który stał pośrodku pomieszczenia na niewielkim postumencie. Był jedynie ciemną plamą na skraju światła, ale sam jego widok napełniał lękiem i szacunkiem.

Wciąż używając Mocy, aby wykryć pułapki, jakie mogły na niego czekać, Bane ostrożnie zbliżył się do grobu, a jego niepokój narastał, w miarę jak błękitne światło omywało sarkofag, wydobywając z mroku kolejne szczegóły. W kamieniu wyrzeźbiono podobne znaki jak u wejścia do grobowca, ale te tutaj nie ucierpiały od niewyobrażalnych stuleci erozji. Były wyraźne, brutalne i ostre. Nie mógł przeczytać nieznanego języka ani zidentyfikować mrocznego lorda po herbie, ale wiedział, że to miejsce spoczynku potężnej i starożytnej istoty.

Dotarł do platformy, która sięgała mu zaledwie do kolana. Postawił na niej jedną stopę, po czym sięgnął i chwycił się wystającej krawędzi jednego z symboli wyrzeźbionych na boku sarkofagu. Prawie oczekiwał porażenia lub wstrząsu, ale poczul jedynie zimny kamień pod palcami.

Utrzymując równowagę w tej pozycji, podciągnął się tak, by obiema nogami znaleźć się na platformie. Wtedy spojrzął na płytę grobowca. Ku swojemu przerażeniu stwierdził, że jest ona prawie doszczętnie zniszczona. Cokolwiek przedtem było wewnątrz, teraz znajdowała się tam sterta gruzu i pyłu, i jeszcze kilka drobnych kostek, które mogły być palcami szkieletu mrocznego lorda.

Zeskoczył z postumentu, zły, ale jeszcze nie gotów, by się poddać. Powoli zatoczył wielki krąg, jakby spodziewał się znaleźć skradzione szczątki zwalone na kupę w kącie krypty. Ale nie znalazł nic, krypta została zbezczeszczona i dokładnie obrabowana.

Bane nie był pewien, co właściwie chciał znaleźć, ale z pewnością nie to. Dusze Mrocznych Lordów były istotami czystej Ciemnej Strony – wieczne, jak sama Moc. Duch pozostawałby tu przez stulecia, a może nawet tysiąclecia, dopóki nie pojawi się godny spadkobierca. Przynajmniej tak sugerowały teksty w archiwach.

Namacalne dowody były jednak nie do podważenia. Starożytne manuskrypty go zawiodły. Postawił wszystko na prawdę ich słów – zbuntował się nawet wobec Qordisa – i przegrał.

W desperacji odrzucił głowę w tył i wznosił ręce w górę, ku nierównemu stropowi skalnemu.

– Jestem tutaj, mistrzu! – krzyknął. – Przybyłem, aby poznać twoje sekrety! Urwał, czekając na odpowiedź. Nie usłyszał jednak nic, więc krzyknął znów:

– Pokaż się! Na całą potęgę Ciemnej Strony, pokaż się!

Jego słowa odbijały się od ścian, puste i głuche. Upadł na kolana, opuścił ramiona i głowę. Kiedy echa ucichły, w ciszy słychać było jedynie klikanie chrząszczy pelko.

Kopecz rozejrzał się po obozowisku i splunął na ziemię. Otaczała go armia, lecz była to armia istot niższych. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widział poddanych: żołnierzy, zabójców i uczniów. Cennych mistrzów Sithów była tylko garstka. Niekończąca się wojna z Jedi na polach Ruusanu zbierała obfite żniwo wśród Bractwa Ciemności Kaana. Bez posiłków będą zmuszeni do wycofania się lub zostaną starci na proch przez generała Hotha i jego nienawidzoną Armię Światła.

Ciężki Twi'lek wstał, uznając, że najwyższy czas coś z tym zrobić. Ruszył przez obozowisko, mijając grupy żołnierzy. Widział, jak wielu jest rannych, zmęczonych lub tylko zniechęconych. Zanim dotarł do namiotu lorda Kaana, pogarda, jaką żywił dla swoich tak zwanych Braci, sięgnęła punktu wrzenia.

Kiedy wszedł, lord Kaan tylko spojrzął na niego i natychmiast ostrym gestem odprawił pozostałych doradców. Wyszli pojedynczo, nie śmiejąc podejść zbyt blisko.

– Co się dzieje, stary przyjacielu? – zapytał Kaan. Jego głos był miękki i czarujący jak zawsze, ale oczy miał wielkie i przerażone, jak zaszczute zwierzę.

– Widziałeś to, co jest na zewnątrz i nazywa się naszą armią? – warknął Kopecz, wskazując kciukiem za siebie. Powoli podszedł bliżej. – Jeśli to wszystko, co mamy przeciwko lordowi Hothowi, to równie dobrze możemy spalić nasze czarne szaty i zacząć się uczyć kodeksu Jedi.

– Przybędą posiłki – zapewnił go lord Kaan. – Dwie pełne dywizje piechoty, brygada snajperów. Pół plutonu pojazdów repulsorowych z ciężkimi działami. Wielu garnie się do walki o chwałę naszej sprawy. Codziennie więcej. Bractwo Ciemności nie może zawieść.

Kopecza nie pocieszyły te obietnice. Lord Kaan zawsze był siłą Bractwa Ciemności, człowiekiem, który zjednoczył mrocznych lordów przy jednej sprawie wyłącznie swoją niezwykłą osobowością i wizją. Jednak teraz i on wydawał się na skraju wytrzymałości. Napięcie nieustannych walk z Jedi zniszczyło go.

Kopecz pokręcił głową z odrazą.

– Nie jestem jednym z twoich pompatycznych doradców – rzekł, podnosząc głos. – Nie będę się przed tobą płaszczył i pełzał, lordzie Kaan. Nie będę sypał pochwał na twoją głupią głowę, kiedy na własne oczy widzę, że prowadzisz nas na śmierć!

– Uciszyć się! – warknął Kaan. – Zniszczysz morale naszych żołnierzy!

– Nie ma już czego niszczyć – odparował Kopecz, choć już znacznie ciszej. – Nie pokonamy Jedi zwykłymi żołnierzami. Ich jest zbyt wielu, a nas zbyt mało.

– Przez „nas” rozumiesz osoby godne wstąpić w szeregi mrocznych lordów, tak? – odparował Kaan. Westchnął i spojrzął na rozłożoną przed sobą holomapę.

– Wiesz, co musisz uczynić – rzekł mu Kopecz już znacznie spokojniejszym tonem. Postanowił, że pójdzie za Kaanem, teraz też go nie opuści. Nie zamierzał jednak stać z założonymi rękami i czekać na pewną klęskę. – Mamy przed sobą armię rycerzy i mistrzów Jedi. Nie możemy stanąć przeciwko nim bez własnych mistrzów z Akademii. Studentów też. Wszystkich.

– Ale to tylko uczniowie – zaprotestował Kaan.

– Są najsilniejsi z naszego zakonu – przypomniał mu Kopecz. – Obaj wiemy, że nawet najgorsi studenci z Korribana są mocniejsi niż połowa tak zwanych mrocznych lordów tu, na Ruusanie.

– Qordis jeszcze nie zakończył pracy. Studenci wciąż muszą się wiele nauczyć – upierał się Kaan, choć bez wielkiego przekonania. – Tyle niewykorzystanego potencjału. Akademia reprezentuje przyszłość Sithów.

– Jeśli nie pokonamy Jedi tu, na Ruusanie, nie będzie żadnej przyszłości! – upierał się Kopecz.

Lord Kaan chwycił się obiema rękami za głowę, jakby nagły atak bólu groził mu pęknięciem czaszki na pół. Zaczął dygotać niczym w straszliwym ataku. Kopecz mimo woli cofnął się o krok.

Kaan potrzebował tylko kilku sekund, aby opuścić ręce i odzyskać opanowanie. Z jego oczu zniknął zaszczuty wyraz, zastąpiony przez spokojną pewność siebie, która tak wiele osób przyciągnęła do Bractwa.

– Masz rację, stary przyjacielu – rzekł. Słowa brzmiały spokojnie i łagodnie, jakby ktoś zdjął mu z barków ogromny ciężar. Emanował pewnością siebie i siłą. Wydawał się jaśnieć fioletową aurą, jakby był uosobieniem Ciemnej Strony. I nagle, w niewytłumaczalny sposób, Kopecza także ogarnął spokój.

– Wyślę wiadomość Qordisowi – rzekł Kaan, a Moc wypływała z niego niemal namacalnymi falami. – Masz rację. Czas, aby uczniowie Akademii na Korribanie naprawdę wstąpili w szeregi Sithów.

## ROZDZIAŁ 19

Bane nigdy w życiu nie był tak głodny. Głód skręcał mu żołądek, zginał go wpół, kiedy włókł się powoli poprzez korribańskie równiny w kierunku Dreshdae. Przez trzynaście dni przeszukiwał grobowce w Dolinie Mrocznych Lordów, żywiąc się jedynie Mocą i tabletkami nawadniającymi, które zabrał w podróż po pustyni. Nie spał, pozwalał jednak odpocząć umysłowi w czasie medytacji. Jednak pomimo swojej potęgi, nawet Moc nie była w stanie stworzyć czegoś z niczego. Mógł odsuwać od siebie głód przez jakiś czas, lecz nie na wieczność.

Dwa razy został zaatakowany przez stada tuk'ata, psów strażników, które włoczyły się po grobowcach swoich dawnych mistrzów. Po raz pierwszy odpędził je Mocą, chwytając ciało samca alfa i rzucając na resztę stada. Zranił kilka zwierząt i uciekły, wyjął przeraźliwie, aż ciarki przeszły mu po plecach. Drugi atak był znacznie bardziej krwawy. Badając jeden z nowszych grobowców stwierdził nagle, że jest otoczony przez dwanaście tuk'ata – stado dwukrotnie większe niż poprzednie. Wyskoczył na nie z mieczem świetlnym, tnąc gdzie popadnie. Kiedy stado wreszcie rozpadło się i uciekło, z dwunastu tuk'ata żyły tylko cztery.

Potem już tuk'ata zostawiły go w spokoju – i całe szczęście, bo nie był pewien, czy zdoła dotrzymać im pola, jeśli znów zaatakują. Aby dać mięśniom siłę do dalszych poszukiwań, za mocno nadszarpnął rezerwy swojego ciała, dosłownie pożerając się od środka. Teraz płacił za to cenę.

Mógł uwolnić się od cierpienia, wchodząc w trans medytacyjny, zwalniając bicie serca i funkcje życiowe, aby zachować energię i ostatecznie wejść w stan hibernacji, co skończyłoby się powolną, acz bezbolesną śmiercią.

Śmierć nie była jednak opcją, którą zamierzał rozważać. Jeszcze nie. Pomimo daremnych poszukiwań, pomimo miażdżącego rozczarowania nie był na to gotów. Zwłaszcza że prawda, którą odkrył, nie mogła umrzeć wraz z nim. Wytrzymał więc ból i zmuszał szybko męczące się ciało do drogi powrotnej. Do Akademii.

Na początku wyprawy potrzebował zaledwie dnia, by dojść do doliny. Teraz szedł z powrotem już trzeci dzień. Kiedy wychodził, był silny i świeży, teraz – słaby i wygłodniały. Ale w jego spowolnionym kroku kryło się coś więcej niż fizyczny głód.

Przedtem gnała go niecierpliwość. Teraz przygniatał ciężar klęski. Qordis miał rację – dawni mroczni lordowie Korribana przestali istnieć. Prawie trzy tysiące lat minęło od czasów,

kiedy Sithowie zostali wygnani z Korribana przez Revana, do dnia, kiedy Bractwo Ciemności Kaana oficjalnie odzyskało ten świat dla zakonu. Przez ten czas spuścizna pierwszych Sithów została kompletnie zniszczona.

Wybrał się na pustynię w poszukiwaniu oświecenia, a znalazł jedynie rozczarowanie. Korriban nie był już kolebką ciemności – był skorupą, zwiędłym, wysuszonym trupem, obranym do czysta przez drapieżniki. Qordis miał rację... ale Bane dopiero teraz zrozumiał, że także się mylił. I to bardzo.

Bane nie znalazł w grobowcach tego, czego szukał. Ale w czasie długiej podróży z powrotem przez pustynię jego umysł wreszcie się rozjaśnił. Głód, pragnienie, zmęczenie – fizyczne cierpienie oczyszczało jego myśli. Odzierało go z iluzji i obnażało kłamstwa Qordisa w Akademii. Duchy Sithów odeszły z Korribana na zawsze, lecz należało o to winić Bractwo Ciemności lorda Kaana – nie Jedi.

Zniekształcili i zniszczyli dawny porządek Sithów. Nauki Akademii były przeciwne wszystkiemu, co Bane przeczytał w archiwach o arkanach Ciemnej Strony. Kaan odrzucił prawdziwą moc jednego człowieka i zastąpił go fałszywą chwałą poświęcenia siebie w imię większej sprawy. Chciał zniszczyć Jedi potęgą broni zamiast przebiegłością. A co gorsza, twierdził, że w Bractwie Ciemności wszyscy są równi. Bane wiedział, że równość to mit. Silni mieli rządzić, słabi służyć.

Bractwo Ciemności było symbolem wszystkiego, co najgorsze wśród nowoczesnych Jedi. To członkowie Bractwa zeszedli ze ścieżki prawdy. Ich klęska była powodem, dla którego duchy mrocznych lordów zniknęły. Nikt na Korribanie, ani mistrz, ani uczeń, nie był wart ich mądrości, nikt nie był wart ich potęgi. Odeszli zatem, rozproszeni jak garść pyłu rozrzucona na piaski pustyni. Bane widział teraz prawdę jasno, a jednak Qordis i inni na zawsze pozostaną ślepi. Pójdą za Kaanem, jakby związał ich jakimś tajnym zaklęciem.

Lekki powiew wiatru przyniósł jakieś głosy. Podniósł wzrok i ze zdumieniem stwierdził, że w odległości niecałego kilometra widzi przed sobą świątynię Akademii. Zatopiony w filozoficznych rozmyślaniach, nie zdawał sobie sprawy, jak daleko zaszedł. Był już dość blisko, aby widzieć drobne sylwetki poruszające się u stóp budynku – służba, a może garść studentów Akademii, krążących po terenie. Jeden z nich zauważył go i wbiegł do środka, prawdopodobnie po to, aby donieść o jego przybyciu Qordisowi i innemu mistrzom.

Bane nie był pewien, jakiego przyjęcia może się spodziewać. Właściwie nie dbał o to, byle przynieśli mu jedzenie. Poza tym nie byli mu do niczego potrzebni. Pogardzał nimi wszystkimi: mistrzami i uczniami. Nie byli lepsi od Jedi, którzy zrabowali Korriban trzy tysiące lat temu. Akademia była bluźnierstwem, świadectwem, jak nisko upadli Sithowie, jak oddalili się od prawdziwych ideałów Ciemnej Strony.

Bane rozumiał to jako jedyny. Tylko on mógł poprowadzić Sithów z powrotem na drogę Ciemnej Strony.

Oczywiście nie będzie tak głupi, żeby się do tego przyznać. Bractwo nigdy za nim nie pójdzie – ani Qordis, ani nikt inny z Akademii. Byli słabymi ignorantami, ale i tak mieli przewagę liczebną. Aby odbudować Sithów w dawnej chwale, będzie potrzebował sojusznika.

Ale żadnego z mistrzów – wszyscy oni byli zbyt bliscy Kaanowi. A uczniowie byli usługowymi lokajami, ślepo podążającymi za mistrzami. Nie rozumieli Ciemnej Strony. Nie czuli, że są prowadzeni błędną ścieżką. Żaden z nich nie był godzien.

Nie – poprawił się Bane. Była jedna osoba: Githany.

Ona nie dała się onieśmielić mistrzom. Sprzeciwiła się im, szkoląc Bane'a. A sam fakt, że uczyniła to dla własnych, samolubnych powodów, był kolejnym dowodem, że rozumiała prawdziwą naturę Ciemnej Strony.

Żałował, że nie porozmawiał z nią przed wyjazdem z Akademii. Mógł przynajmniej próbować jej wyjaśnić, dlaczego musiał odejść. Była rozczarowana, że pozwolił przeżyć Sirakowi, i miała rację. Słusznie. Ale ostatecznie to on się od niej odwrócił. To on ją zostawił, udając się na poszukiwanie sekretów Korribana. Co ona może sobie teraz o nim pomyśleć?

Kiedy dotarł do terenów Świątyni, doszedł do niego zapach południowego posiłku, przygotowywanego w kuchni. Z ustami pełnymi śliny i burczącym żołądkiem pokuśtykał po schodach w kierunku coraz bliższej perspektywy posiłku.

Wieść o powrocie Bane'a nie sprawiła Qordisowi radości. Nie mógł wybrać gorszego momentu. Lord Kaan przysłał mu właśnie pilną wiadomość – wszyscy z Akademii mają się stawić na Ruusanie i dołączyć do bitwy z Jedi. Uczniom należało rozdać miecze świetlne i przyjąć ich do Bractwa Ciemności, podnosząc do rangi mrocznych lordów Sithów.

Nie wypada pokazać się tam z jednym z najpotężniejszych, a jednocześnie zbuntowanym uczniem. A co, jeśli zachowa się tak, jak na ostatnim spotkaniu? Albo, co gorsza, odrzuci ofertę i odejdzie wbrew rozkazowi wyjazdu na Ruusan? Lord Kaan zdołał utrzymać Bractwo w całości, ale był to sojusz zawsze na krawędzi rozpadu. W obliczu powtarzających się, nieudanych prób wypędzenia Jedi z Ruusanu odmowa udziału jednego potężnego Sitha może wystarczyć, żeby wszystko się rozpadło.

Jedna dezercja może prowadzić do kolejnych, wszystko wróci do stanu chaosu. Sithowie będą walczyć z Sithami, a mroczni lordowie spróbują zdominować i zniszczyć swoich rywali. Jedi przeżyją i odbudują zakon, śmiejąc się z głupoty swoich śmiertelnych wrogów. Gdyby tylko Bane zginął na równinach Korribana! Niestety, wrócił i Qordis nie mógł zrobić nic, aby go teraz wyeliminować. Nie po rozkazie od Kaana. Potrzebowali każdego miecza świetlnego i każdego Sitha, zwłaszcza tak silnego jak Bane. Dla dobra Bractwa – dla dobra chwalebnej wizji Kaana – Qordis będzie musiał znaleźć sposób, aby zawrzeć przymierze.

Wiadomość o powrocie Bane'a szybko rozeszła się po Akademii. Sirak nie był zaskoczony, właściwie nawet odczuł ulgę. Kiedy mistrz Qordis poinformował studentów, że wkrótce wyruszą na Ruusan, obawiał się, że wyjazd nastąpi przed powrotem Bane'a, a to pozbawi Siraka nadziei na zemstę.



Fortuna jednak uśmiechnęła się do niego. Będzie musiał działać szybko. Kiedy opuści Korriban, będzie za późno. Przy wstępowaniu do Bractwa lord Kaan odbierze od wszystkich uczniów przysięgę wzajemnej pomocy i lojalności, i od tej pory zabicie członka Bractwa będzie aktem zdrady, karanym śmiercią. Chciał zemsty, ale nie za cenę własnego życia.

Wiedział, że Yevra i Llokay mu pomogą, ale potrzebował kogoś jeszcze, aby zniszczyć nieprzyjaciela tak silnego jak Bane. Potrzebował Githany.

Zastukał do drzwi jej pokoju i czekał, aż zawoła „wejść”, zanim je otworzy.

Leżała na łóżku, spokojna i zrelaksowana. Sirak przeciwnie, czuł się jak drut naciągnięty ponad miarę.

– Wrócił – powiedział tylko.

– Kiedy? – Nie musiała pytać, o kim mowa.

– Przyczołgał się jakąś godzinę temu, może mniej. Poszedł prosto do kuchni.

– Do kuchni? – Wydawała się zdziwiona. A może obrażona. Widocznie oczekiwała, że przyjdzie najpierw do niej.

– Jest słaby – zauważył Sirak, kładąc dłoń na świeżo przydzielonym mieczu świetlnym. – Zagłodzony. Zmęczony. Powinniśmy się teraz do niego zabrać.

– Nie bądź głupi – warknęła. – Ciekawe, co nam zrobią mistrzowie, jeśli posiekamy go w kuchni?

Miała rację.

– Masz plan?

Skinęła głową.

– Dzisiaj. Czekaj w archiwum. Przyprawdę go tam. – A ja zabiorę Yevrę i Llokaya.

Wykrzywiła usta w gorzkim grymasie.

– Myślę, że mogą nam być potrzebni – zgodziła się, nie ukrywając niesmaku. W oczach Siraka pojawił się okrutny błysk.

– Proszę tylko o jedno. To ja chcę zadać ostatni cios.

Bane opadł na łóżko, pełny po brzegi. Najadł się w kuchni, rwąc jedzenie niczym gamorreński żołdak w barakowym korycie. Napychał się wszystkim, co było w zasięgu ręki, do momentu nasycenia palącego głodu. Dopiero wtedy sobie przypomniał, że nie spał od prawie dwóch tygodni.

Głód ustąpił miejsca zmęczeniu, więc ruszył z kuchni do swojego pokoju jak w transie. W ciągu kilku sekund zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Kilka godzin później obudziło go stukanie do drzwi. Wciąż zamroczony, dźwignął się na nogi, zapalił pręt żarowy i otworzył.

W holu stał Qordis. Wszedł, nie czekając na zaproszenie, i zamknął za sobą drzwi. Bane był zbyt zajęty otrząsaniem się z ostatnich strzępów snu, aby zaprotestować.

– Witaj z powrotem, Bane – rzekł mistrz. – Mam nadzieję, że twoja wyprawa była...  
pouczająca.

Zdumiony serdecznym tonem Qordisa Bane tylko przytaknął.

– Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego pozwoliłem ci jechać – dodał Qordis.

Bo jesteś za wielkim tchórzem, żeby mnie powstrzymać, odpowiedział w myśli Bane, ale się nie odezwał.

– Była to ostatnia faza twojego szkolenia – ciągnął mistrz. – Musiałeś zrozumieć, dlaczego porzuciliśmy stare zasady. To nowa era, a ty możesz to pojąć tylko wtedy, jeśli przyznasz, że stara naprawdę minęła.

Bane zachował stoicki spokój; nie zgadzał się z Qordisem, ale też nie miał ochoty się kłócić.

– Teraz, kiedy opanowałeś swoją ostatnią lekcję, Akademia nie może cię już niczego nauczyć. – W tym punkcie przynajmniej zgadzali się zupełnie. – Nie jesteś już uczniem, Bane. Jesteś gotów, aby wstąpić w szeregi mistrzów. Zostaniesz mrocznym lordem Sithów.

Urwał, jakby się spodziewał jakiejś reakcji. Bane stał nieruchomo niczym kamienne figury strzegące grobów dawnych Sithów, które widywał w niektórych starszych kryptach.

Qordis odchrząknął, przerywając niezręczne milczenie.

– Wiem, że lord Kas'im dał ci już miecz. Ja też mam dla ciebie upominek. – Wyciągnął dłoń z kryształem do miecza świetlnego.

Kiedy Bane się zawahał, Qordis dodał:

– Weź go, lordzie Bane. – Położył szczególny nacisk na nowy tytuł. W uszach Bane'a brzmiał on gorzko: pusty zaszczyt przyznawany przez głupca, który uważał się za mistrza. Ale nic nie powiedział, bo tamten ciągnął: – Ten syntetyczny kryształ jest silniejszy od kryształu w twoim mieczu świetlnym – zapewnił Bane'a. – I o wiele, wiele silniejszy od tych, których używają w swoich mieczach świetlnych rycerze Jedi.

Bane powoli wyciągnął dłoń i wziął kryształ. Wydawał się zimny w dotyku, ale kiedy ukrył go w dłoni, sześcienny kamień szybko się ogrzał.

– Nie mogłeś wrócić z równin w dogodniejszej chwili – ciągnął Qordis. – Przygotowujemy się do wyjazdu z Korribana. Lord Kaan potrzebuje nas na Ruusanie. Jeśli mamy pokonać Jedi, wszyscy Sithowie muszą się zjednoczyć w Bractwie Ciemności.

– Bractwo poniesie klęskę – zapowiedział Bane. Dumnie wygłosił twierdzenie, o którym wiedział, że jest prawdą, ponieważ zdawał sobie sprawę, że mistrz i tak nie uwierzy. – Kaan nie rozumie Ciemnej Strony. Prowadzi was ścieżką do zagłady.

Qordis odetchnął głęboko i syknął wściekle:

– Niektórzy takie słowa uznaliby za zdradę, lordzie Bane. Radzę w przyszłości zachowywać takie pomysły dla siebie. – Okręcił się na pięcie i gniewnie wyszedł z pokoju, gwałtownie otwierając drzwi. Jego reakcja była dokładnie taka, jakiej oczekiwał Bane.

Wysoki mistrz obejrzał się jeszcze i dorzucił:

– Możesz być sobie mrocznym lordem, Bane, ale w Ciemnej Stronie wciąż jest wiele spraw, których nie rozumiesz. Wstąp do Bractwa, a my nauczymy cię wszystkiego, co wiemy. Odrzuć nas, a już nigdy nie znajdziesz tego, czego szukasz.

Mistrz wyszedł. Bane w milczeniu patrzył, jak drzwi się za nim zamykają. Qordis nie miał racji, jeśli chodzi o Bractwo, ale w jednym mówił prawdę – wielu rzeczy dotyczących Ciemnej Strony Bane jeszcze nie znał i nie wiedział.

A w galaktyce było tylko jedno miejsce, gdzie mógł je poznać.

## ROZDZIAŁ 20

Po wyjściu Qordisa Bane wsunął się z powrotem do łóżka. Wiedział, że powinien zobaczyć się z Githany, ale wciąż czuł zmęczenie. Jutro, pomyślał i zasnął.

W kilka godzin później obudziło go kolejne stukanie do drzwi. Tym razem po przebudzeniu czuł się bardziej odświeżony. Usiadł szybko i zapalił pręt żarowy, zalewając pokój łagodnym światłem. W pokoju nie było okien, ale domyślał się, że jest około północy, na pewno długo po capstrzyku.

Podniósł się i wyszedł powitać drugiego nieproszonego gościa. Tym razem, kiedy otworzył drzwi, nie był rozczarowany.

– Czy mogę wejść? – zapytała cicho Githany.

Bane odstąpił na bok, wdychając zapach jej perfum, kiedy przechodziła obok. Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi, podeszła do łóżka i usiadła na nim. Poklepała miejsce obok siebie i Bane posłusznie usiadł, odwracając się lekko, żeby jej spojrzeć w oczy.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał.

– A dlaczego odszedłeś? – odpowiedziała pytaniem.

– To... trudno wyjaśnić. Miałaś rację, jeśli chodzi o to, co się stało po walce z Sirakiem. Powinienem być wykończyć go, ale tego nie zrobiłem. Okazałem się słaby i głupi. Nie chciałem się do tego przyznać.

– Odszedłeś z Akademii, żeby nie spotkać się ze mną? – Słowa brzmiały współczująco, jakby próbowała go zrozumieć, ale Bane czuł skrywającą się pod nimi pogardę.

– Nie – wyjaśnił. – Nie odszedłem z twojego powodu. Zrobiłem to, ponieważ tylko ty poznałaś się na moim upadku. Wszyscy inni gratulowali mi wspaniałego zwycięstwa: Kas'im, Qordis... wszyscy. Byli ślepi na prawdziwą naturę Ciemnej Strony. Tak jak ja, dopóki ty nie otworzyłaś mi oczu. Odszedłem, ponieważ Akademia nie miała mi już nic więcej do zaoferowania. Wyruszyłem do Doliny Mrocznych Lordów w nadziei, że znajdę odpowiedzi na pytania, których nie mogłem znaleźć tutaj.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie przyjść i opowiedzieć mi to wszystko? – Jej głos się zmienił, zasłona sztucznego współczucia zniknęła. Teraz była po prostu wściekła. Wściekła i urażona. Bane uważał, że wciąż czuła coś do niego, co pozwoliło jej okazać nieco prawdziwych uczuć.

– Powinienem być do ciebie przyjść – zgodził się. – Działiałem pochopnie. Pozwoliłem, aby mną pokierował gniew na Qordisa.

Skinęła głową. Namiętność i nierozważne działanie Githany potrafiła zrozumieć.

– Ja odpowiedziałem na twoje pytanie – rzekł Bane. – Teraz ty odpowiedz na moje. Co tu robisz?

Zawahała się, przygryzając lekko dolną wargę. Rozpoznał ten nieświadomy grymas – najwyraźniej próbowała coś sobie poukładać.

– Nie tutaj – powiedziała wreszcie, sztywno wstając z łóżka. – Mam ci coś do pokazania. W archiwum.

Nie oglądając się, czy Bane idzie za nią, wyszła z jego pokoju na ciemny korytarz. Szła szybko. Bane zerwał się i ruszył za nią, ale musiał biec, aby nadążyć.

Patrzyła prosto przed siebie, obcasy wystukiwały energicznie na kamiennej podłodze rytm jej kroków. Ostry dźwięk roznosił się echem po pustych korytarzach, ale Githany zdawało się to nie przeszkadzać. Bane czuł, że coś ją niepokoi, ale nie miał pojęcia, co to może być.

Drzwi do archiwum były otwarte. Githany nie wydawała się zdziwiona, przeszła przez nie, nawet się nie zatrzymując. Bane zawahał się tylko przez moment, zanim poszedł za nią.

Przystanąła w głębi sali, za dwoma rzędami półek i spojrzała na niego. Jej piękne, dumne rysy miały wyraz trudny do rozszyfrowania.

Podszedł do środka sali i zatrzymał się, kiedy podniosła dłoń.

– Githany – rzekł niepewnie. – Co się...?

Jego słowa uciął w połowie zdania łomot zatrząskiwanych drzwi. Odwrócił się i ujrzał Siraka, a obok niego Yevrę i Llokaya. Bładożółte usta Zabراكa były uniesione w okrutnym uśmiechu, tak szerokim, że twarz wyglądała jak wyszczerzona czaszka. Bane nie mógł nie zauważyć, że z pasów całej trójki zwisały rękojeści mieczy świetlnych.

Kiedy Githany przemówiła zza jego pleców, z trudem się powstrzymał, aby się odwrócić i spojrzeć jej w twarz. Odwracanie się tyłem do trio Zabراكa nie byłoby rozsądne.

– Po co za mną poszedłeś, Bane? – zapytała głosem, w którym brzmiała mieszanka gniewu, odrazy i żalu. – Jak mogłeś być taki głupi? Nie dotarło do ciebie, że pakujesz się w pułapkę?

A więc Githany go zdradziła. Rozmowa w pokoju była testem – którego nie zdał. Powinien był znać ją na tyle, aby właśnie czegoś takiego się spodziewać. Powinien był domyślić się zasadzki. Tymczasem zachował się jak ślepy i posłuszny głupiec.

Wiedział, że sam jest sobie winien. Teraz musiał tylko znaleźć wyjście z sytuacji.

– Czy tego właśnie chcesz, Githany? – zapytał, próbując grać na zwłokę.

– Ona chce tego, czego chcą wszyscy Sithowie – odpowiedział za nią Sirak. – Potęgi. Zwycięstwa. Wie, że ma trzymać z silnymi.

– Jestem silniejszy od niego – zwrócił się Bane do Githany.

– Udowodniłem to na ringu.

– Siła to coś więcej niż zręczność fizyczna – odparł Sirak, włączając miecz świetlny. Był to egzemplarz o dwóch ostrzach. Wzrok Bane’a skupił się na czerwonych, świecących klingach; zaraz usłyszał syk, kiedy akolici Siraka poszli za jego przykładem. Githany jeszcze nie uruchomiła pejcza.

– Siła to także więcej niż umiejętność używania Mocy – ciągnął Sirak, ruszając ku niemu.  
– To inteligencja. Spryt. Nieustępliwość.

– Wiesz, jak łatwo pokonałem cię na ringu – odparł Bane, wreszcie zwracając się bezpośrednio do Siraka, choć jego słowa wciąż przeznaczone były dla Githany. – Jesteś pewien, że teraz ty mnie pokonasz?

– Czterech na jednego, Bane. A ty zostawiłeś miecz świetlny w pokoju. Podoba mi się ten stosunek sił.

Bane zaśmiał się i odwrócił plecami do Siraka. Zabrak był dość blisko, żeby rzucić się na niego i zabić jednym ciosem, ale Bane zakładał, że się powstrzyma, bojąc się zwabienia w pułapkę. Była to niebezpieczna gra, ale chciał patrzeć w oczy Githany, kiedy będzie wypowiadał swoje być może ostatnie słowa.

– Ten idiota naprawdę wierzy, że sprowadziłaś mnie dla niego – rzekł. Poczul za plecami niepewność i zmieszanie Siraka. Jeszcze nie atakował.

Githany popatrzyła zimnym, nieruchomym spojrzeniem i nie odpowiedziała; przygryzła zębami dolną wargę.

– Wiemy oboje, po co mnie tu zwabiłaś, Githany – dodał szybko Bane. Sirak nie będzie długo czekał. – Nie zamierzasz stanąć po stronie Siraka. Kombinowałaś, jak zmusić mnie do jego zabicia, już od pierwszego dnia.

– Dość! – krzyknął Sirak. Bane rzucił się do przodu i przetoczył w bok w ostatniej sekundzie; podwójne ostrze wycięło głęboki rów w miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą. Zanim stanął na nogi, ujrzał, jak Githany się odsuwa, a kiedy rzuciła mu swój własny miecz, jego ręka już na niego czekała, a Moc prowadziła rękojeść do jego dłoni.

Broń rozbłysła i Bane odwrócił się akurat na czas, aby zablokować atak Siraka. Yevra i Llokay znajdowali się o kilka metrów w tyle i natychmiast rzucili się ku nim, aby włączyć się do walki.

Bane kontratakował, tnąc po nogach Siraka. Zabrak odparował cios i ich ostrza ścięły się z sykiem. Niewielką cząstką świadomości Bane usłyszał, jak Githany uruchamia swój pejcz.

Szybki młynek zmusił Zabracka do cofnięcia się. Bane wykonał fintę, jakby chciał rzucić się do przodu, ale cofnął się, otwierając pomiędzy nimi prawie metrową przestrzeń. Miał teraz dość czasu, aby wyciągnąć ramię w kierunku niczego niepodjęrzejawającej Yevry. Chwycił ją Mocą i cisnął o najbliższą półkę tak mocno, że z drewna poleciały drzazgi.

Upadła na ziemię, oszołomiona, a zanim miała szansę wstać, Githany cięła pejczem i zakończyła jej życie.

Bane zaledwie miał czas zauważyć, że Yevra nie żyje, kiedy dopadł go Llokay. Czerwonoskóry Zabrak był słabszy od niego, ale smutek i gniew dodały mu sił. Udało mu się gradem ciosów i cięć zmusić o wiele potężniejszego przeciwnika do cofnięcia się.

Bane cofnął się chwiejnie. Atak tak go pochłoniął, że mało brakowało, a nie zauważyłby, jak Sirak wystrzelił ku niemu błękitną błyskawicę; ledwie zdążył na czas, aby przechwycić potencjalnie zabójczy strumień energii ostrzem miecza. Ruch był całkowicie instynktowny i rozpaczliwy; odsłonił go na pojedynczy, szybki cios Llokaya. Ale pejcz Githany cały czas ciął i trzaskał przed twarzą Llokaya, więc ten zajęty był parowaniem jej ciosów.

Bane spojrzał na Siraka, który się zawahał. W tym momencie rozległ się wrzask Llokaya, który źle ocenił nieprzewidywalną trajektorię pejcza Githany i stracił oko. Krzyknąłby pewnie jeszcze raz, gdyby od razu nie rozcięła mu gardła. Płonąca końcówka pejcza rozorała struny głosowe i krtań i Zabrak zmarł w pełnym bólu milczeniu.

Sirak, widząc, że stracił przewagę, wyłączył miecz świetlny, rzucił go na ziemię i upadł na kolana.

– Proszę, Bane – wyszeptał łamiącym się głosem. – Poddaję się. Jesteś prawdziwym lordem Sithów, teraz to wiem.

Githany szepnęła:

– Skończ z tym raz na zawsze, Bane.

Bane stanął nad upokorzonym nieprzyjacielem. Nagle ujrzał przed sobą nie Siraka, lecz wszystkich, których do tej pory zabił. Wszystkie istnienia, które zgasił. Fohargh. Makurth. Bezimienny żołnierz Republiki, którego zabił na Apatrosie. Jego ojciec.

Był odpowiedzialny za ich śmierć. Nawet teraz ciążyły mu te wspomnienia. Wyrzuty sumienia po śmierci Fohargha dręczyły go i miesiącami nie dopuszczały do Ciemnej Strony. Skuły go jak żelazo. Nie chciał więcej tego odczuwać.

– Posłuchaj mnie – błagał Sirak. – Będę ci służył. Zrobię wszystko, co rozkażesz. Możesz mnie wykorzystać. Będę ci pomagał. Bane, proszę... zlituj się!

Bane zebrał się w sobie.

– Ci, którzy błagają o litość – rzekł zimno – są zbyt słabi, by na nią zasługiwać. Jego ostrze ścięło głowę bezradnemu przeciwnikowi. Korpus trzymał się jeszcze przez chwilę w pozycji pionowej, ze zwęglonych strzępów skóry w miejscu, gdzie jeszcze niedawno głowa wyrastała z szyi, unosiły się smużki dymu. A potem Sirak upadł do przodu.

Wpatrzony w niego Bane czuł tylko jedno – wolność. Wstyd, poczucie winy, ciężar odpowiedzialności – wszystko to zniknęło po jednym, zdecydowanym pociągnięciu miecza. Otworzył się do końca na Ciemną Stronę. Wezbrała w nim, napełniając go ufnością i siłą.

Dzięki potędze osiągam zwycięstwo. Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.

Obejrzał się na uśmiechniętą Githany. W jej oczach zobaczył głód.

– To ja pierwsza powinnam była wiedzieć, że ciebie nie wolno nie doceniać. – odparła. – Widziałeś, że wzięłam twój miecz świetlny. Dlatego poszedłeś za mną!

– Nie – odparł Bane, wciąż pełen uniesienia po zabicu wroga. – Nie widziałem nic. Domyślałem się tylko.

Na moment spochmurniała, ale zaraz znów parsknęła śmiechem.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, lordzie Bane.

– Nie nazywaj mnie tak – odparł.

– Dlaczego nie? – zapytała. – Qordis nadał wszystkim studentom rangę mrocznego lorda Sithów.

Widząc grymas niezadowolenia, podeszła i objęła go ramionami za szyję, unosząc ku niemu twarz.

– Bane – szepnęła. – Będziemy walczyć z Jedi! Dołączymy do Bractwa Ciemności Lorda Kaana!

Ujął delikatne dłonie Githany we własne, duże i twarde, i ostrożnie zdjął je ze swoich ramion. Zaskoczona, nie opierała się, kiedy przycisnął je teraz do piersi.

Jak ma jej to wyjaśnić? Był już po Ciemnej Stronie. Egzekucja Siraka okazała się ostatnim krokiem. Przekroczył próg, nie było odwrotu. Nigdy więcej się już nie zawaha. Nigdy nie zwątpi. Przemiana, która rozpoczęła się, kiedy wstąpił do Akademii, teraz dobiegła końca. Był Sithem.

I bardziej niż kiedykolwiek rozumiał błędy Bractwa.

– Kaan to głupiec, Githany – wyszeptał, patrząc uważnie w jej oczy, aby wyczytać z nich reakcję.

Cofnęła się lekko, spróbowała uwolnić rękę, ale trzymał mocno.

– Nie znasz lorda Kaana, a ja znam – odparła obronnym tonem.

– To wielki człowiek. Człowiek z wizją.

– Jest ślepy jak orkeliński ślimak jaskiniowy – upierał się Bane. – Bractwo Ciemności, ta Akademia, wszystko, czym się stali Sithowie, to pomnik jego ignorancji! – Ścisnął mocniej jej rękę.

– Chodź ze mną. Na Korribanie już nic dla nas nie zostało, a na Ruusanie tylko śmierć. Ale wiem, dokąd się możemy udać. Znam miejsce, gdzie Ciemna Strona wciąż jest silna.

Wyrwała mu rękę i odsunęła się od niego.

– Lord Kaan zjednoczył Sithów do jednej chwalebnej sprawy! Możemy dołączyć do nich na Ruusanie.

– Więc idź. – Splunął. – Dołącz do tych na Ruusanie. Zjednocz się z nimi w klęsce. Odwrócił się i gniewnie wybiegł z sali, choć krzyknęła za nim:

– Czeka! Bane, czekaj!

Gdyby uczyniła jakikolwiek ruch, żeby za nim pójść, może by i zaczekał.

Ale teraz kopniakiem wyważył drzwi do pokoju Qordisa, aż uderzyły w ścianę z hukiem, który poniósł się po całym holu. Mistrz Akademii nie spał już i był ubrany; medytował na macie pośrodku pokoju. Teraz skoczył na nogi z pociemniałą z gniewu twarzą.



– Co to ma znaczyć?

– To ty nasłałeś Siraka, żeby mnie zabił? – wypalił Bane. Czas subtelności się skończył.

– Co? Ja... coś się stało Sirakowi?

– Zabiłem go. Yevrę i Llokaya też. Ich ciała są w archiwum. Wstrząs i przerażenie, jakimi zareagował Qordis, świadczył że mistrz nie miał nic wspólnego z atakiem.

– Zrobiłeś to w przeddzień naszego wyjazdu na Ruusan? – zapytał, a głos podniósł mu się aż do pisku.

Na zewnątrz w korytarzu zebrało się kilku innych mistrzów, zwabionych głośnym pojawieniem się Bane'a. I jeszcze grupka studentów. Bane'a to nie obchodziło.

– Możesz sobie jechać na Ruusan – warknął. – Ale ja nie chcę mieć nic wspólnego z Bractwem Ciemności.

– Jesteś studentem Akademii – przypomniał mu Qordis. – Zrobisz to, co ci każę!

– Jestem mrocznym lordem Sithów – odparował Bane. – Służę wyłącznie sobie. Zerknął przez ramię na niewielki tłumek zaciekawionych gapiów. Qordis zniżył głos do groźnego szeptu.

– Jutro wyjeżdżasz na Ruusan, lordzie Bane. Jedziesz z nami. Nie ma dyskusji.

– Wyjeżdżam dzisiaj – odparł Bane i też zniżył głos, przedrzeźniając ton Qordisa. – I nikt z was nie jest dość silny, żeby mnie powstrzymać.

Odwrócił się plecami do zwierzchnika Akademii i powoli wyszedł z pokoju. Przez krótką chwilę czuł, jak urażony mistrz zbiera Moc, i przygotował się na konfrontację, ale w sekundę później wrażenie zniknęło.

Na progu przystanął i przemówił, zwracając się zarówno do gromadki gapiów, jak i do samego Qordisa.

– Ktoś kiedyś powiedział mi, że Darth jest tytułem, który wyszedł z użycia, ponieważ powodował wśród Sithów rywalizację, a to czyniło z nich łatwy cel dla Jedi. Łatwiej było porzucić obyczaj i pozwolić, aby wszyscy Sithowie używali tego samego tytułu mrocznego lorda.

Uniósł lekko głos, tak, aby wszyscy mogli go słyszeć.

– Ale ja znam prawdę, Qordis. Wiem, dlaczego żaden z was nie chce przywłaszczyć sobie tego tytułu. Strach. Jesteście tchórzami.

Odwrócił się bokiem i spojrzał na Qordisa przez ramię.

– Nikt z Bractwa nie jest godzien tytułu Dartha. A ty najmniej ze wszystkich. Wśród zebranych rozległ się jęk zdumienia. Niektórzy studenci cofnęli się, czekając na jakąś reakcję. Oczywiście, reakcji nie było.

Bane pokręcił głową z niesmakiem i ich zostawił. Kiedy mijał innych mistrzów, podszedł do niego Kas'im i położył mu dłoń na piersi.

– Nie odchodź – rzekł fechtmistrz. – Porozmawiajmy. Może gdybyś poznał Kaana, zrozumiałbyś. Tylko o to proszę, Bane.

– Mów mi Darth Bane – odparł, strącając dłoń Twi’leka i przeciskając się obok niego.

Nikt już nie próbował go zatrzymać, kiedy wielkimi krokami przemierzał korytarze Akademii. Nikt nie szedł za nim, nikt go nawet nie zawołał, kiedy wstępował na schody wiodące do niewielkiego lądowiska na dachu.

Był tam tylko jeden statek – „Valcyn”, osobisty pojazd dalekiego zasięgu klasy T. Smukły jak klinga noża statek był jednym z najpiękniejszych we flocie Sithów i wyposażono go w najnowsze i najbardziej zaawansowane zdobycze techniki. Przybył zaledwie dzień wcześniej – dar Kaana dla Qordisa z wdzięczności za jego pracę włożoną w Akademię.

Bane opuścił rampę i wszedł. Podczas służby w wojsku przeszedł ogólne szkolenie z zakresu podstaw pilotażu standardowych statków wyposażonych w hipernapęd. Na szczęście stery „Valcyna” były zgodne z wszelkimi międzygalaktycznymi standardami działania i przeznaczone do łatwej obsługi. Usiadł zatem w fotelu pilota i odpalił silniki manewrowe. Wprowadzając do komputera współrzędne nadprzestrzenne swojego celu, jednocześnie wykonywał sekwencję startową. W chwilę potem „Valcyn” wzniósł się z lądowiska i wystrzelił w atmosferę, pozostawiając za sobą Akademię i Korribana.

## **CZEŚĆ III**

## ROZDZIAŁ 21

Lord Hoth, mistrz Jedi i pełniący obowiązki generała sił Republiki na Ruusanie, siedział skulony na pieńku przed namiotem i wpatrywał się w ciemne chmury nawisłe nad obozowiskiem. Skrzywił się pod adresem posepnego nieba, jakby mógł przegnać nadchodzącą burzę samym gniewnym wyrazem twarzy.

– Czy coś cię martwi, lordzie Hoth?

Głos mistrza Pernicara, długoletniego przyjaciela i prawej ręki podczas tej niekończącej się kampanii, przyciągnął jego uwagę do rzeczywistości, czyli tam gdzie być powinna.

– A co mnie nie martwi, Pernicar? – zapytał z ciężkim westchnieniem. – Mamy mało żywności i pakietów medycznych. Liczba rannych przekracza liczbę zdrowych. Zwiadowcy donoszą, że posiłki dla Kaana i Sithów są w drodze. – Uderzył się dłonią w kolano. – A nam na pomoc przychodzą młodzieńcy i dzieci.

– Dzieci, które są silne Mocą – przypomniał mu Pernicar. – Jeśli nie przeciągniemy ich na naszą stronę, uczynią to Sithowie.

– Do cholery, Pernicar, to tylko dzieciaki! Potrzebuję Jedi! W pełni przeszkolonych. Wszystkich, jakich możemy mieć. Ale wciąż są członkowie zakonu, którzy nie zamierzają nam pomóc.

– Może chodzi o to, jak ich o to prosisz – rozległ się zza ich pleców nowy głos. Hoth potarł skronie i spojrzał na mówiącego. Lord Valentyne Farfalla był jednym z pierwszych mistrzów, którzy dołączyli do Armii Światła na Ruusanie. Walczył prawie w każdej potyczce i Sithowie znali go dobrze: Farfallę trudno było przeoczyć nawet w ferworze bitwy.

Miał długie, gęste, złociste pukle, które spadały mu aż na plecy. Napierśnik jego zbroi był również złoty, wypolerowany i wyczyszczony tak, że przed każdą bitwą błyszczał jak lustro. Do napierśnika przymocowano jaskrawoczerwone rękawy, a jego metal był ozdobiony rubinami, które pasowały do koloru oczu i bladej skóry lorda.

Lord Hoth nie cierpiał go. Farfalla był lojalnym sługą Jasnej Strony, ale też próżnym, rozpuszczonym głupcem, który przed każdą bitwą spędzał więcej czasu na wybieraniu garderoby niż na planowaniu strategii. Farfalla był ostatnią osobą, z którą dzisiaj chciał rozmawiać.

– Gdybyś okazywał więcej taktu, lordzie Hoth – ciągnął Farfalla, wchodząc mu w pole widzenia – mógłbyś zebrać więcej Jedi dla swojej sprawy.

– Nie muszę ich przekonywać! – ryknął Hoth, zrywając się na nogi i z rozpaczą unosząc ramiona. Farfalla zgrabnie odskoczył poza ich zasięg. – Walczymy z Sithami! Ciemną Stronę trzeba zniszczyć! Moglibyśmy to zrobić, gdyby było tu więcej Jedi.

– Są tacy, którzy nie patrzą na to w ten sposób – zauważył spokojnie Pernicar. Przywykł już do wybuchów Hotha w czasie wspólnego pobytu na Ruusanie, nauczył się też je ignorować, przynajmniej w większości.

– Istnieją jeszcze inne światy Republiki, które są atakowane – wtrącił Farfalla. – Wielu Jedi pomaga żołnierzom Republiki w innych sektorach, chroniąc je przed flotą Sithów.

Hoth splunął na ziemię i z przyjemnością zauważył na twarzy Farfalli grymas odrazy.

– Te floty może i latają pod banderą Sithów, ale to zwykle istoty. Republika ma dość wojsk, aby ich pokonać. Nie potrzebuje do tego pomocy Jedi. Wszyscy prawdziwi Sithowie, mroczni lordowie, są teraz tutaj. Jeśli zniszczymy Bractwo Ciemności, rebelia Sithów upadnie. Czy oni tego nie rozumieją?

Zapadło długie milczenie. Pozostała dwójka wymieniała niepewne spojrzenia. Wreszcie to Pernicar odważył się odpowiedzieć:

– Część Jedi jest zdania, że nie powinniśmy tu tkwić. Uważają, że Bractwo trzyma się razem tylko dzięki swojej nienawiści do Armii Światła. Twierdzą, że jeśli uwolnimy i poddamy Ruusan, Sithowie rzucą się na siebie i Bractwo zniszczy się samo.

Hoth z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Czy nie widzą, jak niezwykle mamy tutaj okazję? Możemy raz na zawsze zniszczyć wyznawców Ciemnej Strony!

– Niektórzy sprzeczałiby się, że nie jest to cel naszego zakonu – łagodnie zauważył Farfalla. – Jedi to obrońcy Republiki. Uważają, że Armia Światła przedłuża rewoltę, podsycając zdecydowanie Sithów. Twierdzą, że w istocie szkodzisz Republice, której przysięgłeś bronić.

– Czy ty też tak uważasz? – warknął Hoth.

– Lord Farfalla był z nami od samego początku – przypomniał mu Pernicar. – Mówi ci tylko to samo, co mówią inni... ci Jedi, którzy nie przybyli na Ruusan.

– Sithowie dostali posiłki z Korribana – burknął Hoth. – Jest nas tyłu, że zaledwie zdołalibyśmy ich odeprzeć. Muszą to zrozumieć.

– Prawdopodobnie mielibyśmy więcej szczęścia, gdyby porozmawiał z nim ktoś inny – odparł Farfalla. – Są tacy, którzy uważają, że w tej chwili to już twoja osobista wendeta. Nie widzą Ruusana jako miejsca ostatecznego starcia pomiędzy światłem a mrokiem, ale raczej jako spór pomiędzy tobą a lordem Kaanem.

Hoth usiadł, wyraźnie zmęczony.

– Więc już po nas. Bez posiłków zostaniemy pokonani.

Farfalla przykucnął obok niego, kładąc na ramieniu Hotha doskonale wymanikiowaną, uperfumowaną dłoń. Generał Jedi potrzebował całej swojej dyscypliny, żeby nie strząsnąć jej z odrazą.

– Wyślij mnie, panie – rzekł Farfalla. – Jestem tu od samego początku. Wierzę w tę sprawę równie silnie jak ty.

– Dlaczego mieliby słuchać ciebie bardziej niż mnie? Farfalla zaśmiał się wysokim, szczebiotliwym chichotem, od którego Hothowi ścierpły zęby.

– Mój panie, jesteś doskonały w boju i silny Mocą, ale brakuje ci delikatnej sztuki dyplomacji. Jesteś generałem, twoje milczące usposobienie dobrze się sprawdza, kiedy wydajesz rozkazy żołnierzom. Niestety, tych, którzy nie służą pod twoimi rozkazami, może to zirytować.

– Jesteś zbyt bezpośredni, panie – wyjaśnił dodatkowo Pernicar.

– Właśnie to próbuję powiedzieć – upierał się Farfalla z lekką nutą irytacji. Po chwili dodał: – Jeśli o mnie chodzi, ludzie uważają, że jestem inteligentny i czarujący. Potrafię być też przekonujący, jeśli trzeba. Dajcie mi pozwolenie na rekrutowanie kandydatów do naszej sprawy, a wrócę z setką... nie, z trzema setkami!... Jedi gotowych wstąpić do Armii Światła.

Hoth znowu opuścił głowę na dłoń. Pulsowało mu w skroniach, Farfalla zawsze wywoływał u niego takie dolegliwości.

– Idź – wymamrotał, nie podnosząc wzroku. – Jeśli jesteś taki pewien, że możesz sprowadzić mi posiłki, zrób to.

Farfalla złożył mu skomplikowany ukłon, odwrócił się i odszedł. Jego złote loki powiewały na wznagającym się wietrze nadchodzącej burzy.

Jak tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu, Pernicar przemówił znowu:

– Czy to mądre, panie? Nasze szeregi już i tak znacznie się przerzedziły. Jak długo jesteśmy w stanie przetrwać bez niego?

Zaczął padać deszcz – ciężkie, grube krople. Hoth podniósł głowę, tknięty nagłą myślą.

– Sithowie nie mogą nas pokonać, jeśli nie staniemy do walki – rzekł. – Nie damy im szansy. Nadchodzi pora deszczowa, deszcze uniemożliwią ich zwiadowcom wysledzenie nas. Ukryjemy się w lesie, nękając ich szybkimi atakami i pułapkami, by znów się skryć wśród drzew.

– Ta strategia przestanie działać w porze suchej – ostrzegł Pernicar.

– Jeśli do tej pory Farfalla nie sprowadzi posiłków, to nie będzie miało znaczenia.

Pięć interloperów – małych wieloosobowych statków transportowych średniego zasięgu, wykorzystywanych przez Sithów – powoli przesunęło się nisko nad horyzontem Ruusana. Każdy statek miał na pokładzie załogę składającą się z dziesięciu osób, wyłącznie z byłych studentów i mistrzów Akademii na Korribanie.

W pierwszym statku Githany obsługiwała stery ze spokojną precyzją doskonale wyszkolonego pilota. Nauczyła się latać na statkach Republiki, ale zasady były te same.

Interlopery były lżejsze i szybsze niż transportery Bivouac, preferowane przez Republikę. Miały mniejszą powierzchnię opancerzoną, poświęcając bezpieczeństwo w zamian za większy zasięg i zwrotność. Githany, jakby chciała udowodnić, że tak właśnie jest, wykonała ostry skręt w lewo i w dół, sprowadzając pojazd tak blisko powierzchni planety, że liście na drzewach potężnego ruusańskiego lasu zadrżały pod podmuchem silnika jonowego.

Pozostałe statki ruszyły za nią, nie zrywając ani na chwilę formacji. Połączeni poprzez Moc z Githany, pozostali piloci reagowali w doskonałej zgodności na każdy jej ruch. Jeśli popełni błąd, cały konwój zginie. Ale Githany nie popełniała błędów.

– Bezpieczniej byłoby wspiąć się wyżej ponad linię drzew – zauważył lord Qordis ze swojego miejsca w kabinie Githany.

– Nie chcę, żeby Jedi złapali nas w swoje skanery – wyjaśniła, skupiając uwagę na tym, aby nie rozbić statku o ocean drzew wznoszący się zaledwie o parę metrów poniżej pancerza.

– Bractwo nie zabezpieczyło tego terenu. Jeśli namierzy nas eskadra szperaczy, te transportery nie są tak dobrze uzbrojone, by je utrzymać na dystans.

Daleko przed nimi pojawiła się nagle grupka licząca około tuzina myśliwców. Ich trajektoria prowadziła kursem przechwytyjącym w stosunku do interloperów. Qordis zaklął, a Githany przygotowała się do manewrów unikowych.

W chwilę później rozpoznała charakterystyczne kontury buzzardów Sithów i odetchnęła z ulgą.

– To tylko nasza eskorta.

W ciągu kilku minut mogli znaleźć się w obozowisku Sithów, a pod osłoną buzzardów, które wyłowiłyby wszystkie atakujące myśliwce Jedi, nie było powodu, żeby trzymać się tak nisko nad czubkami drzew. Githany mogła teraz popuścić nieco drążek i podnieść statek na bezpieczniejszą wysokość.

Ona jednak wolała trzymać kurs. Podobał jej się ten dreszczyk pozostawiania o cienki i delikatny włos od ognistej i natychmiastowej śmierci. Ze sztywnej postawy Qordisa w fotelu drugiego pilota wносиła, że mistrz nie podziela jej opinii.

Jak tylko wylecieli poza las, dodała gazu, a potem z wdziękiem posadziła statek na lądowisku na skraju obozu lorda Kaana.

Niewielka grupka mistrzów Sithów z Kaanem na czele czekała, aby powitać lądujące posiłki. Było ich tylko pięćdziesięciu, ale każdy z nich był lordem Sithów: potężniejszym niż cała dywizja żołnierzy.

Kierując się w stronę rampy wyjściowej, Githany zrozumiała, dlaczego ich obecność była tak niezbędna i wymagana. Poza grupą wokół mrocznego lorda cała reszta obozowiska rozciągała się aż po horyzont i przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Podniszczone połamane namioty, ustawione w ciasne pierścienie po pięć, stanowiły kwatery główne części armii;

domy z materiału zszarganego przez wiatr i deszcz. Pośród nich widać było rozrzucone pojazdy repulsorowe, ciężkie wieżyczki dział i inny sprzęt wojenny. Broń była pordzewiała i pokryta zaschniętym błotem, jakby porzucono wszelkie wysiłki, aby ją utrzymać w stanie używalności.

Żołnierze stali w małych grupkach, skuleni wokół ognisk rozpalonych w kręgach namiotów. Ich mundury również pokrywał kurz, wielu nosiło brudne bandaże na ranach, które nie miały już żadnych szans na sterylność i czystość. Ich twarze poorly gorycz zbyt wielu porażek z rąk nieprzyjaciela, lecz najbardziej wstrząsający był brak nadziei, widniejący w ich oczach.

Lord Qordis wydawał się równie zaskoczony ponurą sceną jaką miał przed sobą. Skrzywił się na widok nadchodzącego lorda Kaana.

Kaan wydawał się wychudły, zapadniętą twarz poorly zmartwienia. Włosy miał w nieładzie i brudne, jego szczękę pokrywał dwudniowy zarost, co sprawiało, że wydawał się stary i znużony. I fizycznie mniejszy niż go pamiętała Githany. Skurczony. Mniej władczy. Iskra, którą uznała za tak kuszącą, kiedy go pierwszy raz zobaczyła, zniknęła. Kiedyś jego oczy płonęły ogniem, jak u człowieka całkowicie pewnego sukcesu. Teraz było w nich coś zupełnie innego. Desperacja. Może nawet szaleństwo. Nie wiedziała, ale przyszło jej na myśl, że Bane może mieć rację.

– Witaj, lordzie Qordis – rzekł Kaan, chwytając przybysza za ramię. Po chwili zwolnił uścisk i zwrócił się do pozostałych. – Witam wszystkich na Ruusanie.

– Nie spodziewałem się, że twoja armia jest w tak marnym stanie – mruknął Qordis.

W twarzy Kaana zapłonęło coś, co mogłoby zostać zinterpretowane jako gniew, ale zaraz uleciało. Jego miejsce zajęła promienna pewność siebie, którą Githany tak dobrze pamiętała. Wypiął pierś i się wyprostował.

– Nie można sądzić zwycięzcy wojny, nie widząc stanu, w jakim znajdują się obie strony – powiedział służbiście – Jedi są w znacznie gorszym stanie. Mój wywiad donosi, że mają więcej ofiar niż my. Zapasy im się kończą, liczebność maleje. Mamy pakiety medyczne, żywność i jest nas więcej. A oni nie dostają żadnych posiłków.

Podniósł głos tak, aby słyhać go było w całym obozie. Jego słowa niosły się pośród namiotów.

– Teraz, kiedy tu jesteście, Bractwo Ciemności nareszcie jest w komplecie! Żołnierze w obozowisku przystanęli i spojrzeli w jego stronę. Kilku z niedowierzaniem wstało z ziemi. W tym jednym prostym stwierdzeniu były siła i ogień, który rozpałił na nowo nadzieję w wilgotnych popiołach ich zmęczenia i rozpaczy.

– Cała potęga Sithów została zjednoczona tu, na Ruusanie – ciągnął, a jego słowa docierały do najodleglejszych nawet słuchaczy. Sięgając ku nim niezaprzeczną potęgą Mocy, karmił ich, odmładzał i wypełniał ich puste dusze. – Jesteśmy silni. Silniejsi niż Jedi. Jesteśmy wojownikami Ciemnej Strony i zmiądzimy lorda Hotha i jego sługi światła!



Żołnierze wydali potężny ryk triumfu. Ci, którzy siedzieli, zerwali się na nogi. Ci, którzy stali, zaczęli potrząsać pięściami w powietrzu. Echo ich wiwatów zachwiało obozowiskiem jak trzęsienie ziemi.

Githany poczuła to samo co reszta żołnierzy. To nie były tylko słowa. Wszystkie wątpliwości i lęki po prostu zniknęły, zmiażdżone ciężarem tej krótkiej przemowy. Wydawało jej się, że jakaś siła, potężniejsza od niej, skłania ją do posłuszeństwa.

Przeszli przez obozowisko, rozkoszując się odnalezionym na nowo optymizmem żołnierzy. Lord Kaan zaprowadził ich do wielkiego namiotu, gdzie prowadził sesje wojenne. Potężny Twi'lek dogonił lorda Kaana, wyprzedzając Githany. Ogarnięta ogólną euforią musiała chwilę pomyśleć, aby sobie go przypomnieć: lord Kopecz.

– Gdzie jest Bane? – zapytał Qordisa tak cicho, że prawdopodobnie słyszeli go jedynie Qordis i Githany.

– Odszedł – odparł Qordis.

Kopecz stęknął tylko.

– Jak to się stało? Zabiłeś go? – Z wielkim trudem ukrywał złość.

– Nie, wciąż żyje. Ale odwrócił się od Bractwa Sithów.

– Potrzebujemy go – upierał się Kopecz. – Jest zbyt silny, żeby go wypuścić.

– To był jego wybór, nie mój! – warknął Qordis.

Przez chwilę szli dalej bez słowa. Wreszcie pierwszy przemówił Kopecz.

– Czy przynajmniej wiadomo, dokąd się udał? – zapytał z westchnieniem.

– Nie – odparł Qordis. – Nikt tego nie wie.

Bane wyprowadził „Valcyna” z nadprzestrzeni na najdalszym skraju odległego systemu, po czym włączył silniki jonowe i powoli ruszył w kierunku jedynej nadającej się do zamieszkania planety: małego świata na orbicie wokół bladego żółtego słońca.

Oficjalnie planeta nazywała się Lehon, tak samo jak system słoneczny, ale częściej nazywano ją Nieznanym Światem. Prawie trzy tysiące lat temu, w tym mało znaczącym systemie leżącym poza najdalszymi granicami zbadanej przestrzeni, Darth Revan i Darth Malak odnaleźli Rakatów – dawny gatunek istot, korzystających z Mocy i rządzących galaktyką na długo przed narodzinami Republiki.

Odkryli również Kuźnię Gwiazd – niewiarygodną, orbitującą stację kosmiczną, fabrykę... i pomnik potęgi Ciemnej Strony. Tu rozegrała się wielka bitwa pomiędzy Republiką pod wodzą zreformowanego Jedi Dartha Revana i Sithami Dartha Malaka. Malak został pokonany, Sithowie rozbici w pył, a Kuźnia Gwiazd zniszczona, choć kosztem ogromnego poświęcenia Republiki.

Nawet teraz widać było wokół szczątki upamiętniające tę walkę tytanów. Statki obu flot zostały wchłonięte przez potężną eksplozję, która zniszczyła Kuźnię Gwiazd. Wszystko, co dostało się w falę uderzeniową wybuchu, włącznie z samą potężną fabryką, zostało

zniszczone i rozerwane na strzępy, a potem spojone ze sobą przez temperaturę wybuchu w nierozpoznawalne kęsy metalu.

Większość szczątków połączyła się w szeroki pierścień, który otaczał małą planetę Lehona niczym pierścienie wielu gigantów gazowych. Resztki śmieci rozprzestrzeniły się po całym systemie, orbitując wokół słońca jak szerokie pole asteroid, utrudniające, jeśli nie uniemożliwiające nawigację.

Bane przełączył sterowanie na ręczne i przejął stery. Używając Mocy, ostrożnie wmanewrował statek w ten zdradziecki tor przeszkód. Potrzebował prawie godziny, żeby się przedrzeć, a kiedy wreszcie przeleciał przez pierścień w stosunkowo bezpieczny obszar atmosfery Nieznanego Świata, od intensywnej koncentracji cały był zlany potem.

Nie było tu innych statków, z którymi musiałby się liczyć, nikt też nie wywoływał go, kiedy schodził na powierzchnię planety, szukając miejsca do lądowania.

Kiedy Revan i Malak odkryli Rakatów, ci byli już wymierającym gatunkiem na skraju wyginięcia. Praktycznie wszelkie dowody ich istnienia poza własnym maleńkim światkiem zostały zniszczone. Usunięto ich z pamięci galaktycznej. Po bitwie o Kuźnię Gwiazd niewiele się zresztą zmieniło.

Urzednicy Republiki oczywiście wiedzieli o nich, ale ich istnienie nigdy nie zostało uznane oficjalnie, jeśli nie liczyć tajnych raportów z konfliktu. Uważano, że opinia publiczna nie zareagowałaby dobrze na ponowne pojawienie się starożytnego gatunku, który niegdyś zniewolił pół galaktyki. Tych kilku Rakatów, którzy przeżyli, odmówiło opuszczenia planety przodków, a ich liczba była niewystarczająca, aby stworzyć pulę genów konieczną do przetrwania. Po kilku jeszcze pokoleniach długie, powolne wymieranie gatunku dobiegło końca.

Utrzymanie w tajemnicy istnienia Rakatów okazało się zaskakująco proste. Od czasów bitwy system nie zwracał niczyjej uwagi. Wprawdzie po zniszczeniu Kuźni Gwiazd krążyło wokół mnóstwo złomu nadającego się do odzysku, ale nikt jakoś nie kwapił się, aby go wykorzystać. Zamiast bezcześcić latające mogiły własnych żołnierzy, Republika wolała uhonorować pamięć swoich zmarłych: ogłosiła Lehon chronionym obiektem historycznym. Dzięki temu każde wejście do systemu bez specjalnego zezwolenia było nielegalne.

Nikt jednak nie występował o zezwolenia. System nie miał szczególnych zasobów ani wartości, jeśli nie liczyć zabytkowych szczątków statków. Znajdował się poza uczęszczanymi szlakami handlowymi i trasami nadprzestrzennymi – tak daleko, że nawet przemytnikom nie chciało się tam latać. Krótka informacja o lokalizacji systemu została wszakże dodana do oficjalnych rejestrów Republiki i od tej pory zaczął się on pojawiać jako nic nieznacząca kropczka na bardziej szczegółowych gwiazdnych mapach. Poza tym właściwie mógł nie istnieć.

Bane rozumiał, że nie jest to aż tak proste. Nieznany Świat był silny Mocą. Mógł okazać się nawet miejscem narodzin pierwszych sług Ciemnej Strony – przywódców Rakatów,

którzy poprowadzili swój lud na podbój i zniewolenie setek światów na dziesięć tysięcy lat przed wynalezieniem technologii hipernapędu przez cywilizowaną część galaktyki. Ich potęga skupiła się i skoncentrowała w Kuźni Gwiazd i uwolniła się wraz z jej zniszczeniem.

Jedi rozumieli to i obawiali się zła, jakie może zrodzić się w takim miejscu. Urzędnicy Republiki działali zgodnie z ich zaleceniami, izolując cały system od reszty galaktyki, a właściwie obejmując go kwarantanną. W kolejnych stuleciach Jedi ze wszystkich sił starali się utrzymać jego sekrety w ukryciu. Historia Revana i Malaka przetrwała, podobnie jak plotki o Rakatach, ale prawdziwą naturę Nieznanego Świata ukryto pod całunem tajemnic, kłamstw i przemilczeń.

W archiwach Akademii Bane natrafił na kilka fragmentarycznych informacji, które powiedziały mu prawdę. Początkowo nawet nie zdawał sobie sprawy z implikacji tego, co czyta. Mała wzmianka o jakiejś planecie tu, jakaś aluzja tam. Zrozumienie przyszło powoli, w miarę jak Bane wgłębiał się w tajemnice Ciemnej Strony. Im więcej wiedział, tym bliżej mu było do zebrania w całość układanki. Miał nadzieję zakończyć ją w Dolinie Mrocznych Lordów, ale dopiero teraz stawiał się po jej ostatni element.

Świat pod nim wyglądał jak patchwork z małych wysepek tropikalnych, rozsianych po jaskrawobłękitnym oceanie. Skorzystał z czujników „Valcyna”, aby znaleźć największy ląd, po czym podleciał bliżej w poszukiwaniu miejsca do lądowania. Wyspa była niemal całkowicie pokryta gęstą, zieloną dżunglą i nigdzie nie było widać polanki dość dużej, aby mógł na niej wylądować statek. Wreszcie ściągnął drążek, zaczął powolne schodzenie w dół i wylądował na krystalicznie czystym piasku plaży na brzegu wyspy.

Gdy tylko stopy Bane’a dotknęły powierzchni Nieznanego Świata, poczuł to: głębokie dudnienie, podobne do tego, które poznał na Korribanie, lecz o wiele, wiele silniejsze. Nawet powietrze wydawało się tu inne: ciężkie od starożytnej historii i dawno zapomnianych sekretów.

Stojąc plecami do oceanu, wbijał wzrok w prawie nieprzebytą ścianę lasu, który pokrywał interior wyspy. I wtedy poczuł obecność jakiejś formy życia, ogromnej i obdarzonej niezwykłą siłą. Kierowała się ku niemu. Bardzo szybko.

W kilka sekund później słyszał już łomot w zaroślach. Chyba ściągnęły tę istotę odgłosy lądowania statku na plaży – czyżby jakiś potwornych rozmiarów myśliwy szukający ofiary?

Rankor wyskoczył z lasu i rzucił się przez plażę w kierunku Bane’a, wydając okropne ryki. Bane ani drgnął; z zachwytem obserwował szybkość przemieszczania się ogromnej bestii. Kiedy odległość między nimi wynosiła mniej niż pięćdziesiąt metrów, spokojnie wyciągnął dłoń i sięgnął poprzez Moc, aby dotknąć umysłu potwora.

Na niewypowiedziany rozkaz zwierzę zatrzymało się jak wryte, dysząc ciężko. Bane podszedł powoli, starannie utrzymując w ryzach drapieżne instynkty bestii. Rankor pozostał nieruchomy, jak potulny tauntaun, do którego zbliża się znajomy jeździec.

Z rozmiarów stwora Bane domyślał się, że jest to dorosły samiec, choć jaskrawa barwa skóry i niewielka liczba blizn sugerowały, że dorósł dopiero niedawno. Położył dłoń na jednej z jego masywnych nóg, wyczuwając pod skórą drżące mięśnie, i wniknął głębiej w umysł zwierzęcia.

Nie znalazł świadomości, koncepcji ani zrozumienia mistrzów, którzy kiedyś okiełznali te bestie i używali jako strażników oraz wierzchowce. Nie był tym zaskoczony. Rakatowie zniknęli na wiele stuleci przed narodzeniem tego osobnika. Bane szukał jednak czego innego.

Zalała go fala obrazów i wrażeń. Nieustanne łowy w lesie, większość zakończona powodzeniem i jatką. Odgłosy miażdżonych kości. Pożeranie jeszcze ciepłego mięsa ofiary. Szukanie samicy. Walka z innym rankorem o dominację. Aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

Natrafił na głęboko zakopany w pamięci stworzenia obraz ogromnej, czworościennej piramidy, ukrytej głęboko w sercu dżungli. Rankor widział ją tylko raz, kiedy wciąż jeszcze był młodzikem pod opieką matek stada. Jednak budowla wyryła nieścieralne piętno na umyśle prymitywnego zwierzęcia.

Rankor był ostatnim zwierzęciem w łańcuchu pokarmowym Nieznanego Świata. Nie znał strachu, ale zawył cicho, kiedy Bane wydobył z jego pamięci wspomnienie Świątyni. Bestia zadrżała, wiedząc, czego od niej oczekują, lecz nie mogła uciec. Moc zmuszała ją do posłuszeństwa.

Przycupnęła nisko przy ziemi i Bane wskoczył jej na grzbiet. Rankor ostrożnie dźwignął się na nogi. Jeździec siedział na jego potężnych, zgarbionych plecach. Na rozkaz Bane'a rankor ruszył przed siebie w gąszcz, unosząc go ku starożytnej rakatańskiej świątyni.

## ROZDZIAŁ 22

Potrzeba było prawie godziny, by dotarł na miejsce. Zieleń wokół pulsowała życiem, ale kiedy rankor niósł go przez dżunglę, Bane wokół nie dostrzegał niczego poza owadami i małymi ptakami. Większość stworzeń postanowiła zniknąć na długo przed pojawieniem się rankora, uciekając zbyt szybko, by dało się je zobaczyć choćby przelotnie. Mimo to wyczulony zmysł węchu rankora często trafiał na ich ślad i niejedną raz Bane musiał hamować instynkty łowieckie zwierzęcia, aby dotrzeć do celu.

Nie dość, że trudno było powstrzymać bestię przed pogonią za kolejnym posiłkiem, to w miarę jak zbliżali się do Świątyni, coraz trudniej było nią kierować. Co kilka kroków rankor próbował raptownie skrócić w bok albo zawrócić z drogi. Raz nawet chciał stanąć dęba i zrzucić pasażera z grzbietu.

W gęstym lesie Bane sięgał wzrokiem tylko kilka metrów naprzód, ale wiedział, że są blisko. Wyczuwał moc Świątyni, wzywającą go zza nieprzeniknionej zasłony splecionych pnączy i powykręcanych gałęzi. Czerpiąc z Ciemnej Strony, zdołał wreszcie ostatecznie ujarzmić wolę oporu potężnego rankora i popędził go do przodu.

Nagle wypadli na polankę o średnicy około stu metrów. Pośrodku niej stała rakatańska Świątynia. Budowla strzelała prawie na dwadzieścia metrów w niebo, jak pomnik z rzeźbionego kamienia i skały. Jedyne wejście stanowił ogromny łuk na szczycie imponującej klatki schodowej wrytej w zewnętrzną ścianę samej Świątyni. Sama kamienna powierzchnia była nieskalana – czysta i surowa, nieskażona lepkiem mchem i pnączami. Otaczające tereny były nagie, jeśli nie liczyć kobierca krótkiej, miękkiej trawy. Wydawało się, jakby dżungla bała się podejść bliżej i opanować złowrogi kamień.

Bane zeskoczył z wierzchowca, całą uwagę skupiając na budowli przed sobą. Uwolniony z jego mocy rankor odwrócił się i uciekł w zarośla. Potworny łoskot jego ucieczki tłumili ryki umęczonego zwierzęcia, ale Bane ich nie słyszał. Rankor nie był mu już potrzebny. Znalazł to, czego szukał.

Na drżących nogach zbliżył się do Świątyni i stanął jak wryty. Pokręcił głową. Ciemna Strona była tu silna, tak silna, że kręciło mu się w głowie. A to oznaczało, że jest to niebezpieczne miejsce. Nie mógł sobie pozwolić na wędrowkę w oszołomieniu.

Zgodnie z tym, co wyczytał w archiwach Świątynia była niegdyś chroniona potężnym polem siłowym, które zdołało wyłączyć dopiero całe plemię Rakatów jednocześnie – choć

każdy z nich był potężny Mocą. Teraz Bane nie czuł takiej bariery, ale tylko szalenie nie zachowywałby ostrożności.

Podobnie jak w grobowcach na Korribanie, zaczął sondować otoczenie Mocą. Czuł echa zabezpieczeń, które niegdyś chroniły Świątynię, ale były tak słabe, jakby wcale nie istniały. Nie zaskoczyło go to. Tarcze wokół Świątyni były zasilane z orbitującej Kuźni Gwiazd. Po jej zniszczeniu tarcze opadły... tak samo jak inne zabezpieczenia, które do tej pory z Nieznanego Świata czyniły cmentarzysko statków.

Zastanawiając się, co jeszcze uległo zniszczeniu w czasie spektakularnego końca Kuźni Gwiazd, Bane minął dziedziniec i wszedł na stopnie Świątyni. Schody były strome, lecz szerokie, a kamień nie wydawał się ani popękany, ani wytarty pomimo wieku. Stopnie kończyły się na niewielkiej platformie wiodącej do kamiennego portalu wejściowego, w trzech czwartych drogi na górę. Bane zatrzymał się w progu i wszedł. Doznał przelotnego uczucia, podobnie jak ci, którzy przychodzili tu przed nim: oczekiwanie, dreszcz odkrycia. Wewnątrz jednak wystarczyło kilka minut, aby jego podniecenie opadło.

Podobnie jak cmentarz na Korribanie, Świątynia została odarta z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Bane szukał całymi godzinami. Zaczynając od górnych pięter, gdzie wszedł najpierw, zanurzał się głębiej i głębiej, przeczesując każdy centymetr pustych korytarzy, aż dotarł do samych piwnic. Krypty Doliny Mrocznych Lordów wydawały się wysane – wykorzystane i odrzucone. Nieznany Świat był jednak inny. Tu wciąż była Moc.

Tu coś znajdzie. Był tego pewien. Odmawiał przyjęcia kolejnej porażki.

I znalazł. Na najniższym piętrze Świątyni, głęboko pod powierzchnią planety. Tu jego opętana kruczata wreszcie dobiegła końca. Kiedy po raz pierwszy wszedł do tego pomieszczenia, jego uwagę natychmiast przyciągnęły pozostałości potężnego komputera, wyraźnie już nie do naprawy. A potem zobaczył coś dziwnego w ścianie za komputerem.

Na jej powierzchni wytrawiono kilka tajemniczych symboli – prawdopodobnie w języku Rakatów. Dla niego nie miały wielkiego znaczenia, zapewne nie spojrzalby na nie drugi raz, gdyby nie to, że jeden z nich świecił.

Początkowo nawet tego nie zauważył. Była to subtelna, fioletowa poświata, która okalała krawędzie jednego z tych niezwykłych kształtów. I znajdowała się prawie dokładnie na wysokości oczu.

W miarę jak się wpatrywał, poświata stawała się coraz jaśniejsza. Podeszedł bliżej i nieśmiało wyciągnął rękę. Światło zamigotało, aż zdumiony odskoczył w tył. Sięgnął raz jeszcze, ale tym razem zamiast użyć dłoni, skorzystał z Mocy.

Kamienna litera ożyła z nagłym błyskiem.

Z trudem opanowując niecierpliwość, Bane jeszcze raz wyciągnął dłoń i mocno przycisnął jaśniejący symbol. Rozległ się odgłos obracających się przekładni i zgrzyt kamienia o kamień. Pojawił się zarys małego kwadratu – nie więcej niż pół metra na pół – i część ściany wysunęła się do przodu.

Bane odsunął się, a kawałek muru spadł na podłogę i rozbił się u jego stóp. Za nim znajdowała się niewielka nisza. Bez wahania wsunął ramię w mrok, by wyjąć to, co z pewnością znajdowało się w środku.

Jego palce owinęły się wokół zimnego i ciężkiego przedmiotu. Wyciągnął rękę i ze zdumieniem przyglądał się artefaktowi, który trzymał w dłoni. Nieco większy od pięści, miał kształt czworościennej piramidy – coś jakby niewielka replika świątyni, w której się znajdował. Bane natychmiast rozpoznał zdobycz: holocron Sithów, skarbnica zakazanej wiedzy, czekająca tylko, by ją stworzyć.

Sztuka konstruowania holocronów była zapomniana od niezliczonych tysiącleci, ale podczas swoich studiów Bane liźnął nieco teorii ich projektowania. Informacja, jaką zawierały, zmagazynowana była w przeplecionej, samokodującej matrycy cyfrowej. Systemy zabezpieczeń holocronu nie dawały się ani złamać, ani obejść, informacji nie można było wykraść ani skopiować. Był tylko jeden sposób, aby dotrzeć do zawartych w nim informacji.

Każdy holocron miał odcisniętą w sobie osobowość jednego lub kilku mistrzów, którzy strzegli jego zawartości. Kiedy żądała do niej dostępu osoba zdolna zrozumieć jej sekrety, holocron wyświetlał maleńkie, szkicowe portrety przedstawiające poszczególnych strażników. Poprzez interakcję z uczniem programowane symulacje nauczały i instruowały dokładnie tak jak nauczyciel z krwi i kości.

Wszystkie informacje na temat holocronów Sithów wspominały jednak o starożytnych symbolach ozdabiających czworościenną piramidę. Holocron, który Bane trzymał w dłoniach, był praktycznie czysty. Czy to możliwe, aby pochodził z wcześniejszych czasów aniżeli holocrony starożytnych Sithów? Czy to artefakt samych Rakatów? Czy strażnikami holocronu, których osobowości zostały w nim zawarte, są obcy mistrzowie z czasów przed narodzinami Republiki? A jeśli tak, czy będą gotowi dzielić się z nim swoimi sekretami? Czy w ogóle zechcą odpowiadać?

Ostrożnie, delikatnie położył holocron na podłodze i usiadł przed nim. Skrzyżował nogi i zaczął oddychać powoli, głęboko, żeby wejść w trans medytacyjny. Zbierając i koncentrując energię, Bane wyemitował falę mrocznej Mocy, obejmując nią mały przedmiot na podłodze. Holocron w odpowiedzi zamigotał i zaiskrzył.

Wstrzymał oddech z emocji, nie całkiem pewny, co się zdarzy za chwilę. Z czubka piramidy wystrzelił cienki promień światła i rozproszył się na drobniejsze, błyszczące cząsteczki, które uniosły się w powietrze, wirując i krążąc, by wreszcie zastygnąć w kontur postaci owiniętej w płaszcz, o twarzy całkowicie osłoniętej ciężkim kapturem.

Rozległ się głos – wyraźny, czysty i surowy. – Jestem Darth Revan, Mroczny Władca Sithów.

Puste sale Świątyni zatrzęsły się od triumfalnego, grzmiącego śmiechu Bane'a.

Bane uznał, że nauki zawarte w tym jednym holocronie przewyższały wartością wszystkie zapisy archiwów Akademii. Revan odkrył wiele rytuałów dawnych Sithów i w

miarę jak jego holocronowy awatar ujawniał ich naturę i cel, Bane odnosił coraz silniejsze wrażenie, że nie jest w stanie objąć umysłem niesamowitego potencjału, jaki w sobie zawierały. Niektóre z rytuałów były straszliwe – tak niebezpieczne, że nawet mistrz Sithów zawahałby się przed ich odprawieniem; Bane wątpił, czy odważy się je zastosować. Jednak bardzo starannie kopiował wszystko po kolei na ryzach flimsiplastu, zabezpieczając je starannie, by później przestudiować je dokładnie i w spokoju.

A potem okazało się, że w holocronie zawarty jest wiele informacji oprócz opisu starożytnych praktyk czarnoksiężników Ciemnej Strony. W ciągu kilku tygodni Bane nauczył się więcej o naturze Ciemnej Strony niż przez cały czas spędzony na Korribanie. Revan był prawdziwym lordem Sithów, nie takim jak histeryczni mistrzowie, którzy kłaniali się Kaanowi i jego Bractwu. A wkrótce cała jego wiedza – jego pojmowanie Ciemnej Strony – będzie należała do Bane’a.

Githany obudziła się raptownie, zrzucając koc z leżanki na klepisko namiotu. Była spocona i zarumieniona, ale z gorąca. Ruusan wszedł właśnie w porę deszczową, a choć dni były ciepłe i wilgotne, nocą temperatura spadała tak bardzo, że strażnicy mogli widzieć obłoczki własnego oddechu.

Śniła o Banie. Nie, nie śniła. Szczegóły były zbyt ostre i wyraźne, by je nazwać snem; doświadczenie zbyt realne. To była wizja. Istniała pomiędzy nimi jakaś więź, która pojawiła się podczas wspólnej nauki. Więzy pomiędzy nauczycielem a uczniem nie była niczym niezwykłym, choć Githany nie miała już całkowitej pewności, kto z nich tak naprawdę był mistrzem, a kto uczniem.

Jej wizja miała jednak realną jasność: Bane przybywał na Ruusana, ale nie po to, by przyłączyć się do Bractwa, lecz po to, by je zniszczyć.

Zadrżała, pot chłodził jej skórę w zimnym nocnym powietrzu. Zsunęła się z łóżka i naciągnęła ciężki płaszcz na cieniutką bieliznę. Musi porozmawiać o tym z Kaanem, nie może czekać do rana.

Noc była ciemna: księżyc i gwiazdy skryły się pod niskimi chmurami burzowymi, które przesłaniały niebo od dnia, kiedy przybyła tu wraz z grupą z Karrisana. W powietrzu migotała lekka mgiełka, dając nieco wytchnienia od nieustannej mżawki, która przesłaniała wszystko, kiedy Githany kładła się spać.

Po obozowisku kręciła się grupka Sithów. Kilku powitało ją niewyraźnym mamrotaniem, ale większość ze spuszczonej głowami brnęła w milczeniu przez rozchlapujące się błoto. Żar, jaki Kaan w nich wzniecił, kiedy przybyły posiłki, przygasł nieco pod wpływem monotonii szarych deszczowych dni. Minie jeszcze kilka tygodni, zanim opady ustaną i ustąpią miejsca prążącemu słońcu długiego ruusańskiego lata. Do tego czasu podwładni Kaana będą cierpieć od wilgoci i zimna.



Githany nie zwracała na to uwagi. Skupiona na swojej misji, zwolniła dopiero, kiedy dotarła do wejścia wielkiego namiotu, z którego Kaan uczynił swoją kwaterę.

Weszła nieśmiało. To, co miała lordowi do powiedzenia, nadawało się wyłącznie dla jego uszu. Na szczęście był sam. Zatrzymała się jednak u wejścia i z pełną zgrozy fascynacją wpatrywała się w widmo, jakie miała przed sobą. W mdłym blasku latarni, jedyne źródła światła w namiocie, Kaan wyglądał jak szaleniec.

Miotał się z jednego końca namiotu w drugi nierównym błędnym krokiem. Zgięty prawie wpół, mamrotał do siebie i kręcił głową. Lewa ręka nieustannie wędrowała do włosów, aby szarpnąć pojedynczy kosmyk, a potem cofała się szybko, jakby przyłapana na gorącym uczynku.

Githany ledwie mogła uwierzyć, że ta szalona istota to człowiek, za którym chciała podążyć. Czy to możliwe, aby Bane jednak miał rację? Już miała zamiar wycofać się w wilgotny mrok, kiedy Kaan odwrócił się i wreszcie ją dostrzegł.

Przez krótką chwilę w jego oczach zobaczyła dziką panikę – płonęły strachem i desperacją zwierzęcia w klatce. Nagle jednak wyprostował się na całą wysokość. Wyraz przerażenia zniknął z jego oczu, a zastąpił go zimny gniew.

– Githany – rzekł głosem równie lodowatym, jak wyraz jego twarzy. – Nie oczekiwałem gości.

Teraz to ona poczuła strach. Lord Kaan emanował Mocą: mógł zmiażdżyć ją tak łatwo, jak rozdeptywał małe chrząszcze, które czasem przemykały po podłodze namiotu. Wspomnienie złamanego, na pół obłąkanego człowieka uleciało, wypchnięte z jej umysłu przez wszechogarniającą aurę władzy Kaana.

– Wybacz, lordzie Kaan – rzekła z lekkim ukłonem. – Muszę z tobą porozmawiać. Jego gniew wyraźnie łagodniał, choć wciąż zachowywał tę samą władcą postawę.

– Oczywiście, Githany, zawsze mam dla ciebie czas.

Te słowa były czymś więcej niż tylko oficjalną uprzejmością: kryło się w nich jeszcze coś. Githany była atrakcyjną kobietą; przyzwyczała się do tego, że stawała się obiektem ledwie skrywanego pożądania mężczyzn. Zwykle budziło to w niej niewiele więcej niż odrazę, ale w przypadku Kaana poczuła na policzkach gorącą falę rumieńca. Był założycielem Bractwa Ciemności, człowiekiem z wizją i przeznaczeniem. Jak mogłaby nie czuć się zaszczycona jego uwagą?

– Miałam przeczucie – wyjaśniła. – Widziałam... widziałam Dartha Bane'a. Przybywał na Ruusana, by nas zniszczyć.

– Qordis uświadomił mi, jakie są jego poglądy – odparł, kiwając głową. – Można się było tego spodziewać.

– Nie widzi chwały naszej sprawy – ciągnęła Githany, jakby usprawiedliwiając Bane'a. – Nie zna cię osobiście. A o Bractwie wie tyle, ile wydedukował z zachowania Qordisa i innych mistrzów... tych, którzy się od niego odwrócili.

Kaan spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Przyszłaś ostrzec mnie, że Bane chce nas zniszczyć, a teraz próbujesz usprawiedliwić jego zachowanie?

– Moc pokazuje nam to, co może się stać, niekoniecznie to, co się stanie – przypomniała mu. – Jeśli zdołamy przekonać Bane'a, by się do nas przyłączył, może być cennym sprzymierzeńcem przeciwko Jedi.

– Rozumiem – odparł. – Uważasz, że jeśli uda nam się sprowadzić go do Bractwa, wówczas twoje przeczucie się nie spełni.

Po długiej chwili Kaan zapytał:

– Jesteś pewna, że twoje osobiste uczucia do niego nie umożliwiają ci zdrowego osądu w tej kwestii?

Zakłopotana Githany nie mogła spojrzeć mu w oczy.

– Nie tylko ja tak uważam – wymamrotała, patrząc w ziemię. – Wielu lordów z Korribana także jest zaniepokojonych jego nieobecnością. Zastanawiają się, dlaczego ktoś tak silny Mocą miałby odrzucać Bractwo.

Podniosła głowę, kiedy Kaan pocieszająco położył jej dłoń na ramieniu.

– Możesz mieć rację, Githany. Ale ja nie mogę podjąć żadnych działań. Nikt nie wie, gdzie jest Bane.

– Ja wiem. Między nami jest... więź. Mogę ci powiedzieć, dokąd pojechał.

Kaan ujął ją pod podbródek i delikatnie uniósł jej głowę.

– Więc pošlę do niego kogoś – obiecał. – Dobrze zrobiłaś, że przyszłaś z tym do mnie, Githany – dodał, uwalniając ją z łagodnym krzepiącym uśmiechem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, pełna bezgranicznej dumy.

Wyszła niedługo później, kiedy już wyjaśniła, dokąd i po co udał się Bane. Kaan obserwował ją, mocno zaniepokojony jej słowami, choć starał się tego nie okazywać. Uspokoił jej lęki i był pewien, że pozostanie ona lojalna wobec Bractwa, pomimo oczywistego pociągu do Bane'a. Githany wyobrażała sobie, że jest obiektem żądzy każdego mężczyzny, ale Kaan także w niej czuł pożądanie, płonące jasnym płomieniem. Pożądała chwały i potęgi, a on sam gotów był podsycać jej dumę i ambicję flirtem, pochwałami i obietnicami.

Wciąż jednak nie wiedział, jak ma rozumieć jej wizję. Był silny Mocą ale jego talenty obejmowały inne umiejętności. Mógł zmienić bieg działań wojennych medytacją bojową. Mógł inspirować lojalność w innych lordach poprzez subtelne manipulowanie ich emocjami. Ale nigdy nie miewał takich przeczuć jak to, które sprowadziło Githany do jego namiotu w środku nocy.

W pierwszej chwili chciał zbagatelizować tę informację i potraktować jak bezpodstawne marudzenie, spowodowane niskim morale. Posiłki z Korribana pozwoliły spodziewać się

szybkiego końca wojny na Ruusanie. Ale generał Hoth był zbyt sprytny, aby pozwolić, żeby jego Armię Światła zniszczyły przeważające siły Sithów. Zmienił taktykę, stosując wypady i odwołując walkę w nadziei, że zdoła zebrać więcej ludzi.

Teraz to Sithowie stali się niecierpliwi i niespokojni. Wspaniałe zwycięstwo, które Kaan obiecywał im wiele tygodni temu, jakoś nie doszło do skutku. Zamiast zwycięskiego marszu człapali w błocie i niekończącym się deszczu, próbując pokonać wroga, który nawet nie chciał stanąć do walki. Wizyta Githany nie zdziwiła zatem Kaana. Dziwniejsze wydawało mu się to, że mroczni lordowie nie przybyli, aby dać głośno wyraz swemu niezadowoleniu.

A to sprawiało, że ostrzeżenia Githany stały się tym bardziej znaczące. Bane odrzucił Bractwo publicznie: wszyscy rekruci z Korribana twierdzili, że widzieli to na własne oczy. Opowieść o tym rozprzestrzeniła się po obozowisku jak zaraza. Początkowo żołnierze tylko wzgardliwie komentowali arogancję i upór Bane'a, skoro wybrał własną drogę i triumf Bractwa nie stanie się nigdy jego udziałem. Ponieważ jednak triumfu nie było, z pewnością niektórzy rekruci zaczęli się zastanawiać, czy Bane nie miał racji.

Lord Kaan miał szpiegów pośród mrocznych lordów. Do jego uszu docierały różne szeptki. Lordowie nie byli gotowi podążać za swoimi wadliwościami, ale ich zdecydowanie słabło... a wraz z nim lojalność. Kaan sam ukuł koalicję z wrogów i pełnych goryczy rywali. A choć Bractwo Ciemności wydawało się twarde jak durasteł, wystarczyłby jeden stanowczy głos niezgody, aby rozbić je na tysiące słabych kawałków.

Złapał latarnię z namiotu i ruszył w deszczową noc, szybkim krokiem przemierzając obozowisko. Poradzi sobie z Bane'em, dokładnie tak, jak to obiecał Githany. Jeśli oporny młodzik nie da się przekonać i nie zechce się do nich przyłączyć, trzeba go będzie wyeliminować.

W ciągu pięciu minut Kaan dotarł do miejsca przeznaczenia. Zatrzymał się u wejścia, przypominając sobie, jak rozgniewało go nieoczekiwane wtargnięcie Githany do jego własnego namiotu. Nie chcąc zirytować osoby, do której przyszedł, zawołał:

– Kas'im!

– Wejdz – rozległ się głos w sekundę później i Kaan usłyszał charakterystyczny syk wyłączanego miecza świetlnego.

Wszedł i zastał twi'lekańskiego fechtmistrza ubranego tylko w spodnie. Był spocony i ciężko oddychał.

– Nie śpisz – zauważył Kaan.

– Niełatwo jest zasnąć w przeddzień bitwy. Nawet jeśli wydaje się, że sama bitwa nigdy nie nastąpi.

Kas'im był wojownikiem; Kaan wiedział, że denerwuje go beczynność. Ćwiczenia i treningi nie były w stanie zaspokoić jego potrzeby prawdziwej walki. W Akademii na Korribanie fechtmistrz wykonywał swoje zadania bez skargi. Ale tu, na Ruusanie, perspektywa bitwy była zbyt bliska, zbyt natrętna. W powietrzu nieustannie unosił się zapach

krwi, mieszając się z cuchnącym potem strachu i oczekiwania. Tu Kas'ima mogła zadowolić tylko bitwa z nieprzyjacielem. Być może całą swoją frustrację wyleje w przypiływie buntu, a Kaan nie mógł sobie pozwolić na utratę lojalności najlepszego szermierza w obozie. Na szczęście znalazł sposób, aby poradzić sobie z obydwoma problemami – Bane'a i Kas'ima – jednym sprytnym posunięciem.

– Mam dla ciebie misję. Misję wielkiej wagi – odezwał się.

– Żyję, aby służyć, lordzie Kaan. – Odpowiedź Kas'ima była spokojna, ale jego głowoogony zadrgały z emocji.

– Muszę wysłać cię daleko od Ruusanu. Na kraniec galaktyki. Polecisz na Lehom.

– W Nieznany Świat? – zapytał zdumiony fechtmistrz. – Przecież tam nie ma nic oprócz cmentarzyska naszej największej porażki.

– Bane tam jest – wyjaśnił Kaan. – Musisz do niego pojechać jako mój wysłannik. Wyjaśnisz mu, że ci, którzy nie są z Bractwem, są przeciwko niemu.

Kas'im pokręcił głową.

– Wątpię, aby to sprawiło mu różnicę. Kiedy raz się na coś zdecyduje, potrafi być... uparty.

– Bractwo nie zjednoczy Ciemnej Strony, jeśli on będzie stał oddzielnie – wyjaśnił Kaan. Mówiąc to, sięgnął w Moc i delikatnie, bardzo delikatnie nacisnął na zranioną dumę Twi'leka. – Wiem, że na Korribanie odwrócił się od ciebie i innych mistrzów. Ale musisz mu jeszcze raz złożyć tę ofertę.

– A jeśli odmówi? – odpowiedź Kas'ima była ostra i szybka. Kaan uśmiechnął się w duchu, widząc rosnący gniew fechtmistrza. Nacisnął jeszcze odrobinę.

– Wtedy musisz go zabić.

## ROZDZIAŁ 23

– Ci, którzy używają Ciemnej Strony, muszą jej również służyć. Zrozumienie tego to zrozumienie podstawowej filozofii Sithów.

Bane siedział nieruchomo, z oczami wbitymi w awatar mrocznego lorda, martwego i pochowanego trzy tysiące lat temu. Obraz Revana na chwilę zamigotał i zniknął, po czym znów zapłonął. Holocron się psuł. Umierał. Materiał, z którego został wykonany – kryształ kanalizujący Moc, aby nadać życie artefaktowi – miał skazę. Im więcej Bane go używał, tym mniej był stabilny. Jednak nie mógł go odłożyć, nawet na jeden dzień. Ogarnęła go obsesja wyczerpania całej zawartej w holocronie wiedzy i spędzał długie godziny, spijając wiedzę z ust Revana z tą samą upartą determinacją, z jaką wydobywał cortosis na Apatrosie.

– Ciemna Strona oferuje Moc dla samej Mocy. Musisz jej pożądać. Pragnąć. Musisz szukać potęgi ponad wszystko, bez zastrzeżeń i wahania.

Słowa te brzmiały dla Bane'a bardzo prawdziwie, jakby zaprogramowana osobowość wirtualnego mistrza czuła zbliżający się koniec i dostosowywała swoje ostatnie lekcje do jego potrzeb.

– Moc cię zmieni. Przekształci. Niektórzy boją się tej zmiany. Nauki Jedi skupiają się na walce i kontroli tej transformacji. Dlatego ci, którzy służą światłu, mają ograniczone możliwości. Prawdziwa Moc może stać się udziałem jedynie tych, którzy przyjmą transformację. Nie ma kompromisu. Litość, współczucie, lojalność: wszystko to nie pozwala ci zagarnąć tego, co ci się należy. Ci, którzy chcą podążać za Ciemną Stroną, muszą odrzucić te uczucia. Ci, którzy nie zechcą tego uczynić – i spróbują wędrować ścieżką umiarkowania – upadną obaleni przez własną słabość.

Słowa te w prawie idealny sposób opisywały Bane'a z czasów, kiedy był w Akademii. Mimo wszystko nie czuł ani wstydu, ani żalu. Ten Bane już nie istniał. Podobnie jak kiedyś odrzucił górnika z Apatrosa, przyjmując nowe imię, tak teraz wyrzekł się niepewnego, chwiejnego ucznia, kiedy zażądał dla siebie tytułu Dartha. Kiedy odrzucił Qordisa i Bractwo, zaczął tę transformację, o której mówił Revan, a dzięki holocronowi był teraz bliski jej zakończenia.

– Ci, którzy przyjmują potęgę Ciemnej Strony, muszą również przyjąć wyzwanie związane z jej utrzymaniem – ciągnął Revan. – Z samej swojej natury Ciemna Strona zaprasza do rywalizacji i walki. I to jest największa siła Sithów: eliminuje słabych z zakonu.

Jednak ta rywalizacja może być również naszą największą słabością. Silni muszą być ostrożni, aby nie pokonała ich ambicja tych, którzy stoją niżej od nich, lecz współpracują. Każdy mistrz, który wprowadza w arkana Ciemnej Strony więcej niż jednego ucznia, jest szaleńcem. Z czasem uczniowie zjednoczą się i połączą siły, aby pokonać mistrza. To nieuniknione. Aksjomatyczne. Dlatego mistrz może mieć tylko jednego ucznia.

Bane nie odpowiedział, ale jego usta zadrżały instynktownie z odrazy, kiedy sobie przypomniał nauki w Akademii. Qordis i pozostali przekazywali sobie uczniów z klasy do klasy, jak dzieci w szkole, a nie spadkobiercy spuścizny Sithów. Czy to dziwne, że on sam walczył o osiągnięcie pełnego potencjału w tym wadliwym systemie?

– Dlatego właśnie może też być tylko jeden Mroczny Władca. Sithowie muszą być rządzani przez jednego przywódcę – wcielenie siły i potęgi Ciemnej Strony. Jeśli przywódca osłabnie, powinien powstać następny i przejąć kontrolę. Silni panują, słabi mają służyć. Tak właśnie musi być.

Obraz zamigotał, podskoczył i maleńka replika Dartha Revana skłoniła głowę, znów osłaniając twarz kapturem.

– Mój czas tutaj dobiegł końca. Zapamiętaj to, czego cię nauczyłem, i dobrze wykorzystaj.

I Revan zniknął. Światłość emanująca z holocronu zbladła i ściemniała. Bane podniósł z podłogi kryształową piramidę i poczuł, jaka jest zimna i pozbawiona życia. Nie czuł w niej ani śladu Mocy.

Artefakt nie był mu już potrzebny. Jak nakazał Revan, należało go teraz zniszczyć. Bane upuścił kryształ na podłogę, a potem powoli, z rozmysłem, zmiażdżył go Mocą na pył.

Sithański buzzard wdarł się w atmosferę Lehona i spadł z czystego błękitnego nieba. Kas'im dokonał niewielkiej korekty ustawień, aby utrzymać statek na kursie, kierując się dokładnie na sygnał naprowadzający z „Valcyna”.

Przypuszczał, że Bane zdemontuje sygnalizator, a przynajmniej zmieni jego częstotliwość. A jednak, wiedząc o nim – takie sygnalizatory montowano na wszystkich pojazdach – nic z tym nie zrobił. Tak jakby nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go śledzić. Albo jakby sam tego chciał.

W ciągu kilku minut Kas'im miał już swój cel na wizji. Statek, zanim Bane wziął go sobie na własność, należał kiedyś – krótko – do lorda Qordisa. Teraz stał spokojnie na białym piasku plaży, pomiędzy lazurowymi wodami ogromnego oceanu Nieznanego Świata z jednej a nieprzeniknionej dżunglą z drugiej strony. Skany nie wykazywały w pobliżu żadnego życia, ale Kas'im i tak posadził swój statek z wielką ostrożnością.

Wyłączył silniki i wysiadł. Czuł energię tego świata i nieomylnie wyczuwał też obecność Dartha Bane'a. Zdawało mu się, że to wrażenie pochodzi z samego serca mrocznej dżungli. Zeskoczył na ziemię i z głuchym tąpnięciem wylądował na ubitym piasku. Stopy zapadły mu

się lekko. Pobieźne sprawdzenie „Valcyna” potwierdziło to, czego się spodziewał – jego ofiary tam nie było.

Wszelkie ślady, jakie Bane mógł zostawić na piasku, zostały zawiane przez bryzę lub rozmyte przez fale. Ale Kas’im wiedział, dokąd on zmierza. Przed nim rozciągała się soczyście zielona, wibrująca życiem dżungla, gęsta i przerażająca – prawie nieprzebyta ściana roślinności, jeśli nie liczyć szerokiej ścieżki, wydeptanej przez nią na przełaj.

Coś lub ktoś, obdarzony ogromnym wzrostem i siłą, przedarł się tu przez drzewa i zarośla. Dżungla już próbowała zasklepić ranę. Ziemia porośnięta była mchem, po którym snuła się już gęsta sieć winorośli, ale ślad wciąż pozostawał dość wyraźny, by Twi’lek mógł nim pójść.

Z dżungli obserwowały go ukryte oczy. Nawet bez Mocy wyczuwałby śledzące go spojrzenia, podążające za każdym jego ruchem, chcące ocenić, czy ten nowy przybysz w ekosystemie to drapieżnik czy ofiara. Aby pomóc im w wyjaśnieniu tej kwestii, Kas’im wyjął swój podwójny miecz świetlny i włączył oba ostrza, po czym pobiegł ścieżką.

Biegając, sondował otaczającą go roślinność poprzez Moc. Większość stworzeń, jakie wyczuwał, nie stanowiła większego zagrożenia. Zachował jednak ostrożność. Coś wydeptało ścieżkę, którą teraz szedł. Coś dużego.

Dotarł już jakieś dziesięć kilometrów w głąb dżungli – biegł przez prawie godzinę – kiedy spotkał pierwszego rankora. Ścieżka skręcała ostro na wschód i kiedy poszedł w tamtą stronę, stworzenie, warcząc i wyjąc, wyskoczyło z pobliskich drzew.

Kas’im spodziewał się takiej pułapki. Wyczuwał obecność rankora z odległości kilkuset metrów, podobnie jak zwierzę z oddali wyczuło jego zapach i skradało się za nim przez dłuższą chwilę. Odparł szarżę zwierzęcia spokojnie, skutecznie i bez litości.

Uchylając się przed pierwszym ciosem szpona, wyciął głęboką ranę w lewej przedniej łapie bestii, a kiedy ta z bólu stanęła na tylnych nogach, przeciął jej podbrzusze. Rankor nie upadł od razu; był zbyt wielki, żeby powaliły go dwa ciosy miecza świetlnego. Oszałały z bólu zaczął wywijać na oślep szponami, kłapać zębami, kręcić się i walić bez opamiętania we wszystko dokoła.

Kas’im wykręcał się i robił uniki, raz nawet przeskoczył przeciwnika, po czym wylądował na ziemi, żeby zaraz odtoczyć się i uniknąć kolejnego ataku. Poruszał się tak szybko, że gdyby nawet rankor nie był zaślepiiony wściekłością, Kas’im stałby się dla niego tylko rozmazaną plamą. Przy każdym skoku trafiał ponownie, tnąc górę mięśni i ścięgien, jak rzeźbiarz wycina kawał lommitu.

Rankor zachwiał się wreszcie i zatoczył, jakby wykonywał taniec pijanego kosmicznego pirata. Kas’im za to był szybki i precyzyjny. Z każdą sekundą jego przeciwnik był coraz wolniejszy, opadał z sił. Wreszcie zwierzę z żalonym jękiem upadło na ziemię i znieruchomiało.

Kas'im pozostawił je tam i z nową energią pobiegł dalej. Walka, choć prosta i krótka, była pierwszą bitwą na śmierć i życie, jaką stoczył od czasu, kiedy Qordis zaproponował mu nauczanie w Akademii. Z przyjemnością stwierdził, że jego umiejętności nie zmniejszyły się pomimo długiego nieużywania.

Miał dziwne przeczucie, że zanim dzień dobiegnie końca, znów będzie ich potrzebował.

Bane siedział ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej podłodze w centralnej komorze najwyższego piętra Świątyni. Medytował nad słowami Revana, jak to zwykle czynił po lekcjach z holocronem. Teraz, kiedy artefakt został zniszczony, przemyślenie i rozważanie tego, czego się dowiedział na temat Ciemnej Strony, było tym ważniejsze... podobnie jak obranie ścieżki, która go poprowadzi.

*Z samej swej natury Ciemna Strona zaprasza do rywalizacji i walki. I to jest największa siłą Sithów: eliminuje słabych z zakonu.*

Nieustanne walki, jakie staczali Sithowie od początku dziejów, służyły temu właśnie niezbędnemu celowi – utrzymywały potęgę Ciemnej Strony w rękach kilku silnych osobników. Bractwo to zmieniło. Teraz sprzymierzonych z Kaanem mrocznych lordów znalazłoby się setka lub więcej, ale byli oni przeważnie słabi i bezużyteczni. Liczebność Sithów była większa niż kiedykolwiek, ale i tak przegrywali wojnę z Jedi.

*Potęga Ciemnej Strony nie może być rozdrabniana na wielu. Musi być skoncentrowana w kilku, którzy godni są tego zaszczytu.*

Siła liczebności była pułapką, która zwabiła wszystkich wielkich lordów Sithów z przeszłości. Naga Sadow, Exar Kun, Darth Revan – każdy z nich był potężny. Każdy ściągał do siebie uczniów i wprowadzał ich w arkana Ciemnej Strony. Każdy zebrał armię zwolenników i atakował razem z nią Jedi. I w każdym przypadku zwyciężali słudzy światła.

Jedi pozostawali zawsze zjednoczeni dla swojej sprawy. Sithowie natomiast ponizali się do walk wewnątrz zakonu i do zdrady. Te same cechy, które doprowadzały ich pojedynczo do wielkości i sławy – olbrzymia ambicja, nienasycony głód władzy – ostatecznie niosły im zgubę jako grupie. Oto nieunikniony paradoks Sithów.

Kaan próbował rozwiązać ten problem, stosując w Bractwie zasadę równości. Zasada ta jednak miała swoją wadę. Nie pomagała w zrozumieniu istoty problemu. W pojęciu natury Ciemnej Strony.

*Sithowie muszą być rządzani przez jednego przywódcę – wcielenie siły i potęgi Ciemnej Strony.*

Jeśli wszyscy są równi, żaden nie jest dość silny. Gdyby nawet ktoś wyniósł się ponad zbytecznie rozdęte szeregi Sithów, aby zażądać płaszcza mrocznego lorda, nigdy nie zdołałby go zachować.

*Z czasem uczniowie zjednoczą siły i obalą mistrza. To nieuniknione. Słabi pokonają razem silnego w brutalnym wypaczeniu naturalnego porządku rzeczy.*



Było jednak inne rozwiązanie. Sposób, aby przełamać niekończący się cykl, który ściągał Sithów w przepaść. Teraz Bane to rozumiał. Początkowo sądził, że rozwiązaniem mogłoby być zastąpienie zakonu Sithów jedynym, wszechpotężnym mrocznym lordem. Żadnych innych mistrzów. Żadnych uczniów. Jedno naczynie, zawierające wszystkie sekrety i potęgę Ciemnej Strony. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu.

Pewnego dnia mroczny lord zestarzeje się i umrze. A wtedy cała wiedza Sithów przepadnie.

*Jeśli przywódca osłabnie, powinien powstać następny i przejąć kontrolę.*

Jeden, samotny, nie przetrwa. Ale gdyby było ich dokładnie dwóch...

Sługi i podwładnych można zwabić na Ciemną Stronę obietnicą potęgi. Można dać im nawet przedsmak tego, co daje Ciemna Strona – jak właściciel dzieli się z wiernymi zwierzętami odpadkami z własnego stołu. W istocie będzie tylko jeden mistrz Sithów. A służyć mu będzie tylko jeden prawdziwy uczeń.

*Dwóch ich powinno być, nie więcej, nie mniej. Jeden, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać.*

Zasada Dwóch.

I to była ta wiedza, która poprowadzi Ciemną Stronę w nową erę. Objawienie, które zakończy wewnętrzne walki, przeżerające zakon od tysiąca pokoleń. Sithowie się odrodzą, nowe nauki zostaną odrzucone – a dzieła tego dokona on, Bane.

Najpierw musi jednak zniszczyć Bractwo. Kaan, Qordis, wszyscy, którzy z nim studiowali, mistrzowie przebywający na Ruusanie – wszyscy oni muszą zginąć, aby pozostał tylko on sam.

Darth Bane, Lord Sithów. Tytuł należał mu się absolutnie, nie było nikogo innego równie silnego Ciemną Stroną Mocy jak on, nikogo, kto mógłby rzucić mu wyzwanie. Pozostawało jedynie pytanie, kto byłby godzien stać się jego uczniem. I jak wyeliminować pozostałych.

– Bane! – głos Kas'ima przeciął jego myśli w pół słowa. – Przychodzę z zaproszeniem od lorda Kaana.

Bane skoczył na równe nogi, chwytając za miecz świetlny. Był wściekły, że przeszkodzone mu w chwili, kiedy doznawał objawienia. Groźnie spojrzął na Kas'ima, zresztą wściekły na siebie – tak pogrążył się w zadumie, że nie wyczuł obecności Twi'leka, dopóki ten się nie odezwał.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał, sięgając w Moc umysłem, aby sprawdzić, kto jeszcze mógł wtargnąć do świątyni rakatańskiej i jej wewnętrznego sanktuarium. Z mieszaniną ulgi i rozczarowania stwierdził, że Kas'im był sam. Miał nadzieję na kogoś jeszcze... ale widocznie nie zechciała przybyć.

– Lord Kaan powiedział mi, że cię tu znajdę. Kiedy wszedłem w atmosferę, po prostu podążałem za nadajnikiem „Valcyna” – wyjaśnił fechtmistrz. – Skąd jednak lord Kaan wiedział, że tu jesteś, nie potrafię powiedzieć.

Bane podejrzewał, że dowiedział się od Githany, ale nie miał zamiaru tego ujawniać. Zapytał jedynie:

– Czy Kaan przysłał cię, żebyś mnie zabił?

Kas'im lekko skinął głową.

– Jeśli nie zechcesz wrócić do Bractwa, twój trup ma pozostać na tym nagim i zapomnianym świecie.

– Nagim? – zawołał Bane z niedowierzaniem. – Jak możesz tak mówić? Ciemna Strona jest tutaj bardzo silna. Silniejsza nawet niż na Korribanie. Tu dopiero znajdziemy siłę, by pokonać Jedi – tu, nie w Bractwie Kaana!

– Korriban niegdyś również był miejscem o wielkiej Mocy – odparował jego dawny nauczyciel. – Przez stulecia wielu Sithów badało jego tajemnice, ale żaden z nich nie odkrył, jak pokonać naszego nieprzyjaciela. – Twi'lek włączył swój podwójny świetlny miecz i ciągnął: – Czas skończyć tę szaleńczą krucjatę, Bane. Stare nauki zawiodły. Jedi pokonali wszystkich, którzy ich słuchali; Exar Kun, Darth Revan... wszyscy przegrali! Jeśli mamy zwyciężyć, musimy znaleźć nową filozofię.

Przez krótką chwilę Bane poczuł podniecenie. Słowa Kas'ima były echem jego własnych myśli. Czy to możliwe, aby to fechtmistrz był poszukiwanym przez niego uczniem?

Następne słowa Kas'ima zdruzgotały jednak wszelkie nadzieje Bane'a.

– Kaan to rozumie. Dlatego właśnie stworzył Bractwo. Bractwo to przyszłość Ciemnej Strony.

Bane pokręcił głową. Fechtistrz był równie ślepy jak pozostali. I za to należała mu się śmierć.

– Kaan się myli. Nigdy za nim nie pójdę. Nigdy nie przyłączę się do Bractwa. Kas'im westchnął.

– Więc tu się kończy twoja droga.

Skoczył. Jego broń poruszała się znacznie szybciej niż kiedykolwiek w czasie ćwiczeń.

Odparowując pierwszą sekwencję, Bane zorientował się, że jego dawny mistrz zawsze trzymał coś w rezerwie... podobnie jak on, Bane, robił w początkowych momentach walki z Sirakiem. Dopiero teraz ujrzał i pojął całe umiejętności Kas'ima. Ledwo mógł się obronić. Ledwo, ale jednak.

Jego przeciwnik sapnął zaskoczony, kiedy Bane go odepchnął, po czym odsunął się na chwilę, aby zrewidować swoją strategię. Zaatakował ostro i szybko w nadziei, że walka będzie krótka. Teraz musiał zmienić plany.

– Jesteś lepszy, niż kiedy walczyliśmy ostatnio – zauważył, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia.

– Ty też – odparł Bane.

Kas'im znów rzucił się na niego i pomieszczenie od nowa wypełniło się sykiem i pomrukami ścierających się mieczy świetlnych, uderzających o siebie z częstotliwością pół

tuzina razy między jednym a drugim uderzeniem serca. Bane zostałby dawno pocięty na plasterki, gdyby chciał reagować oddzielnie na każdy gest. On jednak tylko sięgnął w Moc, pozwalając, aby przez niego przepływała i prowadziła jego rękę. Oddał się Ciemnej Stronie bez reszty, bez zastrzeżeń. Jego broń stała się przedłużeniem Mocy i odpowiadała na nieustanny atak Twi'leka nieprzebytym murem obronnym.

A potem sam zaatakował. Dawniej zawsze obawiał się podporządkowania swojej woli surowym emocjom, które napędzały Ciemną Stronę. Teraz nie miał takich ograniczeń. Po raz pierwszy w życiu pozwolił dojść do głosu swojemu pełnemu potencjałowi.

Odepchnął Kas'ima potężnymi, wściekłymi ciosami, zmuszając go do cofania się przez całą komnatę. Kas'im wykonał salto i wyskoczył na korytarz, ale Bane naciskał bez litości. Rzucił się naprzód i ciał, o mały włos nie okaleczając ciosem nogi Twi'leka.

Jego cięcie zostało odbite w bok w ostatniej sekundzie, na co odpowiedział kolejną serią potężnych pchnięć i sztychów. Fechtmistrz ciągle się cofał, odpychany bezlitośnie przez rozszalałą burzę ataku Bane'a. Za każdym razem, kiedy próbował zmienić taktykę lub formę, Bane przewidywał to, reagował i zdobywał przewagę.

Nietrudno było przewidzieć wynik. Bane po prostu był zbyt silny Mocą. Jedyne jakiś niespodziewany manewr mógł uratować Kas'ima, ale walczyli ze sobą w przeszłości już tyle razy, że trudno mu byłoby czymś zaskoczyć przeciwnika. Podczas szkolenia Bana poznał wszystkie sekwencje, serie, ruchy i triki dwustronnego miecza świetlnego i doskonale wiedział, jak udaremnić i odparować każdy z nich.

Fecht mistrza ogarnęła desperacja. Skacząc, wirując, uchylając się i przetaczając, uciekał dziko i nierozsądnie, starając się tylko ująć z życiem. Ale nie znał Świątyni tak dobrze jak jego przeciwnik. Bane odcinał mu wszystkie drogi ucieczki, powoli zaganiając Kas'ima do ślepego korytarza.

Kiedy Kas'im zorientował się, co się dzieje, użył Mocy, aby wyważyć drzwi do jednego z bocznych pomieszczeń i skoczył do środka. Bane wiedział, że nie ma stamtąd innego wyjścia, więc przystanął na progu, aby rozkoszować się zwycięstwem.

Twi'lek stał pośrodku pustej komory, dysząc ciężko. Zgarbił się i zwiesił głowę. Kiedy jednak Bane wszedł do środka, podniósł wzrok – a w tym spojrzeniu nie było ani śladu porażki.

– Powinieneś być mnie zabić, kiedy miałeś szansę – rzekł. Dzielili ich odległość około pięciu metrów, ale to wystarczyło, aby Kas'im zdążył szybko przekreślić rękojeść miecza. Długi uchwyt rozdzielił się pośrodku i nagle fechtmistrz był uzbrojony nie w jeden dwustronny miecz świetlny, lecz w dwa pojedyncze, po jednym w każdej ręce.

Bane się zawahał. Niewielu studentów w Akademii próbowało kiedykolwiek używać dwóch mieczy jednocześnie. Fechtmistrz zawsze odradzał im tę odmianę czwartej formy, tłumacząc, że tkwi w niej wewnętrzna niedoskonałość. Teraz, kiedy Bane ujrzał okrutny i przebiegły wyraz twarzy przeciwnika, zrozumiał prawdę.

Walka rozgorzała na nowo, ale teraz to Bane się cofał. Bez właściwego przeszkolenia nawet jego ogromna władza nad Mocą nie była w stanie przewidzieć nieznanych sekwencji dwuręcznego stylu walki. Jego umysł zalewany był obrazami milionów opcji kolejnych ruchów przeciwnika, a on nie miał doświadczenia w ich eliminowaniu. Przytłoczony, cofał się z desperacją tonącego.

Po pierwszych kilku ciosach wiedział, że nie ma szansy na zwycięstwo. Kas'im przez całe swoje życie trenował dla tej jednej chwili. Po latach studiowania opanował wszystkich siedem form walki mieczem świetlnym, a następnie przez dziesięciolecia cyzelował swoje umiejętności, doskonaląc każdy ruch i sekwencję, aż stał się najlepszym żyjącym szermierzem w galaktyce. Może w całej historii galaktyki. Bane nie miał z nim szans.

Fechtmistrz nie przestawał naciskać. Wydawało się, że posługuje się nie dwoma, ale sześcioma ostrzami: atakował w szczególnym rytmie, który miał na celu utrzymywanie przeciwnika w ciągłym stanie nierównowagi – w tym samym czasie jedno ostrze uderzało z góry, a drugie z dołu, po czym każde z nich atakowało z boku w najmniej oczekiwanym momencie i pod przedziwnym kątem. Bane nie miał innego wyjścia, jak tylko cofać się... cofać... i cofać... Walczył teraz tylko z jedną myślą – ujść z życiem za wszelką cenę. Jedna jedyna nadzieja dawała mu siłę, aby przetrwać w obliczu przeważającej siły – przewaga, której nie miał fechtmistrz, kiedy to on się cofał. Bane doskonale znał rozkład Świątyni i mógł powoli kierować się w stronę wyjścia.

Walcząc, mijali hole i korytarze, aż wreszcie skręcili za róg i znaleźli się w okolicy jedyne go wyjścia z rakatańskiej Świątyni: potężna arkada, a za nią niewielki podest i szerokie schody, wiodące dwadzieścia metrów na dół. Kas'im potrzebował tylko chwili, aby zorientować się, gdzie są i że przeciwnik wciąż jeszcze może uciec. Bane uderzył Mocą, na chwilę wytrącając Twi'leka z równowagi. Trwało to sekundę, może mniej, ale wystarczyło, żeby Bane zrobił salto w tył pod portalem i znalazł się na podeście. Przykucnął, wciąż obserwując przeciwnika. W pośpiechu jednak wylądował za daleko: z trudem utrzymywał równowagę na górnym stopniu, a za plecami miał tylko strome schody.

Kas'im odpowiedział uderzeniem Mocy, które pchnęło przeciwnika w tył. Bane potoczył się po długich, kamiennych schodach. Upadek skończyłby się dla niego skreśleniem karku albo przynajmniej złamaniem ramienia czy nogi, gdyby nie zdążył owinąć się w kokon Mocy. A i tak znalazł się na dole posiniaczony, obolały i nieco oszołomiony.

Na podeście, wysoko ponad nim, w obramowaniu ogromnego portalu Świątyni stał Kas'im i obserwował go uważnie.

– Pójdę za tobą wszędzie – rzekł. – Gdziekolwiek się udasz, znajdę cię i zabiję. Nie powinieneś dalej żyć w strachu, Bane. Skończmy to teraz.

– Zgoda – odparł Bane, wysyłając falę energii Mocy, którą gromadził przez cały czas przemowy fechtmistrza.

W jego ataku nie było nic subtelnego: potężna fala uderzeniowa wstrząsnęła Świątynią aż po fundamenty. Uderzenie miało dość siły, aby zmienić Kas'ima w stertę strzaskanych kości i zmiażdżonego ciała. Fechtmistrz jednak w ostatniej chwili zdołał osłonić się tarczą Mocy.

Osłonił siebie – ale nie Świątynię wokół niego. Ściany eksplodowały ogromnymi bryłami kamienia. Portal zapadł się, zasypując Kas'ima deszczem skalnych odłamków i grzebiąc pod tonami zaprawy i głazów. W chwilę później zapadła się reszta dachu, a krzyki Twi'leka utonęły w ogłuszającym łomocie.

Bane obserwował implozję Świątyni z bezpiecznego miejsca u stóp schodów. Buchnęły kłębiaste chmury pyłu, przetoczyły się po schodach w jego kierunku. Zmęczony długą walką na miecze świetlne i osłabiony nagłym uwolnieniem Mocy, leżał bez ruchu, aż pokryła go warstwa drobnego białego pyłu.

Wreszcie pozbierał się i podniósł na nogi. Sięgnął Mocą w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, że Kas'im może jeszcze żyć pod tą górą kamieni. Nie poczuł nic. Kas'im – jego nauczyciel, jedyny instruktor Akademii, który naprawdę mu pomógł – nie żył.

Darth Bane, mroczny lord Sithów, odwrócił się i ruszył przed siebie.

## ROZDZIAŁ 24

Nie miał ani czasu, ani powodu, żeby żałować śmierci Kas'ima. W przeszłości był użyteczny, ale teraz stał się po prostu przeszkodą na drodze Bane'a. Przeszkodą, która teraz zniknęła. Co prawda jego przybycie na Lehona zmusiło Bane'a do działania. Zbyt długo już odcinał się od zdarzeń w galaktyce, poszukując mądrości, zrozumienia i siły. Po zniszczeniu Świątyni nie miał już żadnego powodu, aby pozostawać w Nieznanym Świecie. Podjął więc długą drogę z powrotem do statku – pieszo przez dżunglę, podążając tą samą drogą, którą przybył Kas'im.

Mógł użyć Mocy, aby wezwać jeszcze jednego rankora i przyspieszyć bieg spraw, ale chciał się zastanowić nad tym, co się stało... i wymyślić, jak teraz rozprawić się z Bractwem.

Kaan wypaczył cały zakon Sithów, zmieniając go w odrażającą zbieraninę skomlących słabeuszy. Udało mu się wmówić im, że zdołają zwyciężyć Jedi samą siłą militarną, ale Bane wiedział, że to nieprawda. Jedi byli liczni, no i zyskiwali na sile, jednocząc się przeciwko wspólnemu wrogowi – taka była natura jasnej strony. Metodą doprowadzenia do ich klęski nie były flota i armie. Jedynym sposobem pokonania Jedi były tajemniczość i obłuda. Subtelność i spryt mogły zapewnić zwycięstwo.

A subtelności Kaanowi brakowało. Gdyby był mądry, wysłałby Kas'ima na Lahona w przebraniu niezadowolonego zwolennika poglądów Bane'a. Fechtmistrz mógł opowiedzieć mu bajeczkę, jak to odwrócił się plecami do Bractwa. Bane przyjąłby go jako sojusznika. Miałby swoje podejrzenia, naturalnie, ale z czasem uspokoiłyby się one same. Wcześniej czy później by się odsłonił, a Kas'im mógłby go wtedy zabić. Zabójstwo szybkie, czyste i skuteczne.

Kas'im jednak po przybyciu rzucił otwarte wyzwanie, przywołując jakieś przestarzałe, szalone zasady kodeksu honorowego. W jego śmierci nie było nic honorowego: nie ma czegoś takiego, jak szlachetna śmierć. Honor to kłamstwo, łańcuch owijający głupców, którzy pozwalają mu wciągnąć się w klęskę.

Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy...

Bane podążał przez dżunglę ścieżką rankora bez przeszkód – mieszkańcy gęstwiny trzymali się od niego z daleka. Pochwyił przelotnie wzrokiem cień stada sześciornogich kotów, uczujących na zwłokach rankora, ale i one uciekły, kiedy się zbliżał. Czekały bardzo długo, zanim znowu wróciły do ścierwa, by dokończyć posiłku.

Zanim Bane dotarł na plażę, miał już plan. Statek Kas'itna stał obok jego własnego. Bane szybko wyładował z niego wszystkie zapasy, wraz z robotami posłańcami. Przeniósł je na własny statek, po czym szybko dokonał przeglądu „Valcyna”. Stwierdził, że wszystkie systemy działają, więc wsiadł. Przed startem zaprogramował kurs robota posłańca, wykorzystując do tego celu dane, które znalazł na statku Kas'ima. W kilka chwil potem „Valcyn” wystrzelił z powierzchni Nieznanego Świata, wspinając się wyżej i wyżej, aż przebił się przez atmosferę w czarną pustkę przestrzeni. Bane wprowadził współrzędne swojego miejsca przeznaczenia i wystrzelił robota posłańca.

Posłaniec dotrze do Ruusana w ciągu kilku dni, proponując Kaanowi pokój i przywożąc dar – Bane liczył na to, że Kaan okaże się zbyt głupi i zarozumiały, aby się na nim poznać.

Bractwo nigdy nie pokona Jedi. A Sithowie, dopóki istnieją, będą splamieni, nieczyści, jak studnia zatruta u źródła. Bane musiał ich zniszczyć. W tym celu należy jednak zastosować broń, której Kaan – zbyt dumny albo zbyt ślepy – nie spróbował użyć przeciwko niemu: zdradę i oszustwo. Broń Ciemnej Strony.

– Nie podoba mi się, że tak rozpraszamy nasze siły – szepnął Pernicar, doganiając lorda Hotha. Generał obejrzał się na szereg żołnierzy drepczących przez las. Była ich ledwie garstka, w większości rannych i źle wyposażonych; wyglądali raczej jak uchodźcy niż jak wojownicy Armii Światła. Nieśli zapasy z punktu zrzutu do obozowiska, podobnie jak dwie inne karawany, podążające innymi drogami.

– Zbyt niebezpiecznie jest wędrować w jednej grupie – upierał się Hoth. – Potrzebujemy tych zapasów. Podział na trzy konwoje daje większe szanse, że choć jeden dotrze do obozu.

Hoth rozejrzał się po ścieżce, którą podążali, czujny na wszelkie oznaki szpiegowania. Deszcze przestały padać tydzień temu, ale ziemia ciągle była mokra, a przejście żołnierzy pozostawiało w niej głębokie ślady.

– Teraz mógłby nas śledzić nawet ślepy Gamorreanin – burknął. W duchu zapragnął powrotu maskujących wszystko deszczy, które tak przeklinał w ciągu ostatnich kilku miesięcy, gdy siedział skulony i drżący pod kiepskim schronieniem z gałęzi i liści.

Jednak wiedział, że to nie szpiegów powinien się obawiać. Sięgnął w Moc, usiłując wyczuć ukrytych wrogów oczekujących gdzieś wśród drzew. Nic. Oczywiście, jeśli to Sithowie, z pewnością wysyłają fałszywe obrazy, aby ukryć się przed ich...

– Zasadzka! – krzyknął jeden z eskorty i nagle ze wszystkich stron dopadli ich Sithowie. Byli wszędzie – wojownicy z mieczami świetlnymi, żołnierze uzbrojeni w miotacze i wibroostrza. Szczęk durastali i syk krzyżujących się kling energetycznych mieszały się z głosami żywych i umierających: wrzaskami wściekłości i triumfu, agonii i rozpacz.

Przez szeregi przetoczyła się nagle salwa ognia laserowego, zabijając padawanów zbyt niedoświadczonych, aby odbić strzały. Druga salwa wdarła się w grupę walczących. Strzały odbijały się bezładnie, parowane zarówno przez Jedi, jak i Sithów nie czyniąc wielkiej

szkody, ale wywołując ogólny chaos. Lord Hoth walczył w największym tłoku, tnąc wrogów dość głupich, by znaleźć się w zasięgu jego broni. Jego nozdrza wypełniał słodkawy odór zwęglonego ciała; otaczał go szaniec trupów. A oni wciąż nadchodzili, roili się jak padlinożerne chrząszcze na świeżych zwłokach, usiłując pokonać Jedi samą liczebnością.

Pernicar zniknął pod tłumem wrogów i Hoth podwoił wysiłki, by dotrzeć do pokonanego przyjaciela. Był niepowstrzymany w swoim gniewie, jak sztorm szalejący w Czeluści. Kiedy jednak dotarł do Pernicara, ten już nie żył. Wkrótce wszyscy inni również będą martwi.

Eksplozja na skraju pola bitwy na chwilę przyciągnęła jego uwagę. Spojrzał w niebo. Jakaś odważna kobieta w mundurze żołnierza Sithów rzuciła się ku niemu, by zdobyć nieoczekiwaną, przekraczającą jej ambicje chwałę – zabijając słynnego generała w chwili jego roztargnienia. Hoth nawet nie spojrzał w jej stronę; sięgnął poprzez Moc i uwięził ją w polu siłowym. Stała bezradnie, znieruchomiała, dopóki nie padła od nieostrożnie rozpędzonego ostrza trzymanego przez własnego towarzysza.

Jej śmierć zaledwie musnęła świadomość Hotha. Skoncentrował się na czterech swoopach, ostrzeliwujących bitwę z góry, które siekały ciężkimi działami nieprzyjacielskie szeregi. Pułapka Sithów rozpadła się nagle, niezdolna do walki z ciężkobrajnym wsparciem z powietrza. Żołnierze Jedi Hotha musieli odwołać się do całej swojej dyscypliny, aby nie popędzić za nimi i nie wybić ich w pień pośród zarośli.

W chwilę później swoopy wylądowały wśród wiwatów jakiegoś tuzina wciąż stojących na własnych nogach Jedi. Lord Valentyne Farfalla, jak zwykle ubrany w ozdobny, nieskazitelny strój, wysiadł i skłonił się przed generałem.

– Słyszałem, że przywozisz nam zapasy, panie – rzekł, prostując się z afektowaną elegancją senatora z Coruscant. – Chyba przyda się wam eskorta.

– Są jeszcze dwie inne karawany – warknął Hoth. – Zamiast stać tu i się puszyć, lepiej ruszyłbyś im na pomoc.

Farfalla z niezadowoleniem wyduł wargi w dzieciennym kapryśnym grymasie.

– Inne swoopy już je eskortują. – Zawahał się, jakby nie wiedział, czy powinien jeszcze coś powiedzieć. Hoth rzucił mu spojrzenie, które nakazywało milczenie.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, dodał:

– Myślałem, że moje wsparcie wam się przyda.

– Nie było cię przez kilka miesięcy! – rzucił Hoth. – Bawiłeś się w dyplomatę, a my tu prowadziliśmy wojnę.

– Zrobiłem to, co obiecałem – odparł zimno Farfalla. – Sprowadziłem trzystu Jedi. Znajdą się w obozie, kiedy tylko dostaniemy dość myśliwców, aby przedrzeć się przez kordon planetarnej blokady Sithów.

– Niewielka pociecha dla tych, którzy oddali życie, nie doczekawszy twojego przybycia – odparował Hoth.



Farfalla spojrział na ciała leżące wokół. Kiedy ujrzał pośród nich Pernicara, posmutniał. Przykucnął obok zwłok i wyszeptał kilka słów, kładąc dłoń na czole zabitego. Po chwili wstał.

– Pernicar był również moim przyjacielem – rzekł znacznie łagodniejszym tonem. – Jego śmierć boli mnie równie mocno jak ciebie, generale.

– Wątpię – gniewnie odparł Hoth. – Nie byłeś tu nawet, kiedy to się stało.

– Nie pozwól, aby twój smutek cię pokonał – ostrzegł Farfalla, przybierając ponownie lodowaty ton. – Ta droga prowadzi na Ciemną Stronę.

– Nie waż mi się mówić o Ciemnej Stronie! – krzyknął Hoth, kierując oskarżycielsko palec w stronę Farfalli. – To ja siedzę tu cały czas, walcząc z Bractwem Kaana! Znam Ciemną Stronę lepiej niż ktokolwiek inny! Widziałem, jakie cierpienia i ból przynosi. I wiem, co potrzeba, aby ją pokonać. Zapasów. Chcę, aby Jedi walczyli z wrogiem z taką samą nienawiścią, jaką oni czują do nas. – Opuścił rękę i się odwrócił. – Nie potrzebuję krygującego się dandysa, żeby mnie pouczał o niebezpieczeństwach Ciemnej Strony.

– Śmierć Pernicara to nie twoja wina – odparł Farfalla i krzepiącym gestem położył dłoń na ramieniu Hotha. – Uwolnij się od poczucia winy. Nie ma emocji. Jest spokój.

Hoth odwrócił się i uderzeniem strącił jego rękę.

– Odejdź ode mnie! Zabierz swoje cholerne posiłki i wracaj na Coruscant, jak wszyscy tobie podobni tchórze! Nie potrzebujemy was tutaj!

Teraz to Farfalla się odwrócił i wielkimi krokami oddalił się do swoopa, podczas kiedy reszta grupy obserwowała tę scenę w pełnym przerażenia milczeniu. Farfalla przerzucił długą nogę przez siodełko i odpalił silniki.

– Może inni Jedi mieli rację co do ciebie! – krzyknął przez ogłuszający ryk maszyny. – Wojna cię zjadła. Przywiodła do szaleństwa. Szaleństwa, które doprowadzi cię na Ciemną Stronę!

Hoth nawet nie patrzył, jak Farfalla i pozostałe swoopy odlatywali. Przykucnął obok ciała swojego najstarszego przyjaciela i oplakiwał jego brutalny bezsensowny koniec.

Kiedy Githany wreszcie dotarła, Kaan musiał się powstrzymać, żeby na nią nie krzyknąć. Widziała go już bez maski – niepewnego, niezdecydowanego. Teraz musiał uważać, kiedy z nią rozmawiał, aby nie stracić jej lojalności. A potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek.

Odezwał się niedbałym tonem, zabarwionym lodowatym chłodem:

– Posłałem po ciebie prawie trzy godziny temu. Obdarowała go dzikim, drapieżnym uśmiechem. – Zorganizowano wycieczkę na jedną z karawan dostawczych Jedi. Postanowiłam wybrać się z nimi.

– Jeszcze nie słyszałem raportów. Jaki wynik?

– To było coś wspaniałego! – zaśmiała się Githany. – Trzech mistrzów, sześciu rycerzy, garść padawanów – wszyscy zabici!

Kaan z aprobatą skinął głową. Szala zwycięstwa w bitwie na Ruusanie przechylała się to na jedną, to na drugą stronę, a wraz z końcem pory deszczowej wahała się znów na korzyść Sithów. Oczywiście wiedział, że to nie tylko zmiana pogody wpłynęła na morale żołnierzy i przyniosła kilka wspaniałych zwycięstw pod rząd.

Armia Światła była rozbita. Jej liczebność na Ruusanie zmniejszała się z dnia na dzień. Valenthynę Farfalla siedział na orbicie z posiłkami, ale szpiedzy Kaana donosili, że przez sprzeczkę pomiędzy Hothem a Farfallą nowo przybyli nie spieszyli się z wejściem do walki. Bez mistrza Pernicara, który łagodził ich wzajemną antypatię, relacje między obydwoma mistrzami okaleczały skuteczność militarną Jedi.

Kaan dostrzegł całą ironię sytuacji. Teraz to dla odmiany Jedi byli podzieleni rywalizacją i wewnętrznymi walkami, a Bractwo Ciemności pozostawało zwarte i silne. Trochę niepokoiło go to dziwne odwrócenie ról. Podczas długich nocy, kiedy nie mógł zasnąć, często spacerował po namiocie, zmagając się z tym pozornym paradoksem.

Czy armie na Ruusanie przekroczyły już linię, gdzie spotykają się światło i ciemność? Czy niekończący się konflikt pomiędzy Armią Światła a Bractwem Ciemności wciągnął obie te siły w próżnię, gdzie ideologie wzajemnie się wykluczają? Czy teraz wszyscy ci, którzy korzystają z Mocy, znaleźli się w Półmroku, uwięzieni pomiędzy dwiema stronami i do żadnej z nich nienależący?

Jednak wstające co rano słońce rozganiało te ponure myśli, przynosząc wieści o kolejnych zwycięstwach Sithów na polu walki. A tylko szalenie zastanawia się nad metodami, jeśli zwycięża. Dlatego Kaan nie był pewien, co zrobić z wiadomością, którą właśnie otrzymał do Dartha Bane'a.

– Kas'im nie żyje – poinformował Githany, przechodząc od razu do sedna sprawy.

– Nie żyje? – Jej zszokowana mina świadczyła o tym, że decyzja Kaana, aby nie przekazywać tej wieści Bractwu, była ze wszech miar słuszna. Starannie ukrywał tajemnicę celu wyjazdu fechtmistrza, mając zamiar wyjawić ją dopiero, kiedy będzie znał wynik konfrontacji. – Czy to Jedi?

– Nie – wyznał. Musiał starannie dobierać słowa. – Wysłałem go, aby pertraktował z lordem Bane'em. Kas'im uważał, że zdoła go przekonać, aby się do nas przyłączył. Bane go zabił.

Githany zmrużyła oczy.

– Ostrzegalam, że tak będzie.

Kaan skinął głową.

– Znasz go lepiej niż ktokolwiek z nas. Rozumiesz go. Dlatego teraz cię potrzebuje. Przeczytaj tę wiadomość.

Sięgnął do robota posłańca stojącego na stole. Przed nimi pojawił się maleńki hologram muskularnego mrocznego lorda. Chociaż przy tym pomniejszeniu trudno było rozszyfrować wyraz jego twarzy, widać było, że jest zdenerwowany.

– Kas'im nie żyje. Zabiłem go. Ale myślałem o tym, co powiedział, zanim... zanim zginął.

Githany rzuciła Kaanowi zaciekawione spojrzenie. Wzruszył ramionami i nachylił się w kierunku hologramu, który mówił dalej:

– Przybyłem tutaj w poszukiwaniu czegoś... nie byłem nawet pewien, czego. Ale nie znalazłem nic. Tak samo, jak nie znalazłem nic w Dolinie Mrocznych Lordów na Korribanie. A teraz Kas'im nie żyje, a ja... ja nie wiem, co robić.

Obraz pochylił głowę: zagubiony, zmieszany i samotny. Kaan wyraźnie widział pogardę malującą się na twarzy obserwującej ten spektakl Githany.

– Nie chcę, aby Kas'im zginął na próżno – z emfazą ciągnął Bane. – Przede wszystkim powinienem był go posłuchać. Ja... chciałbym wstąpić do Bractwa.

Kaan wyłączył robota.

– I co ty na to? – zapytał Githany. – Czy on mówi poważnie? A może to tylko pułapka?

Przygryzła dolną wargę.

– Myślę, że mówi szczerze – rzekła wreszcie. – Bane jest może i potężny, ale jednocześnie słaby. Nie potrafi się całkowicie poddać Ciemnej Stronie. Zawsze czuje się winny, kiedy użyje Mocy, by zabić.

– Qordis wspominał o czymś podobnym – rzekł Kaan. – Powiedział mi, że Bane miał możliwość zabić niebezpiecznego i zawziętego rywala na ringu w Akademii, ale w ostatniej chwili się wycofał.

Githany skinęła głową.

– Tak, chodzi o Siraka. Po prostu nie mógł się zdecydować, aby to uczynić. A Kas'im był jego mistrzem. Skoro Bane zdecydował się go zabić, to musi być dla niego jeszcze trudniejsze.

– Powinienem zatem wysłać emisariusza, aby się z nim spotkał?

Pokręciła głową.

– Bane więcej stwarza problemów, niż jest wart. Teraz wydaje się wrażliwy, ale kiedy wróci mu pewność siebie, będzie równie uparty jak zawsze. Wniesie rozłam do naszych szeregów. Poza tym – dodała – już go nie potrzebujemy. Zwyciężamy.

– Więc co proponujesz z nim zrobić? Posłać zabójców? – Jeśli poradził sobie z Kas'imem, wątpię, czy kto inny zdoła dać mu radę. Nikt oprócz mnie – zapewniła.

– Ciebie?

Githany się uśmiechnęła.

– Bane mnie lubi. Nie powiedziałabym, że mi ufa... chyba jednak nie... ale chciałby ufać. Pozwól mi jechać do niego.

– A co mu powiesz?

– Że za nim tęskniłam. Że rozważyliśmy jego propozycję i chcemy, aby przyłączył się do Bractwa. A kiedy uśpię jego czujność, po prostu go zabiję.

Kaan uniósł brew.

– W twoich ustach to brzmi tak prosto.

W przeciwieństwie do Kas'ima, wiem, jak z nim postępować – zapewniła go. – Zdrada jest skuteczniejszą bronią niż miecz świetlny.

Kilka minut później opuściła namiot, niosąc robota i współrzędne spotkania, które Bane wyznaczył. Kaan był spokojny o los tej misji. I nie widział powodu, aby informować ją o zawartości małej paczki, która przybyła wraz z wiadomością w magazynku robota.

Bane przysłał ją Kaanowi jako dar pojednawczy – jakby chciał zrekompensować mu śmierć Kas'ima. Na pozór nic wielkiego, tekst zapisany na kilku arkuszach flimsiplastu, pismem tak pospiesznym i niedbałym, jakby ktoś notował w trakcie wykładu. Jednak stronicie te zawierały szczegółowy opis tworzenia jednego z najstraszliwszych rytuałów dawnych Sithów – bomby myśli.

Prastary obrządek, który wymagał połączenia sił wielu potężnych lordów Sithów, uwalniał czystą niszczycielską energię Ciemnej Strony. Oczywiście, łączyło się to z pewnym ryzykiem. Tak wielka moc była niezmiernie ulotna, trudna do kontrolowania nawet dla tych, którzy mieli siłę ją wezwać. Istniało niebezpieczeństwo, że wybuch zniszczy całe Bractwo wraz z Armią Światła Hotha. Próżnia wewnątrz bomby może wessać bezcielesne duchy Sithów i Jedi i uwięzić je razem na wieczność w niezmiennym stanie równowagi, w samym sercu nieruchomej kuli czystej energii.

Kaan nie sądził, aby naprawdę potrzebował takiej broni, by wykończyć Jedi na Ruusanie. W końcu wygrywał tę wojnę. A jednak, kiedy znów zaczął swoje spacerować w długą, bezsenność noc nie mógł się powstrzymać przed zaglądaniem raz po raz do rytuału bomby myśli.

## ROZDZIAŁ 25

Z odległości Ambria wydawała się piękna. Pomarańczowy świat otoczony ze zdumiewającymi fioletowymi pierścieniami, bodaj największa zdatna do zamieszkania planeta w systemie Stenness. Jednak każdy, kto wylądował na tej planecie, wiedział, że jej piękno kończyło się z chwilą wejścia w atmosferę.

Wiele stuleci temu nieudane obrządki potężnej sithańskiej wiedźmy niebacznie rozpętały katastrofalną w skutkach falę energii Ciemnej Strony, która zmiotła wszystko z powierzchni planety. Wiedźma zginęła, a wraz z nią prawie całe życie na Ambrii. Przetrwały tylko nagie skały, a żyzne poletka ziemi były rzadkie i oddalone od siebie. Na Ambrii nie było prawdziwych miast; jedynie kilku twardych osadników mieszkało jeszcze na jej powierzchni, lecz tak rozproszonych, że równie dobrze każdy mógłby być sam na całej planecie.

Jedi kiedyś próbowali oczyścić Ambrię z nieczystego piętna, lecz potęga Ciemnej Strony na zawsze naznaczyła ten świat. Nie byli w stanie się tego pozbyć, musieli zatem zadowolić się skoncentrowaniem i ograniczeniem Ciemnej Strony do jednego źródła – jeziora Natth. Mieszkańcy, którzy okazali się dość wytrzymali, aby wytrwać w posępnym środowisku Ambrii, obchodzili jezioro i jego zatrute wody bardzo, ale to bardzo szerokim łukiem. Oczywiście, Bane rozbił obozowisko tuż nad jego brzegiem.

Ambria leżała na skraju Regionu Ekspansyjnego, jedynie o krótki skok nadprzestrzenny od samego Ruusana. Wszędzie można się było natknąć na ślady kilku niewielkich bitew, które stoczyły tutaj wojska Republiki i Sithów w ciągu ostatniej kampanii. Surowy krajobraz usłany był szczątkami broni i statków, wypalone pojazdy i uszkodzone swoopy na rozległych zimnych równinach widać było z daleka. Poza kilkoma lokalnymi osadnikami poszukującymi części, nikt nie zwracał sobie głowy sprzątaniami tych resztek.

Planeta z pierścieniami była światem bez znaczenia: za mało zasobów, za mało pilotów we flocie Republiki, która teraz kontrolowała ten sektor, aby zwracać sobie nią głowę. Bane słyszał, że jakiś uzdrowiciel o wielkim talencie – człowiek imieniem Caleb – przybył tu kiedyś po zakończeniu walk. Idealista, szaleniec, postanowił, że będzie leczył wojenne rany planety. Niewart nawet wzgardy Bane'a. Teraz zapewne i on opuścił ten świat, kiedy już stwierdził, jak niewiele zostało na nim do uratowania. Było to miejsce zapomniane przez wszystkich i nikomu niepotrzebne.

I doskonale, aby spotkać się tu z wysłannikiem Kaana. Flota Sithów natychmiast zostałyby wykryta przez statki Republiki patrolujące region, ale niewielki statek prowadzony przez zręcznego pilota mógł przeniknąć tu bez większych problemów. Bane nie miał zamiaru wyznaczać spotkania w miejscu, gdzie Kaan mógłby wysłać mu na spotkanie całą armadę.

Czekał cierpliwie, aż emisariusz Kaana przybędzie na miejsce. Od czasu do czasu spoglądał w niebo lub na horyzont, chociaż nie bał się, że ktokolwiek może go zaatakować zniecacka. Zobaczy lądujący statek z odległości paru kilometrów. A gdyby przyjechali w pojeździe naziemnym – takim jak pełzak zaparkowany na skraju jego obozowiska – usłyszy zgrzyt silników lub wyczuje nieomylnie wibracje ciężkich gaśnic na nierównym terenie.

Na razie słyszał jedynie lekki plusk ciemnych wód jeziora Natth o brzeg, nie dalej niż o pięć metrów od miejsca, gdzie siedział. A przez cały czas jego umysł zmagał się z jednym zagadnieniem, na które wciąż nie znał odpowiedzi.

*Dwóch ich powinno być, nie więcej, nie mniej. Jeden, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać.*

Kiedy już uwolni galaktykę od Bractwa Ciemności, gdzie znajdzie godnego ucznia?

Z zadumy wyrwało go wycie silników buzzarda. Zerwał się na nogi, kiedy statek już schodził do lądowania. Pojazd zatoczył jeden krąg wokół obozowiska i osiadł niedaleko. Kiedy rampa opadła, a on zobaczył, kto po niej schodzi, uśmiechnął się mimo woli.

– Githany – rzekł i podszedł, aby ją powitać. – Miałem nadzieję, że to ciebie przyśle lord Kaan.

– Nie przysłał mnie – sprostowała. – Sama chciałam przyjechać.

Serce Bane'a zaczęło bić mocniej. Cieszył się z widoku Githany – jej obecność zawsze budziła w nim głód, o którego istnieniu już prawie zapomniał. Był też zaniepokojony – jeśli ktokolwiek potrafił przejrzeć jego grę, to właśnie ona.

– Widziałaś wiadomość? – zapytał, uważnie obserwując jej reakcję

– Myślałam, że już z tym skończyłeś, Bane. Litowanie się nad sobą i żale są dla słabeuszy.

Smutno opuścił głowę. Kontynuował grę.

– Masz rację – wymamrotał.

Podeszła bliżej.

– Nie oszukasz mnie, Bane – szepnęła, a jego mięśnie napięły się w oczekiwaniu tego, co mogło za chwilę nastąpić. – Myślę, że coś innego ci chodzi po głowie.

Nie cofnął się, kiedy podeszła bardzo blisko, gotów był jednak zareagować na pierwszą oznakę zagrożenia lub niebezpieczeństwa. Rozluźnił się dopiero wtedy, gdy lekko musnęła wargami jego usta.

Instynktownie podniósł ręce, ujął ją za ramiona i przyciągnął ku sobie. Mocno przytulił kobietę do siebie, wpijając się w jej usta i rozkoszując się ich smakiem.

Otoczyła ramionami jego szerokie bary i szyję, odpowiadając na jego agresję gorącym pragnieniem.

Bane'a ogarnął żar. Pocałunek zdawał się trwać całą wieczność; zapach Githany otulił ich splecione ciała, aż wydawało mu się, że w nim tonie. Kiedy wreszcie odsunęła się od niego, nadal widział w jej oczach płomień pożądania, wciąż jeszcze czuł na ustach płomień warg. I jeszcze coś...

Trucizna!

Otumaniony jej pocałunkiem dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje. Nieważne, czy Githany mu wierzyła, czy nie. Poprosiła Kaana, aby mogła tu przyjechać i zabić go. Przez chwilę się martwił... dopóki nie rozpoznał miedzianego smaku jadu skalnego worrta.

Zaśmiał się, lekko tylko zadyszany.

– Cudownie – wyszeptał.

Tajemnica. Pokusa. Zdrada. Githany może uległa już zepsuciu przez wpływ Bractwa, ale wciąż wiedziała, co sprawia, że Ciemna Strona jest silniejsza. Czy to możliwe, aby właśnie ona stała się jego jedyną prawdziwą uczennicą, pomimo lojalności wobec Bractwa?

Uśmiechnęła się zalotnie, słysząc to słowo.

– *Dzięki pasji osiągamy siłę.*

Bane czuł, jak trucizna zaczyna przenikać do jego organizmu. Efekty były na razie niewielkie. Gdyby wzrastająca potęga i władza nad Ciemną Stroną nie podwyższyły jego świadomości, zapewne nawet nie zauważyłby obecności trucizny przez wiele godzin. Jeszcze raz Githany go nie doceniła.

Jad skalnego worrta był dość silny, aby zabić banthę, ale istniało wiele rzadszych – i równie śmiertelnych – trucizn, których mogła użyć. Ciemna strona przepływała przez niego, gęsta jak krew w żyłach. Był teraz Darthem Bane'em, prawdziwym mrocznym lordem. Nie musiał obawiać się trucizny.

Githany uznała, że on nie wykryje tej trucizny na jej wargach – była nawet pewna, że mu to zaszkodzi, a to oznaczało, że uwierzyła w jego grę. Podejrzewała, że znów oddalił się od Ciemnej Strony; uważała, że nadal jest słaby. Ucieszyło go to; w ten sposób łatwiej było mu przebaczyć jej przymierze z Kaanem. Może jednak była jeszcze dla niej nadzieja. Ale chciał zyskać pewność.

– Przepraszam, że cię opuściłem – rzekł cicho. – Byłem zaślepiiony marzeniami o dawnej chwale. Naga Sadow, Exar Kun, Darth Revan... pożądałem potęgi wielkich lordów z przeszłości.

– Wszyscy pożądamy potęgi – odparła. – Taka jest natura Ciemnej Strony. Ale potęga jest w Bractwie. Kaan jest bliski sukcesu tam, gdzie wszyscy inni przed nim zawiedli. Wygrywamy na Ruusanie, Bane.

Bane pokręcił głową z rozczarowaniem. Jak ona może wciąż być tak zaślepiona?

– Kaan może i zwycięży na Ruusanie, ale jego zwolennicy przegrywają wszędzie indziej. Wielka armia Sithów upadła bez dowódców. Republika odepchnęła ich i odzyskała większość światów, które podbiliśmy. Za kilka miesięcy i ta rebelia zostanie zdławiona.

– To nie ma znaczenia, jeśli zniszczymy Jedi – odparła żarliwie, z błyskiem w oku. – Wojna zebrała obfite żniwo w Republice. Kiedy znikną Jedi, bez trudu zbierzemy naszych żołnierzy i odwrócimy losy wojny. Musimy ich tylko zniszczyć, a ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas! Musimy tylko zwyciężyć na Ruusanie!

– Są jeszcze inni Jedi, nie tylko ci na Ruusanie – przypomniał.

– Tak, ale niewielu. W dodatku są rozproszeni po dwóch, po trzech po całej galaktyce. Jeśli Armia Światła zostanie zniszczona, będziemy mogli ich spokojnie odłowić.

– Czy ty naprawdę wierzysz w to, że Kaan wygra? Już wcześniej chwalił się, że odniesie szybkie zwycięstwo, ale potem jakoś zapomniał o spełnieniu tej obietnicy.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że chce wstąpić do Bractwa – zauważyła z pewną podejrzliwością – nie wydajesz się szczególnie zaangażowany w sprawę...

Szybkim ruchem ramienia objął ją, przyciągnął i pocałował namiętnie. Jęknęła z zaskoczenia, ale przymknęła oczy i poddała się przyjemności chwili. Tym razem to ona pierwsza cofnęła się z lekkim westchnieniem.

– Miałaś rację, twierdząc, że wróciłem po coś innego – rzekł, nie wypuszczając jej z objęć. Zdradziecka trucizna na jej ustach za drugim razem smakowała równie słodko.

– Bractwo nie zawiedzie – obiecała. – Jedi uciekają, kryją się w lesie.

Wypuścił ją z objęć i odstał, odwracając się do niej plecami. Desperacko liczył na to, że Githany będzie mogła zostać jego uczennicą, kiedy już zniszczy Kaana i Bractwo. Ale wciąż nie był pewien. Jeśli rzeczywiście wierzyła w przeznaczenie Bractwa, nie było nadziei.

– Po prostu nie mogę znieść poglądów, które głosi lord Kaan – wyjaśnił. – Mówi, że wszyscy są równi, ale skoro wszyscy są równi, to nikt nie może być silny.

Okrzyknęła go i od tyłu położyła mu dłonie na ramionach, naciskając delikatnie, aż odwrócił się do niej znowu.

– Nie wierz we wszystko, co mówi Kaan – ostrzegła, a on usłyszał w jej głosie niepoohamowaną ambicję. Jeden, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać.

– Kiedy Jedi zostaną zniszczeni, wielu z jego zwolenników zorientuje się, że są równi i równiejsi.

Z radosnym rykiem pochwycił Githany w potężne ramiona; obrócił ją dokoła raz, potem drugi i trzeci, aż w końcu raz jeszcze pocałował bardzo, bardzo mocno. To właśnie chciał usłyszeć!

Kiedy wreszcie postawił ją na ziemi, wydawała się zupełnie oszołomiona jego nieoczekiwanym wybuchem i lekko chwiała się na nogach. Po chwili odzyskała równowagę i się zaśmiała.



– Widzę, że to akceptujesz – uśmiechnęła się zatrutymi wargami. – Zwiń obozowisko. Polecę pierwsza, dam znać Kaanowi, że przybywasz.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę wyraz jego twarzy, gdy mu opowiesz o tym spotkaniu – odparł, wciąż udając, że jest nieświadom trucizny, która swobodnie krążyła w jego żyłach.

– Ja też nie – odparła, niczego nie zdradzając tonem głosu. – Ja też nie.

Kiedy powierzchnia Ambrii zniknęła pod brzuchem statku, a przed dziobem pojawiły się przepyszne pierścienie, Githany mimowolnie poczuła ukłucie żalu. Namiętność, którą obudziła w Banie dała mu zaskakującą, nagłą siłę; wyczuwało się to w jego pocałunkach. Domyśliła się jednak, że Bane nie był zainteresowany wstąpieniem do Bractwa Ciemności, tylko nią.

Wprowadziła współrzędne skoku na Ruusana i usiadła wygodnie. Kręciło jej się w głowie od trucizny, która wciąż pokrywała jej usta. Nie był to jad skalnego worrta – ten smak miał jedynie zmylić Bane’a i dać mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. To domieszany do niego synox – bezbarwna, bezwonna, pozbawiona smaku toksyna, chętnie stosowana przez słynnych zabójców z GenoHaradanu – działał na nią pomimo zażytego antidotum. Nie wątpiła, że Bane niedługo poczuje się o wiele, wiele gorzej od niej. Pojedynczy pocałunek zabiłby go także, a przecież otrzymał potrójną dawkę.

Będzie jej brakowało Bane’a, ale cóż: stanowił zagrożenie dla wszystkiego, na co tak ciężko pracował lord Kaan. Musiała opowiedzieć się po jednej albo po drugiej stronie, a ona wybrała tego, który miał za sobą całą armię Sithów.

W końcu taka jest natura Ciemnej Strony.

Bane obserwował buzzarda, dopóki statek nie zniknął w chmurach. Dopiero potem zwrócił uwagę na obóz, który należało zwinąć. Musi teraz działać bardzo ostrożnie, bo Githany na pewno powie Kaanowi, że próbowała go otruć. Kiedy pojawi się w obozie żywy, sprawy mogą przybrać dość... trudny obrót.

Mógł trzymać się z daleka i pozwolić, aby wszystko potoczyło się swoim torem. Jedi na Ruusanie przegrupują się, znów przeważając szalę zwycięstwa. To było pewne i Bane bardzo na to liczył. Zdesperowany Kaan zechce wtedy użyć daru, który Bane mu przesłał. Uwolni bombę myśli, nieświadom jej prawdziwej natury. A wtedy wszyscy ci, którzy czują Moc na Ruusanie – Sithowie i Jedi – zostaną zniszczeni.

Był to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ale Bane zabrnął za daleko, aby teraz pozostawiać szansę Bractwu Ciemności. Kiedy armia Kaana tym razem zawiedzie, niektórzy w obozie – tacy jak Githany – mogą zwrócić się przeciwko niemu. Mogą uciec z Ruusanu, rozpierchnąć się przed Jedi. A wtedy Bane będzie musiał rozprawiać się z każdym rywalem oddzielnie, zanim stanie się bezdyskusyjnym przywódcą Sithów.

Lepiej znaleźć się blisko centrum wydarzeń, by doprowadzić sprawę do takiego wyniku, jaki mu odpowiadał. A to oznaczało, że musi wymyślić jakąś prawdopodobną historię, dlaczego chce dołączyć do Bractwa... i dlaczego zabójstwo się nie udało.

Myślał o tym prawie godzinę, rozważając i odrzucając kolejne pomysły. Wreszcie pozostał tylko jeden powód, dla którego mógłby mimo wszystko wrócić i w który wszyscy by uwierzyli. Musiał ich przekonać, że chce obalić Kaana i stać się nowym przywódcą Bractwa.

Bane uśmiechnął się, zachwycony subtelnym pięknem swojego planu. Kaan oczywiście będzie coś podejrzewał. Ale wszystkie swoje wysiłki i całą uwagę skoncentruje na utrzymaniu pozycji. Nie odgadnie, jaki jest prawdziwy cel jego rywala: całkowita eksterminacja Bractwa, zniszczenie Sithów na Ruusanie co do jednego.

Oprócz tego pojawiła się kolejna możliwość, aby przekonać Githany, że warto się do niego przyłączyć. Gdy tylko zrozumie, czym się stał naprawdę – i jak zmanipulował Kaana i innych tak zwanych mrocznych lordów – możliwe, że przyjmie jego propozycję, by zostać uczennicą. W ostateczności pozostanie mu przyjemność oglądania wyrazu jej twarzy, kiedy przekona się, że trucizna nie zdołała...

– Uch! – stęknął nagle Bane i zgiął się wpół, kiedy zołądek rozdarł mu potworny ból. Próbował się wyprostować, ale jego ciało zadygotało nagle w ataku uporczywego kaszlu. Podniósł dłoń, by zakryć nią usta, a kiedy ją opuścił, cała była pokryta spienionymi kroplami krwi.

Niemożliwe, pomyślał, kiedy kolejna fala bólu skręciła mu wnętrzności i rzuciła go na kolana. Revan pokazał mu, jak używać Mocy, aby oddalić skutki trucizny i chorób. Zwykła toksyna nie powinna powalić kogoś tak silnego Mocą, by stać się mrocznym lordem Sithów.

Kolejny atak kaszlu sparaliżował go, ale po chwili minął. Sięgnął ręką, aby otrzeć czoło z potu ściekającego kroplami z czoła i poczuł na policzku coś lepkiego. Z kącika oka spływał mu strumyczek szkarłatnych łez.

Chwiejnie stanął na nogi i skoncentrował się na swoim wnętrzu. Trucizna wciąż tam była. Rozprzestrzeniła się na całe ciało, zanieczyszczając organizm i uszkadzając ważne organy. Miał krwotok wewnętrzny, krwawił z oczu i nosa.

Githany! Roześmiałyby się, gdyby ból nie był tak nieznośny. Był taki ufny, taki arogancki. Tak przekonany, że go nie doceniła. Ale to on jej nie docenił. Błąd, którego poprzysiągł sobie już nigdy nie popełnić.

Czytał o synoksie dość, aby rozpoznać objawy. Gdyby wykrył go natychmiast, potrafiłby oczyścić z niego organizm, tak samo jak uczynił to z jadem skalnego worrta, który ukrył obecność drugiej trucizny. Ale synox był najsubtelniejszą z trucizn i zdradziecka toksyna zdołała już pozbawić go sił, niepostrzeżenie rozprzestrzeniając się po ciele.

Zebrał wszystkie siły i spróbował oczyścić organizm z trucizny, spalić ją zimnym ogniem Ciemnej Strony. Jad był jednak zbyt silny... a raczej on za słaby. Szkoda już się stała i synox

okaleczył go, pozostawiając mu jedynie cień tej Mocy, którą miał jeszcze przed kilku godzinami.

Mógł stępić nieco jego skutki, spowolnić działanie i chwilowo powstrzymać najbardziej zabójcze symptomy. Ale nie mógł się wyleczyć. Nie teraz, nie tak osłabiony, W jeziorze Natth była Moc, ale nie potrafił z niej czerpać. Dawni Jedi przezornie zablokowali Ciemną Stronę w jego głębinie. Ciemne, stojące wody były jedynym świadectwem Mocy, uwięzionej głęboko pod powierzchnią.

W desperacji próbował znaleźć inny sposób na przeżycie. Ignorując protesty osłabionych nóg, wsiadł do pojazdu i ruszył przed siebie. Potrzebował uzdrowiciela. Jeśli człowiek imieniem Caleb wciąż jeszcze mieszka na tym świecie, musi go znaleźć. To jego jedyna szansa.

Ruszył w kierunku najbliższego pola bitwy – pustej równiny oddalonej o wiele kilometrów, gdzie szczątki tych, którzy walczyli i umarli, wciąż jeszcze leżały porzucane na ziemi. Ciężki pomruk gąsienic pełzaka trząsał jego ciałem przy każdym ruchu, a on zaciskał tylko zęby z przeraźliwego bólu. Jego świat stał się koszmarem czerwonej ciemności, śnionym na jawie. Zaledwie docierało do niego, dokąd jedzie; pozwalał, aby Moc nim kierowała, a jednocześnie czerpał z niej siły, by nie poddać się skutkom trucizny Githany.

Strach przed śmiercią otulił go, stępił jego myśli. Wolę miał osłabioną; tak łatwo byłoby teraz się poddać i pozwolić, aby wszystko się skończyło... Po prostu odpłynąć w spokoju...

Warknął i pokręcił głową, zmuszając myśli do powrotu znad przepaści. Powtarzał w kółko mantre: „Spokój to kłamstwo”. Powędrował wspomnieniami do wojskowego szkolenia – sięgnął po własny strach i przeistoczył go w gniew, aby dodać sobie sił.

Jestem Darth Bane, Mroczny Władca Sithów. Przeżyję. Za wszelką cenę.

W oddali, na samym skraju jego szybko kurczącego się pola widzenia, zauważył inny pojazd, poruszający się szybko po drugiej stronie pola bitwy. Sięgnął w Moc i spróbował dotknąć dusz tych, którzy padli na tym polu. Nie dalej jak kilka miesięcy temu zginęły tu setki istot. Próbował wchłonąć to, co pozostało po ich śmierci w cierpieniu, w nadziei, że agonia ostatnich chwil podsyca na chwilę jego własne siły. Ale to okazało się za mało; ich ból był zbyt odległy, a echo krzyków zbyt ciche.

Podniósł wzrok i stwierdził, że pojazd zbacza z kursu, skręcając ostro w bok. Widocznie jego uchwyt na kierownicy już osłabł; ramiona miał miękkie i zdrętwiałe, prawie wcale nie reagowały na bodźce woli. Czuł, że jego serce walczy o każde uderzenie.

Przednia gąsienica uderzyła nagle w duży kamień i pełzak przewrócił się, a Bane wypadł na piasek i ostre kamienie. Próbował podnieść głowę, aby zlokalizować ludzi, których widział z daleka, ale był to zbyt wielki wysiłek. Stracił przytomność.

Ciężkie łomotanie gąsienic pełzaka zmusiło go do otwarcia oczu. Drugi pojazd znajdował się tuż obok. Wątpił, aby go zobaczyli – jego ciało było ukryte za przewróconym pełzakiem, a

oni podchodzili od drugiej strony. Zresztą nawet gdyby go dostrzegli, nie było w stanie go już uratować. Sam jednak wciąż jeszcze mógł coś dla siebie zrobić.

Odgłos silników ucichł i usłyszał głosy. Dziecięce głosy. Trzej mali chłopcy wybiegli z za pełzaka i zaczęli ochoczo przetrząsać wrak.

– Mikki! – rozległ się głos ich ojca, wzywającego jednego z synów. – Nie odchodźcie za daleko!

– Patrzcie! – zawołało dziecko. – Zobaczcie, co znalazłem!

*Słabi muszą służyć silnym. Tak działa Ciemna Strona.*

– Rany! Prawdziwy? Mogę go dotknąć?

– Pokaż, Mikki, pokaż!

– Spokojnie, chłopcy – rzekł ojciec znużonym tonem. – Zobaczmy, co tu macie. Bane słyszał chrzęst butów po małych kamyczkach. Zbliżali się. Jestem silny. Oni są słabi. Są niczym.

– To miecz świetlny, ojcze. Ale jaka dziwna rękojeść. Widzisz? Jakby hak... Poczł nagły strach, który ścisnął pierś ojca jak lina. Przeżyć. Za każdą cenę.

– Rzuć to, Mikki! W tej chwili! Za późno.

Miecz ożył w dłoniach chłopca i obrócił się w powietrzu, zabijając go na miejscu. Ojciec krzyknął. Jego bracia próbowali uciekać. Ostrze dopadło najstarszego i przeszło go od tyłu.

Bane, sycąc się potwornością ich śmierci, wstał i wyszedł z za pełzaka, jak zjawa, która wychynęła z wnętrzości planety.

– Neeee! – zawył ojciec, desperacko chwytając najmłodszego i przyciskając do piersi. – Oszczędź go, panie! – błagał z twarzą zalaną łzami. – Jest najmłodszy! Ostatni, jaki mi został...

*Ci, którzy są tak słabi, że muszą błagać o litość, nie zasługują na nią.*

Wciąż zbyt słaby, aby unieść ramiona, Bane raz jeszcze sięgnął Mocą i uniósł miecz świetlny, który zawisł nad bezbroną ofiarą. Czekał, pozwalając, aby przerażenie narastało, po czym pogрузzył płonące ostrze w sercu dziecka.

Ojciec tulił ciało do piersi, a jego rozpaczliwe lamentsy rozlegały się echem po całym polu bitwy.

– Dlaczego? Dlaczego musiałeś ich zabić?

Bane napawał się jego bólem, zachłystywał się, czując, jak Ciemna Strona wzbiera w nim coraz silniejszą falą. Symptomy zatrucia ustąpiły na tyle, że mógł podnieść ramię bez drżenia mięśni. Miecz wskoczył mu do ręki.

Ojciec padł przed nim na kolana.

– Czemu kazałeś mi na to patrzeć? Dlaczego...

Jeden szybki ruch miecza przerwał mu w pół słowa. Ojciec podzielił tragiczny los dzieci.

## ROZDZIAŁ 26

Lord Hoth nie mógł spać i rzucał się na posłaniu. Skrzywienie pryczy łączyło się z brzęczeniem rojów krwiożerczych insektów, które podążały za jego armią z obozu do obozu. Całości dopełniał trzepot skrzydełek małych nocnych ptaszków, które śmigały za owadami, gdy te były już opite żołnierską krwią. Efektem była piskliwa, doprowadzająca do oblędu kakofonia na skraju słyszalności.

Ale to nie te dźwięki nie pozwalały mu zasnąć ani też upał, który pozostawiał na jego czole nieustępliwą warstewkę potu, nawet nocą. Nie były to też strategie wojskowe i plany bitewne, które nieustannie przetaczały się w jego mózgu. Nie każda z tych spraw oddzielnie, lecz raczej wszystkie razem – jak również i to, że ta przeklęta po stokroć wojna zdawała się nie mieć końca. Drobne przykrości, jeszcze do zniesienia w ciągu kilku pierwszych miesięcy na Ruusanie, teraz, wyolbrzymione przez frustrację i bezradność, zmieniły się w nieznośną torturę.

Z wściekłym pomrukiem odrzucił cienki koc, pod którym sypiał, ciskając go w najdalszy kąt namiotu. Opuścił nogi na ziemię i usiadł na skraju pryczy. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu, ściskając głowę dłońmi.

Przez dwa lata standardowe prowadził tę kampanię na Ruusanie przeciwko Bractwu Ciemności. Na początku większość Jedi zebrała się wokół niego. I wielu Jedi zginęło... zbyt wielu. Pod dowództwem lorda Hotha poświęcali się, ofiarowując własne życie dla ważniejszej sprawy. A jednak po sześciu wielkich bitwach – nie wspominając o potyczkach, pojedynkach i starciach bez decydującego wyniku – nic się nie zmieniło. Na rękach lorda była krew tysięcy zabitych, ale ani o krok nie przybliżył się do celu.

Frustracja zaczynała ustępować miejsca rozpacz. Morale było najniższe, odkąd sięgał pamięcią. Wielu żołnierzy przebąkiwało, że Farfalla ma rację: generał pozwolił, aby Ruusan stał się jego szaleńczą obsesją i prowadził ich do zguby.

Hoth nie miał już nawet siły sprzeczać się z nimi. Czasem odnosił wrażenie, że sam już zapomniał o przyczynie, dla której w ogóle tutaj przybył. Kiedyś może ta wojna miała jakieś szlachetne cele, ale dawno temu już nie zostało z nich nic. Teraz walczył o zemstę w imieniu tych Jedi, którzy zginęli. Walczył z nienawiści dla Ciemnej Strony i tego, co ona oznaczała. Walczył z dumy i po to, aby nie przyznać się do porażki. Ale przede wszystkim walczył dlatego, że nie umiał już robić nic innego.

Jeśli jednak teraz się podda, czy sprawi to jakąś różnicę? Jeśli rozkaże żołnierzom odwrót i opuszczenie planety na statkach Farfalli, czy to zmieni cokolwiek? Jeśli odstąpi i pozostawi cały ciężar walki z Sitnami – tu, na Ruusanie, czy gdziekolwiek indziej w galaktyce – innemu dowódcy... czy wtedy wreszcie odnajdzie spokój? A może po prostu zdradzi tych, którzy w niego uwierzyli?

Likwidacja Armii Światła teraz, kiedy Bractwo Ciemności wciąż istnieje, stanowiłaby hańbę dla pamięci tych, którzy zginęli w konflikcie. Dalsza walka oznaczała, że zginą kolejni – a on sam także może na zawsze przepaść dla jasnej strony.

Położył się znowu i przymknął oczy. Ale sen nie chciał przyjść.

– Kiedy wszystkie opcje wydają się niewłaściwie – mruknął do siebie w ciemności – jakie to ma znaczenie, którą wybiorę?

– Kiedy droga przed tobą nie jest wyraźna – odpowiedział cichy głos – niech mądrość Mocy prowadzi twe kroki.

Hoth poderwał głowę i wbił wzrok w ciemność panującą w namiocie. W cieniu, po drugiej stronie, stała ciemna postać, zaledwie widoczna w mroku.

– Pernicar! – zawołał i nagle szepnął: – Czy to możliwe? A może po prostu zasnąłem i to mi się śni?

– Sen to tylko inny rodzaj rzeczywistości – rzekł Pernicar, z rozbawieniem kręcąc głową. Powoli podszedł do niego. Hoth nagle zdał sobie sprawę, że postać przyjaciela jest przezroczysta.

Zjawa usadowiła się na pryczy. Sprężyny nie zaskrzypiały, jakby nie miała ciężaru ani materii.

Hoth zdał sobie sprawę, że to musi być sen. Ale nie chciał się budzić. Przeciwnie, desperacko uczepił się szansy na rozmowę z nieżyjącym przyjacielem, nawet jeśli miała to być tylko iluzja stworzona przez jego własny umysł.

– Brakowało mi ciebie – szepnął. – Twojej mądrości, twoich rad. Potrzebuję ich bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie słuchałeś mnie tak chętnie, kiedy żyłem – zauważył Pernicar ze snu, trafiając wprost w najtajniejsze poczucie winy i żal głęboko pogrzebany w podświadomości Hotha. – Mogłeś się wiele ode mnie nauczyć.

Generałowi przyszła nagle do głowy zabawna myśl.

– Czy ja przez cały czas byłem twoim padawanem, mistrzu Pernicar? Tak młodym i głupim, że nawet nie wiedziałem, iż próbujesz mnie wprowadzić w arkana Mocy?

Pernicar zaśmiał się swobodnie.

– Nie, generale, żaden z nas nie jest młody... choć obaj na pewno przeżyliśmy więcej niż trzeba chwil głupoty.

Hoth poważnie skinął głową. Przez moment milczał, po prostu ciesząc się znowu obecnością Pernicara, nawet jeśli był to jedynie duch. A potem, wiedząc, że z pewnością

istnieje jakiś powód, dla którego jego podświadomość skonstruowała tak wymyślną wizję, zapytał:

– Dlaczego tu jesteś?

– Armia Światła jest instrumentem dobra i sprawiedliwości – odparł Pernicar. – Obawiasz się, że zgubiłeś drogę, ale wejrzyj w Moc, a zobaczysz, co musisz uczynić, aby ją znów odnaleźć.

– Mówisz, jakby to było takie proste – odparł Hoth, lekko kręcąc głową. – Czy doprawdy upadłem tak nisko, że nie potrafię sobie przypomnieć najbardziej podstawowych reguł naszego zakonu?

– Nie ma wstydu w upadku – odparł Pernicar, wstając. – Wstyd jest tylko wówczas, jeśli nie chcesz się podnieść.

Hoth westchnął ciężko.

– Wiem, co muszę zrobić, ale brak mi do tego środków. Moi żołnierze są na skraju wycieńczenia, zmęczeni, zbyt nieliczni. A Jedi nie wierzą już w naszą sprawę.

– Farfalla wciąż wierzy – zauważył Pernicar. – Choć się różnicie między sobą, on zawsze był lojalny.

– Myślę, że z Farfallą już skończyliśmy – przyznał Hoth. – Nie chce mieć nic więcej do czynienia z Armią Światła.

– Więc dlaczego jego statki wciąż pozostają na orbicie? – odparował Pernicar. – Zniechęciłeś go swoim gniewem, a on obawia się, że mogłeś paść ofiarą Ciemnej Strony. Pokaż mu, że jest inaczej, a znów pójdzie za tobą.

Pernicar cofnął się o krok. Hoth czuł, że powoli wraca do świadomości. Mógłby z tym walczyć. Mógłby próbować pozostać w tym świecie półsnu. Ale miał zadanie do wykonania.

– Żegnaj, stary przyjacielu – szepnął. Otworzył oczy i ujrzął znowu ciemność pustego namiotu. – Żegnaj.

Tej nocy już nie zasnął. Długo i mozolnie zastanawiał się nad tym, co Pernicar powiedział mu we śnie. Pernicar zawsze był tym, do którego się zwracał w chwilach niepewności i kłopotów. Nic więc dziwnego, że jego umysł wyczarował obraz najdroższego przyjaciela, żeby znowu skierować go na właściwą drogę.

Wiedział, co musi zrobić. Schowa dumę do kieszeni i przeprosi Farfallę. Muszą odłożyć na bok osobiste różnice zdań dla dobra Jedi.

O pierwszym brzasku wyszedł z namiotu, zdecydowany posłać kogoś po Farfallę, ale ku swojemu wielkiemu zdumieniu stwierdził, że czeka na niego kobieta z oddziałów mistrza.

– Bałam się, że odbyłam tę drogę na próżno – powiedziała kurierka, kiedy lord Hoth wpuścił ją do namiotu. – Nie wiedziałam, czy zechcesz ze mną rozmawiać.

– Gdybyś przyjechała wcześniej, prawdopodobnie rzeczywiście by tak było – wyznał. – W nocy miałem... objawienie, które wszystko zmieniło.

– Więc to chyba dobrze, że zjawiłam się dzisiaj – odparła z przyjaznym uśmiechem.

– Tak, całe szczęście – mruknął pod nosem, choć podejrzewał, że chwila, w której śnił ten sen, nie miała nic wspólnego ze szczęściem. Moc istotnie była potężnym i tajemniczym sprzymierzeńcem.

Bane wciąż czuł truciznę we krwi, prowadząc pełzaka przez rozległe, puste równiny Ambrii. Warkot silnika nie był w stanie zagłuszyć szczęku i grzechotania złomu zgromadzonego z tyłu. Ten hałas nie pozwalał mu ani na chwilę wypędzić z umysłu wspomnienia poprzednich właścicieli pojazdu, ale nie czuł wyrzutów sumienia z powodu ich śmierci.

Pozostawił ich ciała tam, gdzie padli – pośrodku pola bitwy, gdzie zbierali swoją zdobycz. Ich śmierć dała mu siłę na dalszą drogę, ale fala Mocy, jaką poczuł, już opadała. Miał jeszcze dość energii, aby utrzymywać truciznę w ryzach przez najbliższych parę godzin, ale musi znaleźć lekarstwo.

A w tym celu musi odnaleźć Caleba. Jeśli dotrze do uzdrowiciela, zdobędzie nadzieję. Ale do jego domostwa było wciąż jeszcze wiele kilometrów.

To tylko kwestia czasu, kiedy jego ciało ogarnie paraliż, a mózg podda się gorączkowemu szaleństwu, jakie powodowała toksyna. Na razie jednak sama wściekłość pomagała mu zachować jasny umysł.

Nie był zły na Githany. Zachowała się po prostu jak służa Ciemnej Strony. Jego gniew skierowany był do wewnątrz – w kierunku własnej słabości i niepotrzebnej arogancji. Powinien był przewidzieć całą głębię jej przebiegłości.

On jednak pozwolił, aby go otruła. A jeśli teraz umrze, jego wielkie objawienie – Zasada Dwóch, ratunek dla Sithów – umrze razem z nim.

Caleb wyczuł zbliżający się pełzak na długo zanim go zobaczył czy usłyszał. Odbierał to na kształt burzy niesionej wiatrem – ciemne niebo, atakujące słońce. Kiedy pojazd zatrzymał się przed jego chatą, siedział już na zewnątrz i czekał na niego.

Człowiek, który z niego wysiadł, był potężny i muskularny – zupełne przeciwieństwo drobnej i chudej sylwetki Caleba. Ubrany był na czarno, a z pasa zwisał mu miecz świetlny o rękojeści w kształcie haka. Twarz miał szarą jak popiół, a rysy wykrzywione pogardą i okrucieństwem. Gdyby nawet Caleb nie był tak wyczulony na Moc, nietrudno byłoby mu rozpoznać w przybyszu służę Ciemnej Strony. Wtedy jednak nie wiedziałby, jak potężny jest jego gość.

Ale Caleb już miewał do czynienia z potężnymi mężczyznami i kobietami. I Jedi, i Sithowie odwiedzali go niegdyś, a on zawsze ich odprawiał. Był służą zwyczajnych ludzi, tych, którzy sami sobie nie potrafią pomóc. Nie chciał brać udziału w wojnie pomiędzy światłem a ciemnością.



Mężczyzna ruszył ku niemu sztywnym krokiem. Z porów ciała umierającego Sitha unosił się ohydny odór trucizny, który zagłuszył nawet zapach zupy wrzącej nad ogniem. Caleb dźgnął patykiem węgiel, żeby podsycić ogień. Teraz zrozumiał, skąd wziął się nienaturalny kolor skóry przybysza. Efekty synoksu były bardzo charakterystyczne. Obliczył, że nieszczęśnik ma przed sobą najwyżej dzień życia.

Nie odezwał się, dopóki obcy nie stanął tuż nad nim, wielki jak widmo śmierci.

– W twoim ciele jest jad – spokojnie przemówił Caleb. – Przyszedłeś po lekarstwo – ciągnął. – A ja ci go nie dam.

Mężczyzna nie odezwał się – nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego stan. Trucizna zapewne sprawiła, że język mu nabrzmiął i popękał, a spieczona usta pokryły się pęcherzami. Ale nie musiał nic mówić, aby przekazać to, co chciał – wystarczyło, że położył dłoń na rękojeści miecza świetlnego.

– Nie boję się śmierci – rzekł Caleb, nie zmieniając tonu. – Możesz mnie nawet torturować, jeśli zechcesz – dodał. – Ból dla mnie nic nie znaczy.

Na dowód zanurzył dłoń we wrzątku. Smród oparzonego ciała zmieszał się z wonią zupy i trucizny. Wyraz twarzy Caleba nie uległ zmianie, nawet kiedy wyjął rękę i podniósł, by pokazać oparzenie.

Ujrzał w oczach przybysza zwątpienie i zmieszanie, wyraz, który widywał już wielokrotnie. Stoicyzm Caleba służył mu zawsze doskonale, zazwyczaj udaremniając plany Sithów i Jedi, którzy poszukiwali go z różnych względów. Nie mogli go zrozumieć, a jemu to bardzo odpowiadało.

Nie obchodziły go ich wojna ani poglądy, jakie reprezentowały sobą obie strony. W całej galaktyce obchodziła go jedna, jedyna osoba. A to przedstawienie niesło jedyną nadzieję na to, że ją ochroni przed stojącym nad nim potworem.

Niewzruszony mężczyzna zadziwiał Bane'a. Właśnie odmówiono mu jedynej nadziei na ocalenie, a on nie wiedział, co ma z tym począć.

Wyczuwał w tym człowieku moc, ale nie była to Moc ani ciemnej, ani jasnej strony. Nie była to nawet siła Mocy w normalnym znaczeniu tego słowa. Czerpał ją z ziemi i kamienia, gór i lasu, wzgórz i nieba. Mimo to Bane wyczuwał, że siła tamtego jest na swój sposób imponująca. Ta obcość go niepokoiła, irytowała. Czy to możliwe, żeby miał rzeczywiście przegrać w tej bitwie woli? Czy taki prostak – człowiek noszący w sobie jedynie najdrobniejszą iskrę Mocy – naprawdę potrafiłby sprzeciwić się mrocznemu lordowi Sithów?

Gdyby umysł uzdrowiciela był słaby, Bane mógłby go skłonić do spełnienia rozkazu, ale umysł Caleba był twardy i nieustępliwy jak czarne żelazo garnka, w którym zanurzył dłoń. Pokazał przed chwilą, że ból i groźba śmierci to nieskuteczne narzędzia, aby go przekonać do zmiany zdania. Nawet teraz Bane wyczuwał, jak Caleb buduje w myślach mur, by zablokować ból, zakopać go tak głęboko, że prawie zniknął.

Ale było tam coś jeszcze, coś, co próbował ukryć. Wprost desperacko próbował nie zdradzić się przed Bane'em.

Bane zmrużył oczy, kiedy zorientował się, co to takiego. Caleb usiłował ukryć czyjąś obecność, osłonić kogoś przed zamglonym, rozgorączkowanym postrzeganiem mrocznego lorda. Spojrzał na małą, prymitywną chatę uzdrowiciela. Caleb nic nie zrobił, aby go powstrzymać. W ogóle nie zareagował.

Funkcję drzwi pełniła długa zasłona, która łagodnie powiewała na wietrze. Bane podszedł i odsunął ją na bok, odsłaniając niewielkie, prymitywne pomieszczenie. W głębi, skulona pod ścianą, siedziała, milcząc, mała dziewczynka. Oczy miała rozszerzone przerażeniem.

Ponury uśmiech ulgi uniósł kąciaki warg Bane'a, kiedy zrozumiał prawdę. Caleb miał jednak swoją słabość, coś go obchodziło. Cała jego siła woli była bezużyteczna z powodu tej jednej jedynej słabości. A Bane nie należał do tych, którzy zawahaliby się skorzystać z takiej okazji, żeby dostać to, czego chcą.

Jednym poleceniem myśli poderwał przerażoną dziewczynkę w powietrze i przeniósł na zewnątrz, zawieszając ją nad wrzącym garnkiem uzdrowiciela.

Caleb skoczył na nogi, po raz pierwszy okazując jakieś uczucia. Sięgnął ku dziecku, ale cofnął dłoń, spoglądając to na córkę, to na człowieka, który dosłownie trzymał w garści jej życie.

– Tato – jęknęła mała. – Pomóż mi.

Caleb spuścił głowę pokonany.

– Dobrze – rzekł. – Wygrałeś, dostaniesz swoje lekarstwo.

Rytuał uzdrawiania trwał przez całą noc i cały następny dzień.

Caleb używał wszelkich możliwych ziół i korzeni – jedno gotował we wrzątku, inne rozgniatł na pastę, jeszcze inne kładł bezpośrednio na nabrzmiałym języku Bane'a. Przez cały ten czas Bane pozostawał czujny, gotów w każdej chwili skierować zemstę na dziecko uzdrowiciela, gdyby wyczuł choć cień zdrady.

W miarę upływu czasu czuł jednak, jak synox wymywa się z jego organizmu, usuwany przez leki. Wieczorem następnego dnia wszystkie ślady trucizny zniknęły.

Bane wrócił do obozu, żeby się spakować. W kilka godzin później był już gotów do odlotu i do opuszczenia Ambrii na zawsze.

Po zakończeniu rytuału uzdrawiającego zastanawiał się przez chwilę, czy nie zabić ojca i córki za zbrodnię, jaką było oglądanie go w chwili słabości. Były to jednak myśli człowieka zaślepionego własną arogancją. Jego ostatnie spotkanie z Githany wyraźnie ukazało mu niebezpieczeństwa, czające się na tej drodze.

Ani Caleb, ani jego córka nie stanowili dla niego i jego celów żadnego zagrożenia. A Caleb miał w dodatku umiejętności, które jeszcze mogłyby mu się przydać. Ciemna Strona, choć potężna, nie miała wielkich właściwości uzdrawiających.

Pozwolił im zatem żyć. Ich śmierć nie dawała żadnych korzyści i nie miała żadnego celu. Zabójstwo bez powodu stanowiło nędzną rozrywkę sadystycznych głupców.

A Bane – wprowadzając do komputera nawigacyjnego współrzędne Ruusana – zdecydowany był raz na zawsze oczyścić Ciemną Stronę z głupców.

## ROZDZIAŁ 27

Kiedy „Valcyn” przybył na Ruusana, Bane z zaskoczeniem stwierdził, że w systemie krążą floty i Jedi, i Sithów. Sithowie utworzyli blokadę wokół planety, starając się przeszkodzić Jedi w sprowadzeniu posiłków dla towarzyszy na powierzchni.

Jednak Bane odnosił wrażenie, że Jedi nie czynili nic, aby przebić blokadę. Ich statki zadowalały się czekaniem, czając się tuż poza zasięgiem ognia nieprzyjaciela. A Sithowie nie mogli zaatakować bez złamania formacji i odsłonięcia własnego zaplecza. Wynikiem był klincz, w którym żadna ze stron nie chciała zrobić pierwszego ruchu.

Pomimo blokady Bane posadził statek na Ruusanie, nie ściągając na siebie uwagi żadnej z flot. Jedi nie byli zainteresowani statkami schodzącymi na planetę, a Sithowie patrolowali obszar tak, aby zapobiec poważniejszym wtargnięciom. Blokadę stosowano przeciw transporterom wojskowym, statkom zaopatrzeniowym i ich eskortom, ale wobec pojedynczego statku lub myśliwca okazywała się całkowicie bezużyteczna.

Czujniki Bane’a wykryły obozowisko Sithów wkrótce po wejściu w atmosferę. Wylądował „Valcynem” po drugiej stronie planety. Patrole blokady jeszcze go nie spostrzegły, a nadajnik statku zdemontował jeszcze przed wyjazdem z Lehona. Nikt nie wiedział, że tu jest, a on zamierzał utrzymać ten stan jeszcze przez jakiś czas.

Ukrył statek pod osłoną niewielkiego łańcucha wzgórz kilka kilometrów od obozowiska. Uznał, że zwróci mniej uwagi, jeśli dotrze tam na piechotę, a wolał też zachować w tajemnicy miejsce lądowania „Valcyna” gdyby przyszło mu szybko uciekać. Opuścił statek i wyruszył w długą drogę, aby spotkać się z Kaanem i Sithami.

Zauważył, że ta planeta różni się bardzo od wszystkich innych, na jakich bywał. Ten świat wydawał się zmęczony i osłabiony niekończącymi się wojnami, staczanymi na jego powierzchni. W powietrzu czuło się coś niezdrowego, jakąś zakaźną chorobę umysłu i ducha. Moc na Ruusanie wydawała się silna – co było nieuniknione przy ogromnej liczbie zgromadzonych tu Jedi i Sithów. Bane wyczuwał jednak także niepokój, wir zamieszania i konfliktu. Żadna ze stron nie wygrywała – ani światło, ani mrok. Zderzały się jedynie ze sobą i mieszały, tworząc paskudną niezdecydowaną szarość.

Daleko na wschodzie widać było skraj wielkiej ruusańskiej puszczy. Bane wyczuwał ukrytych tam Jedi, mimo że wykorzystywali Jasną Stronę, by zamaskować swoją dokładną lokalizację. Obozowisko Sithów znajdowało się na wschodzie, kilka kilometrów w głąb lasu.

Pomiędzy nimi rozpościerała się rozległa panorama łagodnych wzgórz i równin: miejsce wszystkich większych bitew, jakie do tej pory stoczono na Ruusanie. Nękające walki przerwało już sześć starć w pełnej skali – podczas nich każda ze stron wytoczyła wszystkie możliwe środki i zasoby, aby zniszczyć wroga, a przynajmniej wypędzić z tego świata. Trzy razy zwyciężył Hoth i Armia Światła, trzykrotnie ostatnie słowo należało do Kaana i jego Bractwa. Jednak żadne ze zwycięstw nie było dość decydujące, aby położyć kres wojnie.

Ostry odór śmierci powiedział Bane'owi, że niedawno znowu musiała się tu rozegrać jakaś niewielka potyczka. Jego podejrzenia potwierdziły się; wspiąwszy się na wzgórek, ujrzał przed sobą obraz rzezi. Trudno było powiedzieć, kto tu zwyciężył: wszędzie było pełno ciał w mundurach obu stron konfliktu, splecionych i pomieszanych ze sobą tak, jakby walczący pozostawali w śmiertelnym uścisku jeszcze na długo po śmierci. Większość zabitych była zwolennikami Jedi albo sługami Sithów; niewielu znalazło się rycerzy albo członków Bractwa, zaledwie na paru ciałach Bane zauważył czarne szaty.

Nad polem bitwy wisiały skoczki – wyjątkowy gatunek, charakterystyczny dla Ruusana. Było ich co najmniej sześć, wszystkie okrągłe, różnej wielkości, o średnicy od metra do dwóch. Kuliste ciała miały pokryte gęstym, zielonym futerkiem, podobnie jak pletwiaste wyrostki wystające z boków i długie ogony, które ciągnęły się za nimi jak wstęgi. Nie widać było ich pysków, tylko wielkie, pozbawione powiek oczy.

Z raportów wynikało, że są to istoty rozumne, Bane'owi jednak wydawały się podobne raczej do zwierząt pożywiających się padliną. Kiedy się jednak zbliżył, stwierdził, że się porozumiewają, choć bez poruszania ustami. W jakiś sposób przekazywały sobie obrazy spokoju i pociechy, jakby próbowały leczyć rany zrytej bitwą ziemi pod nimi.

Na widok Bane'a rozpierchły się jak stado dziwacznych ryb, pływających w powietrzu zamiast w wodzie. Kiedy się zbliżył, stwierdził, że wszystkie zebrały się nad jedną ofiarą. Człowiek nie był całkiem martwy, choć ogromna rana w brzuchu świadczyła, że nie dożyje nocy.

Miał na sobie szatę Sitha, a strzaskane szczątki rękojeści miecza świetlnego leżały obok jego wyciągniętej ręki. Bane rozpoznał w nim jednego z gorszych studentów Akademii na Korribanie, tak słabego Ciemną Stroną, że nawet nie warto było pamiętać jego imienia. Ale on znał Bane'a.

Z jękiem obrócił się na plecy i podniósł do pozycji siedzącej, opierając ramiona i głowę na kamieniu. Jego oczy – szklane i rozszerzone – na moment oprzytomniały i nabrały wyrazu.

– Lord Bane – jęknął. – Kaan powiedział nam... że nie żyjesz. Nie było sensu odpowiadać, więc Bane milczał.

– Nie widziałeś walki – wymamrotał tamten, z trudem wydobywając słowa przez dławiące bąbelki krwi, które podchodziły mu do gardła. Zakasłał i nie mógł już dokończyć zdania. Był zbyt słaby nawet na to, aby zasłonić sobie usta, i kropelki krwi spadły na czarne buty Bane'a.

– Bitwa była wspaniała – wykrztusił wreszcie ranny. – To zaszczyt... zginąć w takiej wspaniałej bitwie.

Bane zaśmiał się głośno. Była to jedyna możliwa reakcja na tak absurdalną głupotę.

– Chwała nic nie znaczy dla zabitych – rzekł, choć nie był pewien, czy tamten go w ogóle słyszy.

Odwrócił się, żeby odejść, kiedy poczuł, że ktoś go chwyta za piętę.

– Pomóż mi, lordzie Bane.

Wyrwał but ze ściskających go palców i odparł:

– Nazywam się Darth Bane.

Rozległo się odrażające chrupnięcie, kiedy jego but miażdżył czaszkę rannego, wgniatając ją w kamień, o który się opierała. Ciało drgnęło konwulsyjnie i znieruchomiało.

Rozpoczęła się eksterminacja Sithów.

Lord Kaan leżał na wznak na małej pryczy w swoim namiocie. Przymknął oczy i delikatnie masował sobie skronie. Napięcie, jakiego wymagało utrzymanie zwolenników zjednoczonych dla wspólnej sprawy, zaczynało zbierać swoje żniwo; głowa bez przerwy pulsowała mu tępym, nieustępliwym bólem.

Pomimo niedawnych sukcesów w walkach z Jedi nastroje w obozowisku Sithów były napięte. Już za długo – o wiele za długo – pozostawali na Ruusanie, a w dodatku wciąż docierały do nich raporty o zwycięstwach Republiki w odległych systemach. Nawet ze swoją zdolnością do manipulowania i wpływania na umysły innych mrocznych lordów, coraz trudniej było Kaanowi utrzymać w Bractwie skoncentrowanie się na walce przeciwko Armii Światła.

Wiedział, że istnieje sposób, aby zakończyć walkę, i to szybko. Bomba myśli. Wiele nocy spędził, zastanawiając się, czy potrafi jej użyć. Gdyby udało się zwabić Jedi i użyć tej bomby przeciwko nim, jej eksplozja zniszczy nieprzyjaciela całkowicie i na zawsze. Ale czy połączona wola całego Bractwa wystarczy, aby przeżyć taką energię? A może oni także zostaną zmieceni przez podmuch eksplozji?

Wielokrotnie odsuwał od siebie to rozwiązanie jako zbyt niebezpieczne. Była to broń tak groźna, że nawet on – mroczny lord Sithów – obawiał się jej użyć. Jednak kiedy rozważał jej użycie, za każdym razem trwało to odrobinę dłużej, zanim cofnął się znad przepaści.

Jakiś dźwięk spoza namiotu zmusił go do otwarcia oczu. Usiadł gwałtownie. W chwilę później Githany, przez wielu uważana za jego prawą rękę, wsunęła głowę do środka.

– Są gotowi i czekają na ciebie, lordzie Kaan.

Skinął głową i wstał. Odczekał sekundę, aby się opanować i uspokoić. Jeśli okaże jakąkolwiek słabość, pozostali lordowie mogą się zwrócić przeciwko niemu. Nie może na to pozwolić. Nie teraz, kiedy byli tak blisko ostatecznego zwycięstwa. Dlatego wezwał

wszystkich mrocznych lordów na ostatnie spotkanie, aby wzmocnić ich zdecydowanie i zapewnić lojalność.

Githany szła pierwsza, on za nią. Oboje wkroczyli do wielkiego namiotu, gdzie czekała reszta lordów. Kaan maszerował z przekonaniem i stanowczo, roztaczając wokół aury pewności siebie i władzy.

Jak zawsze, kiedy wchodził do sali, zebrani wstali z miejsc na znak szacunku. Jeden tylko nie ruszył się z krzesła, krzyżując ramiona na piersi.

– Jesteś już zbyt ciężki, by się podnieść, lordzie Kopecz? – znacząco zapytała Githany.

– Myślałem, że w Bractwie jesteśmy równi – warknął Twi'lek w odpowiedzi, bardziej pod adresem Kaana niż jej.

Kaan wiedział, że musi teraz działać ostrożnie. Nie po raz pierwszy Kopecz demonstrował swój protest i wielu zaczynało go już naśladować. Niestety, Kopecz był również jednym z osobników najmniej podatnych na wpływy i kontrolę.

– Równi? Istotnie, lordzie Kopecz – odparł ze znużonym uśmiechem. – Siadajcie. Wszyscy. Nie są nam potrzebne zbędne formalności.

Reszta grupy zastosowała się do jego polecenia, choć wszyscy doskonale wyczuwali napięcie, jakie pozostało między obydwoma lordami. Kaan wyemitował falę kojącego spokoju i podszedł do stołu.

– Wojna z Jedi jest prawie zakończona – zadeklarował. – Są na krawędzi zapaści. Wycofali się w lasy, ale niedługo zabraknie im miejsc, gdzie mogliby się schować.

Kopecz prychnął pogardliwie.

– Słyszeliśmy tę śpiewkę o jeden raz za dużo.

Kaan opanował się nadludzkim wysiłkiem i zdołał zachować spokojny obojętny ton.

– Wszyscy, którzy mają wątpliwości dotyczące naszej strategii na Ruusanie, mogą się wypowiedzieć – zaproponował. – Jak wspomniano przed chwilą, wszyscy w Bractwie Ciemności jesteśmy równi.

– Nie martwię się o Ruusana – odparł Kopecz, który chwycił przynętę. – Straciliśmy pole w innych miejscach galaktyki. Republika już się chwiała, a my zamiast ich wykończyć, pozwoliliśmy im się przegrupować!

– Większość naszych wcześniejszych zwycięstw miała miejsce, zanim Jedi się przyłączyli do walki – przypomniał mu Kaan. – A celem ataku na Republikę było wywabienie Jedi. Chcieliśmy ich zmusić do walki na naszym terenie... tu, na Ruusanie. Teraz jesteśmy bliscy ich likwidacji. A kiedy Jedi już nie będzie, bez trudu odbijemy wszystkie światy, które zdołali wciągnąć z powrotem pod kontrolę Republiki... i jeszcze więcej.

Kopecz milczał, ale pozostali lordowie pomrukami wyrazili swoją aprobatę dla tych słów. Kaan parł dalej.

– A kiedy zniszczymy nieprzyjaciela tu, na Ruusanie, nasze armie będą mogły przejść przez galaktykę, nie napotykając praktycznie oporu. Podbijając terytoria każdego sektora po

kolei, otoczmy Coruscant i inne światy Jądra jak stryczek, zaciskając się coraz ciasniej, aż wydusimy życie z Republiki.

Tłum wydał ryk radości. A kiedy Kopecz znów przemówił, on także zdawał się mniej nieprzyjazny.

– Ale zwycięstwo tu, na miejscu jeszcze nie jest jeszcze pewne. Możemy otoczyć i przygwoździć armię Hotha, ale wciąż pozostanie flota Jedi z posiłkami. Są ich całe setki.

– Posiłki dla Jedi znajdują się na skraju systemu – zgodził się Kaan, kiwając głową. Nie zamierzał negocjować tego, co wszyscy widzieli. – Tak jest od kilku tygodni. I niech tak zostanie: w bezpiecznej odległości od powierzchni, gdzie są potrzebni. Większość naszej floty znajduje się na orbicie wokół Ruusana, a Jedi nie są dość liczni i nie mają wystarczającej siły ognia, by przebić się przez naszą blokadę. Jeśli zaś nie połączą się z tymi, którzy pozostają na powierzchni, Hoth i jego ludzie padną. Kiedy załatwimy się z nimi, rozrzucone niedobitki zakonu możemy likwidować w dowolnym czasie.

Kopecz, nieco ułagodzony, usiadł, mamrocząc ostatni komentarz:

– No to szybko wykończmy Hotha i wynośmy się z tej cholernej skały.

– Właśnie to jest tematem naszej konferencji strategicznej – odparł Kaan z uśmiechem, zadowolony, że znów uniknął potencjalnego rozłamu w Bractwie. – Może i przegraliśmy tu i tam kilka potyczek, ale zamierzamy wygrać tę wojnę.

Githany podeszła, żeby podać mu holomapę z najnowszymi danymi z sond zwiadowczych. Podziękował skinieniem głowy i rozłożył ją na stole, po czym pochylił się, by przyjrzeć się bliżej.

– Nasi szpiedzy wskazują, że główne obozowisko Hotha znajduje się tutaj – rzekł, stukając palcem w najgęściej zarośnięty lasem obszar mapy. – Gdyby udało się nam wywabić ich z lasu, moglibyśmy...

Urwał, bo na mapę padł ciemny cień.

– Co znowu? – warknął, waląc pięścią w stół i poderwał głowę, żeby zobaczyć, kto tym razem mu przeszkadza.

W wejściu stał ogromny mężczyzna, zasłaniając całe światło z zewnątrz. Był wysoki i całkowicie łysy, o ciężkim czole i twardych, bezlitosnych rysach. Miał na sobie czarną zbroję i szatę Sitha, a u jego boku zwisał miecz świetlny o rękojeści w kształcie haka. Choć lord Kaan nigdy wcześniej nie widział tego człowieka, słyszał o nim dość, by teraz rozpoznać go nieomylnie.

– Darth Bane! – wykrzyknął. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Githany, zastanawiając się, czy go zdradziła. Sądząc z wyrazu jej twarzy, była równie jak on zdumiona widokiem ich gościa, całego i zdrowego.

– Myśleliśmy... że nie żyjesz – zaczął niepewnie. – Jak...

– Jestem zmęczony – przerwał mu Bane. – Mogę usiąść?



– Oczywiście – szybko zgodził się Kaan. – Dla Brata wszystko. Wielkolud zaśmiał się ironicznie i rozsiadł na najbliższym krześle.

W jego głosie było coś takiego, że Kaan poczuł niepokój. Co on tu robi? Czy wie, że Githany próbowała go otruć? Czy wie, że to Kaan ją wysłał?

– Proszę, kontynuuj swoje wyjaśnienia – poprosił Bane z niedbałym gestem dłoni. Kaan się zjeżył. Wyglądało to tak, jakby dostał łaskawe pozwolenie, jakby to Bane dowodził. Zaciśnął zęby, spojrzał na mapę i podjął tam, gdzie przerwał:

– Jak mówiłem, Jedi kryją się w lesie. Możemy ich wykurzyć, jeśli się podzielimy. Wypuszczając nasze skutery powietrzne, możemy otoczyć ich południową linię...

– Ba! – prychnął Bane, z całej siły uderzając w stół otwartą dłonią. – Skutery powietrzne i otaczanie armii... – powiedział z ironią, wstał nagle i oskarżycielskim gestem wycelował palec w Kaana. – Myślisz jak byle generał z okopów, a nie lord Sithów!

W pomieszczeniu zapanowała pełna napięcia cisza. Nawet Kaanowi odebrało mowę. Czuł na sobie oczy wszystkich obecnych, obserwujących niecierpliwie, co się stanie dalej. Bane podszedł i przybliżył twarz do twarzy Kaana.

– Jak śmiałeś próbować mnie otruć? – zapytał niskim, groźnym szeptem.

– Ale... to nie ja! – wymamrotał.

– Nie przepraszaaj za przebiegłość i fałsz – upomniał go olbrzym, podchodząc do stołu. – Podziwiam cię za to. Jesteśmy Sithami, sługami Ciemnej Strony – ciągnął, pochylając się, żeby sprawdzić pozycję wojsk i układ taktyczny. – A teraz spójrz na mapę i myśl jak Sith. Nie walcz w lesie... zniszcz las!

Nastąpiło milczenie, które jako pierwsza przerwała Githany, zadając pytanie dręczące każdego z obecnych:

– I jak proponujesz to zrobić?

Bane popatrzył na nich ze złym uśmiechem.

– Pokażę wam.

Zapadła noc, ale w świetle ognisk obozowych Bane widział, jak żołnierze biegną tam i z powrotem, dokonując przygotowań, które zalecił. Kiedy wyczuł zbliżającą się z tyłu Githany, obejrzał się. Trzymała w ręku miskę parującej zupy, a wyraz twarzy miała ostrożny, niepewny.

– Minie jeszcze godzina, zanim będą gotowi do rozpoczęcia tego twojego rytuału – powiedziała na powitanie. Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Wydajesz się zmęczony. Przyniosłam ci coś na pokrzepienie.

Wziął miskę, ale nie podniósł jej do ust. Rytuał, o którym wspomniała, odkrył w czasie studiowania holocronu Revana: był to sposób jednoczenia umysłów i dusz, tak aby ich połączona siła mogła zostać skierowana przeciwko fizycznemu światu. Pod wieloma

względami zastosowany tu proces przypominał tworzenie z Mocy bomby myśli, ale był o wiele słabszy niż to, co posłał jako dar pokoju Kaanowi – i mniej niebezpieczny.

Zorientował się, że Githany przygląda mu się uważnie, więc wskazał wzrokiem na miskę.

– Przyszedłeś mnie znowu otruć? – zapytał. W jego głosie zabrzmiał cień żartobliwej przekory.

– Wiedziałeś przez cały czas, prawda? – mruknęła. Pokręcił głową.

– Nie, dopóki nie poczułem smaku trucizny na twoich ustach. Uniosła brew i uśmiechnęła się zalotnie.

– Ale przyszedłeś po drugą porcję – zauważyła. – I po trzecią.

– Trucizna nie powinna zaszkodzić mrocznemu lordowi. Ale omal mnie nie zabiła – dodał, a Githany milczała. – W Bractwie jest zbyt wielu mrocznych lordów – ciągnął. – A wszyscy są za słabi Ciemną Stroną. Kaan tego nie rozumie.

– Kaan się boi, że przyszedłeś, aby opanować Bractwo – powiedziała Githany. Po chwili namysłu dodała: – Sądzę, że ma rację.

Nie opanować, pomyślał, lecz zniszczyć. Nie zwracał sobie jednak głowy poprawianiem jej. Nie czas jeszcze na to. Potrzebował dalszych dowodów, że jest właściwą osobą, aby zostać jego uczennicą.

*Dwóch ich powinno być, nie więcej, nie mniej. Jeden, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać.*

To wybór, którego nie można było dokonywać pochopnie.

– Mogę pokazać ci prawdziwą potęgę Ciemnej Strony, Githany. Moc, która przewyższa wszystko, co ktokolwiek z nich mógłby sobie wyobrazić.

– Naucz mnie – szepnęła. – Chcę wiedzieć. Możesz mi pokazać wszystko... kiedy zajmiesz miejsce Kaana na czele Bractwa.

Nie mógł się powstrzymać przed podejrzeniem, że znów próbuje nim manipulować. Czy chce rozegrać ich przeciwko sobie. A może próbuje go zmusić do przejęcia roli Kaana, aby udowodnił swoją nową siłę?

Nie, przyznał w duchu. Ona po prostu wciąż nie rozumie, że cały zakon Sithów wymaga zniszczenia i odbudowy od podstaw. Może nigdy tego nie zrozumie.

– Powiedz mi – zagadnął. – Czyj to był pomysł, aby mnie otruć? Twój czy Kaana? Z lekkim uśmiechem schyliła się i zbliżyła do niego, spoglądając mu prosto w oczy.

– Pomysł był mój – wyznała. – Ale zrobiłam wszystko, aby Kaan myślał, że jego. Może jeszcze jest dla niej jakaś nadzieja, pomyślał Bane.

– Wiem, że popełniłam błąd – ciągnęła, odsuwając się od niego. – Powinnam była pójść z tobą, kiedy opuszczałeś Korribana. Nie wiedziałam, czego szukasz. Nie rozumiałam sekretów, za którymi goiłeś. Teraz je rozumiem. Jesteś prawdziwym przywódcą Sithów, Bane. Od tej pory pójdę za tobą. Reszta Bractwa także, kiedy już za pomocą naszego rytuału zniszczymy Jedi.

– Tak – odparł, starannie modulując głos. Wypił łyk parującej zupy. – Kiedy zniszczymy Jedi.

Bane wiedział, że nie mogą tak naprawdę zniszczyć Jedi. Nie tu, na Ruusanie. Nie w ten sposób. Jedi zawsze przetrwają. Żadna zwykła wojna nie zdoła wyeliminować sług światła. Jedynie narzędzia Ciemnej Strony – przebiegłość, tajemnica, zdrada, kłamstwo – mogą to uczynić.

Tych samych narzędzi użyje teraz, aby zniszczyć Bractwo Ciemności... A zacznie od dzisiejszego rytuału.

## ROZDZIAŁ 28

Kaan, Githany oraz reszta mrocznych lordów zebrali się na szczycie rozległego płaskowyżu wznoszącego się ponad lasami, gdzie ukrywali się Hoth i jego armia. Przybyli na skuterach – jednoosobowych pojazdach powietrznych o małym zasięgu, wyposażonych w ciężkie miotacze. Skutery zaparkowali na skraju płaskowyżu, pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie w luźnym kręgu zasiedli Sithowie. Rytuał się rozpoczął.

Łączyli się z Mocą, wchodząc równocześnie w trans medytacyjny. Ich umysły pograżały się coraz głębiej i głębiej w źródłach siły, ukrytych w każdym z nich, czerpiąc z nich siłę i łącząc je w jednym kanale. Bane stał pośrodku kręgu, kierując obrzędkiem.

– Dotknijcie Ciemnej Strony. Ciemna strona jest jedna. Niepodzielna.

Nocne niebo nawisło czarnymi chmurami i na płaskowyżu zerwał się wicher, szarpiąc płaszczami i pelerynami Sithów. Powietrze zadrżało od grzmotów i trzasków narastającej burzy. Pęki białobłękitnych błyskawic przecięły firmament i temperatura opadła nagle.

– Oddajcie się Ciemnej Stronie. Niech was otoczy. Pochłonie. Pożre.

Bractwo pograżało się coraz głębiej w kolektywny trans, ledwie uświadamiając sobie obecność rozszalałej burzy atakującej ich zewsząd. Bane stał w samym oku burzy, ściągając błyskawice ku sobie, wchłaniając je. Czuł narastanie mocy, kiedy skupiał i nadawał kierunek Ciemnej Stronie pozostałych.

Tak to powinno wyglądać! Cała potęga Bractwa w jednym ciele! To jedyny sposób, aby rozpętać cały potencjał Ciemnej Strony! – powtarzał w duchu.

– Czy czujecie się niezwycięzeni? Nietykalni? Nieśmiertelni?! Musiał krzyżeć, aby usłyszeli go poprzez wycie wiatru i trzask piorunów. Z jego ciała wypływały błyskawice, łącząc go z każdym z pozostałych Sithów. Zadrżał i zeszywniał nagle, z ramionami rozpostartymi na boki. Jego ciało powoli zaczęło się wznosić w powietrze.

– Czujecie to?! – krzyknął. Wydawało mu się, że przepływająca przez niego jak wodospad czysta potęga Mocy za chwilę rozerwie mu ciało na strzępy. – Czy jesteście gotowi zabić świat?

Niewiele jest rzeczy w galaktyce, które mogłyby przerazić takiego człowieka jak generał Hoth. Jednak teraz, kiedy przeglądał ostatnie raporty z pola bitwy, świeżo dostarczone przez zwiadowców, poczuł u podstawy czaszki pierwsze zimne iskry prawdziwego strachu.

Kłótnia z Farfallą została zażegnana, ale teraz i tak nie było żadnych szans, aby przetransportować posiłki na powierzchnię planety. Małe statki z posłańcami, jedno – lub dwuosobowe, mogły niepostrzeżenie przemknąć przez blokadę Sithów, choć od czasu do czasu nawet i te stateczki były namierzane i niszczone. Wszystkie większe obiekty z góry skazane były na zagładę.

Ale strach Hotha był czymś więcej niż tylko bezsilną świadomością, że pomoc jest w zasięgu ręki, a jednak całkowicie niedostępna. W powietrzu było coś złowróżbnego. Coś złego.

Nagle w jego mózgu pojawił się nieproszony obraz: przecucie śmierci i zniszczenia. Skoczył na równe nogi i wybiegł z namiotu. Nawet teraz, w środku nocy, nie był szczególnie zaskoczony, widząc prawie wszystkich Jedi na zewnątrz. Oni też to poczuli. Coś nadchodziło. Bardzo szybko.

Spojrzeni na niego w oczekiwaniu na rozkazy. Ale rozkaz był tylko jeden.

– Uciekać!

Burza przetoczyła się nad płaskowyżem i spadła na las. Setki palących błyskawic posypały się z nieba – i las eksplodował. Drzewa buchnęły płomieniami, ogień pożerał gałęzie i rozprzestrzeniał się we wszystkich kierunkach. Ściółka żarzyła się, dymiła, aż wreszcie również zapłonęła i ściana ognia ruszyła przez powierzchnię planety.

Piekło pożerało wszystko, co napotkało na swojej drodze.

Żar i ogień. Świat Bane'a składał się tylko z tego. Wydawało mu się, że sam stał się burzą – widział przed sobą świat pogrążony w czerwieni i po kilku sekundach zamieniający się w popiół i węgiel przez nieokiełznaną furję Ciemnej Strony.

Było to coś wspaniałego. I nagle się skończyło.

Poczuł ostry wstrząs, gdy jego ciało spadło z miejsca, gdzie unosiło się pięć metrów ponad powierzchnią gruntu. Przez kilka sekund był całkowicie zdezorientowany, niezdolny stwierdzić, co się właściwie stało. Nagle zrozumiał. Ktoś przerwał więź.

Powoli wstał, niepewny, czy zdoła utrzymać równowagę. Wokół siebie widział ciemne sylwetki Sithów; już nie klęczeli w pozycji medytacyjnej, lecz leżeli lub tarzali się po ziemi, całkowicie wytrąceni z równowagi przez nagły kres rytuału. Jeden po drugim dochodzili do siebie i wstawali, ale większość wyglądała na równie zdezorientowanych, jak Bane jeszcze kilka sekund temu. Wtedy zauważył lorda Kaana, który stał przy skuterach.

– Co się stało? – zapytał wściekle Bane. – Czemu przerwałeś?

– Twój plan zadziałał – ostro odparł Kaan. – Las jest zniszczony, Jedi uciekli na otwarte pole. Są odsłonięci, słabi. Teraz ich wykończymy.

A więc to Kaan zerwał więź i zdołał pociągnąć za sobą innych, jakby miał władzę nad ich umysłami. Być może nawet tak było pomyślał Bane. Jeszcze jeden powód, żeby ich zniszczyć, jeśli Sithowie mają zostać oczyszczeni.

W miarę jak pozostali odzyskiwali zmysły, Kaan wydawał im rozkazy i przekazywał plany bitewne.

– Ogień wypłoszył Jedi na otwartą przestrzeń! – Wołał. – Możemy zniszczyć ich z góry. Naprzód!

Na jego rozkaz skoczyli na nogi i pobiegli do oczekujących pojazdów. Wystartowali, wznosząc bojowe okrzyki i wyjąc triumfalnie.

– Chodź, Bane! – zawołała Githany, mijając go w pędzie. – Lecimy z nimi! Chwyć ją za ramię i osadź w miejscu.

– Kaan wciąż próbuje wygrać tę wojnę miotaczami i wojskiem – warknął. – Nie tak walczą Sithowie.

– Tak jest weselej – odparła z wyraźnym podnieceniem w głosie i wyszarpnęła się z jego uchwytu.

Patrzył za nią gdy biegła z pozostałymi. Zdał sobie sprawę, że Githany jest już skazona naukami Qordisa i Akademii na Korribanie. Pomimo obietnicy, że pójdzie za nim, wciąż widziała jedynie Bractwo i jego ograniczenia. Była napiętnowana – niegodna stać się jego uczennicą. Będzie musiała umrzeć wraz z pozostałymi.

Poczuł w duszy cień żalu, kiedy podjął tę decyzję, ale to był pusty żal – echo uczucia, ostatnie strzępki emocji. Zdmuchnął je szybko, wiedząc, że tylko go osłabiają.

– Przerażasz nas, Bane – usłyszał nagle głos zza pleców. Odwrócił się. Za nim stał Kopecz i obserwował go uważnie.

– Kiedy koncentrowałeś w sobie Moc, mieliśmy wrażenie, jakbyś zaciskał nam zęby na gardłach – ciągnął Twi'lek. – Jakbyś próbował wyssać nas do cna.

– Potęga Ciemnej Strony jest silniejsza, jeśli koncentruje się w jednym naczyniu – odparł Bane – zamiast zostać rozdzielona na wiele. Zrobiłem to dla Ciemnej Strony.

Kopecz pokręcił głową i wsiadł na skuter.

– Cóż, wiemy, że nie zrobiłeś tego dla nas.

Bane obserwował, jak odlatuje, a potem wsiadł na własny skuter. Zamiast jednak podążyć za Kaanem w sam środek bitwy, zawrócił do obozowiska Sithów. Pierwsza faza jego planu zniszczenia Bractwa dobiegła końca.

Kiedy w dwadzieścia minut później znalazł się w obozie, nie zdziwił się, że jest całkowicie puste. Wszyscy mroczni lordowie znajdowali się na płaskowyżu; bezzwłocznie udali się za Kaanem, aby stanąć do walki z nagle osłabionymi Jedi. Żołnierze, słudzy i zwolennicy, którzy stanowili trzon armii Sithów, zostali najpierw w obozie, ale już dawno otrzymali rozkazy od Kaana i pozostałych, aby dołączyć do nich na polu bitwy.

Bane posadził swój skuter na środku obozowiska, tuż obok namiotu lorda Kaana. Wyłączył silnik i ze zdumieniem usłyszał odległe wycie nadlatującego drugiego skutera. Zaciekawiony podniósł wzrok. Kiedy pojazd był już blisko, rozpoznał kierowcę.

Skuter pędził wprost na niego. Bane opuścił dłoń do miecza świetlnego, gotów odpiąć go w jednej chwili. Moc w nim wezbrała. Przygotował się na wyrzucenie tarczy ochronnej, gdyby zamontowane na skuterze miotacze miały otworzyć ogień.

Skuter jednak nie zaatakował. Przeleciał kilka metrów nad jego głową, skręcił raptownie i wylądował obok.

– Broń nie będzie ci potrzebna – rzekł Qordis, zsiadając. – Przybyłem z propozycją. Bane zrozumiał, że nie ma bezpośredniego zagrożenia i opuścił rękę.

– Z propozycją? Co masz mi do zaoferowania?

– Mój hołd – rzekł Qordis, klękając na jedno kolano.

Bane wytrzeszczył oczy z mieszaniną zgrozy, rozbawienia, i pogardy.

– Dlaczego miałbyś składać mi hołd? – zapytał. – I po co mi on? Qordis powoli podniósł się na nogi z przebiegłym uśmiechem na ustach.

– Nie jestem ślepy, lordzie Bane. Widziałem, jak rozmawiasz z Githany. Wiem, że próbujecie usunąć Kaana. Znam też prawdziwy powód, dla którego przybyłeś na Ruusan.

Zaintrygowany Bane zaczął się zastanawiać, czy to możliwe aby Qorchs – założyciel Akademii na Korribanie, najzagorzalszy zwolennik wszystkiego tego, co niszczyło Sithów – wreszcie ujrzał prawdę.

– Co właściwie mi proponujesz? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Wiem, co się stało z Kas'imem. Sprzymierzył się z Kaanem przeciwko tobie. Zapłacił życiem za tę decyzję. Nie jestem taki głupi... Wiem, że przybyłeś, aby przejąć władzę nad Bractwem – oświadczył. – Wierzę, że ci się uda. I chcę ci pomóc.

– Chcesz mi pomóc przejąć władzę nad Bractwem? – Bane ryknął śmiechem. Qordis był równie ślepy i tępy, jak oni wszyscy.

– Zastąpić jednego przywódcę innym, żebyście ty i reszta Bractwa nadal byli tacy jak przedtem? To jest ten twój błyskotliwy plan?

– Mogę się okazać bardzo użyteczny, lordzie Bane – upierał się Qordis. – Wielu z Bractwa to dawni studenci mojej Akademii. Wciąż szukają we mnie mądrości i przewodnictwa.

– I w tym jest cały problem. – Bane cisnął Ciemną Stroną chwytając Qordisa w unieruchamiający, miazdzący uścisk. Jego przeciwnik próbował się bronić, podnosząc tarczę, by odeprzeć atak, ale Bane przedarł się przez tę żalostną zasłonę i zniósł ją jakby nigdy nie istniała.

Qordis wydał zdławiony okrzyk bólu, kiedy Moc zacisnęła się wokół niego i uniosła go z ziemi.

– Twoja mądrość zniszczyła nasz zakon – niedbale wyjaśnił Bane, obserwując, jak Qordis miota się bezradnie nad jego głową.

– Zatrueś umysły swoich zwolenników. Ty i Kaan poprowadziliście ich drogą zniszczenia.

– Nie... nie rozumiem – jęknął Qordis. Uścisk Mocy wydusił mu z płuc całe powietrze, więc jego głos był zdławiony i ledwie słyszalny.

– To zawsze był problem – odparł Bane. – Bractwo trzeba oczyścić. Sithowie muszą zostać zniszczeni i odbudowani. Ty, Kaan i wszyscy pozostali musicie zniknąć z oblicza galaktyki. Po to wróciłem.

Ściągnięte rysy Qordisa wykrzywiły się przerażeniem, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów.

– Proszę – jęknął. – Nie rób tego. Puść mnie. Pozwól mi... wyjąć miecz świetlny. Walczmy... jak Sithowie.

Bane przechylił głowę na bok.

– Pewnie wiesz, że potrafię cię zabić moim mieczem świetlnym równie łatwo, jak Mocą.

– W...wiem. – Skóra Qordisa poczerwieniała, jego ciało zaczęło drżeć. Nacisk narastał. Każde wypowiedziane słowo kosztowało go ogromnie dużo wysiłku, ale umierający człowiek i tak znalazł dość sił, żeby ostatni raz szepnąć: – Większy... honor... to... śmierć... w... walce...

Bane obojętnie wzruszył ramionami.

– Honor jest dla żywych. Trup to trup.

Ostatni wysiłek umysłu zacisnął niewidzialne imadło. Qordis wydał ostatni krzyk, lecz bez powietrza w płucach zabrzmiał on raczej jak charkot, który utonął w trzasku pękających kości.

Gdyby Bane wciąż jeszcze był zdolny do jakichś uczuć, mogłoby mu się naprawdę zrobić żal tego człowieka. Teraz jednak pozwolił po prostu, aby ciało osunęło się na ziemię, a sam wszedł do namiotu Kaana i zbliżył się do sprzętu telekomunikacyjnego. Nadszedł moment, aby uruchomić drugą fazę planu.

Na pokładzie „Zmierzchu”, okrętu flagowego floty Sithów, pełniąca funkcję komandora admirał Adrianna Nyras odpowiedziała na wezwanie po częstotliwości wywoławczej z własnego komunikatora na nadgarstku.

– Tu admirał Nyras – zameldowała. – Czekam na rozkazy, lordzie Kaan.

– Lord Kaan jest nieobecny – odparł nieznajomy głos. – Tu lord Bane. Zawahała się tylko ułamek sekundy, zanim odpowiedziała. Kaan rzadko pozwalał komuś używać swojego prywatnego transceivera, ale czasem się to zdarzało. Przy stosowanym zabezpieczeniu było praktycznie niemożliwe, aby ktokolwiek włamał się na częstotliwość. Wiadomość musiała pochodzić z obozowiska Sithów, a więc chyba naprawdę rozmawiała z którymś z mrocznych lordów.



– Przepraszam, lordzie Bane – usprawiedliwiła się. – Jakie są rozkazy?

– Raport statusu.

– Bez zmian – odparła tonem oschłym i pełnym wojskowej precyzji i sprawności. – Blokada nienaruszona. Flota Jedi wciąż wisi tuż poza naszym zasięgiem strzału.

– Związać ogniem.

– Słucham? – zapytała tak zaskoczona, że przez chwilę zapomniała, do kogo mówi.

– Słyszałaś, admirale – warknął głos po drugiej stronie. – Związać ogniem flotę Jedi.

Rozkaz nie miał sensu. Kiedy Kaan rozmawiał z nią ostatnio, nakazał jej utrzymywać pozycję za wszelką cenę. Jak długo utrzymywali lokalizację na orbicie, ich blokada była praktycznie nie do przerwania. Jeśli jednak złamią formację i zaatakują flotę Jedi, nie będą w stanie powstrzymać statków desantowych przed zrzutem posiłków na powierzchnię.

Podczas swojej służby w armii Sithów słyszała jednak wiele dziwnych rozkazów. Powiadali, że Kaan ma pewne mistyczne zdolności, konieczne, aby wpłynąć na wynik bitwy poprzez Moc. Mógł podobno sprawić, że tradycyjne strategie stawały się bezskuteczne. A jeśli mroczny lord dawał jej bezpośredni rozkaz, wykorzystując osobisty sprzęt komunikacyjny w namiocie lorda Kaana, nie miała zamiaru ryzykować odmowy jego wykonania.

– Rozkaz, lordzie Bane – odpowiedziała. – Zwiążemy wroga.

Ogień wywabił generała Hotha i jego armię spod osłony lasu. Pozostawiając za sobą większość zapasów i sprzętu, biegli pomiędzy drzewami na oślep, aby uciec przed palącym żarem i płomieniami. Ci, którzy potknęli się lub upadli, zostali natychmiast pochłonięci przez pożar. Większość jednak jakimś cudem zdołała się utrzymać w bezpiecznej odległości od płomieni i wreszcie wychynąć z lasu na kamienistą równinę, gdzie stoczono już tyle walk.

Sithowie czekali na nich.

Pierwsza fala żołnierzy Hotha, która wybiegła z lasu, została natychmiast ścięta ogniem z miotaczy. Ci tuż za nimi zdążyli dobyć mieczy i odbić większość śmiertelnych strzałów. Wybiegli na równinę, aby zaraz trafić na falę żołnierzy Sithów, którzy rzucili się na nich ze wszystkich stron.

Choć siły wroga były przeważające, Jedi bronili się dzielnie. Odepchnęli szeregi Sithów, łamiąc ich linie i siejąc chaos i bezład. Hoth wiedział jednak, że prawdziwa pułapka dopiero się zatrzaśnie.

Tnąc każdego nieprzyjaciela, który był dość głupi, aby nawinąć mu się w zasięg miecza, generał czuł, że to nie są prawdziwi Sithowie. Nie było wśród nich mrocznych lordów. Te horde bez twarzy wysłano dla odwrócenia uwagi.

Gdzie oni są? Co planuje Kaan?

Odpowiedź nadeszła wkrótce, kiedy batalion skuterów śmignął zza horyzontu i rozpętał prawdziwe piekło na polu walki. Prowadzone przez Ciemną Stronę działka były śmiertelnie

celne, dziesiątkując żołnierzy Hotha i przeważając szalę zwycięstwa z powrotem na stronę Sithów.

Hothowi już wcześniej zdarzało się walczyć przy nieprawdopodobnym stosunku sił i zwyciężać. Teraz jednak wiedział, że los chce, aby to była jego ostatnia walka.

Sprawie jednak, że nasz ostatni szaniec wart będzie wspomnienia i pieśni, pomyślał dumnie. Nawet jeśli nie zostanie nikt, kto mógłby ją zaśpiewać.

Świat rozplynął się w otępiającej mgle walki. Krzyki i odgłosy bitwy zlały się w jeden nierozpoznawalny ryk. Rozpryski ziemi i kamieni, odłupane strzałami z miotacza eksplodującymi w podłożu, zasypywały Hotha z góry, miesząc się z potem i krwią przyjaciół i wrogów. Każdy cios zadawał tak, jakby miał być jego ostatnim, wiedząc, że wcześniej czy później jeden ze skuterów weźmie go na cel i podleci, by z nim skończyć.

Skuter lorda Kaana wycinał kolejne ścieżki w tłumie walczących żołnierzy, śmigając ponad chaosem jak posępny, drapieżny ptak. Z jego pozycji widać było wyraźnie, że zwyciężają. Jednak nawet źle wyposażeni, przytłoczeni przewagą liczebną i ilością uzbrojenia Jedi walczyli aż do końca. Nie mógł nie podziwiać ich odwagi i poświęcenia dla sprawy nawet w obliczu pewnej śmierci. Gdyby jego żołnierze byli tak wytrwali w lojalności i gotowości, wygrałby tę wojnę dawno temu. Nie chodziło o brak dyscypliny; armie Sithów były równie dobrze wyszkolone, jak wojska Jedi i Republiki. Po prostu brak im było przekonania.

Zbyt często ich morale podtrzymywane było samą tylko wolą Kaana, a jego medytacje bitewne wzmacniały ich wolę walki za każdym razem, kiedy sytuacja wydawała się trudna lub wręcz desperacka. Ale medytacja bitewna nie załatwi wszystkiego. W starciu przeciwko całej armii Jedi, uzbrojonych przed potęgą Mocy Sithów, mogła ona jedynie wsączyć we wroga słabe uczucie niepewności. Niewielka przewaga i łatwa do pokonania. Tu, na powierzchni tego zapadłego światka, Bractwo Ciemności i jego poddani musieli walczyć własnymi zasobami, bez jego interwencji. I bardzo często okazywały się one niewystarczające.

Bywały chwile, kiedy Kaan kwestionował zdolność swojego wojska do samodzielnego działania. Niekiedy zastanawiał się, czy żołnierze Sithów nauczyli się tak polegać na ogromnej przewadze, jaką dawała im jego medytacja bojowa, że zapomnieli, jak walczyć skutecznie bez niej. Ostatecznie jednak zwyciężyli. Jedi bronili desperacko ostatniego szanca – wspaniała, piękna walka – ale wynik był nieunikniony. Kaanowi zostało tylko jedno. Musiał to zrobić, zanim walka dobiegnie końca.

Wciąż przejeżdżał nad polem bitwy tam i z powrotem, od czasu do czasu strzelając do wrogów; szukał swojej upatrzonej ofiary. Wreszcie go zobaczył – generał Hoth stał w samym środku walki, otoczony przez mur dzielnych sojuszników i morze Sithów, które co chwila rozbijało się o niego.

Ustawił działka skutera na cel i wzniosł się w górę, aby zakończyć sprawę spektakularnym najazdem i ostrzałem. Jednak na ułamek sekundy przed oddaniem strzału potężna eksplozja zakołysała jego skuterem i zepchnęła go w lewo. Jego strzały wyryły głęboką dziurę w ziemi o kilka metrów od generała, pozostawiając go nietkniętego.

Hoth walczył dalej, jakby nic nie zauważył, a Kaan ostro skręcił pojazd, żeby sprawdzić, co się stało. Zanim dokończył zakręt, kolejna eksplozja wstrząsnęła powietrzem za jego plecami i ujrzał, jak jeden z pozostałych skuterów traci kontrolę i rozbija się o ziemię.

Podniósł wzrok, nagle zdając sobie sprawę, że zostali zaatakowani od góry. Z nieba schodziły na nich dwie potężne kanonierki, strzelając seriami i zdejmując po jednym wszystkie skutery Sithów. Na brzuchu każdego ze statków widać było wyraźnie barwy mistrza Jedi Valenthine'a Farfalli.

Niemożliwe! Kaan zaklął w duchu. Przecież nie mogli się przebić przez blokadę! Nie takimi statkami! A jednak jakoś im się to udało.

Kolejna seria strzałów zakończyła istnienie trzech następnych skuterów i Kaan stwierdził, że teraz to jego armia jest w zdecydowanej mniejszości. Skutery były szybsze i bardziej zwrotne od kanonierek Jedi, ale ich miotacze nie spowodowałyby nawet zadraśnięcia na ciężkim pancerzu.

Przez sekundę Kaan zastanawiał się, czy w ogóle zdoła zebrać pozostałych mrocznych lordów. Jeśli skoncentrują ataki, może zdołają zniszczyć kanonierki, choć ich straty własne będą duże. Ale odsunął od siebie ten pomysł równie szybko, jak na niego wpadł.

Nie był jedynym, który zauważył pojawienie się posiłków Jedi. Widząc znaczną przewagę nieprzyjaciela, mroczni lordowie pod jego dowództwem zareagowali w jedyny znany sobie sposób: obrona poprzez ucieczkę. Już i tak większość skuterów przerwała ostrzał i wykonywała pierwsze manewry unikowe, starając się tylko opuścić pole walki z życiem. A kiedy lordowie i mistrzowie zaczęli uciekać, hordy żołnierzy Sithów na ziemi bez wahania poszły za ich przykładem. Pewne zwycięstwo przerodziło się w koszmarną porażkę.

Klnąc paskudnie zarówno Jedi, jak i własnych ludzi, lord Kaan wiedział, że zostało mu już tylko jedno wyjście. Skręcając, aby uniknąć dwóch strzałów, które miały go zrzucić z nieba, dołączył do uciekających.

## ROZDZIAŁ 29

Generał Hoth nie mógł powstrzymać bardzo niepewnego uśmiechu, chociaż otaczały go ciała rannych i zabitych, zaścielając całe pole niedawnej bitwy. Sithowie odpalili swoją pułapkę, a jednak Armia Światła przetrwała.

Rozpoznał barwy Farfalli na kanonierkach, które teraz okrężały pole, trzymając w ryzach pochowane po różnych dziurach niedobitki Sithów, dopóki żołnierze na ziemi nie okrężyli ich i nie zmusili do poddania. Większość ustąpiła bardzo szybko. Wszyscy wiedzieli, że Jedi wolą brać jeńców niż zabijać wrogów, podobnie jak wszyscy wiedzieli, że dobrze traktują więźniów. Nie można było oczywiście powiedzieć tego samego o Sithach.

Niewielki konwój osobistych skuterów wyleciał z kanonierek i skierował się ku grupce ocalałych na ziemi. Generał rozpoznał Farfallę na pierwszym skuterze. Farfalla również go zauważył i natychmiast skrzył w jego stronę.

Młodszy Jedi zatrzymał skuter i zeskoczył. Nic nie mówił, tylko wyciągnął dłoń w ostrożnym geście powitania. Ubrany był jak zwykle, barwnie i ekstrawagancko, lecz z jakiegoś powodu dzisiaj nie przeszkadzało to Hothowi tak jak kiedyś. Generał podszedł i chwycił go mocno w objęcia, aż Farfalla zaśmiał się z zaskoczenia. Hoth wypuścił go z uścisku dopiero wtedy, gdy przybysz zaczął się krztusić.

– Witaj, lordzie Hoth – rzekł Farfalla, jak tylko zdołał się uwolnić. Skłonił się głęboko, wyprostował i rozejrzał po polu bitwy, a wyraz jego twarzy zmienił się nagle. – Żałuję tylko, że nie zdążyłem wcześniej.

– To cud, że w ogóle tutaj dotarłeś – odparł Hoth. – Aż się boję spytać, jak ci się udało przerwać blokadę, bo a nuż to wszystko zaraz się okaże gorączkowym majaczeniem zgubionego i umierającego człowieka.

– Zapewniam, generale, że jestem całkiem rzeczywisty. A jak przybyliśmy... dość łatwo to wyjaśnić. Sithowie złamali szeregi swojej blokady, aby zaatakować naszą flotę. Nasze okręty zajęły się ich krążownikami i dreadnaughtami, a my zdołaliśmy przemycić na planetę kilkanaście kanonierek.

– A co z resztą naszej floty? – zapytał zatroskany Hoth. – Sithowie mają prawie dwa razy tyle statków co wy.

– Trzymali ich dość długo, abyśmy zdążyli przerzucić nasze kanonierki, po czym odpadli i wycofali się z zaskakująco niskimi stratami.

– Doskonale – odparł generał, kiwając głową. Nagle zmarszczył brwi. – Wciąż jednak nie rozumiem, po co wdawali się w walkę z naszą flotą. To nie ma sensu!

– Mogę tylko przypuszczać, że odebrali rozkazy od kogoś stąd, na powierzchni.

– Kaan był bliski wykończenia nas – upierał się Hoth. – Rozkaz ataku byłby ostatnią rzeczą, jaka przysłałaby mu do głowy.

Obaj Jedi milczeli przez chwilę, rozważając implikacje tego, co się stało. Wreszcie Farfalla zapytał:

– Czy to możliwe, abyśmy mieli nieznanego sojusznika w szeregach Bractwa Ciemności? Hoth pokręcił głową.

– Wątpię. Raczej to Sithowie zaczynają zwracać się jeden przeciwko drugiemu. To było nie do uniknięcia.

Mistrz Farfalla przytaknął.

– W końcu to Ciemna Strona.

Kaan kipiał wściekłością, kiedy jego skuter lądował w obozowisku Sithów. Jak wszystko mogło się tak pogmatwać w tak krótkim czasie? Byli już bliscy zwycięstwa, a w następnej chwili znaleźli się na progu klęski.

Ruszył jak burza w stronę namiotu, ignorując pytające spojrzenia Githany i pozostałych. Chcieli wyjaśnień, a on ich nie miał. I nie będzie ich miał, dopóki nie dostanie raportu od admirała Nyras. Jak Farfalla przedarł się przez tę cholerną blokadę?

Był tak wściekły, że nie zauważył skutera Qordisa zaparkowanego obok namiotu ani rozbryzniętych kropli krwi. Gdyby zauważył, może by się pofatygował i odkrył w pobliskich zaroślach jego ciało, ale Kaan skoncentrowany był wyłącznie na dotarciu do namiotu i sprzętu komunikacyjnego, który się w nim znajdował.

Wewnątrz ujrzał Bane'a, który czekał na niego, nieruchomy jak głaz.

– Tak szybko z powrotem, Kaan? – zapytał. – I co z waszą wspaniałą bitwą?

– Posiłki – warknął Kaan. – Farfalla jakimś sposobem zdołał przebić się przez naszą blokadę.

– To ja kazałem flocie wciągnąć Jedi w walkę – rzekł Bane tak niedbale, jakby mówił o pogodzie.

Kaan otworzył usta. Podejrzewał zdradę, ale nie był przygotowany na to, że zdrajca przyzna się do tego tak otwarcie. – Ale... dlaczego?

– Chciałem, aby wszyscy Jedi znaleźli się na Ruusanie w tym samym momencie – odparł Bane.

– Ty cholerny głupcze! – krzyknął Kaan, wściekle wymachując ramionami, jakby ogarnęły go niekontrolowane drgawki. – Zwycięstwo należało do nas! Mieliśmy już Hotha pod butem!

– To wasz cel, nie mój. Chcę znacznie cenniejszej nagrody niż śmierć generała Hotha. To tylko jeden człowiek.

Kaan zaśmiał się chrapliwie.

– Wszyscy wiemy, jakiej chcesz nagrody, Darth Bane. Chcesz przejąć przywództwo Bractwa.

Bane obojętnie wzruszył ramionami, jakby go to w ogóle nie obchodziło.

Wydawał się tak spokojny, tak pewny tego, co robi. Kaan z trudem się powstrzymywał, żeby nie skoczyć mu do gardła. Czy on nie rozumie, co zrobił? Czy nie widzi, że wszystkich ich skazał na śmierć?

Kaan opadł na krzesło.

– Jeśli poprowadzisz ich przeciwko Jedi, pójdą na pewną śmierć.

Teraz to Bane się zaśmiał niskim, upiornym śmiechem.

– Jak szybko poddajesz się rozpacz, Kaan. Jeszcze parę godzin temu byłeś pewien zwycięstwa.

– To było, zanim Farfalla przybył z posiłkami – rzucił Kaan. – Przedtem mieliśmy przewagę liczebną i z powietrza, a wszystko to straciliśmy przez ciebie. Teraz ich nie pokonamy.

– Ja mogę ich pokonać – rzekł Bane.

Kaan się wyprostował. I znów ta sama pewność siebie. Bane wiedział coś, czego nie wiedział on. Jakaś sztuczka.

– Jeszcze jeden taki rytuał, jak ten ostatni? – Domyślił się.

– Znam wiele rytuałów, wiele sekretów. I mam siłę, by ich użyć.

Przerażenie chwyciło Kaana za gardło.

– Bomba myśli – szepnął.

– Twoje przywództwo zawiodło – stwierdził Bane. – Teraz to ja poprowadzę Bractwo do zwycięstwa.

– A co ze mną? – zapytał Kaan, znając z góry odpowiedź.

– Możesz przysiąc mi wierność wraz z innymi – odparł Bane – Albo zginąć tu, w tym namiocie.

Lord Kaan wiedział, że nie dorówna Bane'owi, ani fizycznie, ani w potędze Mocy. Nie miał jednak zamiaru poddawać się tak łatwo. Nie, dopóki miał spryt, charyzmę i swój wyjątkowy talent do perswazji.

– Naprawdę sądzisz, że pójdą za tobą? – zapytał, naciskając Mocą aby zasiać pierwsze ziarna zwątpienia w umyśle swojego rywala. – Wciąż się ciebie boją po ostatnim rytuale.

Przez twarde rysy przebiegł cień niepewności. Kaan zwiększył nacisk niewidzialnej kompulsji i mówił dalej:

– Bractwo to równość, nie poddaństwo. Jeśli każesz innym kłaniać się sobie, tylko ich odstraszysz albo nastawisz przeciwko sobie.

Wstał z miejsca, Bane zaś nerwowo głaskał się po podbródku, ważąc argumenty.

– A jak według ciebie zareagują inni, jeśli powiem im, w jaki sposób zorganizowałeś posiłki dla Jedi?

Ciemne oczy Bane'a zabłyśły gniewnie, dłoń opadła na rękojeść miecza świetlnego.

– Jeśli mnie zabijesz, to się i tak nie ukryje – ostrzegł Kaan. – Inni też już wiedzą że nie było cię na polu bitwy, kiedy pojawiły się statki Farfalli. Na pewno niejeden z nich już podejrzewa cię o zdradę.

Kaan nacisnął jeszcze mocniej, usiłując zniekształcić i zafałszować myśli Bane'a.

– Może i jesteś najsilniejszy, ale nie pokonasz nas wszystkich. Nie sam, Bane. Potężny mężczyzna zachwiał się i chwycił za głowę. Niepewnym krokiem podszedł do krzesła i opadł na nie ciężko. Pochylił się do przodu, przyciskając dłonie do skroni.

– Masz rację – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Masz rację.

– Więc wciąż jeszcze jest nadzieja – odparł Kaan, podchodząc i kładąc mu rękę na ramieniu krzepiącym gestem. – Pójdiesz za mną a ja powstrzymam innych przed atakami na ciebie. Dołącz do Bractwa.

Bane powoli skinął głową. Podniósł na Kaana zdesperowane, pozbawione nadziei spojrzenie.

– A co z Jedi? Co z ich kanonierkami?

Kaan wstał, powoli uwalniając go od mentalnego nacisku.

– Możemy wyrównać ich przewagę z powietrza, ukrywając się w jaskiniach – rzekł. – Znam generała Hotha: pójdzie za nami. A wtedy przywitamy go bombą myśli.

Bane ochoczo poderwał się na nogi. Kaan ucieszył się, że jego umiejętność perswazji poprzez Moc nic nie osłabła. Nawet Bane nie był niewrażliwy na jej manipulacje.

– Tak zrobię, lordzie Kaan! – zawołał. – Razem zniszczymy Jedi!

– Spokojnie, Bane – uciszył go Kaan, wysuwając w jego stronę macki spokoju i zrównoważenia. Na razie zlikwidował zagrożenie dla swojego stanowiska, jakie stanowił Bane, ale wiedział, że ten efekt jest tylko tymczasowy. Z czasem powróci wrogość, podobnie jak marzenie o płaszczu przywódcy. Kaan musiał znaleźć bardziej radykalne rozwiązanie

– Niestety – dodał. – Wciąż jeszcze są... komplikacje.

– Komplikacje?

– Mogę przekonać resztę Bractwa, żeby ci przebaczyli zdradę, ale dopiero po zniszczeniu Jedi. Do tej pory musisz się ukrywać przed innymi.

Wyraz zmieszania i cierpienia na twarzy Bane'a wyglądał żałośnie, ale Kaan przyzwyczał się do takiego okazywania uczuć u manipulowanych przez siebie ludzi.

– Poprowadzę Sithów do jaskiń – wyjaśnił. – Jestem dość silny, aby połączyć ich umysły i uwolnić bombę myśli bez twojej pomocy. Pozostaniesz tu, w namiocie, aż do nocy, a potem wymkniesz się z obozu. Trzymaj się w bezpiecznej odległości, dopóki się nie dokona...

– A kiedy Jedi zostaną zniszczeni, wrócisz po mnie?

– Tak – obiecał Kaan poważnym tonem. – Kiedy Jedi zginą wrócę po ciebie wraz z całą siłą Bractwa.

Teraz przynajmniej powiedział prawdę. Nie pozostawi niczego przypadkowi. Tym razem doceni przeciwnika. Bane przeżył już jedną próbę zabójstwa. Kaan będzie musiał skierować przeciwko niemu wszystkich swoich zwolenników.

– Zrobię, jak rozkażesz, lordzie Kaan – rzekł Bane, opadając na jedno kolano i skłaniając głowę. Kaan odwrócił się i opuścił obóz, kierując się w stronę swojego namiotu, gdzie przechowywał kartki z opisem rytuału bomby myśli.

Bane pozostał w tej pokornej postawie, dopóki mroczny lord nie zniknął mu na dobre z pola widzenia, po czym wstał i otrząsał kolana z kurzu. Skrzywił się posępnie. Wyczuł, że Kaan próbuje zdominować jego myśli, ale nie miało to dla niego większego znaczenia niż zardzewiały nóż dla pancerza haluriańskiego dzika lodowego. Wykorzystał jednak okazję i odegrał przedstawienie, jakiego nie powstydziliby się największy artysta teatralny z Alderaan.

Kaan był przekonany, że bomba myśli to klucz do zwycięstwa Sithów i zamierzał zwabić resztę Bractwa w sieć swojego szaleństwa. Druga faza planu Bane'a ruszyła. Wieczorem następnego dnia będzie już po wszystkim.

Wokół obozowiska Jedi przez całą noc niestrudzenie krążyły patrole, niezmiennie czujne i przygotowane na ataki nie tylko Sithów, przed którymi pilnowali obozu, ale także ze strony latających kosmatych skoczków.

Dawniej spokojne i pokojowo nastawione stworzenia z Ruusanu jakby oszalały w czasie kataklizmu, który przetoczył się po lesie. Przedtem stanowiły widok znajomy i przyjazny – zawisały w grupkach nad rannymi, wysyłając im obrazy pociechy i uzdrowienia. Teraz wyskakiwały z mroku w agresywnych bandach, wysyłając koszmary, które wszystkim wokoło przynosiły cierpienie, przerażenie i panikę.

Patrole nie mogły zrobić nic innego, jak tylko odstrzeliwać udęczone istoty, zanim rozprzestrzenia swoje szaleństwo na Jedi. Ponure zadanie, ale konieczne – jak wiele innych rzeczy na Ruusanie.

Na szczęście patrolom udawało się utrzymać skoczki na bezpieczną odległość i nastrój w obozowisku Jedi oscylował wokół ostrożnego optymizmu. Po beznadziejnej rozpaczki kilku ostatnich miesięcy taki spokojny entuzjazm wydawał się generałowi Hothowi prawie radosnym szaleństwem.

Nie byli już zwierzyną kryjącą się w głębi lasu, której udaje się przeżyć tak długo, jak długo pozostaje w ukryciu. Jedi zyskali przewagę: swój nowy obóz rozbili na otwartej przestrzeni wzdłuż pola bitwy, na którym stoczono decydującą walkę. Teraz to Sithowie się ukrywali.

Generał, choć wciąż zmęczony desperacką ucieczką z płomieni i późniejszą walką, nie mógł sobie pozwolić na sen. Było jeszcze zbyt wiele spraw, których należało dopilnować, zbyt wiele rzeczy wymagających jego uwagi.



Oprócz zorganizowana patroli przeciwko skoczkom musiał nadzorować podział świeżych zapasów. Statki Farfalli dostarczyły ogromnie potrzebne pakiety medyczne, żywność i świeże ogniwa do miotaczy i osobistych tarcz. Większość poprzednich zasobów spłonęła wraz z lasem w nienaturalnym pożarze, a generał chciał, aby jego podkomendni byli dobrze przygotowani i zaopatrzeni, zanim sam sobie pozwoli na luksus snu.

Kręcił się pomiędzy dziesiątkami przygasających ognisk i grupkami pochrapujących żołnierzy. Wciąż za mało mieli namiotów, ale nawet ci bez płótna nad głową z przyjemnością spędzali ciepłe noce na ziemi pod gołym niebem.

– Generale – rozległ się nagle głos, zdumiewająco głośny w tej ciszy. Hoth obejrzał się, aby ujrzeć biegnącego w jego kierunku Farfallę. Jedi poruszał się pewnie, zgrabnie wymijając uśpionych żołnierzy pomimo ciemności.

Hoth zatrzymał się, by na niego zaczekać. Grzecznym skinieniem głowy odpowiedział mu na zwyczajowy już, głęboki i dość ekstrawagancki ukłon.

– Masz nowiny, mistrzu Farfalla?

Młody człowiek skinął głową z podnieceniem.

– Nasi ludzie zauważyli przemieszczających się Sithów. Kaan prowadzi ich między wzgórz.

– Prawdopodobnie kierują się do systemów jaskiń i tuneli – domyślił się Hoth. – Próbują odebrać nam przewagę powietrzną.

Farfalla się uśmiechnął.

– Na szczęście zrobiliśmy już rozpoznanie terenu. Znamy większość głównych wejść do i z tuneli. Kiedy już tam wejda, otoczemy wyjścia. Zostaną schwytani w pułapkę.

– Hm... – Hoth pogładził się po brodzie i wymamrotał: – To niepodobne do Kaana, aby popełnić tak oczywisty błąd taktyczny. On coś kombinuje.

– Mogę posłać za nim do tuneli kilku zwiadowców – zaproponował Farfalla – Będą ich mieli na oku.

– Nie – stanowczo odparł Hoth po bardzo krótkim zastanowieniu. – Kaan będzie się spodziewał szpiegów. Nie oddam moich ludzi w ich ręce na przesłuchanie.

– Może ich zagłodzić? – zaproponował Farfalla. – Zmusić do poddania bez dalszego rozlewu krwi?

– To byłoby najlepsze rozwiązanie – przyznał generał. – Niestety, chyba nie mamy aż tyle czasu.

Westchnął głęboko i pokręcił głową ze znużeniem.

– Nie mam pojęcia, po co Kaan ucieka do jaskiń... ale wiem, że musimy coś zrobić, by go powstrzymać. – Twarz Hotha przybrała twarde, zdecydowany wyraz. – Odtrąbcie pobudkę i zbierzcie żołnierzy. Idziemy za nim.

– Nie chciałbym kwestionować twoich rozkazów, generale... – zaczął Farfalla tak taktownie, jak tylko mógł. – Ale czy nie jest możliwe, że Kaan chce wciągnąć cię w pułapkę?

– Jestem tego prawie pewien – zgodził się Hoth. – Ale ta pułapka i tak się zatrzaśnie, wcześniej lub później. Wolałbym nie dać im czasu na przygotowanie. Jeśli dopisze nam szczęście, dopadniemy go, – zanim będzie gotów.

– Jak rozkażesz, generale – rzekł Farfalla z kolejnym dworskim pokłonem. Po chwili dodał: – Chyba powinienes się trochę przespać. Wyglądasz tak blado i nędznie, jakbyś sam był Sithem.

– Teraz nie mógłbym zasnąć, przyjacielu – odparł Hoth, kładąc ciężką dłoń na kruchym ramieniu Farfalli. – Byłem tu od początku wojny. To ja poprowadziłem Armię Światła na Ruusan, aby stawiła czoło Bractwu Ciemności Kaana. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

– Ale jak długo jeszcze wytrzymasz bez snu, generale?

– Tyle, ile trzeba. Mam przeczucie, że do jutra wieczór będzie po wszystkim... W jedną czy w drugą stronę.

## ROZDZIAŁ 30

Jaskinie były chłodne i wilgotne, ale bynajmniej nie ciemne. Skalne ściany i sklepienie były pokryte kryształami, które przechwytywały mdły blask z prętów żarowych, odbijając i rozszczepiając światło na całą jaskinię. Niewielkie kałuże lśniły na podłożu, potężne stalagmity celowały w sklepienie. W dół zwisał odwrócony las stalaktytów, a woda skapywała równomiernie z ich czubków, marszcząc kałuże daleko w dół. Miejscami stalaktyty i stalagmity łączyły się ze sobą, spojone przez setki lat odkładania się osadów z nieustannie spływającej wilgoci. Powstały z tego potężne, imponujące kolumny: masywne, a jednocześnie delikatne i ażurowe.

Kaan nie miał czasu zachwycić się naturalnym pięknem otoczenia. Wiedział, że zwiadowcy Jedi zauważyli ich ucieczkę do podziemnego schronienia. I był pewny, że generał Hoth nie będzie długo czekał i uda się za nim.

Jaskinia, choć ogromna, zatłoczona była resztkami bractwa. Wszyscy lordowie Sithów, którzy ocalili – z zauważalnym wyjątkiem Dartha Bane’a – zebrali się tutaj, aby obronić swój ostatni szaniec. Reszta armii strzegła głównych wejść do podziemnych tuneli, z poleceniem powstrzymania nieuniknionego ataku Jedi tak długo, jak to będzie możliwe.

W końcu ci na zewnątrz zostaną pokonani, Kaan był jednak przekonany, że zatrzymają Hotha na dość długo, aby można było zakończyć rytuał bomby myśli.

Githany widziała, że z lordem Kaanem dzieje się coś bardzo złego. Odgadła, że coś jest nie w porządku, kiedy uciekali przed nadchodzącym wsparciem Jedi. Kiedy wylądowali w obozie, Kaan zniknął w namiocie komunikacyjnym bez słowa, gdy jednak z niego wyszedł, jego dawna, nieodparta charyzma powróciła. Pojawił się podwładnym nie jako pokonany dowódca, starający się o ich przebaczenie, lecz jako bohater – zdobywca, dumny i nieugięty. Stał przed nimi dumnie jak ucieleśnienie potęgi i chwały.

Przemówił do nich silnym głosem i śmiałymi słowami, emanując władczością. Mówił, że poprowadzi ich przez kolejne zjednoczenie umysłów, a ten rytuał przewyższy wszystko, co zademonstrował im Bane zaledwie kilka godzin wcześniej.

Opowiadał o straszliwej broni, jaką zaatakują swoich wrogów. Rozbudził w nich na nowo wiarę i nadzieję, ujawniając istnienie bomby myśli.

Obiecał im zwycięstwo, tak jak wiele razy przedtem; podobnie jak w przeszłości, i tym razem Bractwo podażyło za nim. Poszli wszyscy do jaskini, choć Githany wydawało się, że raczej zostali tam zaprowadzeni albo wręcz zwabieni.

Poszła za Kaanem razem ze wszystkimi, skuszona żarem jego słów i jawną wspaniałością jego osobowości i charakteru. Wszystkie podejrzania, jakoby był nie dość zrównoważony i rozsądny, aby nimi dowodzić, zostały zapomniane w czasie tej radosnej pielgrzymki przez noc, pod osłonę jaskini. Ale kiedy dotarli do miejsca przeznaczenia, fala entuzjazmu opadła i zastąpiła ją czysta, niezaprzeczalna oczywistość. Wreszcie Githany zrozumiała prawdę, odkrytą w iluminacji prętów żarowych, których światło tańczyło po kryształowych ścianach jaskini.

Kaan wyglądał właściwie normalnie, jeśli nie liczyć kurzu, brudu i krwi niedawnej bitwy. Githany widziała jednak szalone spojrzenie jego oczu, wielkich i dzikich, płonących przerażającym żarem, lśniących równie jasno, jak otaczające ich kryształy. Oczy te przywiodły jej na myśl wspomnienie tej nocy, kiedy zaskoczyła Kaana w namiocie. Nocy, kiedy ujrzała wizję powrotu Bane'a.

Dowódca wydawał się wtedy potargany, rozgorączkowany, zagubiony i zmieszany. Przez chwilę ujrzała go takim, jaki był naprawdę – fałszywy prorok, niezdolny ujrzeć czegokolwiek poza własnymi złudzeniami. Potem ta wizja zniknęła i wróciła dopiero teraz.

Wspomnienia napłynęły falą i Githany wiedziała już, że podąża za szaleńcem. Przybycie posiłków Jedi i wstrząsająca klęska sprawiły, że coś się w Kaanie załamało. Prowadził ich teraz na pewną śmierć i nikt oprócz Githany tego nie widział.

Nie miała odwagi sprzeciwić mu się otwarcie. Nie tu, w jaskini, gdzie otaczali ją fanatycznie niegdyś lojalni zwolennicy Kaana. Chciała wymknąć się, wysliznąć cicho w ciemność, poza promienie prętów żarowych i uciec przed przerażającym losem. Została jednak porwana przez tłum, który ruszył na rozkaz Kaana.

– Zebrać się. Bliżej. Utworzyć krąg: pierścień Mocy. Poczula, jak dłoń Kaana mocno chwyta ją za przegub i przyciąga do siebie, aż przyłgnęła do niego całym ciałem. Nawet w chłodnej jaskini jego dotyk był lodowaty.

– Stań obok mnie, Githany – szepnął. – Razem przeżyjemy tę chwilę ekstazy. Głośno zawołał:

– Złączcie ręce tak, jak musimy złączyć umysły!

Palce jego prawej ręki owinięły się wokół lewej dłoni Githany, zamykając ją w lodowato – żelaznym uścisku, mocnym jak durastal. Jeden z lordów wziął ją za drugą rękę i tak ostatnia nadzieja na ucieczkę przepadła.

Kaan u jej boku zaczął śpiew.

Githany nie była jedyną osobą, która wyczuła, że z lordem Kaanem coś jest nie w porządku. Podobnie jak wszyscy inni, lord Kopecz uległ ogólnej euforii, kiedy usłyszał o

bombie myśli. Wraz z innymi wiwatował, kiedy Kaan opisywał, jak zniszczy ona Jedi i uwięzi ich dusze. I z radością przyłączył się do grupy, która powędrowała za Kaanem do jaskini.

Teraz jednak jego zapał opadł. Znów myślał racjonalnie. Znajdowali się na poziomie zerowym eksplozji bomby myśli. Każdy wybuch dość silny, by zmieść Jedi, zniszczy ich także.

Kaan obiecał, że siła połączonych woli umożliwi im przeżycie, ale teraz Kopecz wątpił i w to. Obietnica na kilometr cuchnęła pobożnymi życzeniami zrodzonymi w umyśle tak zdesperowanym, że wzdragał się przyznać do porażki. Gdyby Kaan rzeczywiście wiedział coś o jakiejś bombie myśli, dlaczego nie przyznał się do tego wcześniej?

Jedynym logicznym wyjaśnieniem był strach przed konsekwencjami. A jeśli nawet Kaan w swoim szaleństwie zapomniał o strachu, on, Kopecz, woli się go trzymać.

Pozostali Sithowie na rozkaz zbliżyli się do Kaana, lecz Kopecz oparł się pędowi tłumu i ruszył w przeciwnym kierunku. Nikt tego nawet nie zauważył.

Kaana otoczyła ściana ciał, blokując dostęp światła z prętów żarowych. Twi'lek szedł ostrożnie w ciemnościach, kierując się ku wyjściu. Poruszał się nadzwyczaj zwinnie jak na tak potężną istotę. Nie odwracał się, nie oglądał; wszedł w tunel wiodący na powierzchnię i przyspieszył kroku, kiedy usłyszał, jak Bractwo rozpoczyna powolny, rytmiczny zaśpiew.

Oczywiście, ucieczka była niemożliwa. Do tej pory Jedi zapewne już otoczyli cały kompleks tuneli. Wkrótce zaatakują żołnierzy Sithów, którzy czekają na powierzchni. Spróbują się przebić przez nich, dotrzeć do Kaana i tak zakończyć ostatnią bitwę na Ruusanie. Kopecz nie wiedział, czy zdąży. W głębi duszy chciał chyba, żeby zdążył.

Ostatecznie jednak interesowało go jedynie to, aby nie musiał się już tym martwić. Dołączy do obrońców na powierzchni, tworzących ostatni szaniec przeciwko Jedi. Śmierć i tak była nieunikniona; przyjmował ten fakt do wiadomości. Wiedział jednak, że woli umrzeć od miecza świetlnego lub miotacza niż znaleźć się w epicentrum wybuchu bomby myśli.

Zakłęcie było proste i po jednym powtórzeniu do Kaana dołączyła reszta Bractwa. Recytowali nieznany tekst w równym, monotonnym rytmie. Ich głosy odbijały się od ścian jaskini, starożytne słowa mieszały się i zlewały w jedno z echemi rozbrzmiewającymi pod sklepieniem.

Githany czuła, jak pośrodku pierścienia zaczyna narastać Moc, niczym ogromny, wzburzony wir, kręcący się coraz szybciej i szybciej. Poczwała, że wszystkie świadome myśli są z niej wysysane; świadomość, umysł, nawet tożsamość wchłania potężny wir. Chłodna wilgoć jaskini ulotniła się, podobnie jak echa głosów. Nie czuła już pleśni i grzybów porastających najciemniejsze zakątki ani dotyku dłoni, które ją trzymały. Wreszcie przygasało mżenie przejrzystych kryształów i blade światło prętów żarowych.

*Jesteśmy jednością.*

Głos należał do Kaana, lecz również do niej.

*Jesteśmy Ciemną Stroną. Ciemna Strona jest nami.*

Nie mogła już słyszeć śpiewów, lecz czuła je całą sobą, a jej umysł ześlizgiwał się coraz głębiej i głębiej ku środkowi wiru. Czuła, że wkrótce straci zdolność i chęć, aby uwolnić się z rytuału Kaana, usiłowała zatem walczyć z tym, co się z nią działo.

Było to jednak jak płynięcie pod nieustępliwy prąd serca oceanu. Słowa powtarzanej nieustannie mantry przybierały niemal fizyczny kształt. Otoczyły jej kolektywną wolę, uwięziły, ukształtowały i związały w szybko zastygającej formie.

*Poczuj moc Ciemnej Strony. Poddaj się jej. Poddaj się zjednoczonej całości. Stańmy się jednością.*

Z najdalszych głębin własnego umysłu Githany wezwwała na pomoc ostatnie zasoby oporu. Jakimś cudem wystarczyły. Teraz już potrafiła wyrwać umysł z tego bluźnierczego konklawe.

Cofnęła się z jękiem, a jej zmysły powróciły jak woda, która wreszcie przebiła tamę. Wzrok, słuch, zapach i dotyk pojawiły się jednocześnie, przytłaczając jej rozgorączkowany umysł. Światło prętów stało się blade i ciemne, jakby i ono było pochłaniane przez wir. Pieśń trwała dalej, teraz bardzo głośna, aż rozrywała jej czaszkę. Temperatura opadła tak nisko, że Githany widziała własny oddech, a na stalaktytach i wzdłuż krawędzi kałuż i jeziorok zaczęła tworzyć się cieniutka warstwa lodu.

Nagle zrozumiała, że ani Kaan, ani nikt inny jej nie trzyma. Wszyscy stali w kręgu, wznosząc dłonie ku jego środkowi, całkowicie nieświadomi otaczającego świata. Początkowo wydawało się, że trzymają powietrze, ale kiedy jej oczy przywykły do półmroku, zauważyła w kręgu dziwne zniekształcenie.

Nie mogła patrzeć na to dłużej niż przez chwilę. W falującej materii rzeczywistości było coś strasznego i nienaturalnego; Githany odwróciła się z przerażeniem.

Bane miał rację! – pomyślała. Kaan sprowadzi na nas ruinę!

Poczuła delikatne dotknięcie umysłu, łagodne szarpnięcie, które jednak z każdą chwilą przybierało na sile, grożąc, że za chwilę pociągnie ją do grupy. Chwiejnym krokiem odsunęła się od tej bluźnierczej ceremonii i jej przeklętych uczestników, mrużąc oczy w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Bane próbował mnie ostrzec, a ja nie wierzyłam, przypomniała sobie. Jej myśli były chaotyczną mieszaniną żalu, desperacji i strachu. Jedna część umysłu ganiła ją za błąd, druga próbowała zawrócić z drogi, do miejsca, gdzie z rąk Bractwa rodziło się coś niewyobrażalnie ohydneho.

Cofając się, dotarła do ściany jaskini i ruszyła wzdłuż niej, szukając wyjścia. Przymus rytuału stawał się coraz bardziej natrętny. Czuła, jak ją wzywa, jak zaprasza, by dołączyła do reszty i dzieliła ich los.

Nie miała planu ani poczucia, dokąd idzie. Chciała po prostu uciec, odbiec, wyjść. Wynieść się stąd, zanim zostanie wessana ponownie. W kamieniu otworzyła się niewielka przestrzeń – wąskie wejście do tunelu, ale wystarczające, by się zmieściła. Wcisnęła się w szczelinę, czując, jak kamienie szorują o jej ubranie i skórę.

Ból jej nie przeszkadzał. Świat fizyczny znów odpływał. Githany desperacko rzuciła się naprzód, upadła i na czworakach popęzła tunelem.

Uciec. Musi uciec. Uciec od rytuału. Od Kaana. Od bomby myśli, zanim będzie za późno.

Żołnierze Sithów strzegący wejścia do podziemnych tuneli byli silni liczebnie, lecz słabi umysłem. Stawiali Farfalli i pierwszym oddziałom Jedi jedynie minimalny opór. Ostatnia bitwa na Ruusanie wkrótce przekształciła się w masową kapitulację, a wróg rzucał broń i błagał o litość.

Farfalla spacerował wśród żołnierzy, obserwując całą scenę. Generał Hoth zbliżał się właśnie z resztą armii. Na miejscu stwierdził ze zdumieniem, że jest już po wszystkim.

– Jak idzie? – zapytał Farfalla jednego z dowódców.

– Jest nas trzy razy mniej niż żołnierzy Sithów – odparł ponuro dowódca. – Ale oni wszyscy chcą się poddać jednocześnie. To nam zajmie trochę czasu.

Farfalla zaśmiał się serdecznie i poklepał go po ramieniu.

– Dobrze powiedziane – pochwalił. – Czasem myślę, że ludzie tylko dlatego idą za Sithami, bo wiedzą, że jeśli przegrają, zostaną wzięci żywcem.

– Mnie nawet nie próbuj wziąć żywcem, Farfalla – zbulgotał jakiś głos. Farfalla odwrócił się gwałtownie i ujrzał potężnego, rannego Twi'leka, leżącego na ziemi u jego stóp.

Ranny dźwignął się na nogi i Farfalla ze zdumieniem stwierdził, że ma na sobie szatę lorda Sithów. Jego twarz była tak pokryta krwią i brudem, że Jedi potrzebował dłuższej chwili, aby go zidentyfikować.

– Kopecz – rzekł wreszcie, przypominając go sobie z bardzo odległych czasów, kiedy Kopecz jeszcze był Jedi. – Jesteś ranny – ciągnął, wyciągając dłoń, aby zaoferować mu przyjaźń. – Odłóż broń, to ci pomożemy.

Cięzka dłoń Twi'leka odtrąciła jego rękę.

– Wybrałem moją stronę dawno temu – warknął. – Obiecuj mi śmierć, Jedi, a ja cię ostrzegę. Powiem ci, jakie są plany Kaana.

Jedno spojrzenie na rany mrocznego lorda powiedziało Farfalli, że jego nieprzyjaciel i tak nie ma szans na przeżycie.

– Co wiesz?

Kopecz zakasłał, dławiąc się krwią, która wzbierała mu w gardle.

– Najpierw obiecuj – wyrzęził.

– Obiecuję ci śmierć, jeśli naprawdę tego pragniesz. Przysięgam.

Twi'lek zaśmiał się, a na usta wystąpiła mu różowa piana.

– Dobrze. Śmierć to stary przyjaciel. To, co zaplanował Kaan, jest znacznie gorsze. – I opowiedział Farfalli o bombie myśli, a jego słowa wywołały dreszcz na plecach mistrza Jedi. Kiedy Twi'lek skończył, spuścił głowę i odetchnął głęboko, aby zebrać siły, po czym włączył miecz.

– Obiecałeś mi śmierć – rzekł. – Chcę zginąć w walce. Jeśli będziesz mnie oszczędzał, to ty dzisiaj zginiesz. Rozumiesz?

Farfalla posępnie przytaknął i włączył własną broń.

Lord Kopecz stawał dzielnie pomimo ran, choć nie był godnym przeciwnikiem dla wypoczętego i zdrowego mistrza Jedi. W końcu Farfalla spełnił obietnicę.



## ROZDZIAŁ 31

Sceneria, jaka powitała generała Hotha, kiedy jego armia zjawiała się na polu bitwy, była równie nieoczekiwana, jak miła dla oka. Przygotowywał się na wizję ponurej i krwawej jatki, zaciętych walk bez pardonu żadnej ze stron. Wyobrażał sobie ciała zabitych, zdeptane stopami tych, którzy wciąż jeszcze desperacko walczą o życie. Przybył przygotowany, że zobaczy wojnę.

Ujrzał jednak coś tak niewiarygodnego, że w pierwszej chwili nabrał podejrzeń. Sztuczka? Pułapka? Lecz jego obawy szybko ustąpiły miejsca uldze, kiedy wokół siebie zobaczył znajome, uśmiechnięte twarze innych Jedi.

Objął wzrokiem pozostałości po ostatniej bitwie na Ruusanie i on również się uśmiechnął. Było tylko kilku zabitych, a z ich ubrań można się było zorientować, że nie wszyscy służyli w Armii Światła. Większość nieprzyjacielskich żołnierzy wzięto do niewoli – siedzieli teraz spokojnie na ziemi w sporych grupach, otoczeni przez Jedi. Ich strażnicy śmiali się i żartowali, choć nie spuszczała z jeńców czujnego oka.

Hoth sięgnął w Moc i poczuł, jak fale ulgi i radości wypływają z umysłów żołnierzy Farfalli. Żołnierze pod jego dowództwem szybko zarazili się nastrojem. Widząc oczywiste zwycięstwo, rozluźnili szyk i wiwatując, ze śmiechem podbiegli do swych towarzyszy. Hoth z trudem powstrzymał się przed przywołaniem ich do porządku i przegrupowaniem, ale machnął ręką.

Odwieczna wojna dobiegła końca!

Spacerując jednak pomiędzy grupkami żołnierzy, przyjmując saluty i gratulacje od przyjaciół, nagle zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Całe pole pełne pokornych, bezbronných żołnierzy Sithów... ale ani jednego mrocznego lorda.

Widok mistrza Farfalli, biegnącego ku niemu ile sił w nogach z drugiego końca pola, wcale go nie uspokoił.

– Generale – rzekł Farfalla i zatrzymał się z poślizgiem, dysząc lekko. Zasalutował służbiście. Brak zwykłych pokłonów w pas jeszcze pogorszył nastrój Hotha.

– Chyba zbieraliśmy się dłużej, niż myślałem – zażartował generał, mając nadzieję, że ten niepokój to tylko niepotrzebna paranoja. – Zdaje się, że wojna już wygrana.

Farfalla pokręcił głową.

– Wojna nie jest zakończona. Jeszcze nie. Kaan i Bractwo, prawdziwi Sithowie, ukryli się w jaskiniach. Zamierzają uruchomić jakąś broń Sithów. Coś, co się nazywa bomba myśli.

Bomba myśli? Hoth słyszał coś niecoś o takiej broni dawno temu, ucząc się od swojego mistrza w Świątyni Jedi na Coruscant. Zgodnie z legendami, dawni Sithowie mieli zdolność zbierania Ciemnej Strony w skoncentrowaną strefę energii i uwalniania jej w jednym potężnym wybuchu. Wszyscy, którzy byli wrażliwi na Moc, zarówno Jedi, jak i Sithowie, padali ofiarą tej eksplozji, a ich duchy stawały się więźniami wielkiej pustki, jaka tworzyła się w epicentrum.

– Czy Kaan oszalał? – zapytał, choć samo pytanie wystarczyłoby za odpowiedź.

– Musimy się ewakuować, generale – nalegał Farfalla. – Uciec najdalej, jak to możliwe.

– Nie – odparł Hoth. – To się nie uda. Kaan i Bractwo też uciekną. Zebranie wsparcia i rozpoczęcie wojny na nowo nie zajmie im wiele czasu.

– A co z bombą? – zapytał Valenthynne.

– Gdyby Kaan miał taką broń – ponuro odparł generał – użyłby jej już dawno. Jeśli nie tu, to gdzie indziej. Może w światach Jądra. Może na samym Coruscant. Nie mogę na to pozwolić. Kaan chce ujrzeć moją śmierć. Muszę wejść do jaskini i stanąć do walki z nim. Zmuszę go, żeby zdetonował bombę tu, na Ruusanie. To jedyny sposób, aby naprawdę wszystko zakończyć.

Farfalla opadł na kolano.

– Pójdę z tobą, generale. A wraz ze mną wszyscy moi żołnierze.

Generał Hoth wyciągnął silne, spracowane dłonie, wziął Farfallę za ramiona i postawił na nogi.

– Nie, przyjacielu – rzekł z westchnieniem. – W tej podróży nie możesz mi towarzyszyć.

Kiedy tamten próbował protestować, uniósł dłoń, aby go uciszyć i dodał:

– Jeśli Kaan zdetonuje bombę, wszyscy w tej jaskini zginą. Sithowie zostaną zniszczeni, ale nie pozwolę, aby spotkało to cały nasz zakon. Galaktyka będzie potrzebowała Jedi, aby się odrodzili po zakończeniu wojny. Ty oraz inni mistrzowie musicie żyć, aby poprowadzić ich i bronić Republiki, jak to robiliśmy od czasów jej powstania.

Mądrość jego słów opierała się wszelkim argumentom i po chwili zastanowienia mistrz Farfalla opuścił głowę, milcząco akceptując tę prawdę. Kiedy podniósł wzrok, w oczach miał łzy.

– Chyba nie pójdziesz tam sam? – zaprotestował.

– Chciałbym – odparł Hoth. – Ale jeśli pójde sam, mroczni lordowie po prostu powalą mnie swoimi mieczami świetlnymi. To niczego nie rozwiąże. Kaan musi wiedzieć, że jego jedyny wybór to kapitulacja albo... – Nie dokończył myśli.

– Będziesz potrzebował tyłu Jedi, aby przekonać Bractwo, że zwykła bitwa oznacza przegraną. Co najmniej stu. Jeśli będzie ich mniej, zdetonuje bombę.

Hoth skinął głową.

– Nie mogę nikomu rozkazać, żeby szedł ze mną. Poszukajcie ochotników. I wyjaśnijcie im, że żaden z nas nigdy nie wróci na powierzchnię.

Pomimo świadomości zagrożenia, dosłownie wszyscy walczący w Armii Światła zgłosili się na ochotnika do misji. Generał Hoth doszedł do wniosku, że nie ma w tym nic dziwnego. Wszyscy oni byli Jedi, gotowymi poświęcić wszystko – nawet życie – dla większego dobra. Ostatecznie zrobił to, co wiedział, że i tak będzie musiał zrobić. Sam dobrał sobie ludzi, którzy wraz z nim wyruszą na pewną śmierć.

Wybrał dokładnie dziewięćdziesięciu dziewięciu. Decyzja była bolesna i trudna. Jeśli weźmie mniej, Sithowie mogą próbować wydostać się z jaskini i uciec, aby zdetonować swoją bombę myśli gdzie indziej. Ale jeśli weźmie więcej, zmarnuje dodatkowe istnienia.

Jeszcze trudniejszy był wybór tych, którzy mieli z nim iść. Jedi, którzy służyli najdłużej u jego boku, ci, którzy byli w Armii Światła od samego początku kampanii – tych znał najlepiej. Wiedział, jak wiele już poświęcili dla wojny i właśnie ich najbardziej nie chciał poprowadzić na pewną zgubę. Jednak to właśnie oni najbardziej zasługiwali na to, by stanąć u jego boku, kiedy nadejdzie koniec. Więc kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione, tym właśnie kierował się w wyborze. Ci najstarsi pójdą za nim. Pozostali odejdą wraz z lordem Farfallą.

Setka Jedi – dziewięćdziesięciu dziewięciu plus on sam – czekała niecierpliwie u wejścia do tunelu. Niebo nad nimi ciemniało, zapadła noc, czarne, burzowe chmury przetaczały się nad ich głowami. Generał jednak wolał się nie spieszyć z wymarszem. Chciał dać Farfalli jak najwięcej czasu na ucieczkę; gdyby to było możliwe, nakazałby wszystkim, którzy nie wejdą do jaskini, wynieść się z Ruusana. Ale na to nie było czasu. Muszą po prostu odejść jak najdalej i mieć nadzieję, że znajdą się poza zasięgiem bomby myśli Kaana.

Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, stwierdził, że już nie może czekać. Dał rozkaz do wymarszu. Spokojnie, w szyku weszli do tunelu i zaczęli schodzić w kierunku jaskiń, położonych głęboko pod powierzchnią planety.

Idąc w dół tunelem, Hoth najpierw zauważył, jak w nim zimno – jakby ktoś odessał całe ciepło. Potem wyczuł napięcie w powietrzu, które rzeczywiście pulsowało ogromną, niewyobrażalną mocą, ledwie utrzymywaną w ryzach. Mocą Ciemnej Strony. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby tę moc uwolniono.

Posuwali się powoli, uważając na pułapki i zasadzki. Nie natrafili na żadną. Właściwie odkąd weszli do jaskiń, dopóki nie znaleźli się w centralnej pieczarze w sercu systemu tuneli, nie spotkali ani śladu Sitha.

Generał Hoth szedł pierwszy, z prętem żarowym w jednej dłoni i włączonym mieczem świetlnym w drugiej. Kiedy wszedł do pieczary, pręt nagle zamigotał i pociemniał. Nawet światło miecza wydawało się umierać, zmienione w cieniutką nitkę żaru.

Jego oczy powoli przyzwyczajaly się do gęstego cienia – teraz mógł już odróżnić postacie lordów Sithów, stojących w kręgu po drugiej stronie pieczary. Zwróceni byli twarzami do środka koła i stali tak z otwartymi ustami, otepiętymi twarzami i pustym wzrokiem. Ostrożnie zbliżył się do nieruchomych postaci, zastanawiając się, czy są martwi, czy też utknęli w jakimś koszmarze.

Z bliska spostrzegł jeszcze jedną postać, stojącą pośrodku kręgu – lord Kaan. Początkowo go nie zauważył, bo miejsce to było jakby ciemniejsze od reszty jaskini. Wydawało się, że nad lordem wisi czarna chmura, a macki atramentowego mroku wysuwają się w dół, otaczając go i owijając upiorną pieszczotą.

Jedno spojrzenie na przywódcę Bractwa wystarczyło, aby wszelkie nadzieje na jego przekonanie zgasły bezpowrotnie. Twarz lorda była blada i napięta, rysy ściągnięte, jakby skóra stała się zbyt ciasna dla czaszki. Włosy i rzęsy pokrywała cienka warstwa lodu. Na twarzy miał wyraz okrutnej arogancji, a jego lewe oko drgało w niekontrolowany sposób. Spoglądał wprost przed siebie, jak zamrożony, nie mrugając i nie poruszając się. Hoth i Jedi weszli do jaskini. Dopiero wtedy Kaan przemówił.

– Witaj, lordzie Hoth. – Jego głos był zdławiony i napięty.

– Próbujesz mnie przestraszyć, Kaan? – zapytał Hoth, występując naprzód. – Nie boję się śmierci – ciągnął. – Mogę umrzeć. Wszyscy Jedi mogą stracić życie, jeśli tylko będzie to oznaczało zagładę Sithów.

Kaan szybko kręcił głową, a jego oczy biegały jak oszalałe po jaskini, jakby liczył Jedi, którzy przed nim stoją. Jego wargi rozciągnęły się w ironicznym śmiechu. Uniósł ręce.

Generał rzucił się przed siebie, próbując wykończyć Kaana, nim ten odpali bombę. Nie był jednak dość szybki. Mroczny lord raptownie klasnął w dłonie – i bomba myśli eksplodowała.

W jednej chwili wszystkie żywe istoty w jaskini zniknęły. Ubrania, ciało, kości, wszystko wyparowało. Stalaktyty, stalagmity, nawet masywne kamienne kolumny zmieniły się w chmurę pyłu. Grzmiący pomruk eksplozji przetoczył się po wszystkich tunelach, szczelinach i pęknięciach wiodących z pieczary. Niszczycielska fala energii ruszyła.

Githany zgubiła się w labiryncie podziemnych przejść. Uciekając przed rytuałem Kaana, straciła orientację, a teraz wędrowała bez celu kilometr za kilometrem w dół naturalnych tuneli, na próżno szukając wyjścia.

W słabym świetle pręta żarowego ujrzała niewielki otwór po lewej. Przeszła tym korytarzem wiele metrów, zanim się zorientowała, że jest ślepy. Zaklęła głośno i zawróciła.

Była wściekła. Wściekła na Kaana, że sprowadził Bractwo na skraj upadku. Wściekła na siebie, że poszła za nim. I wściekła na Bane'a. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że przyłożył rękę do aranżacji tej odrażającej ceremonii. Zmanipulował Kaana i resztę Bractwa, by wyruszyli na spotkanie własnego końca. Jednak to nie ta zdrada przyprawiała ją o taką

wściekłość. Bane ją porzucił. Odepchnął wraz z innymi, pozostawiając na pastwę losu, podczas gdy sam będzie odbudowywał zakon Sithów.

Tunel rozgałęział się w dwóch kierunkach. Zatrzymała się i sięgnęła w Moc, aby wyostrzyć zmysły w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę, którędy powinna pójść. Z początku nie czuła nic. A potem pochwyciła delikatny cień powiewu, pochodzący z tunelu po lewej. Pachniał świeżo i czysto – musiał prowadzić na powierzchnię.

Biegając korytarzem, poczuła, że gniew się ulatnia. Przeżyje! Nierówny grunt wzniosł się ostro w górę i w oddali zobaczyła poświęcę naturalnego światła. Przyspieszyła kroku i skupiła myśli na zemście.

Będzie subtelna i sprytna. Nie doceniła Bane'a już zbyt wiele razy. Teraz będzie cierpliwa, nie uderzy, dopóki się nie upewni, że to właściwy moment.

Po pierwsze, musi odnaleźć Bane'a i zaproponować, że zostanie jego uczennicą. Na pewno ktoś powinien mu służyć; tak działała Ciemna Strona. Będzie uczyć się u jego stóp, poddawać jego woli. Może zajmie jej to lata, może dekady, ale z czasem nauczy ją wszystkiego, co sam wie. Dopiero potem, kiedy Githany pozna i zawłaszczy wszystkie jego sekrety, zwróci się przeciwko niemu. Sama stanie się mistrzem i będzie miała własnego ucznia.

Wolność była o niecałe pięćdziesiąt metrów, kiedy Githany poczuła pierwszy efekt bomby myśli. Zaczęło się od drżenia gruntu. Jej pierwszym odruchem był strach przed trzęsieniem ziemi lub zawaleniem ścian tunelu, które pogrzebią ją pod tonami piasku i kamieni właśnie teraz, o kilka metrów od wyjścia. Kiedy jednak poczuła energię Ciemnej Strony pędzącą ku niej korytarzem, zrozumiała, że czeka ją o wiele straszliwszy los. Ci, którzy znajdowali się w epicentrum wybuchu, po prostu wyparowali. Pochwycona w czoło fali uderzeniowej Githany nie miała tyle szczęścia. Fala czystej energii Ciemnej Strony załapała ją w chwilę później. Przewiała przez nią jak straszliwy wiatr, wysysając z jej ciała żywotną energię i wydzierając ducha z cielesnej skorupy. Jej ciało zwiędło i skurczyło się, a piękna twarz uległa mumifikacji, zanim jeszcze zdążyła krzyknąć. A potem fala jak szybko nadeszła, tak szybko odpłynęła. Przez ułamek sekundy wysrane z życia truchło stało w doskonałej równowadze, po czym przechyliło się i upadło na ziemię, rozsypując się w proch.

Na powierzchni, kilka kilometrów dalej, Farfalla i inni Jedi poczuli drżenie gruntu i wiedzieli już, że ich generał przestał istnieć. W chwilę później ich mózgi eksplodowały umęczonymi krzykami Jedi i Sithów pochłoniętych przez wybuch; ich siły życiowe zostały wchłonięte w próżnię serca eksplozji.

Wielu Jedi zapłakało w rozpacz, rozumiejąc, jak niezwykle ofiarę złożyli z siebie ich towarzysze. Duchy umarłych pozostaną na wieki uwięzione w stanie zawieszenia.

Mistrz Valenthynne Farfalla, teraz dowódca niedobitków Armii Światła, odczuwał smutek równie głęboki, jak jego żołnierze. Jednak nie był to czas na łzy. Po odejściu generała Hotha

cały ciężar dowodzenia spoczął na jego barkach, a wciąż pozostawało jeszcze wiele do zrobienia.

– Kapitanie Haduran, zbierz grupę ratunkową – polecił. – Przeszukamy wszystkie tunele i pieczary, może ktoś przeżył.

Wiedział, że żadna żywa istota nie wytrzyma mocy bomby myśli, ale istniała możliwość, że jacyś Sithowie uciekli przed detonacją. Po tych wszystkich poświęceniach nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić uciec komukolwiek z Bractwa.

Kapitan zasalutował szybko i zrobił w tył zwrot. Zanim odszedł, Farfalla dodał jeszcze:

– I miejcie oko na skoczki. Ostatni rytuał Sithów doprowadził je do szaleństwa. Kto wie, co z nimi uczyniła ta bomba.

– A jeśli je zobaczymy, panie?

– Strzelać tak, żeby zabić.

Wiele kilometrów w przeciwnym kierunku Darth Bane również poczuł drżenie fali uderzeniowej. Fala mrocznej energii przeszła przez niego – dość silna, by przyprawić go o drżenie nawet z tej odległości. Kiedy przeszła, sięgnął w Moc, szukając kogoś, kto przeżył. Tak, jak przypuszczał, nie znalazł nikogo. Wszyscy odeszli. Kaan, Kopecz, Githany... wszyscy.

Bractwo Ciemności zostało oczyszczone. Jedi są przekonani, że Sithowie przestali istnieć. Bane postanowił, że na razie tak ma pozostać.

Był jedynym mrocznym lordem Sithów, ostatnim z rodu. Ciężar odbudowy zakonu spadnie na niego. Tym razem jednak zrobi to dobrze. Zamiast wielu, będzie ich tylko dwóch – mistrz i uczeń. Jeden, który posiada moc, i drugi, który będzie jej pożądał.

Aby przetrwać, Sithowie muszą zniknąć, stać się stworzeniami z mitów i legend... i koszmarów. Ukryci przed wzrokiem Jedi, będą mogli odszukać wszystkie zagubione tajemnice Ciemnej Strony, aż posiadą całą potęgę. Dopiero wtedy – kiedy pewne już będzie zwycięstwo nad wrogiem – odrzucą welon cienia i się ujawnią.

Droga przed nimi długa i trudna. Może potrwać wiele lat, a nawet dziesięcioleci, zanim znów zaatakują światło. Może nawet stulecia. Lecz Bane był cierpliwy, rozumiał, co go czeka i co trzeba uczynić. Choć on sam zapewne nie dożyje triumfu Ciemnej Strony, ci, którzy po nim nastąpią, poniosą jego spuściznę. Pewnego dnia, gdzieś w odległej przyszłości, Republika upadnie i Jedi zginą, a cała galaktyka pokłoni się przed mrocznym lordem Sithów. To nieuniknione. Tak działa Ciemna Strona.

Zadowolony z zakończonego na Ruusanie dzieła, ruszył w długą drogę do miejsca, gdzie ukrył statek. Wiedział, że niedobitki Jedi przyjdą poszukać ocalałych, ale zanim się zjawią, jego już dawno nie będzie.

Martwiło go tylko jedno – aby wszystko to stało się rzeczywistością, będzie potrzebował odpowiedniego ucznia. Kogoś silnego Mocą, lecz jeszcze nie splamionego naukami Jedi.

Gdzieś będzie musiał znaleźć dziecko, godne stać się spadkobiercą całej potęgi Ciemnej Strony.

## EPILOG

Rain poruszyła się we śnie, ale się nie zbudziła. Ktoś ją wzywał, ale nie chciała odpowiedzieć. W snach mogła sobie wyobrazać, że wciąż jest w domu z kuzynami, ciesząc się prostym, lecz szczęśliwym życiem. Jeśli się zbudzi, będzie musiała stawić czoło prawdzie. Tamto życie odeszło na zawsze.

*Zbudź się, Rain...*

Wszystko przepadło w dniu, kiedy Jedi – nazywał się mistrz Torr – zwerbował ich do Armii Światła. Ona nawet nie chciała walczyć, ale Bug i Tomcat, jej kuzyni, poszli obaj. Byli jej jedyną rodziną, więc nie chciała zostać sama. Była mała, miała tylko dziesięć lat, ale silna Mocą. I tak mistrz Torr pozwolił jej pójść także.

Powiedział, że zabiera ich na Ruusan, gdzie staną się Jedi. Tyle że to nigdy nie nastąpiło. Ich wahadłowiec został zaatakowany w chwili wejścia w atmosferę. Potem pamiętała już tylko jedną wielką grozę, ale przypominała sobie eksplozje i krzyki. Jedno skrzydło statku zostało odcięte i zaczęła spadać. Dymiący wrak stał się kropką na niebie, a ona leciała spiralą, bez kontroli, w dół, w dół, w dół, aż...

*Rain! Zbudź się!*

Laa! Laa ją uratowała i to Laa teraz woła ją po imieniu. Powoli otworzyła jeszcze mocno zaspane oczy.

*Rain długo spała. Rain musi teraz wstać.*

– Nie śpię, Laa – powiedziała do skoczka, który nad nią wisiał. Laa uratowała ją od upadku, chwytając, kiedy była jeszcze o setki metrów od powierzchni planety.

*Złe sny, Rain?*

– Nie – odparła. – Nie złe sny, Laa. Śniłam, że jestem w domu. Laa nigdy nie mówiła do niej naprawdę; Rain słyszała tylko jej słowa w głowie. Porozumiewały się poprzez Moc, jak jej to kiedyś wyjaśniła Laa. Kiedy jednak Rain jej odpowiadała, mówiła zawsze głośno.

*Nadchodzą złe sny.*

Rain zmarszczyła brwi, starając się zrozumieć, co Laa próbuje jej powiedzieć. Czasem, kiedy skoczki mówiły o snach, miały na myśli coś całkiem innego. Niekiedy wydawało się, że mają wizję przyszłości. Pamiętała, że Laa powiedziała właśnie coś takiego, kiedy wybuchł pożar lasu.

*Złe sny, Rain. Śmiertelne sny.*



Ogień zabił większość skoczków. Te, które przetrwały, oszalały. Wszystkie z wyjątkiem Laa. Rain chyba jakoś ją uratowała. Użyła Mocy, osłaniając obie przed śmiercią w płomieniach i zniszczeniem, choć nie była pewna, jak to zrobią... To się tak po prostu... stało. Teraz ona i Laa miały tylko siebie nawzajem.

*Idą złe sny*, – powtarzał skoczek.

Kilka godzin temu Rain poczuła coś dziwnego: ziemia zadygotała pod jej nogami, jakby coś eksplodowało bardzo, bardzo daleko. Czy o tym mówiła Laa? Czy przyjaciółka próbowała ją ostrzec przed tym, co jeszcze nie nastąpiło?

– Nie rozumiem – szepnęła, rozglądając się po krzakach, pomiędzy którymi na środku małej przecinki ułożyła się do snu. Nie widziała nic niezwykłego. W każdym razie jeszcze nie.

*Żegnaj, Rain.*

W głosie Laa był tak bolesny smutek, że przebił serce Rain jak nóż, lecz dziewczynka nadal nie rozumiała, o co chodzi.

Zanim jednak zdążyła zapytać, z krzaków rozległ się szelest. Odwróciła się i ujrzała dwóch ludzi, którzy z hałasem wdarli się na przecinkę. Wiedziała od razu, że to Jedi. Mieli te same brązowe szaty, co mistrz Torr, a u ich pasów zwisały miecze świetlne. Każdy z nich miał również długą rusznicę laserową.

– Skoczek! – krzyknął jeden. – Uwaga!

Zareagowali tak szybko, że kiedy otworzyli ogień, ich ruchy zlały się w jedną plamę. Zanim krzyk ucichł na ustach Rain, jej przyjaciółka już nie żyła. Wciąż krzyczała, kiedy jeden z Jedi podbiegł do niej.

– Nic ci się nie stało, malutka? – zapytał, sięgając ku niej. Odepchnęła go instynktownie. Nie wiedziała, dlaczego to robi, nie była to nawet świadoma myśl. Wiedziała tylko, że on zabił jej przyjaciółkę. Zabił Laa!

– Co się... – Zamilkł, kiedy Mocą skrzyła mu kark. Jego towarzysz wytrzeszczył oczy ze zgrozą, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego również zabiła.

Dopiero wtedy przestała krzyczeć i zaczęła płakać. Gorzki szloch wstrząsał jej ciałem, gdy podpełzła, żeby przytulić się do miękkiego, zielonego i jeszcze ciepłego ciała Laa.

Tam znalazł ją Bane – ludzkie dziecko, płaczące nad szczątkami jednego z miejscowych skoczków. Obok leżały ciała dwóch młodych Jedi, z karkami wykręconymi pod nienaturalnym kątem do reszty ciała. Potrzebował kilku chwil, aby odtworzyć sobie przebieg zdarzeń.

Dziewczynka spojrzała na niego zaczerwienionymi, podpuchniętymi oczami. Domyślił się, że ma dziewięć, może dziesięć lat. Czuł płonąca w niej potęgę Mocy, podsycaną nienawiścią i rozpaczą. Nawet gdyby tego nie wyczuł, zabici Jedi leżeli tuż obok, jak nieme świadectwo jej zdolności.

Nie odezwał się, tylko stał w milczeniu. Dziewczynka przestała płakać. Pociągnęła nosem i otarła go grzbietem dłoni. Wstała i nieśmiało zrobiła krok w jego kierunku.

– Kim jesteś? – zapytał głębokim, groźnym głosem. Nie uciekła, nie cofnęła się. Odpowiedziała z wahaniem:

– Nazywam się Rain... to znaczy Zannah. Moi kuzyni nazywali mnie Rain, ale nie żyją. Naprawdę mam na imię Zannah.

Bane skinął głową. Doskonale to rozumiał. Rain, przezwisko, imię dzieciństwa i niewinności. Niewinności, którą właśnie straciła.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Skinęła główką i zrobiła krok w jego kierunku.

– Jesteś Sithem.

– Nie boisz się mnie?

– Nie – zapewniła, kręcąc głową, choć Bane wiedział, że nie jest całkowicie szczerą. Czuł jej strach, ale pogrzebany pod innymi, silniejszymi uczuciami – smutkiem, gniewem, nienawiścią i żądzą zemsty.

– Zabiłem wielu ludzi – ostrzegł ją. – Kobiet, mężczyzn... nawet dzieci. Zadrżała, ale wytrzymała jego wzrok.

– Ja też jestem zabójcą.

Bane spojrzał na ciała Jedi, a potem znów na małą dziewczynkę, która stała przed nim z buntowniczą miną. Czy to może być ona? Czy to Moc poprowadziła go tędy w drodze na statek? Czy ściągnęła go tutaj w tym właśnie momencie, aby mógł znaleźć uczennicę?

Zadał ostatnie, najważniejsze pytanie:

– Czy znasz arkana Mocy? Rozumiesz prawdziwą naturę Ciemnej Strony?

– Nie – odparła Rain, cały czas patrząc mu prosto w oczy. – Ale możesz mnie nauczyć. Jestem młoda, dam radę.

## OD AUTORA

*Chciałbym podziękować redaktorkom, Shelly Shapiro i Sue Rostoni, za tę szansę i za to, że pozwalały mi na kolejne poprawki i zmiany. Dziękuję za ich cenne komentarze i pomysły.*

*Wszyscy, którzy czytali serię Jedi contra Sithowie, zrozumieją jak wielki dług twórczy mam wobec Dark Horse Comics, ale chciałbym również wspomnieć o udziale moich przyjaciół i współpracowników w Bio Ware. Spora część podstawowych danych i materiałów uzupełniających do tej powieści wywodzi się z naszych prac i badań związanych z KOTOR-em. Pragnę podziękować zwłaszcza Dave'owi Gaiderowi, Luke'owi Kristjansonowi, Peterowi Thomasowi i Jamesowi Ohlenowi.*

*Dzięki za wszystko, chłopaki.*

*Drew*